



# Jeden diabeł

KATARZYNA  
RAPCZYŃSKA-LUBIEŃSKA

Prószyński i S-ka

KATARZYNA  
RAPCZYŃSKA-LUBIEŃSKA

# Jeden diabeł

Prószyński i S-ka

NOWA PRACA

– Wstawaj, Karolina, chyba nie chcesz się spóźnić do pracy? – Z łazienki dobiegł mnie zaspany głos Natki.

Ona także nie lubiła wczesnych pobudek. Ja od pół roku nie używałam budzika, aż tu nagle dostałam etat! Co prawda moje plany kariery w branży medialnej musiały w związku z tym poczekać, ale za to miałam umowę o pracę, co oznaczało pakiet socjalny, wymiar godzin ósma–szesnasta, wolne weekendy i, co najważniejsze, stałe wynagrodzenie. Same plusy, jak mawiają matematycy optymiści. Ponieważ moje myśli ponownie zaczęły wkraczać w fazę snu, siłą woli zerwałam się z łóżka. Natalia już wyszła z łazienki i w panice szukała materiałów wykładowych z lingwistyki stosowanej.

– Dlaczego śpi mi się najlepiej wtedy, kiedy trzeba wstać tak wcześnie... – narzekała na swój studencki los.

Codziennie zrywała się o świcie, aby prowadzić wakacyjny kurs języka niemieckiego w jednym z warszawskich gimnazjów. Taki, w którym dziewczynki przesadnym makijażem pragną dodać sobie kilka lat, chłopcy zaś lajkują ich sweet focie na portalach społecznościowych, oczywiście z najnowszych modeli smartfonów. Po całym dniu na uczelni moja współlokatorka musiała pędzić jeszcze na półtoragodzinne korepetycje z angielskiego dla dwójki rozwydrzonych dzieciaków, cierpliwie znosząc przy tym uwagi ich bogatych rodziców, którzy patrzyli jej na ręce.

W kawalerce wynajętej od mojej ciotki dzieliłyśmy między sobą sypialnię, pokój z aneksem kuchennym oraz łazienkę we wzorzyste kremowe kafelki. Mieszkałyśmy na warszawskim Służewcu, w jednym z bloków należących do dużego, upstrzonego barwnymi graffiti osiedla.

Nasz wspólny przedpokój pomalowałyśmy farbą w odcieniu biskupim, powiesiłyśmy na ścianie plakat z Jimem Morrisonem i zamontowałyśmy żyrandol z plastikowymi elementami imitującymi kryształki.

Na obiad zwykle wystarczała nam puszka zimnego piwa oraz porcja chińszczyzny, żeby jakoś zapelnąć żołądek. Pomimo spożywania dużej ilości alkoholu i glutamianu sodu, w głębi duszy nie miałyśmy zamiaru skończyć w wieku czterdziestu paru lat jako zombie w państwowym szpitalu.

W pewnym momencie smakowanie cukierka przez papierek przestało nam wystarczać. Postanowiłyśmy ciężko pracować i oszczędzać, a zebrane pieniądze przeznaczyć na wymarzoną podróż do Maroka, naszą wyprawę życia, polewaną hektolitrami czerwonego wina, wypełnioną bebopem oraz beatnikowską literaturą. Potem każda z nas miała spotkać tego jedyne i założyć rodzinę, tak jak to bywa w happy endach. Aby jednak nasza świnka skarbonka, regularnie karmiona banknotami o różnych nominałach zaczęła przybierać na wadze, musiałam znaleźć stałą pracę. Nie mogłam się doczekać tego dnia.

– Błagam, powiedz mi, że to jeszcze nie poniedziałek... – spojrzałam ze zgrozą na

ścienny kalendarz.

– Niestety. – Natka potwierdziła moje obawy.

Najbardziej stresogenne w nowym miejscu pracy są początki. Lubiłam znajdować się już na etapie, na którym nic nie stanowi problemu nie do rozwiązania.

– Chciałabym być teraz Philem Connorem z *Dnia świstaka*... – westchnęłam, zaglądając do szuflady z bielizną.

Kiedy spróbowałam wpasować stopę w rozciągniętą do samej ziemi nogawkę rajstop, jak na złość strzeliło w nich oczko.

– Nie cierpię rajstop! Jak sądzisz, czy na takim stanowisku kobiety muszą nosić garsonki? – zastana-wiałam się.

– Powiedz szefowi, że uniformy to kajdanki, których normalny człowiek unika jak ognia, poza małżonkami urozmaicającymi życie erotyczne oraz ekologami walczącymi o drzewa.

Natka przemyślała do naszej rozmowy swoje wolnościowe poglądy, a mnie z niepewności i strachu opadały kolejne wątpliwości.

– Jestem narwańcem. Jakim cudem dostałam posadę sekretarki? – pytałam.

– Faktycznie, ci, którzy cię znają, wiedzą, że to cud, ale myśl optymistycznie. Może dzięki temu nauczysz się porządku i dokładności? – stwierdziła.

– Sądzę, że prędzej zostanę sławną pisarką i będę ślęczeć nocami przed laptopem, z kieliszkiem koniaku w dłoni – rozmarzyłam się. – Kurczę, dochodzi siódma!

Z prędkością światła powróciłam do rzeczywistości i zabrałam się za prasowanie żakietu, ale gdy skończyłam, za nic w świecie nie chciałam dopasować się do mojej sylwetki. Czyżbym przytyła? Niemożliwe. W sumie bez znaczenia, w końcu to siedząca praca. Po prostu nigdy nie nosiłam takich ciuchów. Do tej pory wkładałam luźne kraciaste koszule i dżinsy w połączeniu z trampkami, a w zimie – z kozakami, aż tu nagle musiałam wcielić się w kogoś zupełnie innego. Przebiegł mi po plecach lodowaty dreszcz, a na myśl o tym, że będę musiała spędzić w rajstopach ponad osiem godzin, ręce pokryła gęsia skórka.

– A jeśli to nie jest praca dla mnie? – zapytałam.

– Karolina, praca to nie samolot. Zawsze możesz wysiąść. – Natalia starała się rozładować napięcie.

Zjadłyśmy tradycyjne śniadanie, kilka nierówno przekrojonych kajerek, przykrytych plasterkami serków topionych, które podgrzałyśmy w kupionej na spółkę kuchence mikrofalowej. Natka doprawiała swoją porcję czosnkowo-ziołowym sosem, podczas gdy ja zalewałam wrzątkiem kawę „3 w 1”, czyli „stare skremowane ziarna”. To określenie pożyczycyśmy z naszego ulubionego brytyjskiego sitcomu, nadawało naszym śniadaniom czarno-humorystyczny wydźwięk.

Po ostatnim kęsie w pośpiechu wstawiłyśmy naczynia do zlewu. Chwyciłam lakierowaną torebkę, a Natka wojskowy plecak.

– Powodzenia w nowej pracy. Kopniak na szczęście! – Natalia podniosła kolano i lekko zahaczyła nim o tylną część mojego ciała.

– Dzięki, ty też się trzymaj, zwłaszcza w szkole. Do wieczora! – odpowiedziałam i każda z nas poszła w swoją stronę.

Drugi z wakacyjnych miesięcy oraz temperatura sięgająca prawie trzydziestu stopni sprawiły, że mogłam liczyć na pustki w komunikacji miejskiej. Na przystanku czekała grupka młodych dziewczyn, które porównywały swoje opalone łydki.

W autobusie upolowałam miejsce na końcu przy oknie. Obok dosiadły się dwie dziewczyny i każda z nas jak na komendę wyjęła z torebki telefon z zestawem słuchawkowym. Założę się, że tylko ja pośród naszej trójki słuchałam piosenek Julee Cruise, ulubionej wokalistki Davida Lyncha, której balsamiczny głos dodawał klimatu opowieściom geniusza filmowego surrealizmu. Poczulałam ucisk w żołądku. Albo to stres przed czekającymi mnie obowiązkami, albo konsekwencje alkoholowej imprezy, którą poprzedniego wieczoru urządziliśmy z Natką, by uczcić fakt, że jedna z nas zyskała szansę na coś więcej niż umowa śmieciowa. Miałam do przejechania trzynaście przystanków. Patrzyłam przez okno i analizowałam w myślach swoje dotychczasowe dokonania. Na studiach pomysłami na życie mogłam obdzielić połowę mojego roku. Orientalna knajpka nad Bałtykiem, praca w redakcji jednego z pism dla niezależnych trzydziestek, założenie prosperującej agencji PR, podróżowanie po krajach Europy Wschodniej i dokumentowanie rzeczywistości, wzorem Andrzeja Stasiuka, czyli siedząc w Beskidzie Niskim i przelewając na papier wspomnienia z minionych wypraw. Niestety, po ukończeniu kulturoznawstwa, większość ambitnych planów utkwiała na liście oczekujących.

Teraz jadę do piętnastej albo szesnastej pracy, jeśli policzyć pół wymęczonego dnia w *call center*, i nadal czuję, że przez wiele lat nie ruszyłam z miejsca. Etat dziennikarza też mam po części za sobą, ale wciąż nie porzuciłam nadziei, że tamte czasy wrócą.

Między jednym a drugim semestrem po prostu odchodziłam z kolejnych instytucji. W pewnym momencie przestało mnie to ruszać. Pod innymi względami było trudniej, bo zmiany zamiast nadziei przynosiły następne rozczarowania. Pracowałam kiedyś w miejscu, gdzie wszyscy siedzieliśmy w otwartej przestrzeni, oddzieleni od siebie jedynie monitorami komputerów. Przeszłość wizualnie przypominała jedno z zagranicznych biur, w których każdy pracownik schowany w białym tekturowym boksie wykonuje polecenia wysyłane mejlem przez siedzącego za ścianką szefa.

Gdy po trzech miesiącach nie przedłużono z nami umowy – rotacja w firmie była zaskakująco wysoka – nikt nie żałował. Umówmy się, że praca w systemie *open space* stanowczo nie jest zajęciem dla wrażliwego indywidualisty. Nie doda mu ikry ani nie uczyni z niego rzeźby z hartowanej stali. Ale przynajmniej przygotowuje do pracy w sekretariacie. Miejsca, w którym słowo „prywatność” nie istnieje i gdzie bujający w obłokach marzyciele muszą szybko dorosnąć.

Zaczęło się w dniu, w którym przeglądałam ogłoszenia w internecie i znalazłam ofertę pracy dla sekretarki w administracji publicznej. Pomyślałam, że na pewno już kogoś znaleźli, ale co mi szkodzi wysłać CV?

Ze świata, który do tej pory składał się wyłącznie z prób wypłynięcia na szerokie wody dziennikarstwa oraz naiwnej wiary w dokonanie tego natychmiast po uzyskaniu tytułu magistra, trafiłam do budżetówki. Świata pełnego rozmaitych osobliwości i zupełnie mi obcego. Świata, który na zawsze odmienił mój stosunek do ludzi i rzeczywistości. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, uciekłabym gdzie pieprz rośnie.

– Następny przystanek: Puławska – odezwał się mechaniczny głos.

Znużona jazdą w dusznym autobusie zsunęłam się z fotela i ruszyłam do drzwi.

Wysiadłam i szłam pół kilometra, wypatrując miejsca, które miało stać się dla mnie drugim domem. Wcześniej byłam tam tylko raz, na rozmowie kwalifikacyjnej.

W dniu, w którym odebrałam telefon i dowiedziałam się, że moją kandydaturę rozpatrzono pozytywnie, zniknęły wreszcie czarne chmury od kilku miesięcy wiszące nad moim życiem.

– Witam, pani Karolino. Osoba, która miała zostać zatrudniona w naszym wydziale, zrezygnowała, a pani jest kolejna na naszej liście kandydatów. Czy w dalszym ciągu interesuje panią praca u nas? – Delikatny kobiecy głos był tak subtelny i cichy, że ledwie rozróżniałam słowa.

– Oczywiście, oczywiście, jak najbardziej, jestem, jestem – próbowałam sklecić zdanie, ale gwałtowne bicie serca wywołane niespodziewaną wiadomością zagłuszyło znajomość poprawnej polszczyzny.

– Bardzo się cieszę. W takim razie rozpocznie pani pracę od piętnastego lipca. Proszę udać się do kadr, gdzie będzie czekała na panią umowa – dodała moja rozmówczyni.

– Oczywiście, oczywiście. Dziękuję za wiadomość. – Staralam się to wszystko zapamiętać.

– A zatem do zobaczenia – podsumowała.

– Do widzenia – powiedziałam, po czym się rozłączyłam.

Odtwarzając tę rozmowę, dotarłam do celu. Nagle przede mną wyrósł ogromny peerelowski biurowiec. Białe plastikowe okna kontrastowały z kolorem czerwonej cegły. Gwałtowny powiew wiatru bezgłośnie szturchnął mnie w plecy, kiedy zbliżałam się do schodów. „Czyżby zbierało się na burzę?”, pomyślałam, bo z trudem dotarłam do masywnych drzwi z przezroczystą szybą.

Wnętrze przypominało rejestrację w placówce medycznej połączoną z punktem kontroli paszportowej. W środku znajdowało się biuro przepustek, gdzie należało się zgłosić, aby móc wejść dalej. Nowym pracownikom, którzy nie mieli jeszcze własnej karty magnetycznej, po okazaniu dokumentu tożsamości wręczano plaketkę z napisem „gość”. Wzięłam głęboki wdech i energicznie podeszłam do okienka, wyjmując jednocześnie z torebki dowód osobisty. Po drugiej stronie siedział starszy mężczyzna podobny do Burta Reynoldsa, z tą różnicą, że nie miał na sobie kowbojskiego kapelusza. Po tym, jak skwapliwie zabrał się do wprowadzania moich danych do komputera, wywnios-kowałam, że musi lubić swoją pracę.

– Witamy w naszych skromnych progach, pani Karolino – entuzjastycznie rzucił w moją stronę powitalne hasło, które prawdopodobnie miał na podorędziu na wypadek takich spotkań. Podał mi zastępczą wejściówkę, którą przez kilka dni miałam się



posługiwać, i w szarmanckim stylu, jak to czynią kelnerzy kierujący gości do zarezerwowanego stolika, wskazał dłonią bramkę.

Elektroniczne tripody, podobne do tych ze stacji metra, oddzielały niewielką część dla interesantów od reszty przestrzeni zarezerwowanej dla pracowników biur. Przyłożyłam kartę magnetyczną do czytnika i jednocześnie napałam na metalową blokadę, a wtedy automatycznie przesunęła się i pozwoliła mi przekroczyć linię graniczną. Przez ułamek sekundy poczułam się jak bohaterka filmów science fiction, która przechodzi przez portale czasoprzestrzenne i trafia do innego wymiaru. Za chwilę jednak zaśniedziały korytarz prowadzący do windy przywołał mi na myśl kadr z filmu Chaplina, w którym główny bohater pracuje w fabryce pełnej maszyn. Młody mężczyzna, który przebiegł obok i najwyraźniej spieszył się, by zasiąść przy biurku, nim zegar wybije ósmą, wpadł na mnie z impetem i uderzyłam ramieniem w futrynę. Ból przyniósł natychmiastowe otrzeźwienie i odpłaciłam mu pięknym za nadobne.

– Uważaj, jak chodzisz, mizoginie! – krzyknęłam.

Mężczyzna zatrzymał się i błyskawicznie odwrócił w moją stronę.

– Jeśli chciałaś popisać się intelektem, źle trafiłaś – oznajmił i wskoczył do windy, czym do reszty wytrącił mnie z równowagi.

Zdażyłam tylko dostrzec jego ironiczny uśmiech, znikający za automatycznymi drzwiami.

Nic nie zepsuje mi pierwszego dnia w pracy! Wdech z gniewem, wydech z radością, odprawiłam w myślach rytuał i rozejrzałam się dookoła, wypatrując schodów.

Na ścianie wisiała duża korkowa tablica z przypiętymi do niej kartkami. Głównie rozmaite ulotki i ogłoszenia rozmieszczone jedne na drugich, w samym środku zaś lekko nadszarpięta zębem czasu instrukcja przeciwpożarowa. A obok kiosk z mydłem i powidłem, który obsługiwała młodzietka dziewczyna w okularach, taka szara myszka. Sprawiała wrażenie osoby, która robi wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi. Z natury jestem ekstrawertyczką, więc posłałam jej ciepły uśmiech, czym spłoszyłam ją jeszcze bardziej. Nie tracąc czasu, weszłam po schodach na trzecie z pięciu pięter.

Szłam wolno i ukradkiem rozglądałam się na boki, usiłując przypomnieć sobie gabinet, w którym niespełna miesiąc temu zabłysła intelektem, aby zaprezentować się z najlepszej strony. Gdzie jest mój pokój? W końcu zlokalizowałam numer na drzwiach i energicznie chwyciłam za klamkę. Ogarnął mnie dziwny paraliż. Moja dłoń przywarła do klamki, a ja nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Jakby moje kości były połączone za pomocą maleńkich śrubek, które nagle zostały dokręcone najszczelniej, jak tylko się da. Trwało to raptem kilka sekund, ale uświadomiłam sobie, że muszę wyglądać idiotycznie, z dłonią zaciśniętą na klamce, jakbym zamieniła się w słup soli. Ktoś mógł mnie zobaczyć, a to nie był rodzaj wrażenia, jakie chciałam wywrzeć na innych. Dość! Czas rozkazać bezpodstawnym lękom, aby zaczekały na realne zagrożenie. Wchodzę.

Naprzeciwko drzwi siedziała młoda dziewczyna obcięta na chłopczycę, ale przy tym nad wyraz kobieca. Jej smukła twarz była proporcjonalna do całej sylwetki, a zarys zuchwy idealnie synchronizował z fioletowym golfem, który miała na sobie. Możliwe, że była kilka lat starsza ode mnie. Natychmiast podniosła głowę i odłożyła telefon komórkowy. Po mojej prawej stała wielka pancerna szafa otwarta na oścież, która nie

wiedzieć czemu skojarzyła mi się z szafkami dla amerykańskich futbolistów. Na przekór losowi, zamiast dorodnego mężczyzny w sportowym kasku, zastałam myszkujejącą w niej kobietę w średnim wieku. Chyba porządkowała rzeczy mające trafić w moje – na szczęście już – powołane ręce.

– Dzień dobry – odezwałam się z powitalnym uśmiechem.

– Cześć, jestem Sonia. – Dziewczyna zza biurka wyciągnęła do mnie rękę. – Nie mogliśmy się ciebie doczekać. Przez dwa miesiące nie było sekretarki i musieliśmy ustalać dyżury.

Czyżby stąd to entuzjastyczne powitanie?

– A ja się cieszę, że w końcu udało mi się tu dotrzeć. I muszę przywyknąć do wczesnego wstawania – odpowiedziałam.

– Długą miałaś przerwę? – spytała Sonia.

– Ponad sześć miesięcy.

– Ojej, sporo... To z czego żyłaś, jeśli mogę spytać?

– Pisałam artykuły do różnych czasopism i współpracowałam z pewnym wydawnictwem, ale na umowę o dzieło. Niestety, na dłuższą metę tak się nie da.

– Wyobrażam sobie. Witaj, rozgość się! – zaproponowała, zwalniając miejsce w fotelu.

Kobieta, która układała dokumenty w szafie, niespodziewanie odwróciła się w moją stronę.

– Dzień dobry, Karolinko – przywitała się z uśmiechem.

Rozpoznałam głos osoby, która zawiadomiła mnie o przyjęciu do pracy. Przypomniałam sobie: pani Melania!

– Naczelnik się przebiera. Zaraz będziemy mogli podpisać umowę – wyjaśniła.

Skoncentrowałam się na pierwszym zdaniu.

– Przebiera się?

– Chodzi rano na siłownię. Pamiętaj o tym na wypadek, gdyby ktoś niezapowiedziany próbował wejść do niego bez uprzedzenia.

– Tak, oczywiście – odpowiedziałam, a następnie zaczęłam wodzić wzrokiem po sekretariacie, aby poznać swoje miejsce pracy.

Niewielki pokój połączony z gabinetem szefa robił pozytywne wrażenie. Moje biurko, przy którym wcześniej urzędowała Sonia, stało na samym środku. Usiadłszy za nim, poczułam dumę, jakbym to ja sprawowała władzę w tej instytucji.

Afirmacja to kluczowa cegiełka w budowaniu właściwego nastawienia, wyrecytowałam w myślach fragment jednej z książek o motywacji.

Sonia przygotowała dla mnie wszystko, co niezbędne. Wyjaśniła, który to dziennik faktur, a który korespondencyjny. Jakiej pieczętki należy użyć do pisma wpływającego, a jakiej do wychodzącego, i tak dalej, i tak dalej.

– Trochę tego jest, ale z czasem się oswoisz – uspokajała mnie, widząc moje rozkojarzone spojrzenie i drżące dłonie.

– Dzięki, rozumiem, że w razie pytań, polecasz się na przyszłość? – spytałam żartobliwie.

– No pewnie – odpowiedziała lekko speszona i wróciła do swojego pokoju, który

dzieliła z panią Melą.

W tym momencie klamka od drzwi, które naczelnik zamknął, aby sportowe odzienie zamienić na bardziej stosowne, nagle się poruszyła. Z gabinetu wyszedł mój nowy szef. Paweł Iważur był mężczyzną wysokim, miał gęste włosy lekko przyprószone siwizną, lecz nie z powodu upływu lat, a raczej w wyniku stresu, jaki generowała praca na tak odpowiedzialnym stanowisku. Tym, czego nie zauważyłam podczas rozmowy kwalifikacyjnej, a co teraz przykuło moją uwagę, był jego duży, purpurowy, błyszczący nos, który wręcz prosił się o przypudrowanie. Wtedy Rudolf (Anty)Valentino obdarował mnie powitalnym uściskiem dłoni. Wilgotnej.

– Dzień dobry, pani Karolino. Zapraszam do siebie – powiedział i weszliśmy do środka.

Usiadłam na krześle dla interesantów naprzeciwko szefa, który nie zawahał się przejść od razu do rzeczy.

– A zatem, pani Karolinko, będziemy razem pracować. Musimy więc ustalić jakąś nić porozumienia. Proszę się nie martwić, nie jestem zbyt wymagającym szefem.

Wyszczrzyłam zęby, a jednocześnie pogratulowałam sobie w duchu, że trafiło się ślepej kurze ziarno.

– Serio. Zobaczysz pani, że za jakiś czas wręcz powieje nudą – zażartował. – Wystarczy, że będzie pani w pobliżu, gdy poproszę o herbatę lub o połączenie z rozmówcą, a godzinkę przed końcem dnia przyniesie mi pani teczkę z pocztą do dekretacji, i w zasadzie tyle.

– Dobrze, panie naczelniku. Może pan na mnie polegać. – Kiwałam głową w przód i w tył.

– Doskonale. Zatem do pracy! – Uśmiechnął się od ucha do ucha, a ja z entuzjazmem wróciłam za biurko.

Kiedy pierwsze pismo spłynęło ze stojącego nieopodal faksu, od razu zabrałam się do pracy. Przeczytałam je od deski do deski, aby z treści wyłuskać to, co najważniejsze, a następnie przelać zebraną esencję do właściwego dziennika. „Dotyczy: prośba o spisanie numerów ze sprzętu komputerowego podlegającego inwentaryzacji mienia ruchomego” – przybiłam pieczętą i nadałam kolejny numer z dziennika.

Pięciominutowy spokój zakłóciła pani Mela, jej błyszczące ciemnozielone oczy, przypominające oczy kotów po zmroku, prześwieślały mój każdy nawet najmniejszy ruch.

– Jak sobie radzisz? – spytała charakterystycznym cienkim głosem, który wbrew pozorom mógł skrywać wiele emocji.

– Chyba dobrze. – Uśmiechnęłam się do niej, choć czułam lekkie skrępowanie.

W mojej głowie kłębiły się tysiące pytań, które rozmnażały się przez pączkowanie, ale starałam się nie dać po sobie poznać, że czegoś nie wiem.

– W tamtej szafce są talerzyki i filiżanki dla gości, a zjawiają się dosyć często. – Otworzyła drzwiczki. – A czarny kubek należy do naczelnika. Codziennie rano zaparzysz mu herbatę. Gdy woda zabarwi się na ciemno, wyjmij torebkę i wyrzuć ją do kosza. Pan Paweł nie lubi zajmować się takim drobiazgiem. Aha, i jeszcze jedno...

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Pamiętaj o bardzo ważnej, być może najważniejszej zasadzie.

– Jakiej? – Patrzyłam na nią zahipnotyzowana.

Pani Mela zrobiła teatralną pauzę, niczym jurorzy z programu *Mam talent* podczas czytania werdyktu.

– Kubka szefa nigdy nie wycieramy w środku – oznajmiła z absolutną powagą, jakby przekazywała mi wiedzę tajemną.

Zaniemówiłam. Ta sytuacja przebiła wszystko, z czym zetknęłam się do tej pory. I nie chodziło o przestrzeganie zasad higieny, lecz o sposób przekazania informacji. Dotarło do mnie, że pani Mela pełni w wydziale nie tylko funkcję kadrowej, lecz również mentora i, co najważniejsze, strażnika wszelkiego porządku. Chciałam jej odpowiedzieć, ale zabrakło mi słów.

– Pani Karolino, proszę zawiadomić wszystkich, że o dwunastej zaczyna się odprawa. Każdy, łącznie z panią, ma stawić się w moim gabinecie – oznajmił naczelnik, który tego typu komunikaty przekazywał telefonicznie.

– Oczywiście, panie naczelniku – potwierdziłam, by wiedział, że zrozumiałam polecenie.

Ciekawe, czego dotyczy spotkanie? Przygotuję sobie zeszyt, najlepiej w twardej okładce, bo w pokoju szefa nie ma dużo miejsca i notatki na pewno będę robiła na stojąco. Układałam w myślach plan, który za pół godziny miał się urzeczywistnić. Następnie spojrzałam na korkową tablicę przy biurku. Wisiała na niej kartka z telefonami do wszystkich pracowników wydziału. Kilku osób jeszcze nie znałam, gdyż od tygodnia przebywali na zasłużonym i od dawna wyczekiwanym urlopie.

Gabinet stopniowo wypełniał się ludźmi.

Zebrała się nas siódemka.

Poza panią Melą i Sonią obecny był również starszy mężczyzna w okularach na miedzianym łańcuszku zawieszonym na szyi, swobodnie opadającym na staromodną koszulę z flaneli. Pomyślałam, że wygląda jak klasyczny przykład jednostki pracującej w budżetówce. Oprócz pana Stanisława, bo tak się przedstawił, poznałam jeszcze Mateusza, który mógł mieć nie więcej niż trzydzieści lat, i jak na pracownika administracji publicznej ubierał się dość nietypowo – w obszerne ciuchy w kolorze khaki, poza tym nosił długie włosy, które splątały się z kablem od słuchawek wystającym spod jego lnianej koszuli. Ostatnim z grupy był Marek, informatyk o przyjaznym usposobieniu, chyba mój rówieśnik. Spotkanie rozpoczęło się od przemowy szefa.

– Witam po weekendzie. Nieobecny przekażcie to, co dziś ustalimy na spotkaniu. Przede wszystkim trzeba rozplanować środki finansowe, aby do końca roku wygospodarować cały budżet. Dział finansowy chce znać szczegóły dotyczące zamówień publicznych, zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt komputerowy.

Naczelnik mówił i mówił, posługując się przy tym żargonem informatycznym, a ja starałam się każde nowe słowo przelać na papier, by przyswoić jak najwięcej i sklecić później zgrabną i sensowną notatkę.

– Druga bardzo ważna kwestia wiąże się z awansowaniem Melanii na stanowisko kierowniczkę, przy czym nadal będzie ona zajmować się sprawami kadrowymi – powiedział, z przyklepionym do twarzy uśmiechem.

W tym momencie publiczność wstrzymała oddech, a czas jakby stanął w miejscu. Naczelnik złożył gratulacje pani Meli, a potem kontynuował odprawę, a ja protokół.

– Dołączyła do nas nowa sekretarka, pani Karolina Lubczyk. Serdecznie witamy.

Oczy wszystkich skierowały się na mnie. Z jednej strony cieszyło mnie to, bo w głębi duszy lubiłam być w centrum uwagi, ale z drugiej odczuwałam lekkie zakłopotanie. Dygnęłam niczym uczennica stojąca na środku klasy, ubrana w granatowy

mundurek i uczesana w dwa warkocze przewiązane białymi wstążkami. Wówczas ciąg skojarzeniowy przywołał na myśl owe kajdanki, o których rano wspomniała Natalia, i poczułam się jak więzień. Uświadomiłam sobie, że będę przebywać z tymi ludźmi w jednym pomieszczeniu, pięć dni w tygodniu, przez okrągłe osiem godzin. Moje ciało przeszły silny dreszcz, jakbym wilgotną ręką dotknęła przewodu elektrycznego.

– Na tym zakończymy dzisiejszą odprawę – oznajmił naczelnik.

Panowie ściskali moją rękę i wcale nie starali się ukryć ożywienia na widok nowej sekretarki, która była dla nich czymś w rodzaju świeżego mięska.

Kiedy wróciłam na swój posterunek, zadzwonił telefon. Nie wiedząc, czego się spodziewać, z bijącym sercem podniosłam słuchawkę.

– Sonia, przyjdź po pocztę – odezwał się beznamiętny głos.

– Dzień dobry, tu Karolina, nowa sekretarka pana Pawła. Z kim mam przyjemność? – jednym tchem wydekłamałam uprzednio przygotowaną formułkę.

– Ach... cześć! Mówi Kinga. Jest trochę pism dla naczelnika do odbioru w sekretariacie dyrektora. Musisz zejść piętro niżej. Ostatni pokój po lewej stronie.

– Dziękuję. Zaraz będę. – Odłożyłam słuchawkę i zajrzałam do szefa.

– Panie Pawle, schodzę po pocztę.

– Dobrze, pani Karolino.

Trafiłam na pierwsze piętro i mknęłam przez kilka powiązanych łącznikiem korytarzy, zostawiając za sobą identyczne z wyglądu pokoje. Różniły się jedynie tabliczkami na drzwiach. „Sekretariat Dyrektora Biura Gospodarki Materiałowej i Rozwiązań Teleinformatycznych”, odczytałam napis po prawej stronie. Pokój, w którym urzędowała Kinga, był znacznie większy od mojego, bogato umeblowany, wyposażony w kryształowe naczynia i kilka kompletów filiżanek. Moja koleżanka, ognistowłosa dziewczyna w turkusowym kostiumie z szerokim pasem podkreślającym talię rejestrowała kolejną porcję dokumentów przyniesionych z kancelarii.

– Cześć. Jestem Karolina. Rozmawialiśmy przed chwilą. – Wyciągnęłam dłoń na przywitanie.

– Cześć. Kinga. Jak ci się tu podoba? – spytała.

– Na razie w porządku – odpowiedziałam.

Nigdy nie lubiłam koperkowych rozmów, ale pracując w budżetówce, musiałam się do tego przyzwyczaić.

– Zobaczysz. Tutaj będziesz żyła od weekendu do weekendu. Ja przyjęłam zasadę, że nie zabieram służbowych problemów do domu. Trzeba mieć jakieś granice – wyznała zmęczonym głosem.

To wypowiedziane od niechcienia zdanie utkwilo mi w pamięci. Zdałam sobie sprawę, że czeka mnie poważne wyzwanie. A może trzeba zwalczać trudności, a kłody rzucane pod nogi traktować jako schody do pokonania? Tak! Nauczę się być taka jak inni, czyli normalna.

Z tym postanowieniem, a także z grubym plikiem dokumentów przyciśniętym do piersi, wyszłam z pokoju Kingi, przemierzyłam korytarzowy labirynt i wróciłam do swego pokoju.

Nim się zorientowałam, wybiła szesnasta. O tej godzinie pracownicy budżetówki rytualnie wyłączali komputery i opuszczali swoje pokoje. Gdziekolwiek można było spotkać panie biegnące w pośpiechu do toalety. W końcu liczyła się każda mikrosekunda życia spędzana poza biurem. Tylko nieliczni zostawali po godzinach. Jedni mieli do wykonania jakieś merytoryczne zadania, których nie zdążyli zrealizować w ciągu dnia pracy, a drudzy korzystali z darmowego internetu. Ostatecznie miejsce pracy było poczekalnią w drodze do załatwienia pilnej sprawy na mieście, a nie opłacało się wracać do domu. Tak czy inaczej, rekompensatą za przepracowane nadgodziny była możliwość ich odbioru w postaci dodatkowego dnia wolnego. Budżetowi wprost uwielbiali z tego korzystać.

Szybko się uwinęłam. Wyłączyłam komputer, włożyłam dokumenty do szafy pancernej i chwyciłam torebkę.

Naczelnik nie dał mi jasnego sygnału, że mogę iść do domu, a niestosowne wydawało się pchanie do wyjścia jako pierwszej, więc czekałam na ruch ze strony kolegów. Długo nie musiałam czekać – w mgnieniu oka sekretariat zamienił się w istny dworzec. Drzwiczki przytwierdzonej do ściany niewielkiej skrzyneczki na przemian otwierały się i zamykały, gdy pracownicy odwieszali klucze do swoich pokoi, szczęśliwi, że mogą wreszcie opuścić ten budynek. Poderwałam się z krzesła i wetknęłam głowę do gabinetu szefa.

– Czegoś pan jeszcze potrzebuje? – spytałam uprzejmie.

– Nie, dziękuję. Może pani iść. – Wychylił się zza włączonego nadal ekranu komputera.

Ruszyłam schodami za tłumem i o mały włos nie zostałam stratowana. Wszyscy rzucili się w stronę wyjścia, niczym fala łowców promocji w drodze po dwa w cenie jednego. Dotychczas sądziłam, że zator może się utworzyć w tętnicy albo na autostradzie, ale tutaj składał się z ludzi wymachujących plakietkami i kłócących się o pierwszeństwo przy bramce wyjściowej. Oparłam się o długi parapet, a kiedy zrobiło się luźniej, „odbiłam się”, jak należy i oddałam wejściówkę ochroniarzowi.

– Najgorsze już za mną – pocieszałam się w duchu, tkwiąc na przystanku.

Kiedy wreszcie nadjechał spóźniony autobus, niefortunnie utknęłam pośród innych, wściekłych pasażerów, skazanych tymczasowo na nadmierną bliskość. Kierowca chyba myślał, że zamiast ludzi przewozi ziemniaki, i postanowił zrobić z nas purée, bo nagle z impetem szarpnął wozem. Wymuszona pozycja pasażerów, gorączkowo chwytających się każdego wolnego fragmentu poręczy, przypominała grę w twistera, gdzie każdy z uczestników, mimo niewygody i akrobatycznych figur, musi za wszelką cenę utrzymać równowagę.

Z wysiłkiem łapałam resztki tlenu, unosząc głowę wysoko w górę, i modliłam się, żeby jak najszybciej dojechać te trzynaście przystanków dzielących mnie od domu. Zapomniałam już, jak to jest podróżować komunikacją miejską w skwarze, z obleganego centrum na peryferie Warszawy, na domiar złego w godzinach szczytu.

Cudem udało mi się w końcu dotrzeć do mieszkania, gdzie niedbale rzuciłam torebkę na podłogę i zaległam na kanapie. Nawet nie wiem, w którym momencie moje myśli rozplynęły się w nicość i zapadłam w mocny sen.



– Wstawaj, Karolina, chyba nie chcesz się spóźnić do pracy? – Ktoś mnie budził, potrząsając delikatnie moim ramieniem.

Otworzyłam oczy i ujrzałam stojącą nade mną Natalię. Zerwałam się na równe nogi.

– Spałam na kanapie przez całą noc? – Z bijącym sercem przypominałam sobie, że zasnęłam w ubraniu i z niezmytym makijażem.

– Spokojnie, żartowałam. Jest dopiero dziewiętnasta.

Natka, jak przystało na zodiakalnego Wodnika z ascendentem w Skorpionie, specjalizowała się w wyrafinowanych żartach.

– Mało zawału nie dostałam... – obruszyłam się.

– Wybacz, czasem po prostu nie umiem się powstrzymać. Ale mam coś, co poprawi ci humor na przeprosiny. – Z uśmiechem wyjęła z reklamówki dwa soczyste kebaby, szczelnie zawinięte w folię aluminiową.

– Mniam! Więc dzisiaj wieczór arabski? – Oblizałam się na samą myśl.

– Do tego miętowo-cynamonowa herbatka z cukrem. Prezent od Mohameda. Pewnie chce nas zachęcić, żebyśmy częściej do niego zaglądały.

– Jego żarcie i tak broni się samo. Mamy szczęście, że mieszkamy w pobliżu najlepszego kebabu w mieście. – Z lubością odwijalam swoją porcję.

– A teraz opowiadaj, jak było w nowej pracy.

Nie wiedziałam jeszcze, co myśleć. Podobno pierwsze wrażenie jest najważniejsze, a ja miałam mieszane uczucia.

– Z pozoru wygląda niegroźnie, raczej dam sobie radę. Ale ludzie są specyficzni.

– Mianowicie?

– Chyba funkcjonują wedle ściśle określonych zasad i jeżeli ktoś zechce je złamać, traktują go jak groźnego wirusa. Mój wydział przypomina państwo w państwie. Raczej nie znajdę z nimi wspólnego języka.

– Bo są inni? Nie nastawiaj się negatywnie, zobaczysz, że będzie świetnie!

– Może masz rację. Pewnie reaguję tak dlatego, że jestem nowa, że wszystko jest nowe i że nigdy nie pracowałam w podobnym miejscu.

– Karola, dam ci najprostszą radę na świecie. Nie zmieniaj się. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio Natalia mówiła z taką powagą.

– Dziękuję, chociaż będę musiała dostosować się do wielu nowych rzeczy, na pewno się nie zmienię. A teraz ty powiedz, jak było na uczelni? Wybrałaś już promotora?

– Cały czas się zastanawiam. Poprzedniemu nie podobał się temat mojej pracy magisterskiej, a jeśli znajdę innego wykładowcę, każe mi zaczynać wszystko od początku.

– Znajdź kogoś, kto pomoże ci rozwinąć to, co już napisałaś.

– Masz rację. Jutro się tym zajmę. A teraz obejrzyjmy sobie jakiś film dla relaksu.

Natka odłożyła talerz z resztkami kremowego sosu i zwiniętą w kulkę srebrną folią po kebabie, i podeszła do regału, którego półki ugięły się pod ciężarem książek i pudełek DVD. Zatrzymała się przy jednym z tytułów.

– *Być jak John Malkovich?* – zaproponowała, trzymając w ręku platynowy krążek.

– Myślałam o komedii – powiedziałam.

– No, to jest tylko jedno rozwiązanie! – oznajmiła z entuzjazmem.

– Jakie? – spytałam.

– *This wheel's on fire, rolling down the road. Best notify my next of kin.*

Refren intro naszego ulubionego serialu, wystarczył do podjęcia decyzji.

– *This wheel shall explode!* – dośpiewaliśmy fragment piosenki Julie Driscoll i Natalia włączyła jeden z pięciu sezonów *Absolutnie fantastycznych*.

– Ach, to jest życie... Kiedyś też będziemy miały. – Natka rozmarzyła się, śledząc perypetie dwóch głównych bohaterek, z którymi ona i ja trochę się utożsamiałyśmy.

– W zasadzie to jedynie kwestia czasu i pieniędzy. Zobaczysz, za jakiś czas sporo uzbieramy i pojedziemy do Nowego Jorku, Paryża i Marrakeszu – dodałam, wpatrując się w ekran telewizora, usiłując choć na chwilę wyrzucić z pamięci wspomnienia minionego dnia, ale moje natrętne myśli jak na złość krążyły po urzędniczych korytarzach.

Minęły zaledwie trzy dni, a już zdążyłam przywyknąć do niektórych sytuacji, z którymi do tej pory stykałam się w typowych warszawskich urzędach, niewiele różniących się od siebie, a już na pewno nie poziomem absurdu w absurdzie.

Ustawa zmieniająca ustawę, rozporządzenie zmieniające rozporządzenie i tak w koło Macieju. W jakich realiach przyszło mi żyć? Biurokraci i gryzipiórki rozpracowują stertę notorycznie zmieniających się przepisów, które zostały zmienione przez innych biurokratów.

Wszystkie pisma, zarówno przychodzące, jak i wychodzące, miałam rejestrować w dzienniku korespondencyjnym, przy czym te, które szły na zewnątrz, musiałam zakopertować, a następnie zanieść na dół do kancelarii.

Tak z grubsza przedstawiał się oficjalny zakres moich obowiązków. Do nieoficjalnego należało jeszcze odpowiadanie na masę idiotycznych pytań, pilnowanie, by drzwi do sekretariatu były zawsze otwarte, oraz wypluwanie kęsów kanapki w momencie, gdy dzwonił telefon. Przetrzymanie bowiem dzwoniącego na linii dłużej niż dziesięć sekund było niedopuszczalne.

– Środa, wpół do weekendu! – Wypowiedziane donośnie słowa pana Staśka, dotarły z korytarza również do sekretariatu. – Jeszcze dwa dni pracy i będziemy mieli dwa dni wolnego.

– To niesprawiedliwe, że człowiek musi pracować przez pięć dni w tygodniu, a w podziękę za ciężką robotę dostaje tylko dwa – żalił się Marek.

W roztargnieniu zapomniał podpisać się na liście obecności, która jak co dzień leżała na konsoli u brzegu biurka i zwiększała optycznie jego wysokość.

– Czekaj! Jeszcze parafka. – Z uśmiechem wskazałam miejsce przy jego nazwisku.

– O, rzeczywiście, lista. Bez sensu to podpisywanie. – Leniwie machnął parafkę i poszedł do siebie.

Coś, co dla ciebie jest najważniejsze, dla innych ważne być nie musi, pomyślałam, że to kolejna reguła, o której warto pamiętać.

– Cześć! – powiedziała Sonia, wyjmując z metalowej skrzyneczki klucz do pokoju.

Tym razem była ubrana w czarny golf, a fioletowe akcenty w postaci długiego naszyjnika i bransoletki podkreślały jej upodobanie do tego koloru.

– Cześć – odpowiedziałam z uśmiechem.

Wkrótce zjawiała się pani Mela.

– Karolinko, wyłóż, proszę, kilka ciasteczek dla pana naczelnika. Z odrobiną finezji, bo zaraz odwiedzi go naczelnik Kwiatkowski z sąsiedniego wydziału.

Otworzyłam opakowanie pełne rozmaitych słodkości i wyłożyłam na porcelanowy talerz zdobiony granatowo-złotym deseniem.

– Gotowe. Równo i ładnie. Żeby było symetrycznie, jedno podkradłam – zażartowałam, wgryzając się w maślane ciastko z dziurką w środku.

Pani Mela uraczyła mnie kontrolowanym śmiechem i zaczęła poprawiać przypiętą do barwnej koszuli broszkę, która nieco się przekrzywiła. Spośród kwiecistych wzorów, jakie miała na sobie, wyłonił się błyszczący element w kształcie biedronki.

Świeżo upieczona kierowniczka wydziału teleinformatycznego i zarazem ekspert od spraw kadrowych była mniej więcej po pięćdziesiątce i miała długie faliste włosy o kasztanowym odcieniu, choć u nasady przebijał się naturalny pszeniczny kolor. Jej sposób chodzenia i tajemnicza aura, jaką wokół siebie roztaczała, oddziaływały na innych. Było to coś w rodzaju oczarowania, ale również niewytłumaczalnego lęku. Być może dlatego, że pani Melania miała słabość do olejków eterycznych, których woń każdego dnia roznosiła się po całym pokoju.

– Świetnie sobie radzisz – pochwaliła i opuściła sekretariat, mijając się z naczelnikiem, który zdążył wrócić od dyrektora.

– Pani Karolino, mam dla pani zadanie. Trzeba ułożyć te dokumenty chronologicznie, począwszy od najstarszego. Ponieważ niektóre opatrzone są identyczną datą, proszę sugerować się numerami na pieczętce. – Rzucił stos kartek na biurko.

– Oczywiście, panie naczelniku. – Stałam na baczność.

Pół godziny później niczym trąba powietrzna wparował do sekretariatu starszy mężczyzna, naczelnik sąsiedniego wydziału we własnej osobie.

– Dzieńdoberek! – huknął niczym Święty Mikołaj wlatujący przez komin.

– Witaj, Franiu! Jak było na wakacjach? Zapraszam, opowiadaj. Czego się napijesz? Pani Karolino, poprosimy dwie kawy! – zawołał rozochocony szef.

Wtedy jak na złość sekretariat zaczął przekształcać się w punkt dostawczo-odbiorczy, a ja byłam jedynym przekąźnikiem.

– Pani Karolino, proszę odłożyć dla mnie potwierdzenie faksu – poprosił pan Stasiek, kończąc wysyłanie zamówień.

– Dobrze – odpowiedziałam, nie odrywając wzroku od sterty papierzysk.

Przez niego musiałam zacząć od początku.

– Pani Karolino, gdyby ktoś mnie szukał, jestem na obiedzie – poprosił głos należący do głowy wetkniętej między drzwi a framugę... nie zdążyłam zarejestrować, do kogo należała.

Przytaknęłam dla świętego spokoju, dalej wodząc wzrokiem po liczbach, które stopniowo zaczynały przeistaczać się w gigantyczną szarą plamę.

– Pani Karolino, co z naszą kawą? – Nagle w tle usłyszałam głos zniecierpliwionego naczelnika.

Matko! Z tego wszystkiego kompletnie zapomniałam! Miałam nastawić czajnik, żeby przygotować dwie kawy dla szefa i jego kompana.

Rzuciłam więc wszystko, chwyciłam pusty czajnik i pobiegłam do łazienki, aby go napełnić. Wiem, że powinnam była to zrobić w pokoju socjalnym, ale chłodna kalkulacja podpowiedziała mi, że droga w prawo jest krótsza niż w lewo.

Wróciłam najszybciej, jak się dało, i odczułam ogromną ulgę, gdy woda zaczęła się w końcu gotować, tworząc przy tym masę chlupoczących bąbelków. Za kilka minut zrobię kawę, teraz mogę wrócić do poprzedniego zajęcia. Kiedy odwróciłam się w stronę biurka, zobaczyłam Sonię, która siedziała na krześle i beztrąsko gwizdała pod nosem,

czytając jakiś dokument.

– Soniu, gratuluję awansu. Jeszcze do południa sądziłam, że mam tę posadę – zażartowałam, dając przy okazji do zrozumienia, że powinna zwolnić moje miejsce.

– Uwierz mi, za te pieniądze, które obecnie dostaję, spokojnie mogłabym tu siedzieć za ciebie – odparła lekceważąco.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Zabrzmiało to tak, jakbym przez całe dni zbijała baki. Za kogo ona się uważała? W dodatku posługiwała się dziennikiem korespondencyjnym, z którego na co dzień korzystałam. Czy ja przychodzę do cudzego pokoju, rozsiadam się niczym królowa na tronie i grzebię w cudzych rzeczach?

– Słuchaj, rozumiem, że praca w sekretariacie wiąże się z tym, że człowiek nie ma własnej przestrzeni osobistej, ale mimo wszystko chciałabym już usiąść – przemówiłam do niej łagodnie.

– O co się tak pieklisz?! Wielka mi rzecz... – Zbagatelizowała całą sprawę, a przy tym zrobiła ze mnie furiatkę.

Wtedy napięcie sięgnęło zenitu. Przygryzłam wargi z wściekłości i pomyślałam: To moje podwórko i moje zabawki. Powstrzymałam jednak wybuch, ponieważ zależało mi na utrzymaniu dobrych stosunków ze współpracownikami.

– Denerwuję się, bo mam tu istny sajgon i nie wiem, od czego zacząć – skontrolowałam.

– Dobra, już sobie idę! – wstała ostentacyjnie, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Sonia była pierwszą osobą, z którą się ścięłam, moim królikiem doświadczalnym, na którym miałam okazję przetestować swoją słabo rozwiniętą asertywność.

Chociaż pewnych rzeczy nie zamierzałam akceptować, szkoda mi było czasu na słowne potyczki, ponieważ szef niecierpliwie czekał, aż jego sekretarka przyrządzi kawę, a następnie wkroczy z tacą i przyklejonym do twarzy uśmiechem telewizyjnej spikerki.

– Ta kawa trąci malizną – marudził gość, chcąc najwyraźniej zabłysnąć, ale słabo mu wyszła ta gra słów.

– Sądzę, panie naczelniku, że to nie wina aromatu, lecz wielkości filiżanki – wyłożyłam kawę na ławę.

– W rzeczy samej! Proszę namówić szefa, żeby podpisał pismo w sprawie zamówienia serwisu kawowego. Jak można pić ze zdekompletowanych naczyń? – zaśmiał się.

Obaj wybuchnęli śmiechem, a ja nie miałam pojęcia, czy mówią poważnie, czy żartują. Zauważyłam za to, że ciastka, które wcześniej zostawiłam na stoliku, zdążyły zniknąć.

– Nareszcie piątek! – z radością obwieściłam Markowi i panu Staškowi wspaniałą nowinę.

– Piątek, piątek, weekendu początek, lub, jak kto woli, mała sobota – zakomunikował ten drugi melodyjnym głosem.

Nasz wesóły, wręcz szampański nastrój przerwała pani Melania, która jak zawsze weszła do sekretariatu z miną więziennej strażniczki. Tym razem wśród łąki będącej nadrukiem górnej części jej garderoby wyłonił się przypięty do bluzki motyl ze skrzydłami z cyrkonii.

– Karolinko, w południe przyjdzie do naczelnika gość z firmy zewnętrznej. Pamiętaj, żeby przygotować wodę w czajniku. Sonia wspomniała, że miałaś wczoraj kłopoty organizacyjne.

Zamurowało mnie.

– Ach tak? – Zrobiłam wielkie oczy.

Miałam żal do Soni, że naskarżyła. Nie chciałam jednak psuć sobie na starcie relacji zarówno z nią, jak i z panią Melą, trzymałam więc język za zębami.

– To ważny kontrahent, z którym wkrótce podpiszemy umowę handlową, postaraj się dobrze wypaść. Pamiętaj, że sekretarka jest wizytówką zarówno szefa, jak i całego wydziału.

Czułam coraz większą presję. Ale przecież doświadczenie zdobywa się stopniowo, po prostu muszę być cierpliwa.

Tymczasem moja skrzynka pękała w szwach od pism od Kingi, zabrałam się więc za drukowanie, a potem rejestrowałam każde z osobna.

W końcu na wszystkich umieściłam pieczętkę z odpowiednim numerem i powkładałam je do specjalnej teczki z zakładkami, którą pod koniec dnia wręczałam naczelnikowi. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dwunasta, a więc oczekiwany przez pana Pawła gość był już zapewne w drodze. Po wpadce ze Świętym Mikołajem i jego malizną wizyta osoby z zewnątrz, zapewne bardziej kulturalnej i obytej niż budżetowi, wydawała się drobnostką. W związku z tym przyznałam sobie chwilę odpoczynku i odpaliłam Google. Postanowiłam nawet złamać jedną z zasad i zamknąć drzwi do pokoju, które wedle reguły powinny być zawsze otwarte.

Czytałam właśnie jakiś artykuł znaleziony w sieci, gdy kątem oka zauważyłam poruszającą się kłamkę. Krótco trwał mój odpoczynek, gdyż nagle stanął przede mną jegomość, który niedawno omal mnie nie przewrócił. Dopiero teraz miałam okazję mu się przyjrzeć. Był dość wysoki i miał ciemne włosy, przystrzyżone niemal z geometryczną precyzją, a także klasyczny czarny garnitur z białą koszulą, bez krawata.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę – odezwał się.

– To pan? – Na jego widok nieco zbladłam.

– Aha, zatem dziś zwracamy się do siebie oficjalnie? Z tego, co pamiętam,

nazwałaś mnie, hmm... niech no pomyślę... Już wiem! Mizoginem!

Zasady hierarchii nakazywały przeprosić za moje słownictwo, lecz urażona duma i spory siniak na ramieniu, stanowczo mi na to nie pozwalały. Domyśliłam się, że jest umówiony na spotkanie z moim przełożonym, postanowiłam nie dać się sprowokować i przejść nad tamtym incydentem do porządku dziennego.

– Rozumiem, że przyszedł pan na spotkanie z naczelnikiem? Zapowiem pana. – Staralam się zachować jasność umysłu, jak przystało na profesjonalną sekretarkę, i połączyłam się z szefem.

– Tak, pani Karolino? – W słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Panie naczelniku, ma pan gościa – oznajmiłam.

– Niech wejdzie.

Na szczęście nigdy nie pytał o to, kto do niego przychodzi (nawet bez zapowiedzi), nie musiałam się więc martwić, że nie znam nazwiska swojego dręczyciela.

– Zapraszam – powiedziałam, przybierając maskę lodowatej żoły, jakbym nagle awansowała na stanowisko asystentki prezesa dużej korporacji.

W odpowiedzi otrzymałam kpiący uśmiech w zestawie z przenikliwym spojrzeniem. Nie padło już ani jedno słowo, mężczyzna po prostu wszedł do gabinetu naczelnika i zamknął za sobą drzwi.

No ładnie, teraz to mnie na pewno wyleją... W wyobraźni ujrzałam siebie pakującą rzeczy do tekturowego pudełka, jak to robią w zagranicznych filmach, i rozliczając się z pachnących wciąż farbą drukarską dzienników korespondencyjnych, które dopiero co zdążyłam pozakładać. Napięcie rozładował Mateusz, który skorzystał z nieobecności wścibskich kolegów i przyszedł wydrukować materiały, jak się okazało, potrzebne do nauki języka chińskiego.

– Coś taka ponura? Uśmiechnij się! – Starł się przelać na mnie odrobinę pozytywnej energii, której miał zawsze pod dostatkiem.

– Chyba jestem na cenzurowanym... – wyznałam, czując, że gorąca fala uderza w mój żołądek, a w głowie narasta nieprzyjemny szum.

– Co się stało? – zmartwił się kolega. – Jakaś merytoryczna wpadka?

– Chciałabym... Chodzi o to, że nie umiem być usłużna...

Mateusz spojrzał w stronę okna i przybrał minę marzyciela.

– „Służąc swemu panu, postępuj w całkowitej zgodzie z obyczajami, choćby inni mieli cię za nikczemnego pochlebcę” – zacytował fragment *Dialogów* Konfucjusza. – Tak właśnie postępują ludzie w tej instytucji.

Nagle szarpnięcie drzwiami, zza których wyłonił się naczelnik, sprawiło, że podskoczyłam.

– Dwie kawy, pani Karolino – zakomunikował, co chyba powinnam odczytać jako prośbę, i zaraz czmychnął do swojego azylu.

Włączyłam czajnik i zakończeniem łyżki przebiłam aluminiowe wieczko nałożone szczelnie na słoik „rozpuszczalnej”. Gdy woda zaczęła głośno buzować, wypełniłam wrzątkiem obie filiżanki, chwyciłam je w obie dłonie i postanowiłam dostarczyć zamówienie. Zapomniałam jednak, że drzwi gabinetu naczelnika są zamknięte i stanęłam w pół drogi, lecz w tej samej chwili Mateusz, który na szczęście jeszcze nie wyszedł

z sekretariatu, a był mężczyzną uczynnym, energicznie złapał za klamkę. Naczelnik i jego towarzysz spodziewali się raczej wejścia w stylu *Perfekcyjnej pani domu*, ale nie stanęłam na wysokości zadania i spodeczki zagrzechotały o blat.

– Czyżby miała pani coś na sumieniu? Trzęsą się pani ręce. – Gość, który wyczuł moje zdenerwowanie, najwyraźniej usiłował błysnąć dowcipem.

Od razu zauważyłam, że w obecności mojego szefa zachowuje wyraźny dystans, traktując mnie protekcjonalnie. W duchu poczułam się jak bezbronna kelnerka ukradkiem szczypana w tylną część ciała przez podchmielonego klienta. Oboje dostrzeżliśmy, że na stole brakuje cukru.

– Przepraszam na moment. – Skwapliwie wycofałam się z linii ognia, by po chwili wrócić do gabinetu z cukierniczką, którą postawiłam na biurku.

– Proszę – powiedziałałam najciszej, jak się dało, i zostawiłam ich samych.

Przy drukarce nadal tkwił Mateusz, który bez najmniejszych wyrzutów sumienia drukował kolejne strony pełne ideogramów.

– Powiedz mi, co ktoś taki jak ty robi w tym miejscu? – zapytałam.

– Szczerze? Pracuję tu kilka lat, ale niedługo odchodzę. Jestem buddystą i planuję wyjazd do Chin, żeby zgłębiać medycynę naturalną – wyznał.

– Super. Kto by pomyślał, że w tej instytucji pracują osoby pasjonujące się taką tematyką. Mnie też to trochę interesuje, głównie medytacja.

– Więc chyba znajdziemy wspólny język. Mogę podrzucić ci jakieś książki – zaproponował.

– Chętnie – ożywiłam się.

Dialog przerwało skrzypienie drzwi, zza których wyłonił się mój prześladowca. Wpatrywałam się w niego w napięciu, ale tylko przeszył mnie tajemniczym wzrokiem i posłał mi zagadkowy uśmiech, po czym wyszedł. A ja uzmysłowiłam sobie, że wciąż nie wiem, jak się nazywa ten buńczuczny jegomość.

Po kilku minutach przy moim biurku stanął naczelnik.

– Pani Karolino, za kilka dni zaczyna się remont naszego piętra. Potrwa miesiąc i na ten czas będziemy musieli się przeprowadzić. Jest piątek, więc od poniedziałku trzeba zorganizować przeniesienie naszych linii telefonicznych do pokoi zastępczych. W razie problemów, proszę zwrócić się do Melanii – powiedział i pobiegł na spotkanie z dyrektorem.

Chyba jednak nie wyszło na jaw, że kilka dni temu obraziłam jego gościa. Tym bardziej nie zamierzałam drażnić tematu. Postanowiłam przy najbliższej okazji podziękować jegomościowi i zapewnić, że się pomyliłam i określenie „mizogin” do niego nie pasuje.



W nowej pracy upłynął kolejny tydzień. Na weekend czekałam z utęsknieniem. Ale jak zawsze najwięcej spraw spływało do mnie przed piętnastą.

– Pani Karolino, proszę rozesłać to pismo do wszystkich wydziałów. Co prawda odpowiedzi i tak dostanę w przyszłym tygodniu, ale od nas musi ono wyjść jeszcze z piątkową datą – polecił pan Paweł, który tego dnia wychodził punktualnie, aby skorzystać z mieszczącej się na parterze siłowni.

– Oczywiście, panie naczelniku. – Jak przystało na solidnego pracownika, bez zwłoki zabrałam się do wklepywania numerów w faks.

W sumie przyjemnie było widzieć siebie w roli profesjonalnej sekretarki, ubranej w dopasowany kostium, z odpowiednio podkreślonymi oczami i w butach na obcasach. Osoby kompetentnej, która zarządza kalendarzem spotkań i która reprezentuje szefa oraz podległych mu pracowników. Z drugiej strony martwiło mnie nieco protekcyjne traktowanie ze strony pani Meli, która za wszelką cenę starała się mi pomagać. W gruncie rzeczy wiedziałam jednak, że często bym sobie bez niej nie poradziła i jej rady przyjmowałam z pokorą.

Zastanawiałam się też, czy mam zaskarbiać sobie sympatię otoczenia przez życzliwe spełnianie próśb, czy może wypracować sobie autorytet kosztem ewentualnych przyjaźni. Liczyłam na to, że rozwiązanie w końcu samo się nasunie.

Starałam się również zapamiętać radę Natalii, lecz póki co, emocje górowały nad zdrowym dystansem. Zwłaszcza że w nadchodzący poniedziałek miałam poznać resztę grupy, której urlop wypoczynkowy właśnie dobiegał końca.

Wyłączając komputer, odruchowo spojrzałam na kartkę z listą pracowników wydziału.

– Barbara, Irmina, Filip – dla przypomnienia odczytałam imiona.

Spojrzałam na zegar ścienny i okazało się, że dochodzi siedemnasta. Zgasiałam ekran monitora, w pośpiechu podlałam kwiatki na parapecie i zamknęłam drzwi od sekretariatu, rozkoszując się perspektywą dwóch wolnych dni i spania do późna.

# EROTYKA I INFORMATYKA

Wbrew powszechnemu przekonaniu, że poniedziałek jest najbardziej znienawidzonym dniem tygodnia, postanowiłam zarazić innych dobrym nastrojem.

Co prawda, odczuwałam lekki stres na myśl o poznaniu kolejnych osób z wydziału, wiedziałam jednak, że dzięki mojemu pięciodniowemu, świeżo zdobytemu doświadczeniu, łatwiej będzie mi zmierzyć się z kolejnymi wyzwaniem.

Miałam poznać Irminę – fakturzystkę, Barbarę – specjalistkę od spraw teleinformatycznych, oraz Filipa – kierownika wydziału.

Radośnie wkroczyłam w mury budżetówki i z miejsca pomaszero wałam schodami w górę, przechodząc obok grupki cierpliwie czekającej na windę.

– Cześć! – zawołałam przez uchylone drzwi w stronę Mateusza.

Nie zareagował, bo w słuchawkach wetkniętych w uszy zapewne uczył się systemów tonalnych, wzruszyłam więc ramionami i skierowałam się w stronę sekretariatu.

Szef na mój widok poderwał się z krzesła jak oparzony i ruszył w moją stronę niczym byk na corridzie. Na szczęście nie miałam na sobie nic czerwonego, więc w ostatniej sekundzie naczelnik wyhamował.

– Pani Karolino, pamięta pani o przeniesieniu linii telefonicznych? Melania wyjaśni pani, jakie kroki należy podjąć – oznajmił, nim zdążyłam położyć torbę na parapecie. Nie miałam własnej szafki na rzeczy osobiste i jedyne rozsądne miejsce, jakie znalazłam, znajdowało się tuż za firanką.

– Dobrze, panie naczelniku – przytaknęłam, choć z uwagi na wczesną porę informacja dotarła do mnie z lekkim opóźnieniem.

Znów ta pani Melania... Z jednej strony protekcyjna traktowanie, przed którym zaciekle się broniłam, lecz z drugiej strony kojąca gwarancja, że jest w pobliżu ktoś, kto zawsze służy mi pomocą... Udałam się więc do pokoju pani Meli po obiecane wskazówki. Dopiero teraz miałam okazję przyjrzeć się pomieszczeniu, w którym pracowała z Sonią.

Przestrzenny pokój z dwoma biurkami ustawionymi prostopadle do siebie pomalowany był na typowy dla budżetówki musztardowy odcień. Nadszarpnięte zębem czasu ściany czekały, aż ekipa remontowa, mająca pojawić się lada dzień, podreperuje ich wygląd, zdrapie zeschniętą farbę i nada pomieszczeniu bardziej żywy wygląd. W oknach wisiały śnieżnobiałe firanki obszyte dekoracyjnym wzorem w kształcie karo. Na biurku Soni stało kilka ułożonych piętrowo kuwet z dokumentami dotyczącymi spraw finansowych, a także obrotowy pojemnik na długopisy i biała plastikowa ramka ze zdjęciem przedstawiającym dziewczynkę oraz chłopca w wieku szkolnym.

Biurko pani Meli było bliźniaczo podobne, a tuż obok kalkulatora stał mały drewniany aniołek z cynowymi skrzydłami.

Pokój na pierwszy rzut oka przypominał jeden z wielu na piętrze, lecz uświadomiłam sobie, jak infantylne i cukierkowe w istocie było to wnętrze.

Zawieszony na ścianie kalendarz z letnim pejzażem, który wraz z odchodzącymi tygodniami miał wkrótce ustąpić miejsca jesiennym barwom, bladuróżowy talerzyk, a na nim trzy mordoklejki, każda zawinięta w osobny papierek, dwa małe porcelanowe słonie z charakterystycznie uniesionymi w górę trąbami symbolizującymi pomyślność, były najbardziej widocznymi elementami wystroju, mającego zapewnić pracownikom administracji publicznej namiastkę domowego ogniska.

Po lewej stronie stał duży kredens – najpewniej z odzysku, gdyż rodzajem drewna różnił się od pozostałych mebli – umieszczono na nim ogólnodostępną kuchenkę mikrofalową. Naprzeciwko znajdował się okrągły stolik przykryty białą koronkową serwetą.

Mogłam się domyślić, że Sonia i pani Mela były organizatorkami wszelkich imprez okolicznościowych i spotkań integracyjnych. Oczami wyobraźni wyprzedziłam bieg naszej wspólnej historii i ujrzałam kolorowe ozdoby choinkowe zawieszzone na drzewku, które na pewno dekorowano zawsze z tygodniowym wyprzedzeniem, a także kosz pełen ręcznie malowanych pisanek, gdy zbliżała się Wielkanoc. Czułam, że należy być w dobrej komitywie z panią Melą i Sonią i w odpowiednim momencie zaoferować im pomoc przy tego rodzaju przedsięwzięciach. Wykoncypowałam sobie, że to właśnie one są przepustką do zaaklimatyzowania się w nowym środowisku i wyrobienia sobie pozycji w otoczeniu, a być może nawet kluczem do dobrych relacji z przełożonym, gdzie elementem finalnym tego całego poplecznictwa miało być podpisanie ze mną kolejnej umowy.

– Pani Melu... – zawahałam się, lecz szybko dokończyłam zdanie: – podobno mogę się do pani zwrócić po radę w sprawie remontu.

Pani Melania stuknęła w komputerowe klawisze i na moment nie oderwała wzroku od monitora. Zorientowałam się, że musiała przejść kurs bezwzrokowego pisania, gdyż jej chronione przez okulary oczy bacznie śledziły przesuwające się na ekranie literki, opuszki palców płynnie zaś prześlizgiwały się z jednego klawisza na drugi.

– Karolinko, zaraz skończę i porozmawiamy – odparła.

– To świetnie – odpowiedziałam.

Rozważna kalkulacja podpowiadała mi, by zostać w pokoju i cierpliwie poczekać, aż pani Melania skończy zadanie, którym była pochłonięta bez reszty. Nie tylko ze względu na wrodzone poczucie obowiązku, ale również dlatego, że realizowanie spraw bezpośrednio zleczanych przez pana Pawła dawało jej niewyobrażalną satysfakcję. Zupełnie jakby myślała o sobie, że jest gejszą pośród niewolnic oddających budżetówce najlepsze lata swojego życia.

Stałam jak słup soli z wetkniętymi pod pachy rękami.

Stukanie w klawiaturę ucichło mniej więcej po pięciu minutach. Pani Mela wyjęła z podajnika drukarki kilka jeszcze ciepłych stron, a następnie włożyła dokumenty do papierowej teczki, którą mocno zawiązała.

– Dobrze, Karolinko, powiem ci, co należy zrobić – oznajmiła, siedząc na obrotowym krześle, które teraz znajdowało się dokładnie naprzeciw mnie. – Spisz, proszę, numery inwentarzowe ze wszystkich aparatów telefonicznych, jakie mamy w wydziale. Tutaj masz numer do helpdesku, z którym trzeba się skontaktować, żeby zamówić monterów.

Do pokoju weszła spóźniona do pracy Sonia. Beznamiętnie wkroczyła do środka i w ślimaczym tempie zaczęła wyjmować rzeczy z torebki i kłaść je na biurku.

– Cześć, Melu. Przepraszam, musiałam zawieźć dzieciaki do przedszkola, bo Irek w tym tygodniu znowu ma drugą zmianę. Straszne dziś korki – tłumaczyła się, a pani Melania uśmiechnęła się do niej z aprobatą.

Zaraz za nią zjawiała się osoba, której twarzy nie znałam. W przeciwieństwie do Soni wpadła do środka niczym trąba powietrzna.

– Siema, stare raszple! – zawołała, kierując się w stronę pani Meli i Soni, mnie kompletnie zignorowała.

– O, cześć, Basiu! – odpowiedziała Sonia, która natychmiast poderwała się z krzesła.

Obydwie rzuciły się sobie na szyję, jak najlepsze przyjaciółki z dzieciństwa, które nie widziały się od matury.

– Murzynka z ciebie! – komplementowała ją Sonia.

– W końcu byłam dwa tygodnie nad morzem. Coś mi się od życia należy, nie? – chwaliła się Basia, żywo gestykułując.

Przypominała kapiącą złotem właścicielkę włoskiego butiku, a swój szablonowy styl podkreślała dodatkowo mocną opalenizną. Miała gęste popielate włosy, które wyglądały jak efekt żartu złośliwego fryzjera. Jej wydatne wargi pokrywał perłowy błyszczący, w okolicy powiek zaś, na których widniała naniesiona błękitnym eyelinerem nierówna kreska, dostrzegłam kurze łapki.

Śmiały się jedna przez drugą, wymieniając spojrzenia z panią Melą, która trzymała emocje na wodzy, w przeciwieństwie do kipiącej temperamentem Barbary. Gdy w trakcie tej ożywionej rozmowy przyglądałam się nowej koleżance, Barbara nagle odwróciła się w moją stronę, jakby przypomniawszy sobie, że oprócz niej są na tym świecie inni ludzie.

– W ogóle to cześć, jestem Basia. – Ochoczo wysunęła rękę.

– Dzień dobry, Karolina. – Nieśmiało podałam swoją.

Uznałam, że kurtuazji stało się zadość i mogę opuścić pokój pani Meli i Soni.

Wróciłam do sekretariatu i kiedy usiadłam przy komputerze, zza zamkniętych drzwi gabinetu naczelnika dotarły do mnie odgłosy ostrej dyskusji. Nie zwracając na to uwagi, zabrałam się do spraw związanych z remontem. Naprędce stworzyłam własną listę pracowników wydziału, z imionami i nazwiskami, numerami telefonów oraz krótką informacją dotyczącą tego, kto z kim pracuje i w którym pokoju. Sekretariat mieścił się w pokoju numer trzysta czterdzieści jeden, naczelnik zaś urzędował pod czterdziestym drugim, lecz aby wejść do jego pokoju, należało najpierw przejść przez mój. Kolejno zanotowałam: „Pani Mela i Sonia: pokój numer trzysta trzydzieści pięć, Barbara, Marek i Filip: numer trzysta trzydzieści sześć, Irmina i Stasiak: numer trzysta trzydzieści dziewięć, Mateusz: numer trzysta czterdzieści”.

Nagle w drzwiach pokoju stanęła nieznajoma kobieta.

– Naczelniczku kochany! – krzyknęła.

– Dzień dobry – uśmiechnęłam się do niej.

– Dzień dobry! Mam na imię Irmina. A ty jesteś naszą nową sekretarką? – spytała, patrząc na mnie dużymi nieumalowanymi oczami.

Była w średnim wieku, znacznie wyższa ode mnie i do tego wyjątkowo chuda. Zwinięte w niedbały kok włosy (sprawiała wrażenie osoby, która mogłaby o sobie powiedzieć, że ma na głowie artystyczny nieład) pokryte były pasemkami w różnych odcieniach.

– Tak, nazywam się Karolina – powiedziałam.

– Naczelnik u siebie? Ano przecież, słyszę, że jest – zorientowała się w sytuacji.

– Zastanawiam się, z kim tak głośno dyskutuje, bo właściwie słyszę głównie jego.

– No bo ty go jeszcze nie znasz. To jest dyskutant! – Roześmiała się, po czym bez ceregieli wparowała do gabinetu.

– A co to za dyskusje? Nikt się ze mną nie przywita? – spytała podniesionym głosem.

– Irmina, ty jak zawsze masz dobre wejście – skwitował przełożony.

Kątem oka dostrzegłam, że oprócz Barbary i naczelnika w pokoju był również Mateusz.

– No dobrze, panie Mateuszu, to na razie wszystko, ale proszę pamiętać, że tych kilka razy, kiedy kazałem panu zostać po godzinach, nie oznaczają, że ma pan zgodę na spóźnianie się do pracy – dodał surowo.

– W porządku, panie naczelniku. Zrozumiałem – odpowiedział pokornie mój kolega.

Gdy Mateusz wyszedł, Irmina rozsiadła się w fotelu u szefa i zasypała go wspomnieniami z wycieczki do Egiptu. W sumie ciekawy był jedynie epizod związany z przejażdżką na nieokiełznanym wielbłądzie. Zuchwała Polka, usadowiona w siodle przez liczącego na łatwy zarobek Egipcjanina, odmówiła zapłaty dziesięciu dolarów w zamian za pstryknięcie fotografii (nawiasem mówiąc, z jej własnego aparatu). Wówczas właściciel klepnął zwierzę w zad, a ono popędziło przed siebie z oniemiałą Irminą na grzbiecie.

– Lecę do Staśka, na pewno się za mną stęsknił. Przy okazji, fajną macie szparkę! – wskazała na mnie po wyjściu z gabinetu.

Pan Paweł docenił żart, a ja dowiedziałam się, że sekretarka jest pojęciem pejoratywnym.

Irmina zdążyła mnie ochrzcić na samym wstępie. Teraz rozumiem, dlaczego przyłgnał do niej przydomek „szalona”, jak powiedział mi kiedyś Mateusz. Z tego wszystkiego zapomniałam zatelefonować do monterów i zajęłam się kompletnie czym innym.

Siedziałam i układałam leżące w kartonowym pudełeczku pieczątki w kolejności od najczęściej do najrzadziej używanej, kiedy do pokoju wszedł pracownik, którego nie miałam jeszcze okazji poznać. W czarnej koszuli starannie wpuszczonej w ciemne dopasowane spodnie i dobranym kolorystycznie paskiem.

– Dzień dobry. Filip Dobrzyński – powiedział, uniósł w górę moją dłoń i pocałował koniuszki palców.

Zatkało mnie. Siedziałam, gapiłam się w jego magnetyczne chabrowe oczy i, niczym dziecko zagubione we mgle, czekałam na rozwój wydarzeń. Nie spodziewałam się aż tak szarmanckiego powitania.

– Dzień dobry, Karolina Lubczyk – odpowiedziałam głosem drżącym jak moja ręka.

Odniosłam dziwne wrażenie, że z tym człowiekiem nie pójdzie tak łatwo jak z pozostałymi. Spodziewałam się natychmiastowego przełamania lodów i przejścia na ty, choć może nie w tak bezceremonialny sposób jak z Bašką. Tymczasem Filip z góry dał do zrozumienia, że nie życzy sobie zwracania się do niego po imieniu. Czułam, że już przy pierwszym naszym spotkaniu był panem sytuacji, to on nadał ton naszym kontaktom i zablokował mi możliwość wykonania jakiegokolwiek ruchu, aby lepiej się poznać.

– Orientuje się pani, czy naczelnik jest u siebie? Muszę z nim pilnie porozmawiać.

– Tak, jest sam. Czy powinnam pana zapowiedzieć? – Na wszelki wypadek upewniłam się zarówno w kwestii sekretarskich obowiązków, jak i zasad etykiety.

– Bez przesady. – Uśmiechnął się życzliwie i po prostu wszedł do gabinetu.

Wreszcie przypomniałam sobie, że mam zorganizować przeniesienie linii telefonicznych dla pracowników wydziału, którzy na czas remontu przenoszą się z całym ekwipunkiem do pokoi zastępczych. Chwyciłam słuchawkę telefonu i wykreciłam numer, w nadziei, że połączę się z jakimś serwisantem, który następnego dnia zjawi się w naszym biurze, i podobnie jak panowie wygładzający nierówności na ścianach w korytarzach, wyjmie z jednej ściany odpowiedni kabelek i bez zbędnych rozważań filozoficznych zwyczajnie wetknie go w drugą.

W słuchawce odezwał się automatyczny komunikat: „Witamy w Help Desk Indygo. Wybierz tonowo numer wewnętrzny lub poczekaj na połączenie z naszym konsultantem”. Stwierdziłam, że wolę jednak rozmawiać z żywą osobą, i cierpliwie czekałam, aż piosenka *Don't Let Me Be the Last to Know* Britney Spears wreszcie dobiegnie końca.

– Witam. W czym mogę pomóc? – przemówił w końcu męski głos.

– Dzień dobry. Mówi Karolina Lubczyk. Chciałabym zamówić przeniesienie linii telefonicznych pracowników Wydziału Teleinformatycznego – wyrecytowałam.

W trakcie rozmowy musiałam podać wszystkie numery telefonów, numery inwentarzowe aparatów, nazwy modeli telefonów oraz numery pokoi pracowników i pokoi zastępczych, do których mieliśmy trafić.

– Zlecenie przyjąłem. Proszę zapisać jego kod, a w ciągu dwóch dni zjawi się monter.

– Dziękuję. Do widzenia. – Rozłączyłam się.

W tym czasie kierownik Filip Dobrzyński wyszedł od naczelnika, a w sekretariacie „przypadkiem” zjawiła się Sonia. Gdy zobaczyła Filipa, na jej lekko piegowatych policzkach natychmiast pojawiły się rumieńce.

– Co słyhać, Filipku? – zapytała, a jej zazwyczaj surowy głos brzmiał teraz wyjątkowo słodko.

Filip posłał jej lekko cyniczny uśmiech.

– Zależy, gdzie ucho przyłożyć.

Sonia chyba zrobiło się głupio, postanowiła więc ukryć swoją konfuzję, sprowadzając rozmowę na inny tor.

– Jak ci się podoba nasza nowa koleżanka? – spytała.

– Właśnie się poznaliśmy. Pani Karolina wygląda dość dobrze – odpowiedział, mierząc mnie wzrokiem od góry do dołu.

Nie dość, że mówili o mnie w trzeciej osobie, to jeszcze poczułam się, jakbym była żywym towarem wystawianym na targu bydła. Proszę państwa, oto dorodna krasula, wygląda korzystnie, ciekawe, ile litrów mleka daje? Mając w pamięci jeszcze świeży incydent z „mizoginem” oraz stres związany z jego wizytą u szefa, postanowiłam przemilczeć ten godny pożałowania incydent. Najważniejsze, że załatwiłam sprawę, którą zlecił mi naczelnik, choć tak naprawdę był to dopiero początek.

Tymczasem Filipa i Sonię pochłonęła rozmowa na temat budżetu i korekty niektórych wycinków limitu finansowego. Filip, omawiając z Sonią finansistką to, co ustalił w trakcie narady z naczelnikiem, bardziej niż kierownik wyglądał jak wielobarwny ptak drepczący wokół samicy stwarzającej pozory niedostępnej. Doszłam do wniosku, że praca sekretarki wcale nie jest taka nudna. Co więcej, może stać się wyjątkowo frapującym eksperymentem socjologicznym.



Po dwóch pierwszych tygodniach w nowej pracy nauczyłam się płynnie lawirować między kłębiącymi się po podłodze kablami od szlifierek a folią chroniącą ściany przed pyłem, jednocześnie trzymając w ręku kubek z gorącą herbatą dla szefa. Sterta zapętlonych przewodów biegnących pod moimi stopami przypominała mi dziecięcą grę w gumę, z tą różnicą, że w czasach podstawówki nie trzeba było taszczyć kilograma dokumentów ani odpowiadać na zaczepki pracowników ekipy remontowej, którzy ochoczo robili sobie przerwy, by skomentować, w co pani sekretarka jest dzisiaj ubrana.

Dobiegające z korytarza odgłosy borowania uniemożliwiały skupienie się na pracy, bez względu na to, czy była to rutynowa odprawa wydziałowa, czy rejestrowanie pism wychodzących, lecz jako zgrany kolektyw lub raczej zbiorowisko osób, którym wydawało się, że tak właśnie jest, wspólnie musieliśmy przeczekać ten koszmarny, długi jak podróż polskimi kolejami, miesiąc.

Naczelnik korzystał z gościnności swojego kolegi Franka (czyli Świętego Mikołaja od malizny), gdzie wygospodarowano dla niego osobną część gabinetu. Reszta osób z wydziału tłoczyła się w sąsiednim łączniku tego samego piętra, wyremontowanym wcześniej.

Ponieważ pokój Mateusza jako jedyny nie podlegał remontowi, na pewien czas dokwaterowali mnie do niego. Dużo gadaliśmy, najczęściej na tematy niezwiązane z pracą.

– Generalnie trafiłaś do bardzo wrednego wydziału – oznajmił Mateusz, kopiując na pendrive pliki ściągnięte z sieci.

– Cudownie... Taka perspektywa nie napawa mnie entuzjazmem.

– Paweł jest wredny. Dopóki wszystko jest „ładnie i pięknie”, zachowuje się miło, ale niech tylko coś mu się nie spodoba, dwulicowość wyłazi z niego jak pan Hyde z doktora Jekylla.

– Ludzie go lubią. Wydaje się dobrym szefem – broniłam naczelnika. A może usiłowałam przekonać samą siebie, że Mateusz się myli? Wobec mnie pan Paweł był w porządku.

– W każdym razie za mną nie przepada, bo wie, co naprawdę o nim myślę. I co myślę o pozostałych.

– To znaczy o kim?

– Na przykład o Baśce, Marku i Filipie. Towarzystwo wzajemnej adoracji. Filip trzyma ich w ryzach, a Baśka i Marek boją się odezwać, żeby nie podpaść. Zamiast ciężko pracować, robią dużo hałasu, rzucają żarciki i podlizują się, aby nikt przypadkiem nie zauważył, że się objają.

– Ale przecież Basia jest bardzo pewna siebie i przebojowa – zdziwiłam się.

– To tylko maska. Inaczej już dawno by było po niej – stwierdził.

– Marek jest chyba najbardziej normalny z tego całego towarzystwa.

– Tu się z tobą zgodzę. Cichy gość, który robi swoje. Ale to nie znaczy, że gdybyś wpadła w tarapaty, kiwnąłby w twojej sprawie palcem.

– A Filip? Kiedy się poznaliśmy, chciałam przejść z nim na „ty”, ale on dał mi do zrozumienia, że sobie nie życzy.

– Filip jest specyficzny. Skryty facet. Chyba nikt go dobrze nie zna. A co do mówienia po imieniu...

– Tak? – Nadstawiłam uszu.

– Przed rządami Anety, twojej poprzedniczki, pracowała u nas Patrycja. Ładna, sympatyczna dziewczyna, choć miała swoje humory. Kiedyś Filip poprosił ją o zarejestrowanie jakiegoś pisma. Spytał: „Pati, mogłabyś nadać numer?”. Wtedy ona warknęła, że nie życzy sobie takiego tykania.

– Teraz wszystko jasne. Pewnie ma uraz, bo uraziła jego ego. Lepiej zostawić temat w spokoju. Zobaczmy, jak się ułoży. Na razie, poza tobą, najbardziej lubię Irminę i Staśka.

– Łoża szyderców jest w porządku. Oni przynajmniej wiedzą, jak tu jest naprawdę.

– Łoża szyderców? Ty, zdaje się, na każdego masz jakieś określenie?

– No, prawie – uśmiechnął się.

– A na mnie? – zmrużyłam oczy i uniosłam brodę wysoko w górę.

– Sekretariat to oko cyklonu. Przyznasz, że trafione w dziesiątkę.

– W zasadzie pasuje idealnie. A Sonia i pani Mela też mają jakiś wspólny przydomek?

– Nic ciekawego nie udało mi się wymyślić – przyznał.

Podrapałam się po głowie. Obydwie przypominały postacie z bajek dla dzieci, były takie miłe i uporządkowane, a ich pokój odzwierciedlał wszystko to, co starały się sobą reprezentować. Wyznawały przekonanie, że praca w administracji publicznej jest największym szczęściem, jakie może spotkać człowieka, i wszyscy powinniśmy być dumni z tego, że się tu znaleźliśmy.

– To może pokój po drugiej stronie lustra? – zaproponowałam. – Kiedy tam wchodzę, mam wrażenie, że trafiam do innego świata, ale po chwili uświadamiam sobie, że to takie samo miejsce jak każde inne.

– Ciekawa myśl – pochwalił Mateusz i oboje się roześmialiśmy.

Naszą twórczą pogawędkę przerwała Barbara, która wparowała do pokoju jak torpeda. Choć dzień w biurze dobiegał końca, zawsze wtedy miała do mnie najwięcej pilnych spraw.

– Zarejestruj tę paczkę, jutro to musi zostać wysłane z samego rana – ponaglała.

Wzięłam od niej szczelnie zaklejone pudełko i zabrałam się do nadawania numeru w dzienniku. Ponieważ wszystkie pieczętki wydawały mi się podobne do siebie, a nie chciałam popełnić żadnego błędu, poprosiłam o pomoc stojącą mi nad głową koleżankę.

– Pani Barbaro, czy mogłaby mi pani podpowiedzieć, której pieczętki użyć do zarejestrowania tej przesyłki? – spytałam.

– Baśka jestem! Zapomniałaś? – odpowiedziała, przez co zbiła mnie z tropu.

Nie wiedzieć czemu, im częściej prosiłam Baśkę o pomoc, tym częściej ostrzyła na mnie pazury.

– W takim razie cieszę się, że możemy sobie mówić na ty – odpowiedziałam nieco zmieszana.

– Mówiłam, tylko nie słuchałaś! – dodała rozemocjonowana, a ja, widząc jej uśmiech, łudziłam się, że obie poruszamy się cały czas w sferze żartu.

Domeną tych ludzi był sarkastyczny, pełen efekciarstwa i prowadzący donikąd sposób komunikowania się z innymi. Przywodził na myśl prowadzoną na arabskim targu rozmowę między dwojgiem ludzi z różnych kultur. Podczas gdy jednej ze stron chodziło o uzyskanie konkretnej odpowiedzi, druga prze-inaczała zadane jej przed chwilą pytanie i sprowadzała rozmowę na tor, który koniec końców okazywał się ślepą uliczką. Z czasem odkryłam, że kiedy pojawił się jakiś problem, nikt nie zajmował się tym, jak go rozwiązać, lecz – kto ma to zrobić, a potem następowało wielkie oburzenie pod hasłem: dlaczego ja? – i protest poparty tysiącem paragrafów oraz zapewnieniem: to nie należy do moich obowiązków. Usiłując dogadać się wtedy z Barbarą, jeszcze tego nie wiedziałam.

Chociaż Baśka wydawała się dość gruboskórną osobą, wierzyłam, że jej charakter wynika z konieczności częstych kontaktów służbowych z mężczyznami, którzy, jak zdążyłam zauważyć, do dżentelmenów raczej się nie zaliczali. Być może Barbara traktowała bezczelność jako formę obrony przed osobami, które mogłyby pozbawić ją należytego i zasłużonego miana specjalistki. A może po prostu taka się urodziła.

Kiedy dowiedziałam się, że Baśka, pracująca w tej instytucji przeszło dwanaście lat, także zaczynała na stanowisku sekretarki, tym bardziej nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego traktowała mnie z wyższością. Zresztą nie tylko mnie.

Któregoś dnia, gdy remont piętra osiągnął apogeum, miałam okazję usłyszeć krzyk Baśki, która notorycznie podawała w wątpliwość umiejętności fachowców zatrudnionych przez biuro.

– To jest nie do przyjęcia! – wrzeszczała na robotnika trzymającego w ręku moką szpachelkę.

– Ale taki był plan... – tłumaczył.

– Plan? Niech pan mi tu nie wyjeżdża z takimi tekstami, czasy peerelu już dawno się skończyły!

– Tak, tylko że ten budynek jest starszy niż pani. – Tu chyba zaplusował, bo Baśka momentalnie spuściła z tonu. – Nic nie poradzę na to, że ściana jest krzywa. Wyglądnę z tej strony, ale meble i tak nie będą idealnie przylegać.

– Dobra, rób pan swoje! – Machnęła ręką i ostentacyjnie wyszła z pokoju, który wyglądał jak pobojuwisko odgruzowane po nagłym trzęsieniu ziemi.

Otworzyłam oczy ze zdziwienia i dyskretnie przeszłam obok, udając, że mnie tam nie było.

Nie miałam czasu na zacieśnianie więzów, ponieważ każdy mój dzień przypominał pracę Chaplina w *Dzisiejszych czasach*.

Jedną ręką wystukiwałam kod drukarki, a drugą łączyłam rozmowy z szefem, brakowało mi trzeciej na rejestrowanie pism nieustannie wypływanych przez złośliwy faks, a nawet czwartej, która przeczesywałaby pocztę w poszukiwaniu potwierdzeń wysłanych mejli. No cóż, nikt nie jest doskonały.

Remont na szczęście dobiegał końca, co nie oznaczało, że skończyły się moje obowiązki związane z jego nadzorowaniem.

– Karolina, mogłabyś sprawdzić, dlaczego jeszcze nie podłączyli telefonów w naszym pokoju? Czekamy już kilka dni – ponaglała mnie przez telefon Baśka.

– Jasne, postaram się czegoś dowiedzieć.

– Nie postaraj się, tylko od razu zadzwoń do nich – wypaliła.

– Oczywiście – odpowiedziałam i rozłączyłam się.

Nie mogłam się doczekać, kiedy cały ten bałagan zniknie i każdy wróci do swojego wyremontowanego pokoju.

– Pani Karolino, proszę wysłać to pismo w trybie pilnym. – Pan Stasiak wręczył mi połyskującą teczkę w żywym niebieskim kolorze.

– Dobrze – odpowiedziałam i przesunęłam teczkę nieco na bok, bo musiałam dokończyć rejestrować pismo, które pięć minut wcześniej dostałam od Irminy.

– Pani Karolino, to nie może czekać. Niech mi pani tylko poda kolejny numer z dziennika, ja go wpiszę do pisma i od razu wyślę faksem, a pani za chwilę uzupełni u siebie.

– No dobrze, możemy tak zrobić – odpowiedziałam zrezygnowana.

Wtedy do pokoju wszedł Filip z Sonią, którzy najwyraźniej nie rozmawiali o sprawach zawodowych.

– Małżeństwo zabija miłość – powiedział Filip, patrząc na swoją wniebowziętą koleżankę.

– Chcesz powiedzieć, że ja i mój mąż powinniśmy się rozwieść, żeby znów się w sobie zakochać? Przecież jesteśmy zgodnym małżeństwem. – Sonia nie dawała za wygraną.

– Zgodne małżeństwo? Przecież to oksymoron – popisał się Filip.

Niespodziewanie wpadła pomiędzy nich Irmina, żeby odebrać ode mnie swoje pismo.

– Już? Gotowe? – spytała zniecierpliwiona.

Sonia na widok sporego tłumu dyskretnie wycofała się do swojego pokoju.

– Filipku, mam do ciebie prośbę – ciągnęła Irmina. – Mógłbyś sprawdzić mój komputer, bo internet po tym remoncie mi szwankuje.

– A więc taki to pretekst wymyśliłaś, żeby mnie zwabić do siebie? Chociaż

słyszałem w życiu dziwniejsze sposoby na podryw – powiedział Filip, który najwyraźniej miał się za Humphreya Bogarta.

– Spokojnie, to tylko mężczyzna – rzuciłam, nie podnosząc głowy znad dziennika.

– Nie wymagajmy za wiele – poradziłam Irminie, jednocześnie spoglądając na Filipa, który w mgnieniu oka zdjął maskę bawidamka.

– Wpadnę tylko do naczelnika i zaraz do ciebie zajrzę – oznajmił nieco skonfundowany.

– Dzięki, śliczny! To ja zdążę w tym czasie zapalić. – Irmina chwyciła pismo leżące na moim biurku, po czym wybiegła, zapewne przed budynek, gdzie zawsze stała grupka przypadkowych osób, połączonych kłębamii dymu i zapachem czystego tytoniu.

Kolejny miesiąc rozpoczął się intensywnie, ponieważ w wyremontowanym sekretariacie miały się odbyć kolejne pertraktacje w sprawie podpisania umowy z dużą, prężnie rozwijającą się firmą informatyczną.

– Pani Karolino, za piętnaście minut spodziewam się gościa z firmy zewnętrznej. Proszę przygotować ciastka. I jeszcze jedno. W moim gabinecie stoi duża szafka, klucz znajdzie pani na dnie pierwszej szuflady w biurku. Proszę otworzyć szafkę i przelać trochę koniaku do karafki. Tylko proszę niczego nie wykladać na stolik. Sam się tym zajmę. Biegnę do dyrektora, może uda mi się do niego dostać, zanim zdąży wyjść z biura.

– Naczelnik zbiegł po schodach, ściskając w ręku plik dokumentów zawierających niezrozumiałe dla mnie wykresy.

Kolejny gość. Niedługo zabraknie środków z funduszu reprezentacyjnego. Ale czy to moja sprawa? Przecież nie ja płacę z kieszeni budżetu.

Wykonałam polecenie naczelnika. Wyjęłam wszystko z szafki, przelałam odrobinę alkoholu do kryształowej karafki i wstawiłam z powrotem na półkę. Czekałam na pojawienie się kolejnego w tym tygodniu gościa. Skoro pan Paweł miał zamiar odurzyć go procentami, to na pewno jakaś korporacyjna szychą z wizytą w celach negocjacyjnych.

Przypomniała mi się scena z serialu *Alternatywy 4*, kiedy szef spółdzielni mieszkaniowej raczył ważniejszych gości trunkami ze specjalnego barku. Ciekawe, czy naczelnik ma zachomikowaną dekoracyjną lampę z drobinkami złota, żeby chęłpić się nią przed gośćmi?

Usiadłam za biurkiem i zdążyłam oprzeć głowę na przedramionach, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Znowu on.

– Dzień dobry. Jest Paweł? – zapytał jegomość, któremu obiecałam przeprosiny, choć on nie miał pojęcia o moich planach.

Sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawił, że kompletnie zapomniałam o wyjściu naczelnika, i bez zastanowienia potwierdziłam, że szef jest u siebie.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie i wkroczył do gabinetu naczelnika. Po chwili wyszedł.

– Zdaje się, że ma w gabinecie urządzenie teleportujące, bo już go nie zastałem – zauważył łagodnie, lecz z ironią.

Zamiast zezłościć się na niego za te kpiny, roześmiałam się głośno.

– Oj, bardzo przepraszam, faktycznie, pan Paweł poszedł do dyrektora. Niedługo wróci – wyjaśniłam.

– Nic się nie stało, w takim razie poczekam. Zauważyłem, że choć niedawno nazwałaś mnie dosyć odważnie, wciąż nie masz śmiałości mówić mi na ty. Jestem Krystian. – Wysunął rękę na przywitanie, a może także na znak zgody.

– Karolina. – Odwzajemniłam uścisk dłoni.

Gdy mankiet jego czarnej, idealnie skrojonej marynarki otarł się o mój nadgarstek, nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się gorąco.

– I dziękuję, że nie wspomniałeś naczelnikowi o tym incydencie – powiedziałam.  
– Bywam porywcza, a potem tego żałuję. Należą ci się przeprosiny.

– Daj spokój, to ja powinienem przeprosić, że cię potrąciłem. Miałem spotkanie z zastępcą dyrektora i dotarłem mocno po czasie, a on nie lubi spóźniałskich. Jeśli cię to pocieszy, dostałem solidny ochrzan – tłumaczył.

– W takim razie wyrównaliśmy rachunki, najważniejsze, że strat w cywilach nie odnotowano – powiedziałam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa, gdy ciszę przerwał naczelnik, który wrócił z jednego spotkania, by rozpocząć kolejne.

– Cześć, Kris! Kaman! – Pan Paweł rozpostarł ramiona, jakby witał przywódcę partii zaprzyjaźnionego kraju.

Zauważyłam, że maniera wtrącania zagranicznych słówek (pan Paweł po godzinach intensywnie uczył się angielskiego) wchodziła mu w krew równie szybko i łatwo jak trunki, którymi raczył wyjątkowych gości. Przywitali się, a następnie zamknęli w gabinecie, tym razem nie prosząc mnie o nic ani przedtem, ani potem. Wykorzystałam tę chwilę, by dowiedzieć się czegoś na temat jegomościa, postanowiłam więc zapytać Mateusza. Był również gońcem, można więc powiedzieć, że jego zawód był męskim odpowiednikiem mojego. Wszak sekretarki, gońcy, kierowcy, ekipa sprzątająca i pracownicy kancelarii wiedzą o firmie najwięcej.

Mateusz między nauką chińskiego a medytacją, której oddawał się w swoim budżetowym azylu, często był wzywany przez naczelnika w sprawach niecierpiących zwłoki (na przykład kupno żółtych tulipanów na imieniny Melanii lub wizyta w Świecie Alkoholi w trosce o napełnienie kryształowej karafki), bywał też w sąsiednich sekretariatach, gdzie plotki korytarzowe rozchodziły się najszybciej.

Choć mnie i mojego kolegę dzieliła jedynie ściana, wolałam zatelefonować. Dowiedziałam się, że gość szefa nazywa się Krystian Milewski i jest prezesem dużej firmy informatycznej o nazwie Indygo. Firma ta oferowała naszej budżetówce usługi IT, między innymi systemy Help Desk.

– W sumie nic nadzwyczajnego – stwierdziłam.

– Szczegóły na jego temat możesz znaleźć w sieci – poradził Mateusz.

– Pewnie tak. Dzięki – powiedziałam i rozłączyłam się.

Podczas rejestrowania pism, które ściągnęłam ze skrzynki, klamka gabinetu położonego zaczęła poruszać się w górę i w dół. Przypominało to droczenie się z psem, bezwiednie kiwającym łbem na widok dyndającego mu przed nosem kawałka soczystej kiełbasy.

Po chwili gość, który najwyraźniej nie mógł się zdecydować, czy zostać dłużej, czy wyjść, podjął męską decyzję i pociągnął za klamkę. Ucisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Naczelnik wrócił do siebie i usiadł z powrotem w fotelu, zatapiając się w analizowaniu chaotycznie porzrzucanych na biurku dokumentów. Krystian zaś stał jeszcze chwilę w sekretariacie, rozglądając się dookoła.

– Jak długo tutaj pracujesz? – zapytał.

- Od dwóch tygodni – odpowiedziałam.
- Paweł ma szczęście, że trafiła mu się taka dobra sekretarka – rzucił komplement.
- Staram się. – Odwdzięczyłam się uśmiechem.
- Na pewno. To dla ciebie, żebyś w razie czego miała do mnie kontakt, gdyby Paweł mnie szukał. – Podał mi swoją wizytówkę. – Do zobaczenia.

Krystian uśmiechnął się na pożegnanie i wybiegł. Choć nie wyróżniał się niczym szczególnym, robił na mnie niesamowite wrażenie. Sekret krył się prawdopodobnie w jego ujmującym sposobie bycia.

Próbowałam skoncentrować się na pracy, ale w myślach usiłowałam odtworzyć w pamięci rozmywający się obraz Krystiana. W mojej głowie kłębiły się pytania, które wiązały się z jego osobą, do tego stopnia, że zrobiłam czeski błąd podczas numerowania stron w dzienniku faktur.

– Cholerna dyskalkulia – powiedziałam i sięgnęłam do szuflady po korektor, by zatuszować źle wpisane cyfry, ciągnące się jedna po drugiej już od dobrych trzydziestu stron.



Pewnego dnia Kinga przedstawiła mnie drugiej sekretarce, siedzącej w gabinecie naprzeciw niej. Józefina była sekretarką pana Terenowskiego, zastępcy dyrektora Kingi. Miała falowane blond włosy oraz niesamowicie długie i opalone nogi, które eksponowała dzięki kusej czarnej spódnicy, być może nazbyt opiętej jak na dojrzały wiek właścicielki. Do tej pory znałam ją tylko z opowieści Kingi, bo Józefina przez dwa błogie tygodnie opalała się na plaży w Słonecznym Brzegu, a kolejne dwa leżała w łóżku z powodu „niespodziewanej” grypy. Tym sposobem poznałam już dwie główne sekretarki dwóch ważnych dyrektorów.

Józefina mimochodem wtrąciła zdanie na temat Anety, mojej poprzedniczki, która, jak się dowiedziałam, sama zrezygnowała z pracy. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, lecz z czasem dało mi do myślenia.

– Aneta miała charakter.

Zastanawiałam się, dlaczego to powiedziała? Czyżby sugerowała, że ja go nie mam, czy może krytykowała w ten sposób zachowanie poprzedniej sekretarki, dając mi do zrozumienia, że moje usposobienie powinno być bardziej łagodne? Trudno odgadnąć intencje osoby, którą widzi się po raz pierwszy. W dodatku wydawała się kobietą otwartą i szczerą. Miałam wrażenie, że chce mi pomóc lepiej zakorzenić się w nowej pracy. Opowiedziała mi co nieco o osobach z mojego wydziału.

– Mateusz to czarna owca. Jest totalnym dziwakiem, lepiej więc ogranicz z nim kontakty, bo inaczej będziesz źle odbierana przez ludzi – radziła Józefina.

– Zauważyłam, że raczej nie darzą go sympatią. A co sądzisz o pani Meli? – dopytywałam.

– Oj, powiem ci, że to twardy orzech do zgryzienia. Pani Melania jest przyjaciółką Pawła, jeszcze z czasów młodości. Oboje pochodzą z małego miasteczka. Tuż po swoim awansie ściągnął ją do Warszawy i zatrudnił w wydziale. Pani Mela jest straszną służbistką i słyszałam, że ciężko się z nią pracuje – mówiła.

– No, powiem ci, że jej zachowanie czasami mnie irytuje – wyznałam.

– Wszystkich nie znam, ale z tego, co wiem, pani Mela i Sonia starają się być pupilkami twojego szefa. Sonia zastępowała Anetę po jej odejściu, jest okropna. Taka ordynarna.

– Odniosłam podobne wrażenie. Niby uśmiecha się do ciebie, ale masz wrażenie, że za plecami obrabia ci tyłek.

– Niestety, tak to już jest w tej instytucji. Ty wyglądasz na łagodną. Musisz być stanowcza, żeby inni cię nie zjedli.

Teraz zrozumiałam, co Józefina miała na myśli, gdy wspomniała o Anecie. Skoro moja poprzedniczka wytrzymała tutaj pięć lat, musiała mieć grubą skórę. Ciekawe tylko, co było powodem jej odejścia?

Od Józefiny dowiedziałam się, że pracowała w bud-żetówce ponad dwadzieścia lat

na tym samym stanowisku i miała w tym czasie dziesięciu szefów. Nie zadawała pytań. Wiedziała, że nic tutaj nie jest zależne od niej.

– Muszę już wracać, bo zostawiłam sekretariat samopas – powiedziałam, zerkając na zegar ścienny, wiszący tuż nad drzwiami do sekretariatu Józefiny.

– Jasne, rozumiem. Wpadaj, kiedy chcesz. W sumie i tak będziesz musiała, bo prawie codziennie mam dla ciebie pocztę od dyrektora Terenowskiego, ale gdybyś czegoś potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dzięki, będę pamiętać. Na razie! – pożegnałam się i pobiegłam schodami na górę. Naczelnik natychmiast zlecił mi kolejne, niecierpiące zwłoki zadanie.

– Pani Karolino, proszę zbindować ten plik dokumentów, to bardzo pilne, inaczej dyrektor Terenowski urwie mi nie tylko głowę – zaśmiał się.

– Oczywiście, panie naczelniku, już się robi. – Przyłożyłam dwa palce do skroni i żartobliwie zasalutowałam.

– Świetnie. I proszę zanieść mu szybko jego dokumenty.

Szef zamknął się u siebie, a ja wyciągnęłam z szafki bindownicę, by bezzwłocznie zabrać się do roboty. Wiedziałałam, że dobry lub zły nastrój dyrektora wpłynie na naczelnika, a jego humor odbije się z kolei na mnie, więc nie mogłam dać plamy. Ujęłam kilkanaście stron z grubego pliku, ulokowałam je we właściwym miejscu i chwyciłam za wajchę. Szło jak po maśle, postanowiłam więc nieco przyspieszyć. W tym momencie rączka od bindownicy, którą po raz kolejny energicznie ciągnęłam w dół, zatrzymała się, nie pozwalając uwolnić dokumentów z ostrych zębów maszyny. Ogarnął mnie natychmiastowy paraliż, który szybko przeszedł w płacz.

Na szczęście z pomocą ruszył mi Marek, który wpadł porozmawiać z naczelnikiem na temat instalacji nowego oprogramowania, mającego pomóc w szybszym przepływie informacji między wydziałami. Za nim dreptała Irmina, której nie mogło zabraknąć w najciekawszych momentach dnia.

– Kurczę, bindownica się zacięła! I co teraz? Papier utknął w środku, a ja nie pomyślałam, żeby nosić do pracy śrubokręt... – jęczałam.

Marek przyjrzał się urządzeniu ze wszystkich stron.

– Jest tylko jedno wyjście. Ciągnij, mała! – powiedział.

– Słucham? – Uniosłam w górę brwi.

Marek, zamiast wyjaśnić, że pomoże mi wyciągnąć dokumenty zakleszczone we wnętrzu przestarzałej bindownicy, zaczął żartować z sytuacji. W końcu to nie on miał oddać potem dokumenty szefowi, i to w całości, a nie w formie dziecięcej wycinanki.

– Ach, przepraszam, jeszcze sprowadzę cię na złą drogę. Mam nadzieję, że nie wiesz, o co chodzi. – Puścił do mnie oko.

– Spokojnie, przecież Karolina pewnie jest mężatką – wtrąciła Irmina, która najwyraźniej przeoczyła brak obrączki na moim serdecznym palcu.

– Nie jestem, ale gdyby Marek był moim mężem, tym bardziej bym nie wiedziała – odpowiedziałam Irminie, jednocześnie odcinając się Markowi.

– Ojoj, szkoda, że ta bindownica nie jest równie cięta jak ty – zachichotał. – A teraz trzymaj. Wyciągam na trzy! Raz, dwa, trzy! Poszło! – Szarpnął.

Podczas gdy ja trzymałam w objęciach urządzenie do bindowania, mój kolega

odskoczył w bok, ściskając w dłoniach plik wymiętych papierów, które jeszcze przed sekundą wyglądały jak przywiezione prosto z drukarni. Reszta dokumentów, a właściwie ich strzępki, wyglądem przypominały teraz sylwestrowe konfetti i nadal tkwiły w urządzeniu. Gdy to zobaczyłam, łzy zaczęły mi spływać po policzkach jak krople deszczu po szybie, a ciśnienie jak sinusoida skakało w górę i w dół, na przemian z pojawiającymi się atakami paniki.

– Teraz to już na pewno wylecę...

Wtedy Irmina zrobiła coś, z czym do tej pory się tu nie zetknęłam. Przytuliła mnie.

– Spokojnie, kochana, zdarza się, nikt tu jeszcze nie wyleciał za takie głupstwo. Skąd masz te dokumenty?

– Naczelnik prosił, żebym je zbindowała i zniosła dyrektorowi Terenowskiemu. Marek, pokaż pierwszą stronę.

– Jest dzisiejsza data i numer – zauważył Marek.

– Karolina, zadzwoń do Józefiny i zapytaj, czy ma te dokumenty w wersji elektronicznej.

Chwyciłam za słuchawkę i wstukałam numer.

– Sekretariat dyrektora Terenowskiego. W czym mogę pomóc? – Usłyszałam jej głos.

– Józefino, tu Karolina z Wydziału Teleinformatycznego. Mam do ciebie pytanie. Czy masz elektroniczną wersję dokumentu o sygnaturze L.dz.SD-1284/12?

– Poczekaj, sprawdzę – powiedziała. – Tak, mam ten plik, drukowałam go dzisiaj twojemu naczelnikowi. A co się stało?

– Część kartek uległa zniszczeniu – wystękałam.

– Ojej... A które strony?

– Poczekaj, sprawdzę. – Przytrzymałam ramieniem słuchawkę i zaczęłam nerwowo sprawdzać numery. – Od siedemdziesiątej do dziewięćdziesiątej piątej. Pozostałe są w porządku. A muszę to wszystko zbindować.

– To weź pozostałe i biegnij tu do mnie, a ja w tym czasie puszcę na drukarce brakujące kartki. Zszyjesz sobie u mnie – zaproponowała spokojnie.

– Jesteś kochana, zaraz będę! – ucieszyłam się, zupełnie jakbym wygrała los na loterii.

Irmina pomogła mi zebrać ocalałe materiały, a Marek usunął ślady zbrodni, chowając bindownicę do szafki.

Pod dwóch minutach rozdygotana stałam przy biurku Józefiny.

– Spójrz, już prawie skończyły się drukować – uspokajała mnie.

Drukarka Józefiny, znacznie bardziej zaawansowana technologicznie od mojej, wypływała kartki jedną po drugiej i z każdą chwilą przybliżała mnie do kresu tej udręki.

– No i gotowe! Teraz szybciotko u mnie zbindujesz i sprawa załatwiona.

Dostałam do użytku elektryczną bindownicę, w której zamiast wajchy zainstalowany był specjalny pedał. Wystarczyło nacisnąć go nogą, by w okazałym pliku dokumentów w mgnieniu oka pojawił się ciąg precyzyjnie utworzonych dziurek. Teraz wystarczyło już tylko umieścić je w dopasowanym grzbiecie.

– Jestem ci do zgornie wdzięczna. Jeszcze chwilę temu sądziłam, że zniszczyłam

Pawłowi oryginały, ale z twoją pomocą wszystko udało się naprawić.

– Naprawdę drobiazg. Pamiętaj, że jeśli będziesz czegoś potrzebowała, możesz na mnie liczyć – zapewniała Józefina.

Naszą rozmowę przerwał dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu ukazał się numer mojego szefa. Józefina podniosła słuchawkę, po czym oddała ją mnie.

– Tak, panie naczelniku? Tak, właśnie przekazuję materiał Józefinie, ona odda go dyrektorowi Terenowskiemu. Za moment będę na górze – powiedziałam na wydechu, a pan Paweł podziękował i się rozłączył.

– Czy mogłabyś...? – zwróciłam się do koleżanki.

– Ależ oczywiście, skarbie – odparła z uśmiechem.

Uzmysłowiłam sobie, że rozumiemy się niemal bez słów. Uradowana pobiegłam do swojego sekretariatu, a ona została w swoim z naszym wspólnym dziełem.

Adrenalina uruchomiła pozytywną energię i dodała mi pewności siebie. Musieli to zauważyć nawet Barbara i Filip, którzy dyskutowali akurat przy moim biurku. Nie wiadomo dlaczego, sekretariat wydawał się pracownikom tego wydziału najodpowiedniejszym miejscem do prowadzenia skomplikowanych dialogów. A może działa się tak we wszystkich sekretariatach, tylko ja nie miałam jeszcze okazji się o tym przekonać?

Byłam strasznie głodna, ale nie mogłam opuścić sekretariatu, by pójść na obiad do stołówki. Zagotowałam więc wodę w czajniku i wyjęłam z torebki błyskawiczne danie, by posilić się chociaż namiastką ciepłego posiłku. Krusząc makaron zastanawiałam się, kiedy Baśka i Filip opuszczą sekretariat. Bądź co bądź, to było moje miejsce pracy.

– Mamy do sprawdzenia jeszcze mnóstwo pozycji. Nawet Kamasutra tyłu nie obejmuje – powiedział Filip do Barbary, trzymając w ręku segregator z pokaźną liczbą asygnat.

– Fakt. Ale przyznasz, że zaliczyć tyle numerków w jeden dzień to spore wyzwanie – odpowiedziała mu Baśka.

Dlaczego akurat wtedy, gdy tych dwoje flirtowało w najlepsze, ja musiałam przerzucać makaron z pojemnika na talerz, w dodatku byłam zmuszona jeść w ich towarzystwie? Wydawali się tacy przebojowi, znacznie dojrzałsi ode mnie, podczas gdy ja oczami wyobraźni widziałam siebie jako zahukaną dziewczynkę, traktowaną z lekceważeniem przez starszych kolegów.

– Basiu, jakim urządzeniem biurowym chciałabyś być? – spytał ją nagle Filip.

Z namysłem dotknęła palcem wskazującym swoich ust.

– Tonerem! Zawsze gotów do użycia!

Przebiła wszystkie żarty biurowe, jakie do tej pory miałam okazję usłyszeć. Postanowiłam nie zwracać uwagi na tych dwoje i usiłowałam wyłuskać najważniejsze informacje z kolejnego pisma od Kingi. Wtedy Filip, któremu prawdopodobnie przybyło kilka centymetrów i bynajmniej nie chodzi tu o wzrost, spojrzał na mnie.

– Karolino, a pani? – zapytał.

– Szczerze? Wolałabym być drukarką niż tonerem. Tonery zbyt często się wymienia.

Filip z uznaniem uśmiechnął się do mnie, a Barbara oniemiała.

– Widzę, że pani Karolina zaczyna łąpać bakcyła – stwierdził, a jego magnetyczne niebieskie oczy wwiercały się we mnie.

– A ja widzę, że Freud to przeżytek w erze sprzętów komputerowych – podsumowałam.

Drzwi do sekretariatu były jak zwykle otwarte i kątem oka dostrzegłam, że stojąca w progu Sonia, która dyskretnie przysłuchiwała się naszej rozmowie, z zazdrosną miną wraca do siebie, zapewne po to, by streścić pani Melanii podsłuchaną wymianę zdań.

– Właściwie to przyszliśmy do naczelnika – oznajmił niespodziewanie Filip.

– Jest u siebie – poinformowałam krótko.

Błyskawicznie zapomnieli o frywolnym temacie rozmowy i z powrotem przywdziali sztywne stroje urzędników państwowych. Zniknęli w gabinecie szefa, aby omówić wydziałowe sprawy, a ja ucieszyłam się, że mogę spokojnie zjeść obiad.

Niestety, jedzenie w samotności nie było mi pisane, ponieważ zaraz zjawiała się Irmina.

– Udało ci się z tymi dokumentami? – spytała.

– Z jakimi dokumentami? – zdziwiłam się.

– No jak to? Do zbindowania!

W natłoku pracy szybko zapominałam o rzeczach, które robiłam wcześniej.

– Ach, no tak! Józefina mi pomogła i wszystko szczęśliwie się zakończyło – powiedziałam.

– A naczelniczek u siebie? Muszę coś z nim omówić. – Przeszła z nogi na nogę.

– Tak, ale są u niego Basia z Filipem, więc...

– No i co z tego? Niech sobie siedzą, ja muszę załatwić swoje.

Poderwałam się z krzesła, by ją powstrzymać, ale już zdążyła z impetem wparować do środka.

– Co ty sobie wyobrażasz? Byliśmy tu pierwsi! – Po raz pierwszy usłyszałam, by Filip mówił podniesionym głosem.

– Teoretycznie przyszedłeś pierwszy, ale praktycznie to ja jestem kobietą – odparowała Irmina.

– Pani Irmino, rzeczywiście, proszę zaczekać, aż skończymy, i za chwilę panią poproszę. – odezwał się nagle pan Paweł, który rozstrzygnął spór.

Postanowiłam wreszcie dokończyć obiad, który zdążył już wystygnąć, a Irmina chodziła po pokoju od ściany do ściany, z rękami wetkniętymi w kieszenie spodni i beztrudnie gwizdała pod nosem.

– Filip chyba nie wygląda na miłego. Co o nim sądzisz? – zaczęłam rozmowę.

– Co ja o nim sądzę? Rozmowa z nim to czysta przyjemność. Kiedy go widzę, przeżywam coś, co by można określić mianem orgazmów intelektualnych.

Czy mi się wydawało, czy oni mieli jakąś zbiorową obsesję na punkcie seksu?

– Mnie się wydaje lekko bezczelny – powiedziałam.

– Przywykniesz. – Puściła do mnie oko, po czym uchyliła rąbka tajemnicy na temat kierownika.

Filip Dobrzyński, szanowany kierownik wydziału teleinformatycznego, był

mężczyzną żonatym, co znacznie utrudniało koleżankom nakłanianie go do wspólnego zjedzenia z nimi obiadu w stołówce, jednak stan cywilny jemu samemu nie przeszkadzał, by bezkarnie z nimi flirtować.

Każde pismo, kierowane do niego przez pana Pawła, dekretował kolejno na Marka, Mateusza i oczywiście Barbarę, świadomie przypisującą sobie miano samicy alfa w wydziale.

Pod koniec dnia pan Paweł zwrócił mi teczkę wypełnioną korespondencją, która była już przez niego zadekretowana na poszczególnych pracowników. Najwięcej pism miało trafić w ręce Filipa. Ponieważ był on kierownikiem działu, nie wiedziałam, czy powinnam zawiadomić go telefonicznie, czy też osobiście zanieść mu pocztę, na wszelki wypadek wybrałam drugą możliwość.

Oddzieliłam więc pisma przeznaczone dla niego i udałam się do pokoju, zwanego przez Mateusza pokojem towarzystwa wzajemnej adoracji.

Biurko Filipa stało w takim miejscu, by miał wszystkich na widoku, a jednocześnie sam pozostawał w ukryciu. Na blacie stała ogromna doniczka z kwiatem, którego bujne liście mogłyby służyć za zadaszenie w razie nagłego włączenia się spryskiwaczy, uruchomionych przez czujniki przeciwpożarowe.

– Słucham, pani Karolino?

Tuż za małym gajem dostrzegłam prawie nieruchomą sylwetkę kierownika.

– Przyniosłam od naczelnika pocztę do dekretacji.

– Proszę podać, zadekretuję ją na miejscu.

Stałam tuż obok fotela, w którym siedział.

– Co za bzdury... powiedział, gdy przeczytał pierwszy dokument. – Wycinają lasy, żeby Wydział Kontrolny mógł wypuszczać takie durne pisma – powiedział Filip, a następnie zadekretował korespondencję na Marka.

– W takim razie zmielmy te papiery i zróbmy z nich ściótkę dla świnek morskich.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, lecz czar prysł w momencie, gdy przypadkowo zatrzymałam wzrok na monitorze Filipa.

– Ładną ma pan żonę – stwierdziłam, patrząc na gołą dziewczynę, której zdjęcie ustawione było jako tapeta ekranu komputera.

– Ach... to moja druga żona – błyskawicznie odpowiedział kierownik.

Kończył dekretować pocztę, a ja odwróciłam głowę w inną stronę i wodziłam wzrokiem po pokoju, który on, a także Basia i Marek, zmuszeni byli dzielić między sobą.

– Gotowe, pani Karolino – rzekł, odkładając na bok długopis.

– Dziękuję. Tak przy okazji, panie Filipie...

– Tak, pani Karolino?

– Odnosnie do tapety na ekranie... Sądziłam, że w Polsce dozwolone są tylko małżeństwa monogamiczne.

Filip odpowiedział zdawkowym uśmiechem, a ja odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Zaczynałam rozumieć, co miała na myśli Irmina, mówiąc, że rozmowy z nim mogą stać się prawdziwą rozkoszą dla umysłu.

Nadszedł moment, w którym musiałam nauczyć się oddychać tym samym powietrzem co oni. Zaczęłam dostrzegać pozytywne strony budżetówki. Miałam etat. Gdy zmierzałam do pracy codziennie o stałej porze, ukradkiem przypatrywałam się przechodniom i czułam się jak ktoś ważny. Nie dlatego, że zajmowałam w tej pogmatwanej hierarchii jakieś wybitne miejsce, ale dlatego, że miałam stałe zajęcie. W dobie kryzysu i umów śmieciowych było to powodem do dumy, dawało poczucie triumfu. Wyobrażałam sobie, że ludzie ukradkiem mnie obserwują i zazdroszczą mi sukcesu. Nawet jeśli wiedziałam, że jestem tylko sekretarką.

W domu zjadłyśmy z Natką na śniadanie kajzerki z grubą warstwą kremu nugatowego, ale wciąż byłam głodna i wciąż miałam ochotę na coś słodkiego. Zeszłam więc na dół, żeby kupić coś do jedzenia. Za ladą siedziała ta sama neurotyczna kioskarka. Podejrzewam, że gdyby to od niej zależało, szyba, która chroniła ją przed nieustannie zawracającymi głowę klientami, zamiast zwykłej byłaby kuloodporna, a najlepiej dźwiękoszczelna.

– Poproszę drożdżówkę i snickersa. – Wskazałam palcem produkty leżące tuż przy sklepowej ladzie. – Niezła bomba kaloryczna, co nie?

Dziewczyna zacisnęła zęby, jakby przymierzała się do uśmiechu, ale wyglądała jak sześćdziesięciolatka z arystokratycznych rodów, które boją się, że od tego zrobią im się zmarszczki.

– Proszę dorzucić jeszcze zupkę instant. Uwielbiam makaron, którego nie trzeba gotować – wtrąciłam.

Poza kwotę do zapłaty nie usłyszałam żadnych słów z jej ust, za to tuż za moimi plecami stanęła Sonia, która oglądała leżące na blacie czasopisma dla gospodyń domowych.

Kartkowała jedno z nich, ale myślami była gdzie indziej. Miałam wrażenie, że gdyby trzymała gazetę do góry nogami, nawet by się nie zorientowała.

– Zauważyłyśmy z Melą, że nasi koledzy często do ciebie zagląдают. Do nas już całkiem przestali przychodzić – niespodziewanie przemówiła.

Powiedziała to tak, jakby mi gratulowała, lecz słowom tym towarzyszył dziwny uśmiezek. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wychodziło na to, że ona i pani Melania nie były zadowolone z przyjęcia mnie do ich wydziału. Tymczasem ja chciałam zaprzyjaźnić się z nimi, ale byłam przykuta do biurka, bez szans, by wyskoczyć na chwilę do ich pokoju i poplotkować o kosmetykach i nowinkach ze świata mody. Nawet jeśli czasami mi się to udawało, podczas rozmowy i tak czułam wewnętrzne napięcie, że w pobliżu siedzi szef i zaraz zawoła: pani Karolino!

– Przecież pracuję w sekretariacie, nie mogę nikomu zabronić, by tam przychodził. Wierz mi, chciałabym czasem pobyć chwilę sama – starałam się jej wytłumaczyć.

– Spokojnie, przecież żartuję – powiedziała, a następnie zwróciła się do

sprzedawczyni – Poproszę „Tinę”, „Życie na gorąco” i kokosanki z najwyższej półki.

Wzięłyśmy swoje zakupy i udałyśmy się po schodach na wspólne piętro. Choć szłyśmy tuż obok siebie, miałam wrażenie, że jesteśmy sobie zupełnie obce. Jak gdyby każda czuła się niezręcznie w towarzystwie tej drugiej. Na widok pani Melanii chłodną minę Soni zastąpiła euforia. Natomiast pani Mela skierowała wzrok na mnie.

– Karolinko, trzeba zająć się archiwizacją starych dzienników korespondencyjnych z lat dwa tysiące dziesięć i dwa tysiące jedenaście – powiedziała.

– Dobrze, pani Melu – odpowiedziałam, choć nie miałam jeszcze pojęcia, co to oznacza.

– Musisz pouzupełniać brakujące podpisy tak, żeby wszystko się zgadzało – dodała.

– Nie ma problemu, zaraz się za to wezmę. – Uśmiechnęłam się pełna entuzjazmu.

Zajrzałam do szafy pancерnej, aby sprawdzić, które z zeszytów powleczonej twarą, granatową obwolutą z łatwo zdzierającego się materiału (co było widać po zaginających się rogach, odsłaniających pod skórzaną powłoką tandetną takturę), trzeba zarchiwizować. Po przeliczeniu okazało się, że w grę wchodzi osiemnaście dzienników, w których mniej więcej co trzecia strona miała jakąś lukę w miejscu pokwitowania odbioru.

– No ładnie... Ciekawa jestem, jakim cudem Aneta rozliczyła się z tego wszystkiego, kiedy opuszczała to miejsce. Bo przecież, jak wielokrotnie powtarzała pani Mela, dziennik jest wizytówką sekretarki. No nic, muszę stawić temu czoło.

Postanowiłam natychmiast zabrać się do pracy. Sięgnęłam do szuflady po karteczki samoprzylepne i ponaklejałam w miejscach, gdzie brakowało podpisów, dodatkowo oznaczając każdego dłużnika innym kolorem. Kiedy pierwszy dziennik był już gotowy, pomyślałam, że zacznę od Mateusza, z którym póki co miałam najlepszy kontakt. Wykręciłam numer i czekałam, aż po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał głos mojego kolegi buddysty.

– Cześć, Karolina z tej strony. Mógłbyś wpaść? – poprosiłam.

Kilka minut później Mateusz był już u mnie, a ja tradycyjnie zaczęłam od gorzkich żali.

– To niesprawiedliwe, że muszę odwalać robotę za poprzednią sekretarkę. Ciekawe, jakim cudem udało jej się stąd uciec bez rozliczenia się. Przecież dziennik korespondencyjny to narzędzie pracy sekretarki. Bez pokwitowania odbioru nie powinno się wydawać korespondencji, bo jeśli pismo zaginie, to wina spada na sekretariat.

– W tej instytucji tak już jest, że wszystko spada na sekretariat, bez względu na to, po czyjej stronie leży wina. Nie przejmuj się, dasz sobie z tym radę. Pochodzisz po wydziale i wszyscy się powpisują – pocieszył mnie mój pełen optymizmu kolega.

– Właśnie dlatego cię zaprosiłam, znalazłam kilka twoich zaległości, machniesz mi parafkę? – Wskazałam palcem miejsce z karteczką w kolorze cytrynowym.

– Jasne, spoko, tylko muszę poszukać u siebie w pokoju tych pism. Znajdę i podpiszę.

– Aha... – Spojrzałam na niego z wyrzutem.

– Przecież nie mogę niczego podpisać w ciemno – zaznaczyłam.



Okazało się, że ci, którzy krytykowali innych za ich działanie, sami powielali ich obyczaje.

– No dobrze, w wolnej chwili poszukaj tych pism i potem się rozliczymy – odpowiedziałam.

Nie miałam zamiaru się z nikim kłócić. Naprawdę chciałam mieć we wszystkich przyjaciół, a nie wrogów. Jednak zadania, jakimi stopniowo obarczała mnie pani Melania, były zapowiedzią tego, że praca w sekretariacie stanie się zajęciem wyjątkowo niewdzięcznym, a wkrótce, gdy zastukam w czyjekolwiek drzwi, tuż po wejściu do środka, zamiast uśmiechu i dzień dobry, przywita mnie ciężkie westchnienie oraz wymowne wzniesienie oczu do nieba.

ZACZYNA SIĘ

Kończyła się moja umowa o pracę. Trzy miesiące zleciały jak z bicia strzelił. Obawa o utratę posady rosła w postępie geometrycznym.

– Bardzo się boję... A jeśli nie przedłużą mi umowy? – jęczałam Natce, która przygotowywała właśnie materiały na zajęcia z gramatyki niemieckiej.

Tym razem jej uczniem był pięćdziesięciokilkuletni dyrektor finansowy, który po każdym zajęciach prosił ją, by przetłumaczyła dla niego prezentację na spotkanie rady nadzorczej.

– Cholera, mam już dosyć tego faceta. Czy on myśli, że jestem jego sekretarką?! – krzyknęła Natka, cis-kając o ziemię notatkami.

Spojrzałam na nią, a potem wzniosłam oczy do sufitu, by dać jej do zrozumienia, że właśnie spoliczkowała moje ego.

– Ojej, wybacz...! – zreflektowała się.

– No właśnie... – skwitowałam. – Wcale nie czuję się urażona, po prostu każda wzmianka na ten temat budzi we mnie lęk. Za kilka dni dowiem się, czy zatrzymam tę pracę, czy znowu będę prosić rodziców o wsparcie finansowe.

– Nie zamartwiaj się. Masz z nimi świetny kontakt, a w wydziale nie opłacałoby się nikomu zatrudniać pracownika na trzy miesiące tylko po to, żeby za chwilę szukać nowego. Przecież poświęcili sporo czasu na wdrożenie cię we wszystko.

Słowa Natki podziały jak balsam na moją duszę i zrobiło mi się nieco lżej.

– Uspokoiłaś mnie. A jeśli chodzi o twój problem, myślę, że powinnaś była z góry ustalać warunki zajęć. Daj człowiekowi palec, a weźmie całą rękę. Odwalasz za niego kawał roboty.

– Żałuję, że tak nie zrobiłam. Wydawało mi się, że prosi o jednorazową przysługę, ale teraz widzę, że się przyzwyczaił. Powinien płacić mi ekstra za tłumaczenie. Najgorsze, że on myśli o sobie jako o wielkim dyrektorze, a ja jestem naiwną studentką, która powinna być dumna, że pomaga ważnemu i wpływowemu klientowi. Ale porozmawiam z nim i wyznaczę nowe zasady.

– Słusznie. Trzeba cenić swój czas i doświadczenie, zdobywane przez lata – powiedziała i chwilę potem nacisnęłam pstryczek, gasząc stojącą na stoliku nocną lampkę, która dzieliła nasze łóżka.

Niedziela dobiegła końca, pozostało mi odliczanie godzin do jutrzejszego werdyktu. Nie mogłam zasnąć. W mojej głowie, niczym w fotoplastykonie, przewijały się różne obrazy. Oto ja, siedzę przy biurku, otoczona papierowymi wieżowcami z kilogramów korespondencji, czekającej w kolejce do zarejestrowania, a nade mną stoi pan Stanisław z błękitną teczką w ręce i nerwowo spogląda na zegarek, bo nie może się doczekać, kiedy w końcu go przyjmę. Tuż za nim kolejka pozostałych dręczycieli, ustawiona tak, abym zademonstrować mi swoje niezadowolenie. Oto ja, kończę skanować kolorowe tabelki przedstawiające wycinki limitu finansowego, nakreślone przez panią

Melę i Sonię, i wreszcie znów ja, ściskam torebkę herbaty zanurzonej w kubku pana Pawła, który nie lubi zajmować się takimi drobnostkami. Sen nie nadchodził, a ja zastanawiałam się, czy ta chwilowa bezsenność spowodowana jest niewygodną poduszką, czy może natrętnymi myślami, które za nic w świecie nie chciały mnie opuścić. Kątem oka dostrzegłam pocziwą twarz leżącej naprzeciw mnie Natalii i stwierdziłam, że przewracanie się z boku na bok nie ma sensu; co więcej, mogę zbudzić moją przyjaciółkę, przytuloną do poduszki i śpiącą słodko. Znieruchomiałam i wyobraziłam sobie, że jestem w pustym pokoju, który należy umeblować. Zapełniałam więc przestrzeń najpierw skórzaną sofą w kolorze limonkowym, na której położyłam pasujące do niej jaśki, ikeowskie „malin figur”, a następnie biały puszysty dywan, szklany stolik z orientálną miseczką z potpourri, a zwieńczeniem całości była czarna ława pod telewizor, stojąca między dwiema jednakowymi częściami regału z podświetlanymi półeczkami. Sen w końcu nadszedł, ale nie przyniósł błogiej odskoczni od codzienności, był natomiast kontynuacją tego, co działo się przez ostatnie kilka dni w pracy. Kiedy wreszcie odezwał się zniechęcony alarm, serce jak zwykle o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Półtorej godziny później zmierzałam w stronę dobrze znanego biurowca, zostawiając ślady kozaków na ubłoconej trawie i uklepując dywan pomarańczowożółtych liści, które wraz z końcem października coraz gęściej zdobiły warszawskie chodniki.

Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, rozejrzałam się dookoła i pomyślałam, że przykro byłoby nagle utracić to wszystko, do czego zdążyłam przywyknąć. Cały sekretariat wraz z jego wyposażeniem, meblami, urządzeniami biurowymi, osobnym wejściem do gabinetu szefa, a także drzwiami z wiecznie poruszającą się klamką, stały się nierozdzielną częścią mojego życia. Często irytowało mnie zachowanie współpracowników, ale nie potrafiłam wyobrazić sobie sytuacji, że nagle moje miejsce zajmie wśród nich inna dziewczyna, która w rolę sekretarki wejdzie równie szybko, jak szybko pójdą w niepamięć zapisane przeze mnie cyferki w dzienniku korespondencyjnym. Mimo że każda mijająca godzina wydawała się wiecznością, postanowiłam nie przyspieszać biegu wydarzeń i cierpliwie czekać na informację od naczelnika. Kilka razy spoglądałam na zamknięte drzwi jego gabinetu, lecz zdrowy rozsądek nakazywał mi pozostać na miejscu. Do sekretariatu weszła pani Mela i posłała mi chłodne spojrzenie. Ścisnęła w rękach papierową teczkę. Wiedziałam, że jest to coś pilnego, ponieważ każdy tego rodzaju dokument dostarczany naczelnikowi przez panią Melanię objęty był ścisłą tajemnicą, nawet jeśli później okazywało się, że są to jedynie wnioski urlopowe pracowników lub bieżące zestawienia finansowe.

Pani Mela subtelnie wykonała skręt w kierunku drzwi naczelnika, przez co wprawiła w ruch swoją jedwabną, rozkloszowaną spódnicę, sięgającą tuż za kolano.

Zamarłam, jak zawsze zresztą, gdy na horyzoncie pojawiała się ta kobieta. Nigdy nie wiedziałam, czego mogę się po niej spodziewać. Jednego dnia udawała najlepszą przyjaciółkę, a następnego zachowywała się jak najgorszy wróg. Po chwili wyszła ze spotkania z panem Pawłem. Uniosłam głowę znad dziennika i spojrzałam na nią, a serce zabiło mi mocniej.

– Karolinko, zarejestruj, proszę, to pismo. Musimy je szybko wysłać do kadr – powiedziała stanowczo, a jej cienki głos zaświszczał mi w uszach.

– Dobrze, już rejestruję – odpowiedziałam, biorąc do ręki teczkę. Tę samą, która kilka minut temu powędrowała do rąk szefa.

Rozwiązałam starannie zrobiony supeł i zajrzałam do środka.

„Wniosek o przedłużenie umowy z Karoliną Lubczyk” – przeczytałam i własnym oczom nie wierzyłam.

Hurra! Zostaje! Wiedziałam przecież, że nie od razu dadzą mi umowę na czas nieokreślony, ale wszystko zmierzało we właściwą stronę.

„Skladam wniosek o zawarcie z panią Karoliną Lubczyk, sekretarką Wydziału Teleinformatycznego, kolejnej umowy na czas określony. Wyżej wymieniony pracownik wykonuje swoje obowiązki starannie i sumiennie, dlatego wnoszę o przedłużenie umowy na sześć miesięcy”.

W lewym dolnym rogu widniał zamaszysty, utrwalony niebieskim atramentem podpis pana Pawła, jeszcze świeży, bo łuk przecinający prostopadłą linię, z którą wspólnie tworzył gigantyczną literę P, upuścił po drodze niewielkiego kleksa.

Skończyłam czytać, a w miejscu przeznaczonym do wpisania liczby dziennika nadałam kolejny numer.

Kiedy skończyłam, włożyłam pismo do teczki i oddałam pani Meli. Wyszła z sekretariatu, zostawiając mnie sam na sam z kłębiącymi się w głowie myślami, a gdy miałam pewność, że na dobre zniknęła mi z horyzontu, pobiegłam do Irminy podzielić się dobrą nowiną.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się cieszę! Co za ulga... – powiedziałam.

– Super! Cieszę się razem z tobą! Tylko dlaczego tak dziwnie przedłużyli? Na pewno na sześć miesięcy a nie na rok?

– Na razie na sześć, a potem pewnie na rok, a może już na stałe...? – Dzieliłam skórę na niedźwiedziu.

– No, miejmy nadzieję, że tak. Naczelnik to fajny facet i na pewno cię lubi, więc nie musisz się niczego obawiać. Wystarczy, że będziesz się koło niego kręciła i wykonywała swoje obowiązki. Powiem ci w tajemnicy, że Aneta nie była dobrą sekretarką, a ty masz w sobie dużo klasy i właśnie tym nadrabiasz.

– Cieszę się, że tak uważasz. – Zarumieniłam się lekko. – Myślisz, że powinnam pójść do naczelnika i osobiście mu podziękować?

W tej instytucji każdy, nawet najmniejszy ruch, zanim został wcielony w życie, musiał być dobrze przemyślany.

– Leć, kochana, do niego, na pewno będzie mu miło! – przekonywała Irmina.

Chwilę potem zapukałam do gabinetu szefa. Pan Paweł siedział jak zwykle przy biurku, zadumany nad treścią dokumentu będącego częścią stosu pism, które wyszły spod pióra jego podwładnych.

– Tak, pani Karolino? – Spojrzał na mnie.

– Panie naczelniku, chciałabym podziękować za daną mi szansę.

– No właśnie, pani Karolino. Wiem, że praca w sekretariacie jest dla pani nowym doświadczeniem. Nie ukrywam, że widzę pewne niedociągnięcia, lecz posiada pani predyspozycje, by w przyszłości stać się naprawdę dobrą sekretarką.

– Zapewniam, że się postaram, panie naczelniku. Jeszcze raz dziękuję.

Podaliśmy sobie ręce, jak wtedy, kiedy przyjmowano mnie do zespołu. Teraz jednak miałam na koncie niewielki, lecz pożyteczny bagaż doświadczeń i ode mnie zależało, jak go spożytkuję.

Wyszłam z sekretariatu, aby podzielić się dobrą wieścią również z Mateuszem, kiedy na korytarzu spotkałam wracającą z domu panią Melę. Nawiązałyśmy kontakt wzrokowy, a moja koleżanka wykrzesła z siebie delikatny uśmiech, co zobligowało mnie do rewanżu. Kiedy mijałyśmy się na korytarzu, pani Mela uniosła w górę dłoń, jak gdyby szykowała się do złożenia przysięgi, i nagle przybiła mi piątkę, czym zaskoczyła mnie jeszcze bardziej. Wtedy uznałam, że wreszcie dołączyłam do drużyny.

Cieszyłam się jak dziecko obdarowane wymarzoną zabawką, którą tygodniami podziwiał na sklepowej witrynie. Kiedy zostałam sama, nabrałam powietrza i wypuściłam je, uświadamiając sobie, że tego dnia spadł mi z pleców ciężar wątpliwości. Miałam ochotę pobiec do Józefiny, Kingi, starszych pań z kancelarii i do pozostałych budżetowych, ale zamiast tego włączyłam internet i zaczęłam szukać restauracji, do której zaproszę Natalię, by wspólnie z nią uczcić swój mały sukces.

Moje życiowe pasje nie miały nic wspólnego z bud-żetówką. Odnosiłam wrażenie, że ludzie uznali mnie za outsiderkę. Koleżanki z pracy nie interesowały się Davidem Lynchem i jazzem, a jedyną literaturą, jaka przechodziła z rąk do rąk były tanie romansidła, dostępne w każdym kiosku. Tym bardziej nie wierzyłam, że po weekendzie kogokolwiek zainteresuje moja sobotnia eskapada z jeszcze bardziej zwariowaną ode mnie Natalią. Zaczęłam się nawet bać, że z biegiem czasu mury tej instytucji odgradzą mnie od pasji i zamienią w bezbarwną jednostkę, żyjącą od weekendu do weekendu.

Postanowiłam przez najbliższe dwa dni nie myśleć o pracy i poświęcić się temu, co lubię najbardziej.

W sobotę pojechałyśmy z Natką do Sheesha -Lounge, jednego z naszych ulubionych arabskich klubów, w którym orientalne dźwięki płynące prosto z głośników didżeja, paleta smaków tytoniu dodawanego do fajki wodnej i kilkustronicowe alkoholowe menu były zawsze na wyciągnięcie ręki. Około dwudziestej weszłyśmy do klubu i po przebicciu się przez gęstą mgłę o jabłkowo-miętowy zapachu dotarłyśmy do zarezerwowanego stolika. Kiedy rzuciłyśmy okiem na kartę dań, zjawił się dobrze nam znany kelner Rashed z niewielkim kajecikiem i miniaturowym ołówkiem.

– Poprosimy jedną dużą sziszę – powiedziałam.

– Może z zieloną herbatą? – spytała Natalia.

– *Great idea!* – Z entuzjazmem kiwnęłam głową. – I jeszcze karafka czerwonego wytrawnego. Coś do jedzenia?

– Jestem za.

– Czyli szisza, karafka i roladki tortillowe z serkiem czosnkowym i rukolą. Tyle na początek.

Czekając na zamówienie, rozglądałyśmy się po sali i podziwiałyśmy kolorowe szisze piętrzące się nad blatem baru, aż zatrzymałyśmy wzrok na brunetce z różową cyrkonią w pępku. Szczupła dziewczyna, przepasana chustą z monetami, które brzęczały wraz z rytmicznym kołysaniem bioder, prezentowała taniec brzucha.

– Jak miło jest odpocząć w końcu od pracy... – westchnęłam.

– No widzisz? Zaslubiłaś sobie – stwierdziła Natalia.

– Szkoda, że weekend trwa tylko dwa dni. W zasadzie niedziela jest dniem straconym, bo człowiek wie, że jutro wszystko zacznie się od początku. Wiesz, co zauważyłam? Ludzie, z którymi pracuję, są pozbawieni osobowości. Nie mają żadnych oczekiwań wobec życia, żadnych wznioślejszych ambicji. Nie to, co my.

– No, ale mówiłaś, że masz fajnego kolegę, buddystę.

– Można go nazwać wyjątkiem potwierdzającym regułę. Poza tym nie zauważyłam nikogo, kto byłby choć trochę barwny.

– A ja na brak ciekawych okazji nie narzekam.

Głodna jak wilk Natalia pożerała wzrokiem menu.

– À propos, rozmawiałaś z facetem, którego uczysz niemieckiego? – spytałam.

– Ta... – burknęła Natka i spochmurniała. – Oznajmiłam mu stanowczo, że na zajęciach przerabiamy ustalony przeze mnie materiał, a jeśli chce, abym wykonywała dla niego tłumaczenia, mogę to robić za dodatkową stawkę. Powiedziałam mu, ile biorę za stronę, na co on stwierdził, że w tej sytuacji zmuszony jest zrezygnować z moich usług.

– Nie wierzę! – oburzyłam się. – Ale palant.

Wrócił kelner z zamówieniem, a ja porwałam z tacy dopiero co przyniesioną karafkę wina i drżącą ręką (z wściekłości spowodowanej sytuacją Natalii, a nie z powodu głodu alkoholowego) rozlałam zawartość do dwóch kieliszków.

– I co ty na to? – spytałam.

– Że podtrzymuję swoje zdanie. Trudno, o jednego klienta mniej – powiedziała. Chwyła ustnik i zaciągnęła się tytoniem o smaku zielonej herbaty.

W momencie gdy aromatyzowany dym trafił do płuc Natalii, szklane naczynie fajki wprawilo w ruch znajdującą się wewnątrz wodę, tworząc bąbelkową erupcję.

– Przykro mi, będziesz mieć mniej kasy. – Wzięłam czarną rurkę zawiniętą wokół sznury i też pociągnęłam.

– Nie lubiłam tego palanta. Mam jeszcze dwie babeczki z kancelarii adwokackiej, które uczą się angielskiego, i grupkę smarkaczy. Szlifuję też rosyjski, żeby za jakiś czas i z niego dawać lekcje. Muszę się z czegoś utrzymać.

– Powiem ci, że z twoim talentem do języków powinnaś już dawno pracować w jakiejś zagranicznej korporacji.

– Jak widać, to nie takie proste. Dzisiaj większość osób zna języki i ma wyższe studia, ale trudno jest się gdziekolwiek dostać bez znajomości. Mój kolega ze studiów jest analitykiem biznesowym, i to na kontrakcie, a nie na umowie o pracę. Śpi po cztery godziny dziennie i pije więcej kawy niż bariści. Ciesz się, że pracujesz na etacie. To o wiele pewniejsze niż ten cały syf zwany korpo.

– Może, ale budżetówka też ma swoje minusy. Tam jest taka mordercza biurokracja, że niedługo będę musiała poprosić o pozwolenie na oddychanie. Nie wolno mi opuszczać sekretariatu, nawet do toalety, bez powiadomienia szefa. Nie mogę jak normalni ludzie pójść na stołówkę, więc jem w sekretariacie. Nie daj Boże, pod nieobecność naczelnika zadzwoniłby dyrektor, a ja akurat miałabym usta zapchane kotлетem. Moja koleżanka Józefina, też sekretarka, mówiła, że ona wypluwa wtedy jedzenie do kosza i biegnie odebrać tak zwaną szybką linię telefoniczną. Z początku się z tego śmiałam, ale ostatnio przyłapałam się na tym, że sama zaczęłam tak robić. Że nie wspomnę nawet o tej całej Meli, która wiecznie patrzy mi na rękę. Koszmar.

– Przecież w państwówce sekretarki siedzą tylko przy biurku i piją paznokcie? – zażartowała Natalia.

– Może w sekretariacie dziekanatu, bo u nas nie ma na to czasu – odgryzłam się.

Plotkowałyśmy o życiu, sącząc wino i delektując się zamówioną w drugiej turze mechouią, czyli tunezyjską sałatką z tuńczykiem, harissą, jajkiem oraz pokrojonymi w kostkę pomidorem i ogórkiem, którą jadło się w formie papki, nabieranej kawałkiem ciepłego pieczywa.

Procenty zaczynały nam krążyć w krwiobiegu i budziła się w nas coraz większa



śmiałość do poruszania różnych tematów.

– Karolina, mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj – powiedziałam, biorąc rollsa do ust.

Natka wbiła wzrok w blat stolika.

– Ile ty właściwie zarabiasz?

Całe życie mi wpajano, że nie należy poruszać dwóch tematów. Jednym była polityka, a drugim pieniądze. Rozmawianie o polityce psuło relacje międzyludzkie i zawsze prowadziło do dziecinnych słownych przepychanek, w przypadku pieniędzy bardziej chodziło o zazdrość. Nie byłam do końca przekonana, czy odpowiadać na pytanie Natalii, a tym samym zdradzić tajemnice mojego paska płac, który co miesiąc rozdawała pani Melania. Ale znałyśmy się z Natką od czasów podstawówki i wspólnie dzieliłyśmy udutki tamtego strasznego okresu, postanowiłam więc wtajemniczyć przyjaciółkę.

– Dwa tysiące dwieście złotych brutto, czyli jakieś tysiąc sześćset z hakiem na rękę.

Natka głośno zagwizdała i oczami w kolorze ciemnego piwa nakreśliła znak tęczy.

– No, to podwyższasz średnią krajową, moja droga.

Ze śmiechem stuknęłyśmy się kieliszkami.

Po godzinie biesiadowania wino z gąsiora znikło. Zamknęłyśmy rachunek w kwocie stu trzydziestu złotych, stwierdzając jednomyślnie, że zabawa nie powinna kończyć się bólem głowy.

Przed wyjściem potańczyłyśmy jeszcze w rytmie *Waka Waka* i *Rabiosa* Shakiry, a także Arasha i wielu innych kawałków przywodzących na myśl wakacyjne szaleństwa, którym oddawałyśmy się kilka lat temu na jednej z tunezyjskich plaż. Byłyśmy młode i szalone, a każdy dzień, jak to bywa w młodym wieku, przeżywałyśmy na maksa.

Po wyjściu z klubu w uszach wciąż nam dudniła perkusja z arabskich kawałków, przy których tańczyłyśmy niespełna dziesięć minut temu. Nie wiedziałam, która z nas jest bardziej pijana, ale nie miało to znaczenia, skoro obie zmierzałyśmy do wspólnego mieszkania, podpierając się nawzajem. W klubie smaliło do nas cholewki kilku stałych bywalców, a reszta prawdopodobnie wzięłaby nas za lesbijki, lecz obie miałyśmy to w nosie. Przynajmniej nie zaczepiali nas faceci, którzy w takich lokalach polowali na łatwą zdobycz.

Trzymałam Natalię za łokieć i próbowałam wyprowadzić nas z dzikich zaułków ulicy Sienkiewicza na bijącą po oczach od kolorowych świateł Marszałkowską. Nagle zatrzymałam się i pociągnęłam Natkę za rękaw.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co się dzieje? – spytała przyjaciółka.

– Przecież wiesz, że ja nie umiem tak wprost. Zawsze muszę trochę poowijać w bawełnę.

– Wiem, ale tym razem zrób wyjątek.

– Chodzi o moją pracę. Poznałam kogoś. Właściwie on tam nie pracuje, ale często do nas wpada.

– Mhm... coś więcej?

– Ma takie nietypowe imię i chyba mi się podoba...

– Czyli?

– Nazywa się Krystian Milewski i jest prezesem dużej firmy informatycznej. Co ty na to? – wyznałam, a następnie przybliżyłam okoliczności naszego poznania.

– Brzmi nieźle! – Szturchnęła mnie w ramię i kazała opowiedzieć sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

W drodze do domu raczyłam ją dykteryjkami o naszych spotkaniach w sekretariacie, chociaż w rzeczywistości nic wielkiego się nie zdarzyło. Kiedy nasz wspólny wieczór dobiegł końca, rzuciłam się w głąbiny chłodnej pościeli. Przed oczami miałam twarz Krystiana, ale nakładały się na nią wspomnienia przykrych chwil w pracy. Skąd w moich współpracownikach tyle infantylnej goryczy? Powzięłam decyzję: zmienię ten wydział. Sprawię, że ja pokocham jego, a on pokocha mnie. Doprowadzę do tego, że słowo sekretarka na zawsze straci pejoratywny wydźwięk. Z tą myślą zapadłam w sen, w którym nawiedziły mnie wizje nowego jutra.

„Czas zaprowadzić tu porządek”, pomyślałam. Skoro sekretariat jest wyremontowany i przedłużyli ze mną umowę, skorzystam z okazji i wprowadzę kilka zmian. Dawne drzwi, obite ciemnobrązową nadprutą już skórą, spod której wyłaniały się fragmenty gąbki w kolorze spleśniałego sera, wedle obowiązującej reguły miały być zawsze otwarte. Teraz zastąpiły je nowe, wykonane z eleganckiego, pseudodrewnianego tworzywa, na tyle delikatne, że mocne pchnięcie o ścianę pozostawiłoby na nich rysy, jak pamiątka po scyzoryku na lśniącej karoserii bardzo drogiego auta. Naczelnik przywiązywał ogromną wagę do estetyki wnętrza, a każdy taki defekt na frontowym wejściu uznałby za afront. Musiałam więc nauczyć „zgraję”, z którą miałam przyjemność (lub nieprzyjemność) pracować, właściwego korzystania z nowych drzwi. Tyle że szybciej nauczyłabym małpę korzystać z chińskich pałeczek, niż przetłumaczyła ludziom z wydziału, że drzwi mają być zamknięte.

Na pierwszy ogień poszedł pan Stasiek, lecz sam był sobie winien, skoro przychodził tak wcześnie do pracy. Jak co dzień wparował do sekretariatu, przy czym omal nie zarył nosem w drewnopodobną blokadę, gdyż nieprzyzwyczajony był do tego, że musi zadać sobie trud i pociągnąć za klamkę.

– A cóż to za nowe zwyczaje? Po co zamknęła pani drzwi? – Nie krył zdumienia.

– No cóż, panie Stanisławie, postanowiłam, że od dziś będziemy zamykać te drzwi

– oznajmiłam stanowczo, a w głębi duszy byłam ciekawa jego reakcji.

Podrapał się po głowie i rozejrzał dookoła, jakby nagle obudził się z głębokiego snu.

– Pani Karolino, jako osoba przychodząca z zewnątrz uważam, że drzwi powinny być otwarte.

– Panie Stasiu, jako osoba będąca wewnątrz, uważam że drzwi powinny być zamknięte – odbiłam piłeczkę.

– Zdaje się, że nie dojdziemy do porozumienia. Czy jest naczelnik?

Odniosłam wrażenie, że za każdym razem, gdy w trakcie zaciętej potyczki słownej przeciwnikom zabrakło argumentów, atakowali mnie pytaniem o szefa.

– Ależ oczywiście, właśnie wrócił z siłowni, zadzwonię i sprawdzę, czy pana przyjmie.

Pan Stasiek parsknął niczym koń na torze wyścigowym i niezbyt dyskretnie zaśmiał się pod nosem. Chwyciłam słuchawkę i dalej postępowałam tak jak zwykle. Łączenie rozmów opanowałam do perfekcji, zrobiłabym to nawet przez sen. Sekretariat wydziału teleinformatycznego, słucham? Pan X prosi o rozmowę z szefem. Pytam rozmówcę o jego nazwisko, firmę oraz sprawę, z jaką dzwoni. Wciskam hold, a następnie incom i magiczny zielony przycisk, pod którym kryje się numer naczelnika. Na koniec informuję pana Pawła, kto dzwoni, i odkładam słuchawkę. Dopóki w telefonie pali się czerwona lampka, dopóty ja mam święty spokój. Jeśli szef nie ma czasu, oznajmiam, że

jest na odprawie albo przebywa poza biurem. Czasem mówię, że naczelnik ma spotkanie z kierownictwem, ale, rzecz jasna, przekażę mu wiadomość.

Zapełniałam kolejne strony notatkami mającymi ułatwić mi pracę. Na przykład: łączność z szefem. Punkt pierwszy: Gdy do szefa przychodzi interesant, a ktoś u niego jest, pod żadnym pozorem nie wpuszczać, chyba że to dyrektor. Punkt drugi: Jeżeli ten interesant ma niezwykle pilną sprawę, należy zadzwonić do szefa i spytać, czy przyjmie tę osobę. Punkt trzeci: Kiedy szef rozmawia przez telefon, a w moim aparacie pali się czerwone światło, nikogo nie łączyć ani nie wpuszczać. Punkt czwarty: Gdy szef nie może lub nie chce rozmawiać, poprosić interesanta, by zadzwonił później. Punkt piąty: Gdy ktoś dzwoni z pytaniem merytorycznym, podać mu numer do specjalisty i nie zwracać głowy szefowi.

Upewniłam się i przekazałam panu Staškowi, że może swobodnie wejść do środka bez obawy, że zastanie pana Pawła w mokrej bluzie od dresu. Rozmawiali przy otwartych drzwiach nie więcej niż pięć minut, ja w tym czasie wyjęłam z szafy następny liczący dwa lata dziennik, do którego miałam przyczepić kolejne karteczki i który miał spocząć na biurku obok swego poprzednika.

Po chwili pan Stanisław opuścił sekretariat, a naczelnik wyłonił się gabinetu z dobrze mi znaną miną i błyskiem w oczach, co mogło oznaczać tylko jedno: znowu wpadł na genialny pomysł.

– Pani Karolino – powiedział i obdarzył mnie dziwnym uśmiechem. – W miejscu, gdzie stoi drukarka, należy postawić dwa wyściełane krzesła. Zrobimy tu poczekalnię dla interesantów, taką samą, jaka jest w gabinetach dyrektorów.

– Hmm... A gdzie wobec tego stanie nasza olbrzymia drukarka? – spytałam pełna obaw.

– Pod oknem, koło pani biurka jest sporo miejsca. – Wskazał palcem przez moje ramię.

– W zasadzie mogłaby tam stać... – Niby cóż innego mogłam odpowiedzieć?

– Tak, to świetna myśl! – przyklaskiwał sam sobie. – Proszę zamówić te krzesła.

– Oczywiście, panie naczelniku. Wyślę odpowiednie pismo do Wydziału Zaopatrzenia i Obsługi.

Otworzyłam w komputerze czysty dokument i napisałam: Zwracam się z uprzejmą prośbą o zamówienie dwóch krzesel z jasnego drewna wyściełanych welurowym obiciem w kolorze wiśni. Wyżej wymieniony sprzęt kwaterunkowy jest koniecznym elementem wyposażenia sekretariatu i przyczyni się do ogólnej poprawy wizerunku wydziału.

Wyskrobane naprędce pismo, podpisane przez szefa, zeskanowałam, a następnie wysłałam do kobiety, która siedziała cztery pokoje dalej. Ani jego celowość, ani logiczny sens nie miały znaczenia. Jako trybik produkujący i odbierający każdego dnia dziesiątki podobnych treści, dawno przestałam się nad tym wszystkim zastanawiać. Tej samonakręcającej się spirali absurdu nie dało się ot tak zastopować. Jakikolwiek przejaw buntu czy próba protestu wobec absurdalnej biurokracji w oceanie produkcji wirtualnych danych pozostałyby niezauważone. Byłam tego świadoma i miałam nadzieję, że inni również (bo inaczej byłoby to przerażające). Musiałam dokonać umysłowej amputacji i bez szemrania wykonywać powierzane mi zadania z myślą o regularnym zasilaniu

mojego konta w banku.

A może by tak jeszcze zamówić serwis kawowy? – pomyślałam.

Zrobiłam rekonesans w szafce i wszystkie stare, wyszczerbione lub zdekompletowane naczynia wyłożyłam na biurko. Postanowiłam wyrzucić stare, by zrobić miejsce nowym, a te najrzadziej używane upchnęłam w tak zwanej szafce miszmasz, obok plastikowej choinki z przyczepionymi kolorowymi bombkami, raz w roku stawianej na brzegu biurka w sekretariacie, obok bindownicy i laminarki, a także materiałów biurowych, czyli kopert i znaczków pocztowych, niedbale powrzuconych do kartonowego pudełka, o którym przypominano sobie wtedy, gdy asortyment z szuflady niespodziewanie się wyczerpał.

Napisałam więc kolejne pismo z zamówieniem nowego serwisu kawowego, składającego się z sześciu kompletów filiżanek, cukiernicy, srebrnych łyżeczek oraz tacy, potrzebnych dla poprawienia wizerunku wydziału i zadowolenia petentów załatwiających tu interesy wagi państwowej.

Miałam nadzieję, że pan Paweł zaakceptuje moją prośbę i podpisze pismo – i się nie myliłam. Szef stwierdził, że on podpisać może, ale czy zaopatrzenie zakupi towar, to już inna sprawa. Czekałam kilka dni i doczekałam się – pracownik Wydziału Zaopatrzenia i Obsługi osobiście pofatygował się na górę i przyniósł pudło pełne porcelany.

Niesamowite, jak to działa. Można mieć wszystko, czego dusza zapagnie, ponieważ jest to niezbędne do prawidłowego funkcjonowania biura. W koszty można było wpisać naprawdę każdą rzecz. Masa prezentów podstępnie schowana w rocznym budżecie.

Z czasem zaczęłam zamawiać coraz śmielej, na przykład kuchenkę mikrofalową dla Baśki, żeby mogła podgrzewać kanapki bez wychodzenia z pokoju, dwa podnóżki dla pani Meli i Soni, by zadbały o prawidłowe krążenie, skoro większość czasu spędzały w pozycji siedzącej, a także nowy wiatrak dla Irminy, której gorący temperament najwyraźniej osłabił działanie poprzednika. Cieszyło mnie sprawianie im tych prezentów, gdyż miałam wrażenie, że dzięki temu jestem bardziej doceniana w pracy. Przekonałam się, że wrażenie to było niestety bardzo subiektywne.

Krótko po tym, jak pracownik magazynowy, który pozostawił po sobie silną woń wydobywającą się z zakamarków szarego podkoszulka, dostarczył do sekretariatu dwa wyściełane krzesła, zaczęły się problemy. Ulokowanie maszyny wielofunkcyjnej tuż obok mojego biurka okazało się złym pomysłem – ale pan Paweł, który w wybranym miejscu postawił krzesła dla gości, w ogóle się tym nie przejął.

Pierwotnie maszyna stała przy ścianie, w dopasowanej do swoich gabarytów wnęce, tuż obok drzwi wejściowych do sekretariatu, by każdy wchodzący do środka pracownik mógł z niej korzystać bez trudu. Teraz maszyna wylądowała pod samym oknem kilkanaście centymetrów od mojego biurka. Powodowało to dyskomfort zarówno dla tych, którzy potrzebowali z niej skorzystać, jak i dla mnie, ponieważ nie miałam już ani grama prywatności. Wszystko po to, by zaspokoić ambicje naczelnika, który ubzdurał sobie, że sekretariat powinien dorównać elegancją Parlamentowi Europejskiemu.

Za sprawą nowego rozkładu mebli oraz innych udrziwień Pawła, który, póki co, posłem jeszcze nie był, poprzestawiały się także moje relacje z ludźmi, szczególnie na płaszczyźnie komunikacyjnej.

Szef wprowadził zwyczaj przynoszenia listy obecności, po godzinie ósmej. Kiedy brakowało czyjegoś podpisu, naczelnik od razu pytał mnie, czy dana osoba jest w pracy, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chodziłam więc rano po pokojach i sprawdzałam frekwencję. Jeśli ktoś się nie podpisał, podtykałam mu listę i prosiłam o autograf. Z czasem to ciągle pilnowanie stało się męczące. W dodatku notoryczne spóźnienia pani Melanii, na które nikt (tym bardziej pan Paweł) nie reagował, zaburzały nowy porządek.

– Chyba trochę przesadzasz – powiedziała któregoś razu władcym tonem, kiedy nie zastała listy na stałym miejscu. Musiała pofatygować się po nią do gabinetu przełożonego.

– Szef chce mieć listę u siebie, gdy wybije ósma – broniłam się.

Pani Mela wzruszyła ramionami i z dziwną miną wkroczyła do gabinetu naczelnika, by postawić parafkę. Gdy wyłoniła się stamtąd po chwili, nie zaszczyciła mnie spojrzeniem, poprawiła jedynie pukiel dla odmiany wysoko upiętych włosów, pogładziła wpiętą tuż przy szerokim dekolcie broszkę w kształcie smoka i ostentacyjnie wyszła z sekretariatu. Zastanawiałam się, czy starannie co dzień wybierała świecidełko? Może uzależniała wybór od faz księżycy albo nastroju? Kiedyś przypięła sobie motyla i wydawało mi się, że emanuje sympatią. Dziś była ziejącą ogniem smoczycą, co z uwagi na bujne kształty nawet do niej pasowało.

To tylko małostkowa kobieta, która za wszelką cenę stara się utrzymać swoją pozycję, pomyślałam. Pracowała na nią wiele lat i teraz nie może po prostu potulnie chwycić za długopis i podpisać się w miejscu znaku zapytania. Duma i koneksje nie pozwalały jej przyznać się do błędu, ale ja musiałam robić swoje, bez względu na przykre konsekwencje. Przełknęłam ślinę i energicznym krokiem ruszyłam w stronę ukrytego za

monitorem pana Pawła.

– O właśnie, pani Karolino, może już pani zabrać listę. – Wyglądał na zakłopotanego.

– Skoro o tym mowa, panie naczelniku, pragnę coś wyjaśnić – zaczęłam.

– Tak? Słucham. – Spojrzał na mnie.

– Prosił pan, abym codziennie przynosiła panu listę obecności. Rozumiem, że jeżeli ktoś się spóźni albo zapomni podpisać, to jego problem? Czy też powinnam sprawdzać wcześniej, czy wszyscy są, zanim położę listę na pańskim biurku?

– Jak pani uważa. Może pani dla świętego spokoju przejść się po pokojach i pokiwać palcem na zapominalskich – zaśmiał się.

– Aha... Pytam, ponieważ wielu nie kryje niezadowolenia, gdy spóźnieni próbują przemknąć się cichaczem, a koniec końców lądują u pana w gabinecie. Kazał pan przynosić listę tuż po ósmej, więc przynoszę, ale pani Mela uważa to za przesadę – zaryzykowałam.

– No tak, faktycznie, pani Karolino, ma pani rację.

Wyglądało na to, że pan Paweł za nic w świecie nie chciał się jej narazić, co było absurdem, bo przecież to on tutaj rządził.

Minęło kilka dni i relacje z panią Melą znowu się ociepliły. Zawsze przed końcem dnia pracy miałam do zrobienia mnóstwo rzeczy. Nie było mowy, żebym wyszła o czasie. Zza drzwi dobiegały mnie kroki kolegów, którzy zmierzali do swoich domów. Mateusz niepostrzeżenie wymykał się jako pierwszy, a Sonia zwykle wracała z panią Melą. Baśka pędziła przed siebie, by jak najszybciej wskoczyć do swojego auta, a szalona Irmina dyskutowała z kimś przez komórkę. Filip przeważnie wracał z panem Staśkiem, a Marek bujał w obłokach, instalując po godzinach nowe aplikacje. Ja tymczasem musiałam dokończyć rejestrację superpilnych pism, tradycyjnie przynoszonych za pięć czwarta, zamknąć dokumenty w szafie pancерnej i podlać kwiat, którego bujne, zwisające pędy zbliżały się do podłogi.

Poszłam do toalety napełnić pustą butelkę.

– No to pięknie – westchnęłam, gdy stałam przy umywalce i czekałam, aż płynąca z przerdzewiałych rur ciecz przybierze w końcu barwę krystalicznie czystej wody.

Naczelnik wracał właśnie z odprawy i nie wiadomo dlaczego, zainteresowało go moje dreptanie w miejscu.

– Co się stało, pani Karolino?

– Chciałam podlać kwiatki, ale chyba nic z tego.

– Może to whisky? – zażartował szef, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w strumień rudawej wody, wypływający z kranu służbowej łazienki.

Zamiast odpowiedzieć, zachichotałam.

– A propos, proszę porozmawiać z Melanią, żeby niczego nie szykowała na moje imieniny. Będzie catering.

Otworzyłam szeroko oczy. Imieniny? Catering?

– Oczywiście, panie naczelniku, przekażę.

Zanim poszłam do pani Meli, wróciłam do pokoju i spojrzałam w kalendarz. Szesnastego listopada – imieniny Pawła. Przekonałam się właśnie, że zatrudnienie

w budżetówce wiązało się z przymusem obchodzenia imienin w pracy.

Przez uchylone drzwi zobaczyłam, że moja koleżanka nie poszła jeszcze do domu.

– Pani Melu, mogę na chwilkę? – spytałam pokornie.

– Proszę, Karolinko – odpowiedziała z uśmiechem, co tylko bardziej mnie zestresowało.

– Naczelnik wspomniał coś na temat swoich zbliżających się imienin. Podobno będzie zamówiony catering, prosił więc, żeby nic nie szykować.

Dla własnego bezpieczeństwa starałam się nie podkreślać tego, że pan Paweł rezygnuje z uczynności pani Melanii, naświetliłam sprawę bez wdawania się w szczegóły.

– Dobrze, ustalę to z nim. – Starła się zachować kamienną twarz. – To już za kilka dni, więc jako sekretarka powinnaś pamiętać o imieninach szefa.

Tak, tylko że imieniny Pawła przypadają chyba kilkanaście razy w roku, skąd niby miałam wiedzieć, że to właśnie teraz?

– Jeżeli mogę się do czegoś przydać... – zawiesiłam głos.

– Trzeba udekorować salę bankietową i przygotować stoły. – Jak widać, nie dała za wygraną.

– Chętnie pomogę – dodałam.

– Pomyślę nad tym.

Pani Mela potakiwała głową sama do siebie. Szykowała się już do wyjścia, a mnie dała do zrozumienia, że chce zostać sama.



Sala konferencyjna była już udekorowana. Dwa rzędy stołów przykryto białymi obrusami, a pod ścianą stał bufet z przekąskami, których nie powstydzilby się czterogwiazdkowy hotel. Ciekawa byłam, ile pieniędzy wyłożono na to przyjęcie. Na salaterki z nóżkami w galarecie, rzędy kartonów soków owocowych i setki białych plastikowych kubeczków, liczne rodzaje ciast oraz złote piramidy utworzone z ekskluzywnych czekoladek, na półmiski z sałatką warzywną udekorowaną pociętym szczypiorkiem i rzodkiewkami w kształcie małych różyczek.... Suto zastawiony stół przywodził na myśl tradycyjne polskie wesele, na którym uśmiechnięci od ucha do ucha goście klepią się po plecach i wlewają do gardła kieliszki wódki.

Naczelnik miał gest, nie wziął od nas ani złotówki na zorganizowanie wystawnego przyjęcia z okazji swoich imienin. W budżetówce pieniądze na nagłe wypadki zawsze się znajdują.

Pani Melania przeszła samą siebie – udekorowała salę kolorowymi balonikami i wyłożyła rzędy plastikowych talerzy. Była jednocześnie gospodynią i królową balu. Zastanawiałam się, jak taka chłodna osoba jest w stanie sprawiać wrażenie, że posiada tyle seksapilu.

Oprócz naszego wydziału zjawilo się kilku naczelników, z którymi pan Paweł konsultował się w sprawie pism dekretowanych przez dyrektora, oraz kilku przedstawicieli firm, którzy prowadzili z nim interesy i którym przy każdej nadarzającej się okazji podsuwał szkło wypełnione koniakiem. Wśród nich był, rzecz jasna, Krystian Milewski, prezes Indygo.

– Witaj, Kris! Łelkam! – odezwał się pan Paweł, który w towarzystwie chciał być postrzegany jako osoba błyskotliwa, wręcz światowa.

Naczelnik w porównaniu z gościem wypadł blade, ponieważ jego chropowaty głos, nieustannie podlewany morzem alkoholu, zabrzmiał jak ryk dobywający się z gardła słynnego serialowego dozorca PRL podczas witania delegacji z krajów Trzeciego Świata.

Krystian miał na sobie beżowy płaszcz z delikatnego zamszu oraz solidne kasztanowe buty, które jak u żołnierza dźwięcznie stuknęły o drewnianą podłogę w rytm kroków, jakie stawiał ich dumny właściciel. Miałam wrażenie, że widzę tylko jego, a przestrzeń wokół wypełnia zbiorowisko niewyraźnych postaci, które są jedynie tłem.

Biło od niego chłodem, niezwykle pociągającym. Nie wiem dlaczego, ale najbardziej podobał mi się właśnie wtedy, kiedy mnie ignorował, choć zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, bo zajęty był rozmową z innymi gośćmi lub wyławianiem wzrokiem ciasteczek, do których miał, jak zauważyłam, ogromną słabość.

Krystian po prostu taki już był. Zbyt pochłonięty rozmową, która go pasjonowała, albo zbyt uprzejmy, by zignorować tego, kto zwyczajnie go nudził. W tak liczny gronie nie miałam szans, aby zamienić z nim choć słowo. Stałam więc z boku, gawędząc z Irminą, i dyskretnie obserwowałam naczelników, którzy trzymali w ręku szklanki

z napojami owocowymi (jakim cudem to nie był alkohol?) i ani na moment nie przestawali mówić o pracy.

Po kurtuazyjnej wymianie uprzejmości, kiedy już wszyscy ważni goście wystrojeni w odświętne garnitury podali sobie ręce, zasiedliśmy do stołu. Krystian usiadł daleko ode mnie, ale za to mogłam bez skrępowania na niego zerkać. Na jego widok czułam łaskotanie w żołądku, które tłumaczyłam sobie prozaicznym głodem.

Obok siebie miałam Mateusza, Irminę i pana Stanisława, siedzący zaś u szczytu stołu naczelnik otoczony został wianuszkami pochlebców, czyli towarzystwem wzajemnej adoracji z panią Melą i Sonią na czele.

Uzmysłowiłam sobie, że stół jest najlepszym przykładem tego, w jaki sposób ludzie dobierają się między sobą i kto z kim je ze wspólnego talerza. Obowiązek uczestnictwa w imieninach szefa niezmiernie mnie irytował, bo w głębi serca wiedziałam, że większość wymienianych między sobą uśmiechów była fałszywa. Poza tym źle się czułam na pseudorodzinnych spędach.

Po godzinie sztywnego trzymania rąk na stole i dyskretnego spożywania, naczelnik uderzył łyżeczką o szklanke. Szum rozmów natychmiast ucichł, a pan Paweł wstał z krzesła i z miną kandydata na amerykańskiego kongresmena zaczął przemówienie.

– Szanowni państwo, przede wszystkim chciałbym podziękować wam za to, że mogę znaleźć się w tak zacnym gronie. Jest mi niezmiernie miło, że siedzimy tutaj razem, i mam nadzieję, że za rok spotkamy się w podobnym składzie.

Wtem dostrzegłam panią Melę, jak wycofuje się po angielsku ze swojego miejsca i biegnie na paluszkach po bukiet żółto-czerwonych tulipanów, który wcześniej kupiła w imieniu całego wydziału i zostawiła w wazonie. Cieszył mnie taki obrót spraw, bo nigdy nie lubiłam być w centrum wydarzeń. Zdumiewało mnie, że chociaż zadanie to zwykle powierzano sekretarkom, właśnie tej kobiecie przypadły wszystkie zaszczyty. Musiała mieć naprawdę duże poparcie u pana Pawła, skoro samowolnie podejmowała się tego rodzaju zadań.

Kiedy przemowa dobiegła końca, pani Melania stanęła na wprost przełożonego i z dumą wręczyła mu kwiaty. Pan Paweł odebrał je i uraczył ją obowiązkowym pocałunkiem w policzki, cmok, cmok, cmok. Następnie wznieśliśmy toast szampanem, po czym kilkoro gości kontynuowało go sokiem pomarańczowym, rozcieńczonym czterdziestoma procentami.

– No to teraz sobie potańczymy! – Naczelnik klasnął w dłonie i potarł nimi o siebie, jakby szykował się do upolowania jakiejś zwierzyny. Po chwili podszedł do Soni, chwycił lepką ręką jej niewielką dłoń i pociągnął tak, że mało nie wyłamał stawu. Anna Jantar śpiewała „Przetańczyć z tobą chcę całą noc”, a ja nienawidziłam takiej muzyki, ponieważ kojarzyła mi się z wiejskimi weselami, a co za tym idzie, z tabunem mężczyzn w białych wymiętych koszulach, kołyszających się przy drewnianym stole, którzy wraz z kolejnym kieliszkiem luzowali krawaty pod szyją. Stwierdziłam, że imieniny w budżetówce są swego rodzaju wehikułem czasu, który na jeden wieczór przenosi wszystkich czterdzieści lat wstecz. Ani dwudziesty pierwszy wiek, ani postęp technologiczny nie zdołały wypenić z ludzi peerelu, który ich zdaniem był najlepszą rzeczą, jaka im się przydarzyła. I nawet jeśli adapter zastąpiono nośnikiem CD, kultura muzyczna pozostała ta sama.

Nawet remont nie mógł zmienić dekoracji królujących w pokojach budżetówki. Dla nich lata siedemdziesiąte nie były wyłącznie wspomnieniem, lecz trwały do dziś.

Stanęłyśmy z Irminą przy oknie, aby oszczędzić sobie widoku rachitycznych figur, które naczelnik wywijał w tańcu z Sonią.

Nagle tuż za moimi plecami usłyszałam głos.

– Cześć – przywitał się z uśmiechem.

– Witam – odwzajemniłam powitanie i uśmiech.

W obecności Irminy czułam się skrępowana, zdecydowałam więc, że witam będzie na tyle uniwersalne, że ani Krystian nie zorientuje się, iż przeszłam na formę oficjalną, ani moja koleżanka nie zacznie drażnić tematu bruderszaftu. Niespodziewanie Irmina (na pewno dostrzegła moje zarumienione policzki) okazała się osobą taktowną i z kieliszkiem szampana pobięła do pana Stanisława. Właśnie usiłował poluźnić pasek od spodni, gdy zafundowała mu w lewe ucho głośne buuu! Tak czy inaczej, Krystian i ja zostaliśmy sami.

– Niezła impreza. Nawet w naszej firmie nie urządzamy równie wystawnych przyjęć. Ale to głównie dlatego, że musimy wyklądać wszystko z własnej kieszeni – zagaił.

„Ciekawe, skąd budżetówka czerpie zasoby finansowe?”, pomyślałam.

– Jak ci się żyje z Pawłem? Fajny gość, co nie? – kontynuował.

– Chyba chciałeś powiedzieć, jak mi się z nim pracuje – poprawiłam z uśmiechem.

– Nie mogę narzekać, zwłaszcza teraz, kiedy przedłużył moją umowę.

– Gratulacje! Musimy to uczcić. Czego się napijesz? – zaproponował.

– Dziękuję, nie powinnam pić alkoholu, bo szef może czegoś ode mnie potrzebować – powiedziałam w złą godzinę, bo raptem zobaczyłam przed sobą pana Pawła. Jego czerwona twarz, świńskie oczka oraz błyszczący nos, zdecydowanie kontrastowały z subtelnym wizerunkiem Krystiana.

– Pani Karolino, niech mi pani przyniesie porządny kawałek ciasta czekoladowego, bo zaraz wszyscy się rzucą i nic nie zostanie, a ja zajmę się moim ulubionym gościem.

Właśnie przypisał mi określoną rolę na tym wystawnym bankiecie. Nie byłam gościem ani nawet sekretarką, raczej kimś pomiędzy kelnerką a dziewczyną na posługi. Ale cóż począć, w końcu podpisał moją umowę.

– Już idę, panie naczelniku.

Jeszcze raz spojrzałam na Krystiana i odeszłam rozczarowana, że nasza rozmowa trwała tak krótko. Miałam wrażenie, że on również żałuje, ale zwykle widzimy to, co chcemy zobaczyć, a więc równie dobrze mogłam to sobie wyobrazić.

Podeszłam do stołu, szukając wzrokiem ciasta czekoladowego, o które prosił naczelnik. Nie znalazłam, podeszłam więc do pani Melanii, która stała wraz z Sonią i Barbarą, plotkując w najlepsze.

– Pani Melu, gdzie jest ciasto czekoladowe? Naczelnik zażyczył sobie kawałek. Może pani swoim sokolim wzrokiem je wypatrzy? – zapytałam, lekko się przy tym podlizując.

– Oj, Karolinko, obawiam się, że już się skończyło. No cóż, powiedz mu, że nie ma – stwierdziła ze smutkiem, jakby chodziło o racje żywieniowe dla bezdomnych.

– No to, Karola, zaliczysz minusa! – wtrąciła Baśka, która lubiła dorzucać swoje

trzy grosze tylko po to, aby zaznaczyć swoją obecność.

Wróciłam do pana Pawła, który rozmawiał już ze Świętym Mikołajem od malizny, i stanęłam obok z pustym talerzykiem.

– Panie naczelniku, niestety, nie ma już ciasta czekoladowego. Przynieść panu inne? – zapytałam.

– Nie ma? Oj, nie zadbała pani o naczelnika! Ha ha! – rechotał.

Czasami ten facet był do rany przyłoż, a czasami jednym słowem doprowadzał człowieka do depresji. Myśląc, że jest zabawny i elokwentny, psuł innym humor na resztę dnia.

Z jednej strony nie mogłam się doczekać końca imienin, lecz ze względu na obecność Krystiana chciałam, aby to nieszczęsne przyjęcie trwało całą wieczność.

– Coś taka smutna? – zagadnął mnie ponownie.

– Taką już mam melancholijną naturę – powiedziałam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy, a było w tym trochę prawdy.

– Trzeba cię rozweselić. Lecę na miesiąc do Stanów na szkolenia z nowego oprogramowania, ale po powrocie chętnie bym się z tobą spotkał. Co ty na to?

Miałam ochotę skakać z radości, ale udałam obojętną.

– Byłoby miło.

– Na stronie mojej firmy, w zakładce „kontakt”, jest numer mojej służbowej komórki. Spisz go sobie i puść mi sygnał, zapiszę sobie twój.

– Mam tylko nadzieję, że nie jesteś stalkerem? – zażartowałam.

– Bez paniki, nie mam na to czasu – uśmiechnął się uroczo.

Po powrocie do domu od razu zasiadłam przed komputerem i wpisałam w wyszukiwarkę nazwę „Indygo”. Znalazłam zakładkę, po czym wpisałam w telefon cyfrę po cyfrze. Zanim nacisnęłam zielony przycisk, wstrzymałam oddech. Po chwili wypuściłam powietrze i wybrałam połączenie, kilka sekund pozostając na linii, po czym je przerwałam.

Wieczorem położyłam komórkę na szafce, hipnotyzując ją wzrokiem, by przyszedł esemes od Krystiana. Nie doczekałam się, ale i tak byłam zadowolona. Po raz pierwszy od momentu podjęcia pracy w budżetówce miałam przyjemne sny.

Poniedziałek był w czołówce najspokojniejszych dni, szczególnie poranek. Wtorek był chyba najgorszy, bo dłużył się bardziej niż opera mydlana. Środa, jak sama nazwa wskazuje, średnia. Czasem nerwowa, ale zawsze „pół do weekendu”. Czwartek przeważnie spokojny, choć spokój polegał na tym, że siedziało się jak na bombie zegarowej i usiłowało nie spowodować niepotrzebnej eksplozji. Wreszcie piątek, weekendu początek lub, jak kto woli, mała sobota, którego najmiłszą porę rozpoczęła dotarcie mniejszej wskazówki do dwunastki.

Obojętne, jak były rozpisane dni tygodnia, przez cały ten czas robiłam to samo: zbierałam brakujące podpisy w dziennikach korespondencyjnych z poprzedniego roku. Starałam się uzupełnić każdą lukę, jaką pozostawiła Aneta. Odwalałam czarną robotę za kogoś, kto od dawna już tutaj nie pracował. Wszystko w imię pochwał i symbolicznego poklepywania mnie po ramieniu przez panią Melę oraz słów uznania: Dobrze sobie radzisz. Tak bardzo zależało mi na pokazaniu innym, jaka ze mnie profesjonalistka, że zatraciłam sens tych wszystkich działań.

Któregoś popołudnia w sekretariacie pojawiła się Sonia z tym swoim charakterystycznym uśmiechem, który zwykle był zapowiedzią jej wygranej i mojej porażki.

– Słuchaj. – Zdążyłam przywyknąć do tego, że rzadko zwracała się do mnie po imieniu. – Wiesz, że Wydział Finansowy nie dostał najnowszej korekty limitu?

Zareagowałam jak zawsze na tego typu oskarżenia: gwałtownie napięłam mięśnie, głośno przełknęłam ślinę i wpatrywałam się z przestraczeniem w oczach na mojego aktualnego kata.

– Przedwczoraj wysłałam im zeskanowane pismo – powiedziałam.

– Oni twierdzą, że go nie mają – upierała się.

Odniosłam wrażenie, że triumfalny uśmiech Soni z każdą chwilą powiększa się o milimetr.

– Poczekaj, sprawdzę.

Zajrzałam do poczty w poszukiwaniu wysłanych mejli.

– Wiadomość z załącznikiem wysłałam wczoraj o piętnastej pięćdziesiąt.

– Sprawdziłaś, czy do nich doszło?

– To już nie mój problem, czy otwierają pocztę – broniłam swego.

Sonia uniosła głowę w górę, przez co jej opatulona w granatowy golf szyja wydała się jeszcze bardziej smukła.

– No, nie wiem, co teraz będzie.

– Po prostu wyślę im to jeszcze raz. Czy to coś zmieni?

– No nie wiem, nie wiem. Znów będą mieli na nas haka, że nie przysyłamy im pism w terminie.

Wzruszyłam ramionami i dla świętego spokoju jeszcze raz przekierowałam

wysłaną wcześniej wiadomość. Gdy Sonia triumfalnie opuściła mój pokój, zadzwoniła Józefina. Tradycyjnie chodziło o masę poczty do odebrania. Skorzystałam z okazji i opowiedziałam jej o ostatnim incydencie, poprosiłam ją też o radę.

– Potwierdzenie dostarczenia jest najważniejsze. Jeśli je masz, jesteś bezpieczna. Wtedy inni mogą ci skoczyć.

– Wiem, muszę rozliczać się z pism codziennie. Ale to głupota. Nie wystarczy, że wysłałam?

– Zapamiętaj, że potwierdzenie dostarczenia wiadomości to świętość! Jesteś kryta, że zrobiłaś co do ciebie należy, a oni zgubili pismo i wina leży po ich stronie. Rozumiesz?

– Tak, teraz rozumiem – przytaknęłam.

Doszłam do wniosku, że praca w budżetówce przypomina grę, w której nie chodzi o to, żeby zespołowo dążyć do zwycięstwa, lecz o to, kto najlepiej wypadnie przed sędzią. Niekiedy zdarzało się nawet faulowanie członków własnej drużyny.

Któregoś razu zadzwoniłam do Marka, aby poinformować go o pilnej poczcie, którą miał u mnie do odebrania.

– Tak, Karolina? – odezwał się nieznany mi głos.

– Marku, mam dla ciebie pilną pocztę od naczelnika, zadekretowaną od razu na ciebie. Proszę, przyjdź prędko, bo to jest na cito.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że głos należy do Marka, ale coś jednak nie pasowało. Rozłączyłam się i pobiegłam do jego pokoju. Zastałam tam Filipa i Baśkę, którzy siedzieli w bezruchu, jakby ktoś ich zacementował od pasa w dół.

– Gdzie Marek? – spytałam.

– Właśnie wyszedł – powiedział Filip, któremu trudno było ukryć drganie kąćków ust.

– Dziwne. Przed chwilą do niego dzwoniłam i prosiłam, aby od razu przyszedł.

– Najwyraźniej miał ciekawsze zajęcia! – podsumowała Barbara, akcentując każde słowo.

– Tylko żeby potem nie zwał wina na sekretariat – dodałam i wyszłam.

Nastawiłam wodę w czajniku, żeby zaparzyć melisę (od jakiegoś czasu piłam ją coraz częściej), kiedy zjawił się Marek.

Postanowiłam więc użyć podstępu, by zdemaskować kawalarza.

– Marku, poczta cały czas leży w kuwecie. – Wskazałam na dokument.

– Jaka poczta? – zapytał zdziwiony.

– Nie udawaj wariata, telefonowałam do ciebie – udałam oburzenie.

Wtedy już wiedziałam, z kim rozmawiałam przez telefon.

Poszłam do Filipa i cisnęłam mu pismo na biurko, po czym ostentacyjnie wyszłam z pokoju. Gdyby nie fakt, że był kierownikiem, rzuciłabym mu nim prosto w twarz. Po chwili nastąpił kontratak – Filip zjawił się u mnie w pokoju.

– Pani Karolino, przypominam pani, że jesteśmy w pracy!

Pierwszy raz widziałam tyle odcieni purpury powstałych w wyniku złości. Filip wyglądał jak gasnąca gwiazda we wszechświecie, która najpierw staje się czerwonym olbrzymem, by w końcu spektakularnie rozprysnąć się na miliardy cząsteczek światła.

– A ja panu przypominam, że skoro obrał pan taktykę zachowania między nami

dystansu, to należy się tego trzymać. Jestem sekretarką, a pan kierownikiem, żarty proszę robić równym sobie kolegom. A mnie zostawić w spokoju.

Postanowiliśmy nie wchodzić sobie w drogę i utrzymywać wyłącznie służbowe relacje. Było mi przykro, ponieważ nie lubiłam wdawać się w bezsensowne konflikty, zwłaszcza w miejscu, gdzie byłam zmuszona przebywać większość czasu. Wychodziłam z założenia, że praca cieszy w trzech przypadkach: gdy spełniamy się zawodowo, gdy płaca jest adekwatna do naszych kwalifikacji lub kiedy lubimy towarzystwo współpracowników. Za budżetówką nie przemawiał żaden z argumentów.

Wszystko wróciło do normy kilka dni później. Pan Filip poczęstował mnie sushi.

– Słyszałem, że lubi pani takie wynalazki? – zapytał, podsuwając mi talerz pod nos.

– Owszem, bardzo lubię sushi – powiedziałam, patrząc łakomie na nigiri z łososiem.

Po chwili wrócił i wyraźnie szukał pretekstu do rozmowy. Tracił ręką jedną z kolorowych pinezek, powbijanych w kartki na tablicy ogłoszeń.

– Proszę nie rozrabiać – zagaiłam żartobliwie.

– Czasem trzeba trochę narozrabiać, żeby nie było nudno.

– Ma pan na myśli tablicę korkową, czy dowcip telefoniczny?

– Chyba jedno i drugie – skwitował.

– Nie sądziłam, że z pana kierownika taki sowizdrzał.

– A żeby pani wiedziała!

Sekretariat wypełnił się pozytywnymi fluidami, a ja uznałam, że telefoniczny incydent nie jest wart utraty sympatycznego kolegi. A może nawet nadarzy się okazja, by przełamać lody i wreszcie mówić sobie po imieniu.

– Pani Karolino, mam do pani prośbę – powiedział pan Paweł, poprawiając krawat.

– Tak, panie naczelniku?

– Koło południa mam dwa spotkania, z Malisiakiem z Lubawexu i Kowalikiem z Interincomu. Nie pamiętam, z którym najpierw. Proszę zapewnić ciastka i kawę, dobrze?

– Oczywiście, panie naczelniku. Gdy zjawi się pierwszy gość, od razu wprowadzę go do pana, może pan na mnie liczyć.

Prezes z Lubawexu, zgodnie z prognozą szefa, pojawił się pierwszy. Powiesił swój płaszcz na wieszaku, a ja porzuciłam swoje obowiązki sekretarki, by wcielić się w rolę kelnerki. Wyjęłam naczynia, przetarłam je z kurzu, sprawdziłam, czy łyżeczka w cukiernicy się nie lepi, następnie wstawiłam wodę w czajniku, w tym czasie nasypałam ziarenka i na koniec nie wywinęłam orła z tacą, znad której unosił się kawowy aromat.

W chwilę później wróciłam do rejestrowania poczty.

Niebawem przybył kolejny gość, a ponieważ nie byłam do końca pewna, czy obaj panowie powinni się spotkać, na wszelki wypadek zadzwoniłam do naczelnika. Mistrz dyplomacji nakazał, żebym zajęła rozmową drugiego petenta, podczas gdy on dyskretnie podziękuje pierwszemu. Dzięki pogawędce o pogodzie szef zyskał na czasie i zdążył załatwić z Malisiakiem część spraw, które miał dokończyć z Kowalikiem.

– Pani Karolino, proszę odprowadzić gościa – powiedział, żegnając Malisiaka, a wzrokiem zasygnalizował, żeby Kowalik wszedł do gabinetu.

– Oczywiście. Zapraszam tędy – zwróciłam się do przedstawiciela Lubawexu.

W miarę szybko udało mi się odtransportować gościa na parking przed budynkiem. Świeże powietrze! – ucieszyłam się, łąpczywie wdychając ożywczy chłód.

Kiedy wróciłam do sekretariatu, czekała na mnie niespodzianka. Pani Melania tupiała nogą, zdenerwowana pustką w sekretariacie.

– Gdzie ty się podziewasz?! Nie wolno zostawiać sekretariatu! – uniosła się. Beształa mnie jak małą dziewczynkę. Miałam wrażenie, że za chwilę odeśle mnie do kąta.

– Poszłam odprowadzić gościa na prośbę szefa – tłumaczyłam.

Strasznie mnie kusiło, żeby zaproponować: Sprawdzi pani, jak wygląda klamka z drugiej strony?

– Pamiętaj, że sekretariatu nie można zostawiać bez nadzoru! Na drugi raz poproś mnie albo Sonię o zastępstwo – rzuciła na odchodne.

Powietrze uszło ze mnie na dobre. Na domiar złego naczelnik wezwał mnie na dywanik i okazało się, że pani Mela mnie uprzedziła, w dodatku specjalnie przekręciła moje słowa, żeby lepiej przed nim wypaść. Nabrałam przekonania, że to ona jest główną donosicielką naszego wydziału. Lepiej się jej wystrzegać, ale to tak, jakby kazać Tokio wygrać z Godzillą na początku filmu. Potrzebowałam dobrej strategii. Postanowiłam, że dotrę do pani Melanii psychologicznym podstępem. Na początek przejrzałam formularze



RMUA i poznałam jej znak zodiaku. Skorpion. Walka zapowiadała się na trudniejszą, niż przypuszczałam.

Mateusz zwierzył mi się, że planuje podróż do Chin.

– Oszczędzałem wiele miesięcy, a będę tam tylko przez dwa tygodnie, które poświęcę na naukę i przemyślenia.

– I tak ci zazdroścę. Marzę, by kiedyś zwiedzić Azję, a póki co, najdalej byłam w Tunezji i kilku europejskich stolicach.

– Czyli też należysz do grona obieżyświatów. Myślisz, że w tej instytucji ktokolwiek rusza się poza Polskę? Więc ciesz się, że masz turystyczne zapędy. Uważam, że w życiu nie ma nic lepszego niż miłość do świata i chęć poznania innych kultur, dzięki temu człowiek poznaje lepiej siebie.

– Przecież Irmina była w tym roku w Egipcie.

– Ona jest wyjątkiem, a jej zachowanie odbiega od normy. Ale spójrz na resztę. Niektórzy pracują tu kilkanaście lat, mają stałe umowy i zarabiają przyzwoite pieniądze, a najdalej byli na Mazurach. Jak to wytłumaczysz? To nie kwestia pieniędzy, lecz mentalności. Ich życie kręci się wokół tego, w co ubrać dziecko do szkoły albo ile udusić schabu, żeby wystarczyło na cały tydzień. Do głowy im nie przyjdzie, żeby zamiast ziemniaków podać na obiad kurczaka tikka masala albo zamiast na Mazury wybrać się na wariacką eskapadę w dalekie zakątki świata.

– Masz kiepskie zdanie o urzędnikach państwowych. Myślę jednak, że nie należy tak beztrząsco szufladkować ludzi – odparłam.

– Ale taka jest prawda. Ty i ja jesteśmy jak ryby wyjęte z wody albo dzikie zwierzęta zamknięte w klatkach, pozbawione naturalnego środowiska. Dlatego postanowiłem walczyć i każdą złotówkę oszczędzałem po to, by móc wreszcie wyjechać do Chin. Liczę na to, że uda mi się nawiązać tam kontakty i po powrocie otworzyć w Polsce gabinet medycyny naturalnej. A tak przy okazji, dziś wieczorem jadę do ośrodka medytacyjnego i nie będę miał możliwości skontaktować się z biurem i powiadomić, że jutro mnie nie będzie. Proszę cię, pamiętaj, by rano wpisać mi urlop na żądanie.

– Nie możesz zwyczajnie wypełnić wniosku o urlop?

– To trochę skomplikowane. Wiesz, jaki stosunek mają tutaj do mnie. Naczelnik jest na mnie cięty z powodu Tybetu i tylko czeka, żebym poprosił go o jeszcze jeden dzień wolnego. Rzecz jasna, nie dałby mi go tylko po, by zademonstrować swoją wyższość.

– Dla mnie to koleżeńska przysługa. Ty zgodziłeś się pokwitować mi „kwiatki” w dziennikach, ja ci zaznaczę ołówkiem „UŻ”. W końcu to nic wielkiego, jutro rano poprawię na czerwono.

– Dzięki.

– Drobiazg.

Następnego dnia w pracy słychać było krzyki pani Melanii.

– Gdzie jest Mateusz? Opuścił pracę bez wpisania się w książkę wyjść? To niedopuszczalne! Karolino, masz natychmiast napisać notatkę w tej sprawie – rozkazała

pani Mela.

– Ależ spokojnie, pani Melu. Mateusz skorzystał z urlopu na żądanie. Proszę sprawdzić na liście – podsunęłam dowód rzeczowy.

Niestety, zapomniałam przedtem zmasać ołówek i wstawić symbol czerwonym długopisem. Nie uszło to uwagi pani Melanii, która z miejsca wszczęła dochodzenie.

– Przecież on tego nie mógł wpisać, bo go tu nie ma. Kto to zrobił? – krzyczała.

– Ja wpisałam ołówkiem, pani Melu. W dodatku wczoraj, żeby dziś z rana przepisać na czerwono – wyjaśniłam.

– I tak spokojnie mi o tym mówisz? – Podparła się dłońmi o szerokie biodra.

– No tak. A w czym jest problem? – spytałam lekko wystraszona.

– Pracownik nie stawił się w miejscu pracy! Trzeba zawołać naczelnika!

– Dzisiaj go nie ma. Wczoraj zaniósłam jego wniosek urlopowy do dyrektora.

Na twarzy pani Melanii odmalowało się zakłopotanie.

– W takim razie osobą, która zastępuje naczelnika, jest Filip.

A co on ma do tego? – pomyślałam.

Niebawem wezwano mnie do pani Meli na dywanik. Zadano mi szereg bezsensownych pytań związanych z nagłym zniknięciem Mateusza. Nikogo nie interesował fakt, że dzień wcześniej poznałam okoliczności jego nagłej absencji, a także wyjaśniłam powody, dla których czerwony atrament zastąpiony został zwyczajnym ołówkiem.

Pani Melania wcieliła się w rolę oskarżyciela posiłkowego, a Filip jej pacynki, która kiwała głową za każdym razem, gdy ona zmierzała do końca wypowiedzi.

– O której godzinie zostałaś poproszona o wpisanie „urlopu na żądanie”?

– Mniej więcej pod koniec dnia pracy – wyjaśniłam.

– To skandal, żeby pracownik nie zgłosił osobiście lub przez kogoś swojej nieobecności – wtrącił Filip. – Kiedy powtórzy się taka sytuacja, proszę od razu mnie zawiadomić.

– Sądziłam po prostu, że to koleżeńska uprzejmość. Gdybym wiedziała, że robi się z tego taka afera, odmówiłabym. Następnym razem powiadomię pana lub naczelnika.

– Radzę pani trzymać się z dala od Mateusza, to niebezpieczny człowiek. Naczelnik już dawno powinien go zwolnić, ale ma za dobre serce, poza tym nie jest łatwo zwolnić kogoś, kto ma umowę na stałe – zagalopował się. – Jutro z nim porozmawiam, bo ostatnio za dużo sobie pozwala, a pani sporządzi notatkę w kalendarzu.

Notatka? Donosicielstwo? Przesłuchanie? W dodatku Filip bezprawnie koronował się na mojego przełożonego. Przelatała się czara goryczy. Nie wiedziałam już, komu wierzyć. Ostatecznie nabrałam przekonania, że instytucja, w której pracuję, nie jest zwyczajnym miejscem pracy, lecz budzącym irracjonalny lęk aparatem przymusu, który usiłuje doprowadzić mnie do obłądzenia. Każdy, nawet najmniejszy błąd natychmiast brano pod lupę i bezlitośnie analizowano. Niedługo pani Melania z Filipem zaczną sprawdzać, czy ołówki w szufladzie mojego biurka są zatemperowane pod właściwym kątem.

Po powrocie do domu, nawet nie zdjęłam butów, tylko natychmiast chwyciłam zeszyt i zaczęłam pisać. Miałam wrażenie, że długopis sam się porusza. Jakby wstąpiła w niego „dusza”, której we mnie stopniowo zaczynało brakować.

Uświadomiłam sobie, że nie chcę tam spędzić najbliższych lat. Nie chcę tak żyć. *Everything or nothing*. Nie zgodzę się na półśrodki. W dodatku czuję się kontrolowana przez panią Mełę, która nadzoruje moją pracę. Nie wiem, czy działa zgodnie z ukrytym poleceniem szefa, czy też z własnej inicjatywy. W każdym razie jej małomówność i kamienna twarz budzą we mnie niepokój. Kiedy wchodzi do pokoju, od razu cała sztywnieję. Mam wrażenie, że patrzy mi na ręce, kiedy na przykład przeglądam strony w internecie. Gdy postanawiam zrobić sobie krótką przerwę, czuję, że ona to widzi i w myślach krytykuje mnie za lenistwo. Czuję się tak, jakby to ona była moją prawdziwą szefową i decydowała o moim losie. Wiele jej zawdzięczam, wprowadziła mnie do zawodu. Dlatego tak trudno się jej przeciwstawić. Czuję przed nią respekt oraz bijący od niej dystans. Chcę go przełamać, lecz codziennie natrafiam na grubego mur.

Każdego dnia czułam coraz większe znużenie. Usiłowałam dopatrzeć się pozytywów pracy w budżetówce. Pierwsze miejsce, póki co, zajmowały pieniądze oraz perspektywa zdobycia świętego Graala, jakim było podpisanie umowy na czas nieokreślony. Najgorsze, że moja niechęć do wykonywania powtarzających się obowiązków, w zestawieniu z fatalnymi warunkami pogodowymi, przerodziła się w potężne choróbsko.

Katar ciekł mi z nosa, a nieznośne łamanie w kościach odbierało mi resztki sił. W obawie przed krzywym spojrzeniem pani Melanii oraz stojącego tuż za jej plecami pana Pawła postanowiłam jednak „rozchodzić” przeziębienie, łykając ogólnodostępne specyfiki bez recepty.

Czwartkowy poranek podsunął mi myśl, że mogłabym w zasadzie wziąć wolny piątek, bo trzydniowa kuracja przyniosłaby szybki efekt.

– Basiu, mam prośbę. Zgodziłabyś się zastąpić mnie przez jeden dzień w sekretariacie? – spytałam.

– Mowy nie ma! – odpowiedziała z kpiącym uśmiechem.

Sonia jedynie wymownie prychnęła pod nosem.

Irmina również dała popis asertywności, tyle że w porównaniu do gruboskórnej Barbary, przynajmniej się wytłumaczyła.

– Niestety, nie mogę. Paweł zawałił mnie robotą i sama nie wiem, kiedy to wszystko ogarnę. Spytaj Meli, ona zwykle zastępowała Anetę.

Poprosić panią Melanię o przysługę? Tylko sprzedanie duszy diabłu wydawało się czymś gorszym.

Chyba mamy sytuację patową – pomyślałam.

Wyjęłam zatem z koszulki druk urlopowy i w wykropkowanym miejscu, gdzie należało podać nazwisko osoby zastępującej, nie wpisałam nikogo. Umyślnie postanowiłam oddać naczelnikowi niekompletny wniosek, aby to jemu pozostawić decyzję, kto zamiast mnie zasiądzie w sekretariacie na czas mojej krótkiej nieobecności.

Naczelnik podpisał mój urlop, nie martwiąc się drobiazgami. Bez znaczenia było dla niego to, czyją twarz ujrzy rano w sekretariacie i kto postawi mu herbatę na biurku. Zapewne dopiero w piątek rano przypomni sobie o mojej jednodniowej absencji i, niczym wytrawny gracz w kasynie, sprawnym ruchem przetasuje talię kart z wizerunkami podwładnych, by wylosować przypadkową figurę.

Znów wyszłam po godzinach, na wszelki wypadek zostawiłam na biurku karteczki z instrukcją dla nieszczęśnika, którego jutro czeka siedzenie na gorącym krześle w moim pokoju. Przed wyjściem poszłam do łazienki umyć ręce.

Stałam przed lustrem i przyglądałam się swojemu zmęczonemu odbiciu, gdy do środka weszła kobieta, której kiedyś przypatrywałam się, wychodząc od Kingi. Miała na sobie jasnoróżową sukienkę w odcieniu łososiowym, o klasycznym kroju i z drogiego

materiału. Była ode mnie wyższa o dwie głowy, chociaż połowę tej wysokości dodawały jej kilkucentymetrowe szpilki. Miała oliwkową karnację, proste kasztanowe włosy ścięte tuż za uchem oraz błękitne oczy, podkreślające kontrast między słowiańskim wdziękiem a śródziemnomorską urodą.

– Wygląda pani jak modelka – ni z tego, ni z owego odezwałam się do niej.

– Ojej. Chyba się zarumienię. – Uśmiechem podziękowała za komplement.

Rzeczywiście na jej policzkach wystąpił delikatny rumieniec, który przebił nawet starannie nałożony make-up.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak bardzo mnie fascynowała. Być może budziła moje tęsknoty o tym, że sama mogłabym taka być. Samodzielna, niezależna, na pasującym do wykształcenia stanowisku, z odpowiednio przypisanymi do umiejętności i doświadczenia zawodowego obowiązkami.

W drodze do apteki wciąż rozmyślałam o ludziach z pracy, jednocześnie analizując swoją sytuację w wydziale. Przygnębienie narastało, więc kupiłam więcej pigułek, niż planowałam. Miałam nadzieję, że ich działanie szybko mnie znieczuli i na kilka godzin przeniesie w świat wolny od groteskowej biurokracji.

Po powrocie do pracy znów dopadł mnie syndrom patrzenia na zegarek. Dzisiejszy dzień zapisał się pod hasłem: układy. Gdyby powstał film o naszym biurze, można by nadać mu tytuł *Tajemnica poliszynela*. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Porozumiewają się półsłówkami, komentują, krytykują, obgadują.

Na dodatek z samego rana siedem pilnych pism w ciągu godziny, brak papieru w drukarce i zacinający się faks. I jak tu nie wierzyć w przesady? Zaraz, to wcale nie kwestia piątku trzynastego. Tylko dzień jak co dzień. W dodatku na dźwięk notorycznie otwieranych przez pracowników drzwi sekretariatu podskakiwałam niczym irlandzki tancerz.

Szef zwołał odprawę wydziałową.

– Drodzy państwo, zbliża się koniec roku, a co za tym idzie, musimy zagospodarować cały budżet. Jeśli go nie wykorzystamy, w przyszłym roku dostaniemy mniej pieniędzy. Czy ktoś ma jakieś pomysły, co jeszcze możemy kupić?

– Przydałby mi się nowy samochód! – krzyknęła Irmina, schowana za plecami Staśka.

– Rozmawiamy poważnie, a pani Irmina jak zwykle w wyśmienitym nastroju! – zaśmiał się szef.

– Pawle, doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie w tym tkwi problem. – Filip zabrał głos. – Nie powinniśmy biegać z portfelem i na gwałt robić zakupy jak jakaś szarańcza w przeddzień Wigilii, musimy skupić się na tym, czego naprawdę potrzebujemy. Na przykład nowych switchów i części do serwerów. Trzeba było pertraktować z Indygo, kiedy oferowali nam rozsądne ceny, a nie ogłaszać przetarg i pozwolić, by firma podniosła cenę. Jaki z tego wniosek? Żyjemy, będąc głupcami, i tak samo głupi umrzemy!

– Dobrze, że niektórzy z nas wierzą w reinkarnację – powiedział stojący pod oknem Mateusz, który wyluskiwał z tej wypowiedzi wyłącznie to, co było mu bliskie.

Naczelnik uniósł głowę znad skórczanego kalendarza i rzuciwszy zjadliwe spojrzenie zarówno Mateuszowi, jak i Filipowi, kontynuował odprawę.

– No dobrze, na koniec Mela powie nam, co z programem stażowym. Przyda nam się jakaś dziewczyna do archiwizacji.

Pisałam notatkę z odprawy i nagle zadrżała mi ręka. Ucieszyłam się, że już nie będę jedyną nową w wydziale. Ale też poczułam zagrożenie. Moje obawy mieszały się z zadowoleniem i tworzyły dość niestrawny koktajl.

Wkrótce dołączyła do nas Marina, skierowana tu przez urząd pracy, który wspierał aktywizację zawodową i uczestniczył w unijnym programie praktyk. Choć otrzymywała dość niskie wynagrodzenie, bez reszty angażowała się w pracę, a przynajmniej starała się, by inni tak sądzili. Miała spędzić u nas trzy miesiące, po dwa tygodnie w każdym pokoju. Od razu zauważyłam, że stara się nie angażować w nasze wydziałowe spory i drobne

kłótnie, ale jej wrodzona ciekawość szybko dała o sobie znać.

Choć zalewie dwudziestodwuletnia wyglądała jak surowa nauczycielka, która chętnie stosuje wszelkie kary cielesne, na przykład okładanie uczniów linijką po dłoniach. Nosiała okulary w grubych kanciastych oprawkach oraz czarne, obcisłe sukienki mini.

Przez trzy miesiące miała przygotowywać dokumenty do archiwizacji, a przy okazji poznać od podszewki pracę każdego z nas.

– Karolinko, wprowadź, proszę, Marinę w pracę sekretariatu. Jak się poduczycy, nie będzie problemu, żebyś wzięła jakiś dzień wolny – powiedziała pani Mela.

– Dzień dobry! Jestem Marina. – Wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Cześć. Karolina – przywitałam się chłodno.

Pani Melania poszła z Mariną po dodatkowe krzesło do sekretariatu, a ja obmyślałam, co zrobić, aby wyglądać na zarobioną. Jak na ironię, ten poniedziałek był wyjątkowo leniwy, a telefon zadzwonił może dwa razy.

– W sumie nie wiem, od czego zacząć. Może oprowadzę cię po biurze.

– Super! – zawołała pełna młodzieńczego entuzjazmu i nieświadoma tego, co ją czeka.

Zaczęłyśmy od kancelarii, skąd przekazywano pocztę do sekretariatów dyrektorskich, kolejno odwiedziłyśmy Kingę i Józefinę. Ta pierwsza podała rękę w pośpiechu, bo drugą już chwytła za słuchawkę bez przerwy dzwoniącego telefonu. Żeby nie przeszkadzać Kindze, która nie miała nawet czasu na zjedzenie stojącej obok od kilku godzin sałatki z kurczakiem, poszłyśmy do Józefiny.

– To jest Marina, nowa praktykantka – przedstawiłam koleżankę.

– Dzień dobry. – Dygnęła jak grzeczna uczennica.

– Cześć, skarbie, jestem Józefina, mów mi po imieniu. Fajna sprawa z tymi stażami.

Dzięki nim młodzi mają dobry start i zawsze mogą się potem gdzieś zaczepić.

– Jestem zachwycona! Marzę o pracy w administracji publicznej – wyznała.

– Jak długo u nas zostaniesz?

– Trzy miesiące.

– Tak to już jest z tymi praktykantkami. Dziś są, jutro ich nie ma – rzuciła Józefina, a Marina szczyrzyła się, udając, że tego nie słyszy.

Ja zaś poczułam się wyróżniona, że zaliczam się do grona ludzi z etatem.

Stopniowo wprowadzałam Marinę w coraz bardziej skomplikowane zagadnienia.

– Za bardzo jej nie ucz. Wiesz, jak jest – szepnęła raz Józefina.

Problem w tym, że ja nie umiałam inaczej. Byłam zbyt sumienna i zbyt szczerą dla obcych mi ludzi. Niczym tamten mały dinozaur z drugiej części *Parku jurajskiego*, który bez lęku podchodził do ludzi, dopóki nie porazili go prądem. Od tamtej pory miał już powód, by im nie ufać.

Zachowanie Mariny intrygowało mnie. Jej temperament dawał o sobie znać nie tylko w krótkich sukieneczkach. Paradowała naszymi ponurymi korytarzami, epatując śmiałością niczym modelka na wybiegu. Momentami była wręcz zbyt pewna siebie. Ponieważ program stażowy obejmował zapoznanie się ze wszystkimi elementami naszej pracy, Marina zyskała okazję, by lepiej poznać każdą z osób pracujących w wydziale.

– Karolina, uważaj na nią. Jest zbyt pewna siebie. – Irmina zalecała ostrożność.



– Spokojnie. Mam na nią oko – zapewniłam.

Każdego dnia wmawiałam sobie, że wszystko rozgrywa się jedynie w mojej wyobraźni. Przecież Marina poznawała tajniki pracy wszystkich pracowników, każdą dziedzinę, jaką zajmował się wydział, aby zdobyć doświadczenie przygotowujące ją do przyszłej pracy.

Z początku trzymałam ją na dystans. Odniosłam niemiłe wrażenie, że mam do czynienia z wirusem, który wdarł się bez pozwolenia i niszczy organizm od środka. Coś mi w niej przeszkadzało, ale nie wiedziałam – co.

Wróciłam do domu i czekałam na powrót Natalii, żeby powiedzieć jej o Marinie.

– Wiesz, że mamy nową praktykantkę w wydziale? – zagałam.

– Serio? I jaka jest? – spytała, wieszając w przedpokoju kurtkę.

– Tak entuzjastycznie nastawiona do pracy, że aż nienaturalna. Sądysz, że może się sprawdzić w moim sekretariacie?

– Masz nad nią przewagę. Jesteś tam dłużej.

– Teoretycznie tak, ale umowę podpisali ze mną tylko na sześć miesięcy, a nie na rok.

– Rzeczywiście! Zaczyna się robić ciekawie.

– A mnie się zdaje, że jestem zbyt przewrażliwiona. Jeśli stracę pewność siebie, ona to wykorzysta. Muszę robić swoje i tyle.

Ale w głębi serca w to nie wierzyłam. Z drugiej strony wydawało mi się niemożliwe, żeby Marina mogła mnie wygryźć. Przecież pracuję tam już prawie pół roku i nie opląca im się wymieniać mnie na lepszy model. Nawet jeśli ten model codziennie paradował w obcisłej mini i eksponował długie zgrabne nogi.

# CAŁA PRAWDA O BUDŻETÓWCE

Budżetówka była miejscem hermetycznym, prawie niedostępnym dla zwykłych śmiertelników. Gdyby przypadkowa osoba przeczytała ogłoszenie na stronie Biuletynu Informacji Publicznej i złożyła dokumenty w celu przyjęcia jej do pracy – no, proszę, już zaczęłam posługiwać się naszym biurowym językiem – jej aplikację najpierw przesiewają przez swoje sito bezwzględni kadrowcy, którzy analizują, czy praca w poprzednim miejscu na pewno trwała tyle, ile napisano w CV, a następnie ocenia ją potencjalny szef. I tu zaczynają się schody. Zakładając, że kandydat należy do grona znajomych któregoś z pracowników, istnieje szansa, że przynajmniej dojdzie do rozmowy kwalifikacyjnej. Rekrutacja polegała bowiem na tym, że w pierwszej kolejności brano pod uwagę koneksje; wiedza i doświadczenie spadały na drugi plan. Przed szereg wysuwali się także byli pracownicy biura, osoby zatrudnione na zastępstwo oraz te będące na niższych stanowiskach, dla których szykowano awans. Rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzała komisja, w której skład wchodził: przyszły przełożony, prawa ręka szefa – często pełniący również funkcję gumowego ucha – oraz specjalista w danej dziedzinie, stwarzający pozory, że liczą się umiejętności. Wyjątek stanowiły rozmowy okraszone stwierdzeniem „zapraszam na kawę”, co oznaczało, że kandydat ma już posadę w ręku. Wówczas w takich rozmowach brał udział przełożony oraz kandydat polecony przez przyjaciela przełożonego.

Najbardziej zdumiewający był jednak fakt, że cała budżetowa oligarchia ustalała restrykcyjne przepisy, które musiały być przestrzegane przez podwładnych.

– Spójrz, w tej rubryce umieszczasz nazwę komórki organizacyjnej, z której wyszło pismo, a obok pokrótce opisujesz, czego dotyczy. – Szkoliłam Marinę zgodnie z Instrukcją kancelaryjną, którą przyniosła nam pani Mela.

Ponieważ od paragrafów wiało nudą, zamiast studiować punkt po punkcie wolałyśmy pracę na żywym organizmie, jakim było stawienie czoła bieżącym obowiązkom.

Kodeks postępowania administracyjnego, ustawa o tekście jednolitym, akty wykonawcze i zmieniające znacznie lepiej spełniałyby swoje zadanie jako środki nasenne wydawane bez recepty.

– Tutaj znajdziesz rzeczy potrzebne do rejestrowania poczty. – Ziewnęłam, otwierając szufladę pełną metalowych datowników i sporej liczby pieczętek.

Niektóre z nich były starsze ode mnie: wykonano je z drewna, a na matrycy z literami w lustrzanym odbiciu zachowały się ślady atramentu w kolorze gencjany. Oprócz tego było kilka plastikowych pieczętek, dwie czerwone i jedna żółta. Sięgnęłam po jedną z nich, żeby pokazać Marinie.

– Pieczętka: „Do rąk własnych. W sekretariacie nie otwierać”. Aha, czyli gdzie indziej już można? – Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.

– Faktycznie, można to potraktować dosłownie – powiedziała Marina, po czym

obie się zaśmiałyśmy.

– Czasem zdarzają się takie absurdy. Na przykład, kiedy naczelnik dekretuje coś na mnie, muszę sama sobie pokwitować odbiór pisma.

– Przynajmniej masz gwarancję, że pismo na pewno trafi do właściciela – zauważyła nowa koleżanka.

– Rzeczywiście, dobrze, że choć jednego można być pewnym – zaśmiałam się.

Zaproponowałam, aby Marina powiadomiła osoby, które miały do odebrania pocztę. Jak przystało na zaangażowaną stażystkę, z ochotą chwyciła słuchawkę telefonu i wykręciła numer wewnętrzny Baški.

– Witam, pani Barbaro, jest poczta do odebrania – powiedziała i rozłączyła się, wypełniwszy swoje zadanie. Byłam ciekawa, czy Baška również kazała jej mówić do siebie po imieniu.

Marina pracowała niczym maskotka nakręcona za pomocą sznurka. Zawsze pokornie i poprawnie, bez wdawania się w dyskusje. Nie prowokowała i nie była prowokowana. Może fakt, że pracowała tu tymczasowo, powodował, że na każdym kroku otrzymywała od współpracowników zielone światło.

– Kochana, ale dlaczego ganiasz do wszystkich z pocztą? Przecież to ich obowiązek przychodzić do ciebie – zauważyła raz Irmina.

– Ale ja lubię – odpowiedziała Marina z uśmiechem.

Sprzedawała całą swoją uległość w taki sposób, że w jej zachowaniu nie tliła się żadna iskra poddaństwa. Być może była to jej recepta na zaskarwienie sobie sympatii otoczenia, czego mnie nie udało się dokonać przez tyle miesięcy. Podczas gdy ja większość osób zaczęłam traktować wrogo – żyłam w przekonaniu, że sami mnie do tego zmusili – Marina zbierała plony, które siała za pomocą kontrolowanego wazeliniarstwa. Póki co, musiałyśmy pracować razem przez dwa tygodnie, postanowiłam więc pokonać uprzedzenie i znaleźć z nią wspólny język.

– Pochodzisz z Warszawy? – Po raz pierwszy zadałam jej osobiste pytanie.

Miała na sobie śnieżnobiałą bluzkę z kołnierzykiem, wpuszczoną w czarną ołówkową spódnicę, a ja nagle poczułam się jak rekruter. Może dlatego, że Marina codziennie ubierała się tak, jakby szła na rozmowę kwalifikacyjną.

– Niestety nie, pewnie jak większość warszawiaków – zaśmiała się. – Jestem z Zakopanego.

– A zatem rodowita góralka?

– Właśnie. Po weekendzie przywiozę ci prawdziwego oscypka.

– Narobiłaś mi smaku. Oscypek z żurawiną i grzane wino! Przy okazji, słyszałam, że jeszcze studiujesz. Na jakim kierunku?

– Prawo i administracja. Dlatego tak mi się tu podoba. Strasznie chciałabym się zacząć w tej instytucji.

– Ja studiowałam kulturoznawstwo i doszłam do wniosku, że to była strata czasu. Wszystkie opinie na temat tego kierunku zdają się negatywne. Gdybym teraz miałam wybierać kierunek, pewnie byłyby to psychologia albo orientalistyka. Ale prawo to już coś. Studiujesz prywatnie czy państwowo?

– Prywatnie. Zaocznie. Dlatego muszę dorobić, a najlepiej szybko znaleźć stałą

pracę.

Zdawało mi się, że często podkreśla ten fakt.

– A co sądzisz o naszym wydziale? Jak ci się pracuje z innymi? Z Sonią, Melą...

– Super! Są przesympatyczne – odpowiedziała zupełnie naturalnie.

Ostatnia wypowiedź Mariny kompletnie mnie zaskoczyła. Byłam przekonana, że szybko dostrzeże fałsz i obłudę kryjące się w pokoju „Po drugiej stronie lustra”, przez co wkrótce dołączy do mojej drużyny. Niestety, pracowała u nas stanowczo za krótko.

Kilka dni później odezwało się moje przeziębienie. Odsłoniłam firankę, żeby wyciągnąć z dna torebki kosmetyczkę, i gdy spojrzałam w lusterko, stwierdziłam, że mam nos bardziej czerwony niż Pawła. Czułam, jak choroba czai się za plecami, dźgając ostrymi kolcami każdy mój mięsień. Tabletki przeciwgrypowe, które kupowałam bez recepty, jedynie opóźniały to, co i tak było nieuniknione. Nie chciałam rozłożyć się na cały tydzień, bo wiedziałam jak wielki problem powstał, kiedy poszłam chorować na jeden dzień, więc postanowiłam wytrzymać jeszcze trochę, aby tym razem wziąć urlop w poniedziałek. Czułam, że oddaję pałeczkę Marinie, lecz póki co, była jedyną osobą, która mogła mnie zastąpić.

– Słuchaj, nie będzie mnie tylko w poniedziałek. Spróbuję sama zwalczyć gorączkę, bo wiem, że jeśli pójdę do lekarza, wystawi mi zwolnienie na cały tydzień.

– Nie przejmuj się, wszystkim się zajmę. A może powinnaś iść na zwolnienie? Dobrze by ci to zrobiło... – zasugerowała Marina z troską.

Nie wiem, czy mnie, ale tobie na pewno... – pomyślałam.

– Nie martw się o mnie, wystarczy jeden dzień. Spójrz, w tej kuwecie leżą pisma, które trzeba rozdać w poniedziałek rano. Tu masz spis najważniejszych telefonów do sekretariatów oraz do firm, gdyby naczelnik prosił o połączenie z jakimś dyrektorem albo prezesem. Zostawiam też numer mojej komórki na wszelki wypadek. Oczywiście możesz zwrócić się do pani Meli lub kogokolwiek z wydziału, choć nie jestem pewna, czy będą skorzy do pomocy. Najlepiej liczyć na siebie. W porządku?

– Jasne. Poradzę sobie – zapewniła, pękając z dumy, że może mnie zastąpić. – Przede wszystkim ty się kuruj, bo zdrowie jest najważniejsze!

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

Brnęłam przez grudniową zawieruchę i czułam się jak w reklamie pastylek na gardło. Mokry nos przylegał do szalika, tworząc w środku nieprzyjemną wilgoć, a skórzane rękawiczki prosiły o zastępstwo w postaci jednopalczastych z wełny. Przed powrotem do domu wstąpiłam do apteki, tym razem po fervex. W mieszkaniu zastałam śpiącą na tapczanie Natalię. Sięgnęłam do torebki po powieść Michaela Cunninghama *Wyjątkowe czasy*, którą co rano czytałam w autobusie i zatonełam w lekturze. Pół godziny później z kuchni dobiegły mnie odgłosy krzątającej się Natki, która zgłodniała po drzemce.

– Cześć. Wychodziłaś dziś? – spytałam, zaglądając do kuchni.

– Dzisiaj nie... Jest za zimno.

– Szczęściara. Pewnie miałaś natchnienie do pisania pracy magisterskiej? – spytałam.

– Nie napisałam ani słowa...

Odziana w szlafrok Natalia podrapała się po kasztanowej czuprynie, którą bliski kontakt z poduszką zamienił w coś na kształt waty cukrowej. Rozejrzała się po kuchni i postanowiła zaparzyć sobie herbatę.

– Przespałaś cały dzień? A ja od świtu jestem na nogach.

– Na nogach? Siedzisz sobie przy biurku jak królowa i jeszcze ci za to płacą. A ja muszę się użerać z bachorami albo tępymi burakami na wysokim szczeblu. Wszystko przez to, że nie mam stałej pracy.

– Rozumiem, ale powiem ci, że w budżetówce też cholernie ciężko wytrzymać. Czasem wydaje mi się, że uciekam w chorobę, żeby choć na chwilę się stamtąd wyrwać.

– A czy ty nie wyolbrzymiasz? Co może być nie tak w pracy w sekretariacie? Poza tym, że to najnudniejsza praca na świecie... – I Natalia ziewnęła.

– Zdziwiłabyś się. Trzeba mieć naprawdę grubą skórę, żeby to wszystko przyjmować ze spokojem...

– No dobrze, podaj mi jeden przykład.

– Proszę bardzo. To wszystko zaczyna być coraz bardziej chore. Jestem pośrednikiem, który słucha wszystkiego o wszystkich. Kolega przychodzi do mnie i obgaduje koleżankę z sąsiedniego pokoju. Za dziesięć minut przychodzi koleżanka i w krzywym zwierciadle przedstawia kolegę. Jestem jakimś cholernym arbitrem, który musi uważać na każde słowo, każde spojrzenie i gest. Nie mogę przestać kontrolować emocji, bo gdy przytaknę jednej osobie, wyjdę na dwulicową przed drugą. Ludzie z kompleksem niższości najbardziej próbują mi dokuczyć. Nie liczy się fakt, że mam studia, lecz to, że właśnie pomyliłam się w jednej cyferce. I to już przesądza o całokształcie. Ludzie potrafią uśmiechać się i patrzeć ci prosto w oczy, a po chwili wbijają nóż w plecy. Nie da się ich rozgryźć. Jedni doradzają, żeby być twardym i bezkompromisowym, a pięć minut później mają pretensję, że nie jestem elastyczna. Czasami żałuję, że nie urodziłam się jakąś bakterią na innej planecie.

– No, nie brzmi to różowo... – Natka spuściła wzrok.

– Sama widzisz...

– Mimo to powinnaś skoncentrować się na pozytywach. Załedwie garstka ludzi robi w życiu to, co naprawdę kocha. Pamiętaj, że to tylko etap przejściowy.

– Jeśli dostanę umowę na czas nieokreślony, zostanę tam na kilka lat. Ale może wtedy wyrwę się ze szponów sekretariatu i awansuję na bardziej ambitne stanowisko?

– No widzisz? Już widzę iskierkę w oczach. *By the way*, co z tym przystojniakiem, który był zaproszony na imieniny twojego szefa?

Zrobiłam się czerwona, ale udałam, że to z gorąca.

– Myślałam, że się odezwie, ale wygląda na to, że zwyczajnie mnie olał. Szkoda, bo naprawdę zaczął mi się podobać i dzięki niemu poczułam się wyjątkowo.

– Nie trać nadziei. Wiesz, jacy są faceci. My non stop analizujemy, rozważamy różne scenariusze, w myślach prowadzimy dialog z ich wyimaginowaną wersją, oni przechodzą od czynu A do czynu B. Skoro obiecał, to się odezwie. Trudno mu się dziwić, że nie ma czasu, skoro prowadzi własną firmę – pocieszała mnie przyjaciółka. – A skoro jesteśmy przy tym temacie, to muszę ci powiedzieć coś niezwykłego.

– W takim razie zamieniam się w słuch! – ożywiłam się.

Natalia wbiła wzrok w podłogę.

– Poznałam faceta – wyznała. – W dodatku cudzoziemca. Chyba się zakochałam...

– To fantastycznie! Ale tak od razu miłość?

– Pamiętasz nasz wieczór w Sheesha Lounge? Kiedy wracałam z łazienki, zaczepił mnie pewien facet. Chwilę rozmawialiśmy i poprosił mnie o numer telefonu. Następnego dnia zadzwonił i umówiliśmy się na kawę. Potem widzieliśmy się kilka razy na mieście między moimi zajęciami. Jak na razie jest super!

– W takim razie bardzo się cieszę. Wspomniałaś, że jest obcokrajowcem?

– Tak, ma na imię Afrim i pochodzi z Belgradu.

– Hmm...

Natka była na tyle znieczulona, że nie usłyszała mojego wymownego westchnienia, pełnego obawy przed jej kolejnym nieudany związek. Dotychczas wszelkie próby okiełznania sfery uczuciowej, jakie podejmowała, kończyły się wieczornym wypłakiwaniem się w poduszkę. Chciałam jednak wierzyć, że tym razem moja przyjaciółka trafi w końcu na mężczyznę, który zamiast łez zaoferuje jej wspólną przyszłość. Postanowiłam więc czekać na rozwój wydarzeń i wspierać Natkę w budowaniu nowego związku.

Wydłużony o poniedziałkowe lenistwo weekend minął równie szybko jak zwykły. Gdy zasiadłam za swoim biurkiem, zaczęłam ogarniać sprawy z poprzedniego dnia. Praca w biurze ma to do siebie, że wystarczy chwila nieobecności, by po powrocie przez cały dzień porządkować lawinę spraw. W kuwecie z pocztą czekało na mnie ponad dwadzieścia dokumentów, z których musiałam się jak najszybciej rozliczyć. Na szczęście Marina zarejestrowała pisma, więc wystarczyło wykonać kilka telefonów i za pokwitowaniem pozbyć się kolejnej porcji balastu.

– Soniu, zapraszam po pocztę.

– Dobrze, zaraz będę.

Po chwili Sonia zjawiła się w sekretariacie, a ja grupowałam pliki pozszywanych kartek, które miałam jej wręczyć. Z tego wszystkiego nie zauważyłam, że jedno z pism to kserokopia, co, niestety, wypatrzyła moja koleżanka.

– Tego nie podpiszę! – oznajmiła.

– A dlaczego? – zapytałam zdziwiona.

– Bo to nie jest oryginał.

– Daj spokój, pismo to pismo. Poza tym faksem lub mejlem też nie przychodzą oryginały.

– Ja tego nie podpiszę! – zaparła się.

– I co teraz? Mam mieć lukę w dzienniku?

Sonia pospiesznie wyszła z sekretariatu i udała się do pani Meli, żeby wyjaśnić sprawę. Oczami wyobraźni ujrzałam siebie w zaciemnionym pomieszczeniu, przywiązaną do krzesła i przesłuchiwaną przez panią Melanię, która kieruje na mnie oślepiającą lampkę. Wyrok? *Guilty!*

Po chwili wróciły obie, a pani Mela przejęła kontrolę nad sytuacją.

– Karolino, musisz odszukać to pismo. Może zawieruszyło się w pokoju naczelnika? Sprawdź.

– Pani Melu, poszukam, ale przecież to świeża poczta. Wczoraj nie było mnie w pracy, zastępowała mnie Marina.

– Ona od dzisiaj siedzi już w pokoju kierownika Filipa, nie zajmuje się więc sekretariatem.

– Świetnie, więc teraz cała wina spada na mnie?

– Nabroiłaś, to teraz posprzątaj – dodała zadowolona Sonia.

Triumfalna poza, jaką przyjęła, wypowiadając te słowa, mogła się równać tylko policzkowi wymierzonemu biednej służącej przez okrutną panią domu.

– Chwila! Skoro to jest kopia, sama się nie skserowała, musiała powstać z jakiegoś oryginału, czyż nie? – krzyknęłam w stronę Soni.

Niestety, pani Melania, która najwyraźniej minęła się z powołaniem (jak na mój gust, była stworzona do pracy w marynarce wojennej), nie zamierzała odpuścić.



– Karolinko, dla własnego dobra poszukaj tego pisma, bo będziesz miała kolejną lukę w dzienniku. A jeszcze nie skończyłaś uzupełniać tych z poprzednich lat – powiedziała chłodno, a następnie obie wyszły dumnie z sekretariatu.

Zanim postanowiłam wziąć szturmem pokój pana Pawła, udałam się do Mariny, aby spytać ją, czy nie wie nic na temat oryginału pisma.

– Witam, pani Karolino! Ależ mam szczęście od rana. Basi dziś nie ma, ale trafiła mi się za to czarnowłosa stażystka. A teraz jeszcze odwiedza mnie piękna blondynka – powiedział na mój widok Filip.

– Dzień dobry, panie Filipie. – Nie byłam w nastroju do żartów, przeszłam więc od razu do rzeczy. – Słuchaj, Marina, zastępowałaś mnie wczoraj, a wśród pism znalazłam jedną kopię, której Sonia nie chce pokwitować. Co stało się z oryginałem?

– Nie mam pojęcia... – Marina wzruszyła ramionami. – Wczoraj było tyle poczty, że ciężko mi się było w tym połapać. Naprawdę nie wiem, o jakie pismo chodzi... – paplała z niewinną minką.

– Rozumiem. W takim razie trudno. To na razie.

– Przykro mi, że nie mogłam pomóc.

Marina demonstracyjnie uniosła brodę wysoko w górę i zmarszczyła usta. Nie chciałam jej bezpodstawnie oskarżać, ale tylko ona miała wczoraj dostęp do poczty.

Nie znalazłam pisma ani w pokoju naczelnika, ani w innych miejscach. Pod koniec dnia zaczęłam się zastanawiać, czy oryginał w ogóle istnieje. Obawiałam się, że padłam ofiarą spisku zorganizowanego przez panią Melę i Sonię. Ale po co miałyby to robić?

Gdy odliczałam minuty do wyjścia z pracy, w skrzynce mejlowej pojawiło się pismo z informacją, że za tydzień odbędzie się szkolenie BHP, w którym wezmą udział wszyscy pracownicy wydziału. W poczcie był również załącznik z materiałami szkoleniowymi na trzydzieści stron. Wydrukowałam pismo przewodnie oraz pierwszą stronę załącznika, by naczelnik po przeanalizowaniu treści zdecydował, czy sprawa jest na tyle istotna, aby wydrukować całość. Akurat skończyłam przygotowywać teczkę do dekretacji, którą pod koniec każdego dnia otrzymywał ode mnie pan Paweł. Ponieważ w ostatniej przegródce znalazło się wolne miejsce, wsunęłam tam świeżo zarejestrowane pismo. Dyskretnie zajrzałam do pokoju naczelnika. Szef stał przed lustrem i wygładzał dłonią przylegający do koszuli i bijący czerwienią po oczach typowy męski zwis.

– Pani Karolino, co pani sądzi o moim nowym krawacie? – zapytał.

– Według mnie jest bardzo ładny – odpowiedziałam.

Nie wiem, jakiej odpowiedzi się spodziewał. Wiadomo, że nie skrytykuję własnego szefa, a poza tym pan Paweł należał do osób, które łakną komplementów jak kania dżdżu. Po drugie, nie znałam się na modzie męskiej, uznałam więc, że należy po prostu z uśmiechem przebrnąć przez resztę banalnej rozmowy. Żałowałam, że nie mam już na karku Mariny, sztucznej entuzjastki pracy biurowej, którą teraz wzięło pod swoje skrzydła towarzystwo wzajemnej adoracji. Chociaż irytowała mnie swoją fałszywą serdecznością, musiałam przyznać, że chwilowa obecność koleżanki w sekretariacie nieco mnie ożywiła. Do tej pory żyłam jak pustelnik, nie miałam do kogo otworzyć ust. Zazdrościłam innym, że siedzieli razem w pokojach i w każdej chwili mogli ze sobą poplotkować.

– Moja żona doskonale zna mój gust. Zawsze kupuje mi ładne rzeczy, wie pani? –

kontynuował. – A gdy ugotuje moją ulubioną potrawę na obiad, to już w ogóle jestem w siódmym niebie!

– Cieszę się, że ma pan taką wspaniałą żonę, panie naczelniku.

– Otóż to! W ogóle, pani Karolino, powiem pani w zaufaniu, że żona i sekretarka to dwie najważniejsze kobiety w życiu mężczyzny na stanowisku. Jedna dba o niego w domu, a druga w pracy. Tak więc, pani Karolino, proszę się starać, a daleko pani zajdzie!

Poczułam skrępowanie i coś w rodzaju niestrawności, zupełnie jakbym przed chwilą pożarła cały słoik masła orzechowego. Ale wciąż dzielnie się uśmiechałam.

– Na pewno przy następnych imieninach dopilnuję, żeby nie zabrakło dla pana ciasta czekoladowego. Tymczasem zrehabilituję się pocztą do dekretacji. – Położyłam teczkę na brzegu biurka. – Na końcu włożyłam pismo dotyczące szkolenia BHP. Tak jak się umawialiśmy, tylko dwie strony, bo jest tego sporo, ale sądzę, że i tak trzeba to będzie wydrukować dla całego wydziału.

Naczelnik wziął ode mnie skórzaną teczkę w kolorze wiśni i zaczął od korespondencji, o której wspomniałam.

– Rzeczywiście, będziecie mieli szkolenie. Proszę wydrukować materiały z załącznika, a następnie skserować dla każdego po jednym egzemplarzu, dla siebie również. Niech wszyscy pokwitują odbiór wraz z kopią pisma przewodniego. Zdaje się, że będzie egzamin do zaliczenia, więc trzeba przejrzeć te materiały. Może pani to zrobić jutro. Ja tymczasem przejrzę resztę.

– Oczywiście, panie naczelniku.

Następnego ranka wydrukowałam materiały, a następnie ustawiłam w kopiarce parametry na dziesięć egzemplarzy, z których jeden miał trafić do segregatora z kopiami pism kierowanych bezpośrednio do sekretariatu. Kiedy naczelnik dekretował na mnie jakieś mało znaczące pismo, na przykład dotyczące zatrudnienia nowego pracownika wydziału remontowego, musiałam zarejestrować je w dzienniku, a zaraz po tym, jak sama sobie pokwitowałam jego odbiór, wpinałam je do żółtego segregatora, gdzie wedle ustawy (nie pamiętam już której) miało kilka lat przezimować, a na koniec trafić z resztą śmieci do niszcarki.

– Panie Filipie, mam pismo dla pana, Basi i Marka – Upiekłam trzy pieczenie na jednym ogniu.

– Dobrze, pani Karolino, zaraz przyjdziemy – powiedział uprzejmie.

Kolejno powiadomiłam panią Melę, Sonię, Irminę, Staśka i Mateusza. Poza panem Pawłem, który był naczelnikiem wydziału, oraz stażystką Mariną, każdy pracownik wydziału musiał obowiązkowo wziąć udział w szkoleniu.

Termin się zbliżał, lecz nikt poza mną się tym nie przejmował. Dziewczyny pochłonięte były przygotowaniami do wydziałowej wigilii, którą niebawem wspólnie mieliśmy obchodzić. Spore drzewko, obwieszane bombkami i świetlistymi lampkami, od tygodnia gościło w pokoju pani Meli i Soni, uznałam więc, że czas wyjąć z szafki sztuczną choinkę. Zamierzałam przystąpić do czynu, gdy do sekretariatu weszła pani Mela i poprosiła, abym zajrzała do poczty interne-towej.

– Karolinko, kilka dni temu dostaliśmy od ciebie pismo w sprawie szkolenia BHP.

Podobno nie mamy wszystkich załączników do niego?

Zdrętwiałam ze strachu. Przełknęłam ślinę, a następnie przewertowałam dziesiątki wiadomości.

– Pani Melu, proszę spojrzeć, pismo z jedenastego grudnia, godzina szesnasta dwanaście. – Postukałam palcem w ekran monitora.

– Załącznik ma trzydzieści stron. A inne wydziały mówią, że mają po czterdzieści. Czyżbyśmy dostali niepełną wersję?

Jeszcze raz przejrzałam pocztę. Ku mojemu zaskoczeniu znalazłam mejl od Kingi z trzynastego grudnia, zatytułowany „Materiały szkoleniowe BHP – wersja uzupełniająca”. Płonęłam ze wstydu.

– Rzeczywiście... przeoczyłam to pismo. Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać... – plątałam się.

– To szybciotko wydrukuj, kseruj i rozdaj wszystkim. Niedługo szkolenie zakończone egzaminem, może chociaż zdążymy przejrzeć, co tam jeszcze jest.

– Oczywiście, pani Melu. Natychmiast.

Drżącą ręką wcisnęłam opcję drukowania, następnie chwyciłam zszywacz, by spiąć pierwsze kopie, wyplute przez nasze urządzenie wielofunkcyjne. W tym momencie do sekretariatu przyszedł pan Stanisław, który jak na ironię potrzebował skorzystać z drukarki.

– Pani Karolino, czy ta drukarka musi tam stać? Przy drzwiach było znacznie lepiej – marudził.

Akurat teraz postanowił udawać dekoratora wnętrz, podczas gdy ja usiłowałam ratować skórę.

– Panie Stanisławie, co ja na to poradzę? Myśli pan, że mnie jest wygodnie, kiedy każdy trąca moje biurko?

– To niech pani porozmawia z naczelnikiem, żeby wrócił do poprzedniego ustawienia.

– Nie sędzę, żeby zmienił zdanie. W końcu to z jego polecenia stanęły tu dwa cudowne krzesła dla nieistniejących interesantów – oznajmiłam z lekką irytacją, wyjmując z maszyny kolejną porcję doku-mentów.

– Długo będzie pani okupowała drukarkę? Spiesz mi się.

– Panie Stasiu, jak nam wszystkim. Proszę wrócić za dziesięć minut, już kończę.

– No dobrze... – stęknął z niezadowoleniem, ale wyszedł.

Zaczęłam żałować, że się go pozbyłam, bo zaraz potem przyszli Baśka i Marek.

– Jest naczelnik? – spytała Barbara.

– U siebie. Możecie wejść.

– À propos, Mela rozpowszechniła niusa, że nie dałaś nam wszystkich materiałów szkoleniowych. Ciekawe, jak się teraz nauczymy.

– No właśnie, teraz na pewno wszyscy oblejemy! – zawołała Sonia, która pojawiła się nagle jak duch.

Nie odezwałam się, po prostu dalej robiłam swoje. Zacisnęłam zęby, żeby zszyć dwie ostatnie partie załączników, i postanowiłam, że bez słowa zostawię każdemu kopię na biurku. Po całym tym zamieszaniu, kiedy już pozbyłam się wszystkich egzemplarzy,

wróciłam do sekretariatu. W głowie dźwięczały mi nieprzyjemne słowa, które padły tego dnia pod moim adresem. Nie wiedziałam, jak mam poradzić sobie ze zgrają nieżyczliwej szarańczy, która z każdym dniem kasała mnie coraz dotkliwiej. Psychiczne rany goiły się i otwierały na przemian, a mięśnie mojej twarzy były kompletnie wyczerpane z powodu ciągłego napinania. Nie wytrzymałam i rozplakałam się jak dziecko.

– Co się stało, pani Karolino? – spytał naczelnik, widząc mnie kompletnie rozbitą.

– Panie naczelniku, chodzi o materiały szkoleniowe. W ostatniej chwili dostarczyłam strony z uzupełnieniem i przeze mnie nikt nie zdążył się tego nauczyć – zaszlochałam.

Szef tylko machnął ręką.

– Pani Karolino, niech się pani tym nie przejmuj. Czy wie pani, jak wyglądają takie testy? Wszyscy na koniec rozwiązują je wspólnie, a behapowiec czyta pytania na głos i dyktuje odpowiedzi. Zresztą, sama pani się przekona.

– Naprawdę? – spytałam z niedowierzaniem, starając się usunąć chusteczką tusz, który rozpuścił się pod wpływem łez i ściekał po policzku.

Wsparcie szefa podniosło mnie na duchu.

– Ależ oczywiście. A teraz proszę się uspokoić, głowa do góry. – Posłał mi krzepiący uśmiech i skręcił do swojego gabinetu.

Pod koniec dnia padałam z nóg. Usiadłam pod oknem na podłodze i objąwszy rękami kolana, zatopiłam w nich twarz, a resztki tuszu pobrudziły moje jasne spodnie. Zaczęłam szlochać, ale tak jak w niemym kinie, by żaden dźwięk nie wydostał się na zewnątrz.

– Co się dzieje, kochana? – zapytała stojąca nade mną wysoka postać.

– Dobrze, że to ty, już się bałam, że Baśka albo Sonia.

– Słyszałam, co się stało, ale nie przejmuj się nimi. One już takie są. Nie mają nic lepszego do roboty, tylko szcują jednych na drugich. Nie daj się.

Irmina w całym swoim szaleństwie wykazywała najwięcej zdrowego rozsądku. Znała zasady panujące w budżetówce jak zły szeląg. Nie walczyła z wiatrakami, bo wiedziała, że to one napędzają całą energię, pozwalającą człowiekowi przetrwać. Im częściej z nią rozmawiałam, tym bliższa mi się stawała. Irmina była chudą, bezdzietną rozwódką po czterdziestce, która swym największym błędem młodości nazywała przedwczesne małżeństwo. Opowiedziała mi kiedyś, że rodzina nie akceptowała jej wybranka, dlatego szybko wyprowadziła się z domu. Potem mężczyzna jej życia okazał się tyranem i koniec końców Irmina zmuszona była poszukać pracy, by się usamodzielić. Tak trafiła do budżetówki i od ponad dwudziestu lat zajmuje się fakturami. Przez lata wypracowała sobie swoisty kodeks postępowania. Doskonale radziła sobie z osobami, z którymi ja za nic nie potrafiłam się porozumieć. W sytuacjach konfliktowych zawsze wybierałam ucieczkę.

– Chciałabym cię prosić o przysługę. Jutro jest wigilia wydziałowa, ale nie mam ochoty w niej uczestniczyć. Nie po tym, co się dziś wydarzyło.

– Jesteś pewna? – spytała Irmina.

– Jeszcze nie wiem, ale raczej się nie zjawię.

– Cóż, zrobisz, jak zechcesz, ale ja uważam, że powinnaś przyjść. Nie daj im tej

satysfakcji!

– Zastanowię się. Ale w razie czego, chciałabym, abyś przekazała naczelnikowi, że mnie nie będzie. Potem zaznaczę sobie urlop na żądanie.

Przypomniała mi się historia z Mateuszem i naganą, jaką otrzymaliśmy za niewypisanie wniosku urlopowego, ale w tym momencie miałam gdzieś konsekwencje wynikające, zdaniem pani Meli, z niesubordynacji.

Czułam się jak marionetka, której każdy ruch kontrolowany jest za pomocą sprawnie poruszających się palców pani Melanii. Cały szkopał w tym, że lalki nie mają prawa do własnego zdania. Wieczny uśmiech na ich drewnianych twarzach utrwalony jest przy użyciu naostrzonego dłuta, a w moim przypadku tym dłutem była obawa przed utratą pracy.

Wracałam autobusem do domu i wpatrywałam się w strugi deszczu płynące po szybie. Wstąpiłam do osiedlowego sklepiku po paczkę chipsów o smaku sera pleśniowego i butelkę Mołdawskiej Doliny. Jedyne, czego pragnęłam, to znieczulić stres. Włożyłam do ust kilka pokruszonych chipsów i popiłam je moim ulubionym czerwonym winem. Po kilku lampkach poczułam się już dostatecznie błogo, sięgnęłam więc po długopis i zeszyt.

Stan mojej psychiki w skali od jednego do dziesięciu równał się dwa. Jestem w matni. Uświadomiłam sobie, że nie nadaję się na sekretarkę ani do pracy w tym miejscu. Ale jeśli się zwolnię, otoczenie uzna mnie za nieudacznika. Co robić? Czas ucieka, a ja stoję w miejscu. Budżetowi w większości wyglądają na nieszczęśliwych. Chodzą, mówią, pracują, ale widać, że przestali żyć pełnią życia. Brak im osobowości i życiowych perspektyw. Słyszę ich, patrzę na nich, ale tak naprawdę jestem poza systemem. I wcale nie chcę być jego częścią.

Następnego dnia rano obudziłam się z lekkim bólem głowy. Do tego doszły wyrzuty sumienia. Chwyciłam telefon komórkowy i wybrałam numer do pracy. Gdy usłyszałam głos naczelnika, wpadłam w panikę i natychmiast się rozłączyłam. Kilka minut biłam się z myślami, nim zadzwoniłam ponownie.

– Słucham, Wydział Teleinformatyczny.

– Dzień dobry, panie naczelniku, mówi Karolina. Chciałam przeprosić za moją dzisiejszą absencję, ale nie czuję się na siłach, żeby uczestniczyć w wydziałowej wigilii.

– Rozumiem, proszę się tym nie martwić.

Chciałam jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Jeszcze raz przepraszam. Po powrocie wypiszę urlop na żądanie za dzisiejszy dzień.

– Dobrze, proszę wypoczywać.

– Dziękuję, panie naczelniku. Zatem do widzenia.

– Do widzenia.

Kiedy się rozłączyłam, poczułam ogromną ulgę. Deszcz padał podobnie jak poprzedniego dnia, a ja leżałam pod ciepłym kocikiem w panterkę. Pomyślałam wtedy, że dawno nie widziałam się z rodzicami.

Uwielbiam to uczucie, kiedy przejeżdżam przez Wisłę i zmierzam z jednostajną prędkością na prawy brzeg. Za każdym razem przeżywam urbanistyczny szok, gdy widzę spuściznę po piętrzących się na straganach (wyglądających jak łożka polowe) tabunach spodni dżinsowych z przyczepionymi doń metkami made in Wietnam. Jeszcze niedawno kroczyłam w ścis-ku przez wąskie alejki, upstrzone wieszakami, na których wisały modne bluzki w każdym możliwym odcieniu, a obok nich dopasowane kolorem torebki ze skaju. Teraz to niemal sterylna przestrzeń wokół świeżo wyremontowanego stadionu, wyglądem przypominającego blaszany bębenek Oskara Matzeratha.

Jadąc tramwajem numer osiemnaście, przypadkowo usłyszałam rozmowę dwóch mężczyzn. „Przestań się lenić. Myślisz, że pracujesz w budżetówce?“, zapytał jeden. Aż mnie krew załała. Jakim prawem wypowiada się na temat pracy, o której nie ma zielonego pojęcia?

Zawód sekretarki jest tak samo niewdzięczny, jak zawód adwokata, spowiednika czy barmana. Każdy z nich wie coś, czego nie powinien, ale musi żyć z tą wiedzą, mieć do czynienia z ludźmi, którzy są bohaterami tych licznych zwierzeń.

Sekretariat przypomina konfesjonał. Każdy może wejść i wyrzucić, co mu leży na wątrobie. Najgorzej jest być piłeczką pingpongową, którą odbijają między sobą dwaj walczący zawodnicy.

„Spychoterapia” jest z kolei najlepszą formą komunikacji leniwych osobników:

Szef: Powiedz mu, że ma zrobić to tak i tak.

Sekretarka: Dobrze, już idę.

Sekretarka: Powiedział, że masz to zrobić tak i tak.

Pracownik: Ale jak, do cholery? Dlaczego właśnie tak? Przecież to trzeba zrobić inaczej!

Sekretarka: No, wiem..., ale powiedział, że masz zrobić to właśnie w ten sposób...

Pracownik: Kurna! Niech sam to zrobi, skoro jest taki mądry! Powiedz mu, że odmawiam!

Sekretarka: Powiedział, że on tego tak nie robi...

Szef: Od tego jest! Powiedz mu, że jeśli tego nie zrobi, to się z nim policzę!

Sekretarka: Aaa! Ratunku!

Wymyślałam w głowie tragicomiczne dialogi, ale tak naprawdę cieszyłam się na spotkanie z rodzicami, których dawno nie widziałam.

Tata pracował przy jednym z pięciu kotłów parowych w Elektrociepłowni Żerań, a mama przed kilkoma laty była pielęgniarką w państwowym szpitalu, ale z powodu nagłej choroby, a co za tym szło, ciągłego przedłużania zwolnień lekarskich, straciła pracę. Przez pewien czas rodzicom nie wiodło się najlepiej, więc tata musiał poszukać szczęścia na Wyspach Brytyjskich. Po kilku latach wrócił, a ja z kolei wyprowadziłam się z Natką do mieszkania jego siostry, która wyjechała do Norwegii. Kiedy dostałam pracę

w budżetówce, byli zachwyceni, że wreszcie udało mi się stanąć na nogi.

– Strasznie schudłaś! – powiedziała mama, odlewając ziemniaki.

– No właśnie, widać, że dawno nie jadłaś porządnego domowego posiłku.

Opowiadaj, jak nowa praca? Dostaniesz umowę na stałe?

– Spokojnie, przecież dopiero dostała przedłużenie. Rozbieraj się. Nie zmarzłaś?

Zjesz tylko drugie czy chcesz też pomidorową?

Racjonalne podejście do życia mojej mamy kontrastowało z beztroską naturą ojca, poszukiwacza przygód. Słynna w rodzinie była jego wyprawa do Francji w wieku dwudziestu lat. Stał na autostradzie do Paryża, prawie bez grosza przy duszy, za to z gitarą oraz skromnym plecakiem, i usiłował złapać stopa. Stworzył nawet tabliczkę, żeby kierowcy wiedzieli, dokąd się wybiera. Ponieważ nie miał kartki ani długopisu, z pasty do zębów „wycisnął” na odwrocie pudła swojej gitary nazwę miasta. Pewien litościwy Francuz o imieniu Pierre zjechał na pobocze i dzięki niemu ojciec zwiedził jedną z najpiękniejszych stolic Europy. Mama była spokojna, zrównoważona, dbająca o dom i nieco przewrażliwiona na punkcie pewnych drobiazgów, ale prędzej skrytykowałaby kogoś za brak czapki na głowie w zimową zawieruchę niż za eksperymentalne palenie trawki. Obok Natalii była moją najlepszą przyjaciółką i nigdy nie zamieniłabym jej na żadną inną. Zawsze mogłam zwierzyć się moim wyjątkowym rodzicom, co leżało mi na wątrobie.

– Słuchajcie. Nie wiem, czy długo jeszcze wytrzymam jako sekretarka. To jest toksyczna praca, która wyniszcza mnie od środka – wyznałam, gdy zasiedliśmy do stołu.

Tata zastygł z łyżką w połowie drogi do ust.

– Przecież tak się cieszyłaś na początku. Mówiłaś, że wreszcie ustabilizujesz swoją sytuację zawodową, że koniec ze śmieciówkami. Co się stało? – zapytał.

– Trudno mi to wyrazić słowami. Pozornie nic się nie dzieje, ale w sekretariacie czuję się, jakbym siedziała na bombie zegarowej. Każdy telefon, każde szarpnięcie drzwiami wywołują u mnie stres. Nikt nie wie, co tak naprawdę dzieje się w mojej głowie. Opowiadałam wam przez telefon, jacy ludzie tam pracują i do jakich świństw są zdolni. Budżetówka to istny matrix.

– Dlaczego? Jak to wygląda od środka? – dociekała mama.

Przełknęłam i zaczęłam opowiadać.

– Tam jest jak w krwiobiegu. Dyrektor dekretuje pismo na szefa działu prawnego, który kieruje pismo na szefa działu finansowego, który przekazuje je swojemu specjalście, po czym ten stwierdza, że to nie jego działka, i przekierowuje pismo z powrotem do działu prawnego. To jest dziwny, biurokratyzowany świat i chyba nie chcę być jego częścią. Raczej długo tam nie zabawię. Chyba że pojawią się widoki na jakieś merytoryczne stanowisko.

– Wiesz, że poprzemy każdą twoją decyzję, ale nie poddawaj się na starcie. Jest takie powiedzenie: „Szanuj szefa swego, bo możesz mieć gorszego”. Poza tym, jeśli sama odejdziesz, dasz im ogromną satysfakcję. Spróbuj na razie oddzielić, kto w tej pracy jest ci przychylny, a na kogo trzeba uważać. Kiedy twój szef zobaczy, że się starasz, zaproponuje ci bardziej ambitne stanowisko.

– Na szczęście naczelnik jest w porządku. Obawiam się jednak, że nie przeciągnę

go na swoją stronę. Pracuję tam najkrócej, a reszta zna się od lat. To silna grupa, nie do rozbicia. Ale macie rację. Nie dam sobie w kaszę dmuchać.

– Brawo za podejście! – zawołał tata, gestykulując żywo, przy czym omal nie stracił ręką kompotu.

W tym czasie mama podała drugie danie, czyli kotlety mielone z surówką i ziemniakami. Od dawna nie jadłam tak pysznego domowego obiadu.

– Karolino, pamiętaj, że posadę łatwo rzucić, ale niełatwo ją zdobyć. Czasy są ciężkie, spójrz na Natalię. Ładna, wykształcona, a wciąż nie może znaleźć stałej pracy. Albo spójrz na mnie, miałam dobrą pracę w laboratorium, którą uwielbiałam, aż nagle zachorowałam i nikogo nie interesowało, że jestem wieloletnim pracownikiem. Słabe jednostki są automatycznie eliminowane przez system. Dlatego walcz o swoją pozycję i nie daj się im zjeść.

– Zjeść to ja mogę tego soczystego kotlecika! Dziękuję wam za wsparcie. Już chciałam zrezygnować, ale otworzyliście mi oczy. Może faktycznie wyolbrzymiam, bo jestem zbyt wrażliwa. Inna osoba pewnie nie przejęłaby się połową tego, co ja. W poniedziałek pojawię się w sekretariacie z nowym nastawieniem. Zapomnę o tym, co było i stawię czoło ludziom z wydziału!

Wizyta u rodziców dobiegła końca. Dała mi siłę i rozwiała niektóre wątpliwości. Dobrze zrobiłam, że do nich wpadłam! Po powrocie do domu dopisałam do listy moich noworocznych postanowień: „Zrobić selekcję na przyjaciół i wrogów. Traktować kolegów z pracy jak króliki doświadczalne i worki treningowe, żeby przekonać się, kto naprawdę jest kim. Być twardą i asertywną”.

Jak najszybciej chciałam wcielić mój plan w życie.



Mimo planowanej zmiany nastawienia, nie wiadomo kiedy nabawiłam się uciążliwego tikowego nerwowego, objawiającego się tym, że stopniowo ścierałam prawą stronę uzębienia, uporczywie gryząc od środka własny policzek. Natalia doradziła mi wizytę u jej ulubionego dentysty sadysty (nazywała go tak dlatego, że często posługiwał się niekonwencjonalnymi metodami leczenia i przyjmował pacjentów w pomieszczeniu piwnicznym, będącym częścią kamienicy, w której mieszkał).

Przypomniała mi się historia, którą usłyszałam w wiadomościach, o ukraińskim oszuście podającym się za stomatologa, który wyrywał ludziom zęby za pomocą przerdzewiałych obcęgow, a fotel dentystyczny był siedzeniem wyjętym ze starej wołgi. Na szczęście Piotr, stomatolog Natalii, dokonywał prawdziwych cudów.

– Sami niszczymy własne zęby. Jesteś uzależniona – orzekł.

– Co proszę?

– No tak. Alkoholikowi zabiera się wszystkie butelki. A jeśli ktoś obgryza paznokcie, w skrajnych przypadkach wiążemy mu z tyłu ręce albo smarujemy palce czymś gorzkim. Ty ścierasz zęby, więc muszę ci założyć szynę relaksacyjną.

– Taki ochraniacz, jaki nosił Buffalo Bill w *Milczeniu owiec*?

– Bez przesady. Choć w zasadzie różnica między wami polega na tym, że on zjadał cudze mięso, a ty jesz swoje.

Zrobiło mi się niedobrze. Sama ta rozmowa by wystarczyła, abym zostawiła w spokoju prawy policzek. Posłuchałam jednak rady eksperta i za kilka dni odebrałam silikonową nakładkę na dolną szczękę do zakładania na noc. Zamierzałam na zawsze wyzbyć się szkodliwego tikowego.

Etap odnowy rozpoczęłam od wizyty u dentysty. A jeśli chodzi o właściwe podejście do ludzi, to starałam się okrywać płaszczem z grubej skóry i nie brać sobie wszystkiego do serca.

Budżetówka rozpoczęła nowy rok w wyjątkowo spokojnym tempie. Gorączkowe zamykanie spraw finansowych ustąpiło miejsca przedsięwzięciom planowanym na kolejne kwartały. Szybko jednak dobrze mi znany biurokratyczny kierat zaczął się od początku.

– Karolinko, jak miewają się dzienniki? – spytała pani Mela, która tradycyjnie podała najpierw słodkie jabłko, by po chwili zatruć dalszą rozmowę. – Chciałabym, żeby twoja praca nabrała tempa, bo niedługo trzeba będzie zrobić na ich podstawie spis akt przekazanych.

Prawda była taka, że od dawna się tym nie zajmowałam.

– Rozumiem, pani Melu, tylko że tego jest strasznie dużo. Uzupełniłam już prawie połowę, ale w niektórych dziennikach nadal są luki. Troje pracowników, którzy zostawili po sobie puste rubryki, już tu nie pracuje. Jak mam od nich uzyskać pokwitowanie odbioru?

– Poproś kierownika o pomoc. Musisz sobie jakoś radzić.

– W takim razie poproszę Filipa o pomoc.

– Doskonale.

Pani Melania wypowiedziała to zdanie ze stoickim spokojem i z gracją wycofała się z sekretariatu.

Kiedy grupowałam dzienniki, które miałam pokazać kierownikowi, w sekretariacie pojawił się dyrektor Terenowski. Słyszałam od innych, jaki jest, więc od razu stanęłam na baczność. Zachowanie dyrektora przypominało musztrę w wojsku – należało odpowiadać krótko i na temat, a każda dodatkowa sekunda, wahanie w głosie pracownika, budziły jego uśpioną wściekłość. Rzucił groźne spojrzenie w stronę gabinetu.

– Co z Pawłem? – spytał.

– Wyszedł – odpowiedziałam.

– ...z siebie?

– Jeszcze nie – wypaliłam.

Dyrektor nabrał powietrza i zamrugał powiekami, jakby doznał zaburzeń widzenia, po czym wyszedł. Miałam nadzieję, że nie przysporzyłam sobie kłopotów, ale w tej instytucji już niczego nie byłam pewna. Szef po powrocie wręczył mi pismo, które odebrał od Józefiny.

– Pani Karolino, proszę je zanieść na dół do wydziału naczelnik Renaty Perłowskiej. To nie jest nasza działka.

– Oczywiście, zaraz odniosę.

Zeszłam na dół i odnalazłam właściwy pokój, który rozkładem odpowiadał naszemu. W sekretariacie było pusto, a na biurku panował chaos. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że w gabinecie siedzi kobieta, którą spotkałam kiedyś w łazience. Dzisiaj

miała na sobie tradycyjną garsonkę, a tym, co odróżniało ją od reszty naczelników, była idealnie dopasowana spódnica kończąca się tuż nad kolanami.

– Dzień dobry, pani Renato. Przysłał mnie naczelnik Iważur, abym oddała to pismo w pani ręce – wskazałam.

Renata przeczytała je uważnie, po czym ze zdumienia otworzyła oczy.

– Ale to nie do nas, to Paweł powinien się tym zająć.

Pani naczelnik chwyciła za telefon.

– Słuchaj, Paweł, nie będziesz na mnie przerzucał swoich obowiązków! To pismo jest wyraźnie zadekretowane na ciebie, a do nas tylko do wiadomości! I nie przysyłaj mi dziewczyny, skoro sam nie umiesz tego załatwić! – nakrzyczała na niego i się rozłączyła.

Aż strach pomyśleć, co by zrobiła, gdyby stali naprzeciw siebie twarzą w twarz.

– W takim razie wracam na górę – powiedziałam i żeby nie dodać słynnego *con permiso*, dwa razy wbiłam sobie paznokcie w dłoń.

Czułam się głupio wobec szefa, który wiedział, że słyszałam, jakim tonem rozmawia z nim jego koleżanka.

– Pani Renata nie przyjmie tego pisma – oznajmiłam.

– Oj tam, pokrzączy trochę i przestanie, pewnie ma okres – zażartował, aby rozładować napięcie. – Pani poczeka, przepiszę je na Filipa.

Zabrałam pismo z powrotem i czekałam na kierownika. Gdy przyszedł, powstał kolejny problem. Właściwie taki, z którym borykałam się od wielu miesięcy, tylko do tej pory ulegałam presji otoczenia. Zgodnie z noworocznym postanowieniem, miałam załatwiać wszystko od ręki, wyjaśniłam więc, w czym rzecz.

– Panie Filipie, wie pan, że uzupełniam luki w dziennikach po Anecie, ale nie wie pan, że w międzyczasie powstają następne. Większość zabrał pan ode mnie i nigdy mi ich nie oddał, wiem, bo wpisuję ołówkiem pana nazwisko, żeby potem w tym miejscu podpisała się osoba, której przekazał pan dane pismo. Niestety, pan rozdaje te pisma, a ludzie mi się potem nie podpisują. W związku z tym mam do pana gorącą prośbę. Czy mógłby pan nie rozdawać pism swoim pracownikom, zanim nie pokwitują ich u mnie? Mam potem bałagan w dzienniku.

Filip na moją prośbę zareagował jak oparzony żelazkiem.

– Pani Karolino, superekstrapisma dekretuję od razu na kolegów. Po co mam je z powrotem przynosić do pani, tylko po to, żeby za chwilę wróciły do nas? Nie mam czasu na takie bzdety.

W chwilach stresu Filip stawał się zwyczajnie grubiański.

Skoro tak, to ja się prosić nie będę, pomyślałam.

– W takim razie zapytam naczelnika, jak rozwiązać ten problem. Panie naczelniku...! – zawołałam.

Pan Paweł wyszedł ze swojego gabinetu.

– Co się stało? – spytał.

– Pomyślałam, że założę osobny dziennik, w którym pan kierownik osobno pokwituje wszystkie pisma rozdawane pracownikom. Dzięki temu będę miała czarno na białym, że pisma na pewno ode mnie wyszły. Co pan o tym sądzi?

Naczelnik pochwalił mój pomysł.

– Panie Filipie, zgadza się pan na takie rozwiązanie? – upewniłam się.

Kierownik bez słowa przystał na nowe warunki. Szybko jednak przekonałam się, że to on wygrał. Za każdym razem, gdy musiał stawiać parafki w dodatkowym dzienniku, kłął pod nosem, a kiedy kwitował je w obecności Soni czy Baśki, podśmiewały się ironicznie. Miałam wrażenie, że pozbawiono mnie należytego szacunku, przez co czułam się samotna. A przez to stawałam się coraz bardziej zgorzkniała.

– Soniu, dla ciebie również mam pismo.

Moja koleżanka burknęła coś pod nosem, jakby robiła mi łaskę, po czym chwyciła dokument i skierowała się w stronę drzwi.

– Soniu, jeszcze podpis. To nie Japonia, gdzie słowo mówione ma większą moc – zawróciłam ją.

Stanęła w progu i posłała Filipowi porozumiewawczy uśmiech.

– Patrz, jak młoda pyskuje! – prychnęła z sar-kazmem.

Filip powtórzył gest, lecz obydwójce wiedzieliśmy, że tym razem to ja byłam górą.

Na jakiś czas kierownik znowu zmienił front. Zaczął mi nawet pomagać w uzupełnianiu starych dzienników, które piętrzyły się w szafie pancерnej. Ja natomiast zrezygnowałam z dodatkowego zeszytu i na bieżąco pilnowałam, aby w dzienniku nie brakowało podpisów. Luki w dziennikach, zarówno tych sprzed kilku lat, jak i tego, na którym aktualnie pracowałam, z dnia na dzień zaczęły wypełniać parafki. Poczułam, że wszystko znów zmierza we właściwym kierunku.

Po powrocie z pracy miałam tyle energii, że wysprzątałam całe mieszkanie, a Natka po powrocie własnym oczom nie wierzyła.

– Tu chyba nigdy nie było tak czysto! – zauważyła.

– A, naszło mnie na porządki.

– Dawno nie widziałam cię w tak dobrym humorze.

– Wiesz, ta praca chyba nie jest taka zła, jak mi się wydawało. Zaczynam doprowadzać wszystko do ładu. Kiedy pani Mela zobaczy, jak się staram, na pewno znów wstawi się za mną u naczelnika i wtedy dostanę stałą umowę. Tymczasem te głupie dziewczuchy mogą się schować, bo kierownik mi pomaga.

– Uważaj, bo nastawią przystojnego Filipa przeciwko tobie. Mówiłaś, że są o niego zazdrosne.

– Mam do gdzieś. À propos facetów, przyznaję, że ten twój Afrim jest ciekawym człowiekiem. Chociaż nie mógł przyjść do nas na sylwestra, pisaliście do siebie bez przerwy – zmieniłam temat.

Natka się rozmarzyła.

– Wiesz co, to wreszcie coś poważnego. Piszemy do siebie prawie codziennie. Dowiedziałam się, że pracuje w dużej firmie farmaceutycznej i jest specjalistą do spraw marketingu. Tak jak ja zna dobrze angielski, zrobił kurs na instruktora masażu i planuje na stałe zostać w Warszawie. Czasem przyjeżdża po mnie na uczelnię albo zawozi do klientów na korepetycje. Takich facetów w Polsce ze świecą szukać. Cudzoziemcy są jednak pod tym względem zupełnie inni.

– Naprawdę cieszę się z twojego szczęścia. – Przytuliłam ją.

Na kolację ugotowałyśmy spaghetti carbonara i wcinałyśmy przed telewizorem.

Natka odkorkowała białe wino Cotè, które idealnie pasowało do makaronu i sosu, a ja nastawiłam płytę z filmem *Zakazany owoc*. Zgodnie stwierdziłyśmy, że zamiast ciężkiego thrillera mamy ochotę na lekką komedię romantyczną. W połowie filmu usłyszałam sygnał esemesa w mojej komórce, ale nie chciało mi się wstawać. Sięgnęłam po kieliszek z winem i znów oparłam się na kanapie. Kiedy procenty uderzyły nam do głowy, ledwie dotrwałyśmy do końca filmu.

– No to kolejny dzień zaliczony – powiedziała Natalia, wyłączając pilotem odbiornik.

– A teraz znowu trzeba iść spać. Ależ mi się nie chce zmywać makijażu. – Przeciągnęłam się leniwie.

– To nie zmywaj. Rano sobie polakierujesz twarz i będzie jak nowa – zaśmiała się Natka.

– He he, dobre, ale jednak nie zaryzykuję.

Po powrocie z łazienki wskoczyłam do łóżka, a moja przyjaciółka, leżąc naprzeciwko, czytała książkę na temat metodologii nauczania. Wtedy przypomniało mi się, że mam nieodebraną wiadomość. Sięgnęłam po komórkę i oniemiałam.

– Nie wierzę! – zawołałam, gdy odzyskałam głos.

Natalia wyrzała do mnie zza książki i zaciekawiona odłożyła ją na bok.

– Co się stało? – spytała.

– Nie uwierzysz, kto do mnie napisał.

– Czyżby...? – Od razu wiedziała, o kogo chodzi.

– A jednak... – potwierdziłam rozpromieniona.

Natalia wyskoczyła z łóżka, aby osobiście przeczytać esemesa: „Hej. Wszystkiego naj w Nowym Roku. Wróciłem do Polski i chętnie bym się z Tobą spotkał. Co Ty na to? Krystian”.

– Jednak się odezwał. A już straciłam nadzieję. I co ja mam teraz zrobić...?

– To chyba oczywiste. Odpisz mu, że jesteś zainteresowana!

– Dziś jest już za późno. Odpiszę jutro w pracy.

Odłożyłam telefon, i zanim zasnęłam, długo analizowałam treść esemesa od Krystiana. Planowałam w myślach przebieg naszego spotkania. Po raz pierwszy nie mogłam doczekać się, kiedy pójdę do pracy i odpowiem na jego propozycję.

Rano nie mogłam się na niczym skoncentrować. Przez cały czas myślałam o Krystianie. Zastanawiałam się, czy spotkanie się z partnerem handlowym szefa jest właściwym posunięciem, ale nigdy nie potrafiłam oddzielać spraw prywatnych od zawodowych. Po długim namyśle zaryzykowałam i napisałam: „Witaj. Dziękuję za życzenia:). Fajnie, że już wróciłeś. Miło byłoby się zobaczyć. Pozdrawiam, Karolina”.

Przed wysłaniem przeczytałam tego esemesa z tysiąc razy, aż uznałam, że treść jest wystarczająco wyważona. Potem co kilka sekund zerkałam na telefon, by sprawdzić, czy przysłała już odpowiedź, aż pół godziny później się doczekałam: „Super:). Proponuję spotkanie w najbliższy piątek o 17.30 w Bombaj Masala przy Jana Pawła. Pasuje Ci?”.

Nie chciałam zwlekać, więc natychmiast potwierdziłam. Odliczałam już dni do końca tygodnia. W domu o wszystkim opowiedziałam Natce, którą oczywiście poprosiłam o kilka porad.

– Czy uważasz, że powinnam iść z nim na ten obiad?

– Nie potrzebujesz moich rad. I tak pójdziesz.

– W zasadzie tak... A podpowiedz mi, kochana, w co się ubrać?

– Na pewno seksowną bieliznę. Nigdy nic nie wiadomo! – Puściła do mnie oko.

– No coś ty! Nic z tych rzeczy! – zarzekałam się.

– Wiem, wiem. Ty jesteś z tych porządnych. Moim zdaniem, powinnaś włożyć coś eleganckiego. Skoro to droga restauracja, możesz włożyć tę czerwoną dopasowaną sukienkę i rękę Fatimy na szyję.

– Świetna myśl! Do tego kryjące czarne rajstopy i rozpinany sweterek. Jest zimno, więc i tak pojedę w kozakach, ale w tych na obcasie, no i koniecznie beżowy płaszcz zamiast pikowanej kurtki. Najwyżej trochę zmarzną! – Machnęłam ręką.

No i wszystko było już jasne.

W końcu nadszedł piątek. Zjawiłam się na rogu Solidarności i Jana Pawła punktualnie o siedemnastej trzydzieści. Ponieważ pracy miałam jak zwykle multum, tak ułożyłam plan dnia, aby wyjść o czasie. W najgorszym razie odłożyłabym co nieco na poniedziałek, zaryzykowałabym nawet naganę od szefa.

Nieopodal mnie zaparkowała srebrna mazda, z której wysiadł Krystian. Zablokował drzwi pilotem i podszedł do mnie rozpromieniony.

– Witaj. – Pocałował mnie w policzek.

– Cześć – odpowiedziałam i ruszyliśmy do pobliskiej Bombaj Masala, ulubionej indyjskiej restauracji Krystiana. Przy wejściu powitała nas uśmiechnięta kelnerka i skierowała do zarezerwowanego stolika.

Nie byłam tu wcześniej. Z zachwytem rozglądałam się po przytulnym wnętrzu i podziwiałam nowoczesny wystrój: stoliki w kolorze wenge, turkusowe ściany, a gdzieś złote posągi Buddy i Śiwy. Przestronne okna ozdobiono lambrekinami w kremowym kolorze, a na podłodze zauważyłam ogromne ceramiczne wazy pełne

świeżych kwiatów. Część ścian pokrywała barwna mozaika w stylu orientalnym.

– Przede wszystkim dziękuję, że zechciałaś poświęcić mi czas – powiedział Krystian, odsuwając dla mnie krzesło.

– To ja dziękuję, że mam okazję przebywać w tak uroczym towarzystwie – odpowiedziałam, wieszając torebkę na oparciu.

– Urocza to jesteś ty. – Przeszył mnie wzrokiem.

Jego maślany wzrok mówił sam za siebie, a gdy złapał się na tym, automatycznie przeniósł wzrok na porcelanowe talerze. Podeszła do nas kelnerka, aby przyjąć zamówienie

– Proszę dać nam jeszcze kilka minut – powiedział Krystian, kiedy zorientował się, że nawet nie zajrzeliśmy do karty.

Nie miałam problemu z decyzją, bo kocham orientalną kuchnię, choć muszę przyznać, że wybór dań był ogromny. Krystian nalegał, abym wzięła przystawkę, zupę i danie główne, ale ja, znając dobrze możliwości swojego żołądka, ograniczyłam się do tego ostatniego. W końcu zamówiłam murgh hyderabadi, czyli kurczaka w sosie kolendrowo-miętowym, podawanego z ryżem basmati, a do picia dużego carlsberga. Krystian poprosił o mutton gulzar – pod tą nazwą kryły się kawałki jagnięciny w sosie nerkowcowo-migdałowym – a do tego tradycyjną herbatę chai masala.

Jako starter dostaliśmy od kelnerki indyjski chleb z pieca tandoor; degustacja miała umilić nam czas oczekiwania na danie główne. Szybko pojawiły się również napoje.

– Mają tu świetne chardonnay, ale dziś muszę obejść się smakiem, prowadzę – żałował. – Szkoda, nie pomyślałem, żeby przyjechać taksówką, wtedy mógłbym napić się z tobą. Trudno, następnym razem możemy spotkać się u mnie, poczęstuję cię znakomitym białym winem.

Speszyła mnie jego bezpośredniość.

– Myślę, że lepiej będzie spotkać się powtórnie w ogólnodostępnym miejscu...

– Moje mieszkanie jest ogólnodostępne – uśmiechnął się intrygująco. – Nie bój się, przecież nic bym ci nie zrobił.

– Nie zawsze czyny odpowiadają słowom – odpowiedziałam i zaczęłam bawić się słomką, zataczając pierścienie w szklance piwa.

Krystian budził we mnie niezrozumiałe emocje. Wszystko, co robiłam, na bieżąco analizowałam, każdy gest czy słowo musiały być przeze mnie przemyślane, nim decydowałam się na kolejny krok. Czułam się dumna i wyjątkowa, że mogę przebywać z tak fantastycznym facetem. Wyobrażałam sobie, że ludzie dyskretnie spoglądają w naszym kierunku. Staralam się chłonać każdą chwilę. Krystian pytał mnie, co studiowałam, co lubię robić w wolnym czasie, jakiej muzyki słucham i dlaczego zdecydowałam się na posadę sekretarki. Ja za to dowiedziałam się, że mieszka sam w dużym trzypokojowym mieszkaniu i pochodzi z Gdańska, gdzie mieszkają jego rodzice. W wolnych chwilach biega, ogląda filmy science fiction, a na imprezach pije jägermeistera i słucha muzyki elektronicznej. Jednym słowem, byliśmy niczym dwie sąsiednie planety w jednej galaktyce.

Pograżeni w rozmowie, nawet nie zauważyliśmy, kiedy potrawy zagościły na naszym stole. Chwyciłam do ręki widelec i ochoczo zabrałam się za smakowicie

wyglądające kawałki kurczaka, zatopione w soczyście zielonym sosie, na wierzchu przyozdobionym czerwonymi papryczkami chili. Krystian z apetytem pałaszował jagnięcinę w złocistym sosie z orzechów nerkowca i udekorowanym świeżymi ziołami.

Zaspokoiliśmy pierwszy głód i wróciliśmy do rozmowy.

– Jak ci się pracuje w tak specyficznym wydziale? – podjął ryzykowny temat.

– Dlaczego specyficznym? – spytałam, biorąc kęs do ust.

– Trochę już znam Pawła i jego ekipę. Jeśli mam być szczery, średnio do nich pasujesz.

– Jeśli mam być szczerą, też tak uważam, ale staram się dostosować. Najwyraźniej niezbyt mi to wychodzi. – Pociągnęłam łyk piwa.

– Myślę, że mogłabyś osiągnąć znacznie więcej niż posada sekretarki.

– Możliwe, ale póki co, cieszę się z tego, co mam. Niełatwo znaleźć stałą pracę w tym kraju. Ty miałeś szczęście, założyłeś świetnie prosperującą firmę.

– Głównie dzięki zagranicznym kursom i finansowemu wsparciu ze strony rodziców – wyjaśnił z uśmiechem. – Ale rozwój firmy zależy od wielu czynników. Konieczne są środki unijne, a przede wszystkim współpraca z instytucjami budżetowymi. Przy okazji, mam nadzieję, że dzięki pertraktacjom z waszym dyrektorem po raz kolejny uda nam się wygrać przetarg.

– Z pewnością byłoby to dla twojej firmy bardzo korzystne – zauważyłam dyplomatycznie.

Czułam się niezręcznie, rozmawiając z Krystianem o pracy, dlatego poprosiłam o dolewkę piwa, a na deser wzięliśmy smażone pączki w syropie kardamonowym. Wtedy rozmowa zesłała na bardziej intymne tematy.

– Czy wiesz, że masz bardzo seksowne nazwisko? – zapytał nieoczekiwanie.

– Doprawdy? – uniosłam brwi ze zdziwienia.

– Tak, bo lubczyk to afrodyzjak, w dodatku silnie działający na mężczyznę – wyjaśnił, obdarowując mnie dzikim spojrzeniem.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Zupełnie jakby wcześniej rozrysował sobie cały scenariusz. Tymczasem ja, odkąd pamiętam, lubiłam poznawać znaki zodiaku osób, z którymi miałam do czynienia, więc podstępnie spytałam:

– Czy ty przypadkiem nie jesteś spod Skorpiona?

– Jestem Koziorożcem – odpowiedział.

– Aha, to wszystko jasne. Ja jestem Baranem – dodałam, lecz Krystian nie pociągnął tematu astrologii, co, zdaje się, było do przewidzenia.

Chwilę potem znów przejął kontrolę nad rozmową.

– Czy mogę cię o coś spytać?

– Pytaj.

– Jak to jest, że taka dziewczyna jak ty nie ma chłopaka?

– A skąd wiesz, że nie mam?

– Myślę, że wtedy nie siedziałabyś tu ze mną, tylko z nim.

Uśmiechnęłam się i rozwiąłam jego wątpliwości.

– Nie mam. Prawdę mówiąc, nie spotkałam jeszcze faceta, który miałby w sobie to coś. I nie mówię bynajmniej o wyglądzie. Chciałabym poczuć trzęsienie ziemi pod



nogami.

– No tak. Prawdziwa kobieta potrzebuje anioła na pełen etat i diabła na nocną zmianę...

Znowu zaskoczył mnie swoją odpowiedzią.

Jedzenie i napoje powoli się kończyły, lecz w żadnym wypadku nie mieliśmy dość swojego towarzystwa. Pod koniec spotkania odniosłam wrażenie, że Krystian chce jeszcze o coś zapytać, ale w rezultacie zrezygnował.

Przyniesiony przez kelnerkę rachunek automatycznie trafił w ręce Krystiana, który postanowił zapłacić za cały obiad. Bez wahania sięgnęłam do torebki po portfel.

– Chyba żartujesz. Jesteś moim gościem – odparł ze stoickim spokojem.

– Dziękuję, ale uważam, że powinniśmy podzielić rachunek po połowie – nalegałam.

– Drobiazg. Będziesz mi winna buziaka. – Uśmiechnął się, po czym dał znać kelnerce, że rachunek został uregulowany.

Nawet nie spojrzałam, ile napiwku zostawił, ponieważ nie upomniał się o resztę. Po wyjściu z restauracji przespacerowaliśmy się do miejsca, w którym zaparkował samochód.

Ciepłe wewnątrz restauracji sprawiło, że chłód na ulicy dawał się bardziej we znaki. Staralam się jednak nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest mi zimno.

– Podwieźć cię gdzieś? – zaproponował.

– To miłe z twojej strony, ale nie chcę ci robić kłopotu. No chyba, że akurat jedziesz w stronę Służewca. – Wbiłam wzrok w chodnik.

– Jadę na Kabaty, wskakuj – odparł.

Nim się obejrzałam, siedziałam na miejscu pasażera, przypięta pasami bezpieczeństwa. W trakcie jazdy poruszaliśmy neutralne tematy, w stylu, jak się mieszka w Warszawie, ile traci się czasu, czekając na światłach, lub w jakich lokalach warto bywać. Nie chciałam nadużywać uprzejmości Krystiana, więc poprosiłam, żeby wysadził mnie kilka przystanków od domu, tak aby i jemu było łatwiej dostać się do alei KEN. Zatrzymał samochód, a ja uświadomiłam sobie, że to koniec naszego cudownego spotkania.

– Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie, obiad był przepyszny. – Zarumieniłam się.

– Cieszę się, że ci się podobało. Następnym razem będzie jeszcze milej. – Spojrzał na mnie uwodzicielsko.

– Zatem do następnego razu. – Odwzajemniłam spojrzenie.

Nagle Krystian nachylił się do mnie, żeby pocałować mnie w policzek na pożegnanie, ale „niechący” trafił w usta. Wtedy poczułam, jak w żołądku robi mi się gorąco. Od dawna nie miałam okazji tego doświadczyć. Kiedy jednak uprzytomniłam sobie, co się dzieje, gwałtownie odsunęłam się od Krystiana.

– Muszę już iść.

– Trzymaj się – odpowiedział i się uśmiechnął.

Wysiadłam z samochodu i niczym lunatyk ruszyłam w stronę przystanku autobusowego. Gdy odwróciłam głowę, dostrzegłam włączającą się do ruchu ulicznego mazădę.

– Opowiadaj! Jak było? – Natka czekała w progu, nie pozwoliła mi nawet zdjąć butów.

Opadłam na kanapę i streściłam jej cały przebieg spotkania.

– Niesamowite! Naprawdę to zrobił? – Nie mogła uwierzyć, że Krystian mnie pocałował.

– Zrobił... I wiesz co? Poczulałam, że się rozpląwam... Boję się, że nie będę mogła o tym zapomnieć.

– A dlaczego byś miała zapomnieć?

– Sama nie wiem... Ten niejednoznaczny dialog i pojedynki spojrzeń... Sporo się wydarzyło jak na jedno spotkanie.

Nie mogłam tego dłużej ukrywać. Ani przed sobą, ani przed światem. Byłam kompletnie zauroczona Krystianem. Nie wiedziałam, co zdarzy się jutro, więc rozkoszowałam się wspomnieniem minionego spotkania.

– Kurwa! Niech on sobie nie myśli, że będzie ze mną pogrywał. Czy on uważa, że jestem jakimś pieprzonym literatem?

Dawno nie widziałam pana Pawła w tak złym humorze. Zwykle przypominał szwendającego się po korytarzach wesołka, ale tego dnia ktoś mocno załatwił mu za skórę.

– Pawle, trzeba to inaczej załatwić. Znasz dyrektora Terenowskiego. On oczekuje rezultatów, a nie szczegółów. Napiszemy krótką notatkę, że ta spółka nie ma osobowości prawnej, i podeprzemy się jakimiś paragrafami. Niech to rozwiąże sekcja opiniodawcza – doradzał mu Filip.

– Wiem, ale, kurwa, dlaczego ja mam się tym zajmować?! – narzekał szef.

Przywykłam do rzucania mięsem przez kierownic-two i nic nie mogło mi popsuć tego dnia, tym bardziej że cały czas miałam w pamięci obraz Krystiana i naszego pocałunku. Między nami iskrzyło od samego początku. Od pierwszego spotkania, kiedy Krystian biegł na spotkanie z dyrektorem, a ja zaczynałam nową pracę. Gdy się widzieliśmy, jego uśmiech i zawieszanie na mnie wzroku mieszały się z opanowaniem, jakby ten dystans miał chronić jego emocje niczym kuloodporna szyba. Z drugiej strony pocałunek... Niby niechący, choć każde z nas doskonale wiedziało, że to nie był przypadek. Chciałam kontynuować tę znajomość, ale jednocześnie bałam się, że to wszystko jest zbyt ulotne i wkrótce pęknie niczym bańka mydlana.

Kiedy rutynowo wprowadzałam dane do dziennika korespondencyjnego, zapikowała moja komórka. Aż podskoczyłam z radości na widok esemesa: „Cześć :). Dzięki za spotkanie. Uważam, że fajna jesteś. Daj mi swojego mejla, to coś ci wyślę”.

Trzydziestoczteroletni właściciel dużej firmy pisał do mnie językiem nastolatka, ale właśnie to było w nim najbardziej urocze.

Żywa dyskusja między kierownikiem a szefem dobiegła końca, a mój rozmarzony wyraz twarzy pozostał niezauważony nawet przez wychodzącego z gabinetu Filipa. Do sekretariatu weszła Marina, żeby nadać faks. Miała posępną minę, która nie najlepiej współgrała z odważnym dekoltem jej koronkowej bluzki.

– Hej, co tam słychać? – zagadałam.

W jednej ręce trzymała kartkę, a w drugiej różową karteczkę.

– Hej. Muszę przefaksować do urzędu pracy moje podanie o przedłużenie stażu. Pani Mela powiedziała, że jest szansa, abym została tu jeszcze kolejne trzy miesiące.

Nawet się nie zorientowałam, jak szybko minął czas.

– Jasne, wysyłaj, trzeba próbować. Na pewno się uda. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Też mam taką nadzieję. Przyzwyczyłam się już do tego miejsca, chociaż liczyłam się z tym, że to nie na zawsze.

Marina odwróciła się do faksu i z westchnieniem wstukała numer. Zrobiło mi się jej szkoda. Gdyby nie intrygi dziewczyn, może byśmy się nawet zaprzyjaźniły. Nie licząc kilku incydentów wynikających z nadgorliwości pani Melanii, ja i Marina

dogadywałyśmy się całkiem nieźle. Szkoda, że w sekretariacie nie ma miejsca dla dwóch sekretarek. Mogłybyśmy dzielić między siebie pracę, ciesząc się wzajemnym towarzystwem. Ale tego nie praktykowało się w budżetówce, a poza tym wiele przemyśleń na temat tego, że Marina jest jednak osobą szczerą i godną zaufania, dotarło do mnie zbyt późno. Pomyślałam, że jeśli uda jej się przedłużyć staż, postaram się mieć z nią znacznie lepszy kontakt niż wcześniej. W końcu obie byłyśmy świeżynkami, których nie dotknął jeszcze ferment, jaki roztaczali dookoła pozostali współpracownicy.

W domu zastałam Natalię siedzącą przed laptopem. Akurat spłynęło na nią natchnienie i zaciekle pisała pracę magisterką.

– Proszę cię, tylko pięć minut. Muszę coś pilnie wysłać! – błagałam. Miałyśmy jeden komputer, a ja chciałam natychmiast napisać mejla do Krystiana.

– Już, chwila! Mam wenę, muszę dokończyć ten rozdział! – Stukała w klawiaturę jak opętana.

Odczekałam dziesięć minut i obróciłam jej fotel tyłem do monitora.

– Ej, no! – wrzasnęła oburzona.

– Dosłownie trzy minuty – przekonałam ją.

– No, już dobrze, siadaj.

– Dzięki, jesteś najlepsza!

Zgoniłam ją z krzesła i zalogowałam się do poczty elektronicznej, a następnie wyjęłam z portfela wizytówkę, na której widniał adres mejlowy Krystiana.

– A więc to jest ta pilna rzecz, którą musisz zrobić? – spytała Natka, przebierając nogami.

– Tak – potwierdziłam.

Kilka minut później mejl do Krystiana był już wysłany. Jeszcze tego samego wieczoru zajrzałam do skrzynki. Spomiędzy licznych ofert promocyjnych dotyczących weekendowych wypadów do ośrodków spa, a także newsletterów, które subskrybowałam, wyłoniła się wiadomość od Krystiana. Było nią zaproszenie na warsztaty dla sekretarek, na których można było nauczyć się wielu przydatnych technik, takich jak asertywność, zarządzanie czasem i współpraca z zespołem. Warsztaty były bezpłatne i miały się odbyć w jego firmie. Pomyślałam, że to miły gest, i bez wahania wypełniłam formularz zgłoszeniowy, choć miałam jeszcze miesiąc na decyzję.

Następne dni w pracy były bardzo nerwowe. Nie mogłam uwierzyć, z jakimi osobami mam do czynienia. Naczelnik i pani Melania prowadzili dyskusję na temat Mateusza, który po powrocie z Chin stał się jeszcze większym outsiderem. Nawet ze mną prawie nie rozmawiał, tylko zamykał się w swoim pokoju i cierpliwie czekał na rozkazy szefa.

– Musimy się go pozbyć. Pracownik instytucji państwowej nie może chować się po kątach ze słuchawkami na uszach i po kryjomu uczyć się chińskiego czy innego dziwnego języka – marudził naczelnik.

– Podzielam twoje zdanie, ale trudno pozbyć się kogoś, kto ma umowę na czas nieokreślony. Pamiętaj, że Mateusz pracuje u nas ponad dziesięć lat – zauważyła pani Mela.

– Stanowczo za długo. On po prostu do nas nie pasuje. Jest dziwakiem – podkreślił naczelnik.

Najwyraźniej zapomnieli, że jestem tuż za ścianą.

– Słuchaj, znajdziemy jakiś sposób. Pamiętasz, jak kiedyś Stanisław domagał się, byśmy zatrudnili jego żonę w naszym wydziale?

– Ależ oczywiście. Przecież małżeństwo nie może pracować w tym samym wydziale, to niezgodne z przepisami.

– Właśnie. Postawiłem mu ultimatum: jeśli ją zatrudnimy, on wylatuje, decyzja należy do niego. No i odpuścił. Małgośka pracuje teraz w finansach MSW, więc wyszło jej na dobre.

W głosie pana Pawła wyczułam zazdrość.

– Co do Mateusza, zaraz znajdziemy na niego jakiegoś haka i skończy się dyscyplinarką.

Przełożony i jego prawa ręka dawno już zdjęli swoje obłudne maski. Po tych wszystkich miesiącach wiedziałam na tyle dużo, że mogłabym napisać niezły scenariusz do filmu.

Następnego dnia naczelnik wraz z Filipem zastanawiali się, jak przemyścić pismo do Biura Kontroli, które domagało się szczegółów dotyczących podpisania nowej umowy z Indygo. Ponieważ termin odpowiedzi już minął, pan Paweł kombinował, jak sprawić, by kierownik działu przymknął oko na opóźnienie.

– Kto to zanieś? O, już wiem! Pani Karolino, proszę dostarczyć te dokumenty na ostatnie piętro do pokoju pięćset piętnaście. Tam siedzi pan Baran, który zajmuje się kontrolą wydziałów. Niech się pani do niego ładnie uśmiechnie. – Szef przekazał mi teczkę. – Tylko proszę dopilnować, by pokwitował te dokumenty wraz z datą i godziną ich otrzymania, jasne?

– Jasne, panie Pawle – przejęłam teczkę.

– Pani Karolino, chwileczkę!

Zatrzymał mnie w pół drogi i zmierzył wzrokiem.

– Tak, panie naczelniku? – spytałam lekko spanikowana.

– A, nic. W porządku. Dobrze, że włożyła pani dzisiaj sukienkę – zarechotał.

Całe szczęście, że pismo udało się zostawić, a skrupulatny pan Baran – jak na rasowego urzędnika przystało – pokwitował odbiór wraz z datą otrzymania. Stawiając parafkę, z zaciętą miną spojrział na zegarek, a po chwili dopisał godzinę i minutę.

Krótko cieszyłam się z sukcesu, bo po powrocie czekała mnie kolejna niespodzianka.

– Pani Karolino, spodziewam się gościa. Wie pani, co robić.

Wyjęłam serwis kawowy, przetarłam, uzupełniłam zapas wody w czajniku, wyjęłam dzbanek na mleko, przesyłam ciastka na talerzyk.

Na widok gościa pana Pawła poczułam euforię zmieszaną z paniką.

– Cześć! – przywitał się Krystian.

– Cześć... – wydusiłam i oblałam się rumieńcem.

– Co słyhać? Dostałaś mejla?

– Yyy... tak... Nawet już odpisałam.

– Świetnie! Za jakiś czas znów się widzimy!

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo z gabinetu wyszedł naczelnik i zaprosił Krystiana do środka.

Zdałam sobie sprawę, że nie dam rady donieść im tej tacy z kawą. Zadzwoiłam po Irminę i poprosiłam, by mnie wyręczyła. Nakłamałam, że jest mi słabo, bo od rana nie miałam nic w ustach.

– Faktycznie, mogłabyś im to wylać na spodnie, lepiej ja to zaniosę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna! Skoczę na dół do kiosku po coś słodkiego, bo ledwo trzymam się na nogach. – Poszłam, choć ciekawa byłam ich reakcji na widok Irminy z tacą.

Kupiłam dla niepoznaki czekoladowy batonik, odczekałam piętnaście minut i wróciłam. Niestety, Krystian nie dał mi odetchnąć, bo wyjrzał zza drzwi gabinetu pana Pawła.

– Czy może pani zaktualizować ciasteczka? – rzucił jeden ze swoich informatycznych żartów. – I kawę. Nie wiem jak, ale już zdążyłem ją wypić.

Zaczęłam nerwowo przelewać mleko, gdy nagle żółty korek od kartonowego pudełka znalazł się wewnątrz dzbanka.

– I co? Teraz mleko trąci korkiem – uśmiechnął się Krystian, który nadal tkwił w progu.

– Proszę wrócić do szefa, zaraz podam – powiedziałam, starając się wyłowić korek łyżką.

Tym razem musiałam zająć się wszystkim sama, więc nabrałam powietrza do płuc i weszłam do gabinetu z kawą. Nie wiem, jakim sposobem udało mi się niczego nie rozlać, chyba byłam wtedy w transie.

Usiadłam za swoim biurkiem i liczyłam minuty do wyjścia Krystiana. Modliłam się, aby nie wspomniał naczelnikowi o naszym spotkaniu, bo sądziłam, że zostałyby to źle odebrane przez przełożonego. Krystian nie musiał się niczym przejmować, ale ja

ryzykowałam znacznie więcej.

Spotkanie służbowe, a może raczej degustacja, dobiegło końca i obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Naczelnik odprowadził gościa aż do wyjścia, więc nie miałam okazji dokończenia rozmowy z Krystianem. Liczyłam na to, że puder kryjący, jaki nałożyłam rano przed wyjściem z domu, dostatecznie maskował moje płonące policzki.

Przez kolejne dni byłam skupiona na odbieraniu poczty, łączeniu rozmów telefonicznych i tym podobnych zajęciach. Niedługo czekało mnie zdobycie świętego Graala, więc tym bardziej postanowiłam przyłożyć się do pracy. Prawie wszystkie luki w dziennikach były uzupełnione, więc zaplanowałam, że niebawem wezmę się do archiwizacji, jak zaleciła pani Mela. W sekretariacie zapanował ład, a ja byłam na bieżąco z dokumentacją.

Pod koniec dnia przyszła do mnie Marina i wręczyła mi papierowe zawiniątko, które wyciągnęła z torebki.

– Mam dla ciebie kilka oscypków. Na pożegnanie.

– Jak to? – otworzyłam oczy ze zdziwienia.

Marina spokojnie wyjaśniła, że jednak odchodzi.

– Urząd pracy nie zgodził się na przedłużenie stażu.

Zrobiło mi się autentycznie przykro. Mimo tego, że traktowałam ją jako potencjalne zagrożenie, siłą rzeczy przyzwyczaiałam się do jej obecności. Dziwnie się czułam z myślą, że po weekendzie już jej tu nie będzie. Nikt nie powinien tracić pracy, a już na pewno nie ci, którzy byli najbardziej pracowici. Bo tego akurat nie można było odmówić Marinie.

– Ogromnie mi przykro... Co teraz zrobisz? Masz jakieś plany?

– Zamierzam wrócić do firmy, w której wcześniej odbywałam staż. Tam też mi się bardzo podobało, więc będzie fajnie. A jak z twoją umową?

– Jeszcze nie wiem, ale w przyszłym miesiącu też będzie moje być albo nie być.

– No to trzymam kciuki.

– Dzięki.

Wzięłam do ręki prezent i rozkoszowałam się zapachem wędzonego sera prosto spod Tatr.

– Intensywna woń... Słuchaj, w razie czego będziemy miały ze sobą kontakt na Facebooku. Jeśli masz konto, wyślę ci zaproszenie.

– No jasne! Nie chciałabym tracić kontaktu z wami.

– Jeśli będę coś wiedzieć na temat wolnych stanowisk u nas, od razu do ciebie napiszę.

– O, świetnie! Będę naprawdę wdzięczna. Wiesz co, naczelnik też powiedział, żebym się zgłosiła do niego za jakiś czas, jest więc nadzieja, że coś się dla mnie znajdzie.

– Serio? – zdziwiłam się.

– No, ale wiadomo, jak to w życiu bywa. Tymczasem pędzę pożegnać się z dziewczynami, bo powiedziały, że strasznie będą za mną tęskniły. Ja za nimi również.

– Jasne. Powodzenia. – Uścisnęłyśmy się prawie jak dobre przyjaciółki.

Z ciekawości poszłam za Mariną. Stałam przy lekko uchylonych drzwiach do pokoju Melanii, z którą w tym czasie żegnała się nasza praktykantka.

– Trzymaj się, kochana, masz mojego mejla, odzywaj się jak najczęściej – powiedziała pani Mela, przytulając Marinę, jakby żegnała się z córką na lotnisku.

– Dam pani znać, jak tylko będę już wiedzieć, co i jak – obiecała Marina.

Ich dialog wydał mi się osobliwy, ale wytłumaczyłam sobie, że jest to moja kolejna paranoja. Fakty mówiły same za siebie i choć przykro mi było z powodu odejścia Mariny, nareszcie kamień spadł mi z serca.



Kończyła się moja druga umowa. Postanowiłam wziąć naczelnika na spytki. Chciałam też dowiedzieć się, co sam wydział myśli na temat mojej pracy, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. W końcu zmobilizowałam się do działania.

– Panie naczelniku, czy mogłabym z panem porozmawiać na osobności? – spytałam nieśmiało.

– Oczywiście, za chwilę poproszę panią do siebie – odpowiedział.

Czekałam i czekałam, aż wreszcie wezwał mnie do gabinetu. Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam naprzeciwko szefa.

– Słucham – zagaił.

– Kończy mi się umowa i chciałabym rozeznąć się w sytuacji... To znaczy, czy jest szansa na pozostanie w wydziale... – zagaiłam delikatnie.

Naczelnik odchylił się do tyłu, po czym oparł rękę o biurko i zastukał palcami w blat. Odniosłam wrażenie, że udaje kogoś ważniejszego, niż jest w rzeczywistości.

– I jak się pani tutaj pracuje? Jest pani zadowolona?

Tego typu pytania wydawały mi się niezręczne, bo przecież bez względu na prywatną opinię, istniała tylko jedna odpowiedź.

– Panie naczelniku, bardzo zależy mi na tej posadzie. Swoje obowiązki staram się wykonywać jak najlepiej, ale odnoszę wrażenie, że niektórzy utrudniają mi pracę. Dlatego zależy mi na tym, aby dowiedzieć się, co współpracownicy myślą na mój temat. Czy mógłby mi pan pomóc? – dyskretnie badałam grunt.

– Pani Karolino, nie jestem upoważniony do dzielenia się takimi informacjami. A co do umowy, za kilka dni zawiadomię panią o mojej decyzji.

– Oczywiście, panie naczelniku, dziękuję. W takim razie czekam cierpliwie – powiedziałam zadowolona i jednocześnie pełna nadziei.

Rozmowa z naczelnikiem otworzyła mi oczy na kilka spraw i pozwoliła przyjąć właściwą postawę. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, otwierając tę puszkę Pandory, ale musiałam w końcu poznać ich rzeczywiste intencje. Wieczorem zadzwoniłam do rodziców, którzy, rzecz jasna, trzymali kciuki za pozytywne rozstrzygnięcie.

– Słuchaj, Karolciu, skoro pierwsza umowa była próbna, druga na czas określony, to na bank teraz powinnaś dostać już bezterminową. Nie ma innej opcji – przekonywał tata, jak zawsze optymista.

– Czasy się zmieniły.

– Ale w takich instytucjach czas stanął w miejscu. Jestem przekonany, że wszystko pójdzie gładko.

– Miejmy nadzieję. Daj mi jeszcze mamę.

Do mieszkania właśnie weszła Natalia, która wróciła z randki z Afrimem.

– Jak było? – zapytałam, gdy skończyłam rozmawiać z mamą.

– Super! Poszliśmy do knajpy na piwo, a potem włóczyliśmy się nad Wisłą,

odpalając jednego papierosa od drugiego. Po drodze natrafiliśmy na darmowy koncert muzyki afrykańskiej. Świetnie się z nim bawiłam. Szczególnie kiedy zaczęliśmy się ostro całować – opowiadała.

– No proszę! – Cieszyłam się razem z nią.

– W dodatku Afrim był tak miły, że pożyczył mi swój telefon! Powiedział, że nosi przy sobie aż trzy i jeden mniej nie robi mu różnicy.

– Ale po co ci jego komórka?

– Wyobraź sobie, że wrzuciłam wczoraj do pralki spodnie razem z telefonem. Za późno się zorientowałam i komórkę szlag trafił!

– Brawo ty! – zaśmiałam się. – Ale nie wiem, czy to w porządku używać cudzego telefonu.

– Spokojnie, tylko przez kilka dni. Nie rozumiem, co w tym złego?

– A jeśli przez przypadek ten również uszkodzisz?

– Nie kracz! Ty byłeś na randce z obcym facetem, w dodatku z klientem swojego szefa. To dopiero jest nie w porządku – zgasła mnie.

– Fakt. A skoro mowa o szefie, to obiecał, że za kilka dni powie mi, co z umową.

– Świetnie! – Trzy razy klasnęła w dłonie. – Za kilka dni rozwiążą się wszystkie twoje problemy! Trzeba będzie to oblać!

– Mam nadzieję...

W końcu nadszedł piątek. Dzień sądu. Siedziałam jak na szpilkach, szykując się psychicznie na rozmowę z przełożonym, a każda minuta wydawała się wiecznością. Wreszcie pan Paweł zaprosił mnie do swojego gabinetu. Przyjął mnie w jednym ze swoich najlepszych garniturów, ale nie na znak szacunku, lecz ze względu na późniejsze spotkanie z żoną w restauracji. Usiedliśmy naprzeciwko siebie i wtedy poczułam, że ze strachu drętwieją mi nogi. Całe szczęście naczelnik nie zauważył, jak nerwowo ściskam resztkę chusteczki higienicznej, którą przedtem co chwilę wycierałam spocone dłonie. Westchnął po cichu, po czym przeszedł do rzeczy.

– Pani Karolino... Podjąłem decyzję w kwestii pani przyszłości w naszej instytucji. Zdecydowałem, że nie przedłużę z panią umowy.

Miałam wrażenie, że spadam w przepaść.

– Ale jak to...? – wydusiłam z siebie.

– Niestety, z powodu kilku czynników byłem zmuszony podjąć taką, a nie inną decyzję.

Połykałam łzy. Była to jedna z najtrudniejszych chwil w moim życiu. Przed oczami malowała się czarna przyszłość – perspektywa bezrobocia i ta okropna niepewność, co przyniesie jutro. Ale stwierdziłam, że należy mi się sensowne wyjaśnienie.

– Jakich czynników mianowicie? – spytałam buńczucznie.

I tak odbyliśmy z naczelnikiem naszą ostatnią rozmowę.

CIĄG DALSZY NASTĄPIŁ

Bezlitosna prawda docierała do mnie powoli. Usiłowałam pogodzić się z myślą, że wkrótce na dobre opuszczę gabinet pana Pawła i w ogóle nie będę miała prawa wstępu do tego budynku. W pierwszej chwili pomyślałam, że szef dowiedział się, że spotkałam się z jego partnerem handlowym, i stracił do mnie zaufanie. Szybko jednak przekonałam się, że powody, dla których nie przedłużono mi umowy, są godne politowania i śmiechu warte.

– Pani Karolino, a więc... zasadniczo nie mam zastrzeżeń do wykonywanej przez panią pracy.

To dlaczego, do cholery, mnie zwalniasz? – przeklęłam w myślach.

– Do podjęcia takiej, a nie innej decyzji zmusiły mnie trzy czynniki. Po pierwsze, Melania poskarżyła się, że mimo wielu próśb wciąż nie zajęła się pani archiwizacją dokumentów. Dzienników uzbierało się przez lata sporo, liczyłem, że pani się tym zajmie. U mnie w gabinecie walają się po szafkach jakieś stare papierzyska, miałem nadzieję, że zacznie ich ubywać. Podobno w ogóle się pani tym nie zainteresowała.

Własnym uszom nie wierzyłam! Podejrzewałam, że pani Mela maczała palce w decyzji Pawła. Nie potrafiłam jednak zrozumieć, jak mogła tak kłamać w żywe oczy? Przecież do tej pory zajmowałam się uzupełnianiem luk w dziennikach, wiedziała doskonale, że archiwizacja byłaby kolejnym krokiem. Ledwie przełknęłam tę gorzką pigułkę, nastąpił ciąg dalszy.

– Po drugie, zauważyłem, że w szafce pod faksem w sekretariacie wala się mnóstwo niepotrzebnych szpargałów. Zajrzałem i co znalazłem? Starą bindownicę, sztuczną choinkę i mnóstwo talerzy. Jak to możliwe, że panuje tam taki śmietnik?

Zatkało mnie. Nie podejrzewałam naczelnika o podobną kreatywność!

– Po trzecie, i myślę, że najważniejsze, słabo dogaduje się pani z otoczeniem. Przeprowadziłem wywiad wśród pracowników wydziału i okazało się, że są niezadowoleni z pracy sekretariatu.

Wywiad? A więc to takie buty! Nie przedłużyli ze mną umowy, bo nie wykonałam pracy, której fizycznie nie mogłam wykonać (pomijam fakt, że poprzedniej sekretarce pozwolono odejść bez rozliczenia się z obowiązków, które potem przejęłam), a poza tym ośmieliłam się trzymać w szafce bindownicę obok choinki! I główny punkt programu: nie dogadywałam się z ludźmi! Konkretnie z kim? Z panią Melanią, która zachowywała się wobec mnie jak więzienna strażniczka? Z Sonią i Baską, które nigdy się nie spytały, co u mnie słychać, za to zawsze szukały sposobności, aby mi dopiec? Być może z Filipem, który, poproszony o pomoc, wielokrotnie utrudniał mi pracę? A może ze Staśkiem, który wiecznie marudził, że nie mam dziesięciu rąk, aby obsłużyć wszystkich jednocześnie?

– Na koniec, pani Karolino, zapewniam, że absolutnie nie mam zastrzeżeń do pani pracy merytorycznej ani do sposobu, w jaki reprezentuje pani wydział jako sekretarka. Rejestruje pani w dzienniku wszystko jak należy, a pisma dostarcza w terminie. Reaguje

pani na sytuacje alarmowe, sprawy na cito, a herbata i kawa zawsze są świetnie podane.

No proszę, na osłodę trafiło mi się kilka pochwał!

– To by było na tyle. Chciałaby się pani odnieść do któregoś z tych punktów? – spytał nieświadomy, na co się pisze.

– Owszem, panie naczelniku. Ale po kolei – rozpoczęłam kontratak. – Po pierwsze, jeśli chodzi o archiwizację, pani Melania (wrócimy do niej w punkcie trzecim) doskonale zdaje sobie sprawę z tego, ile miałam pracy po Anecie. Z każdego roku jest średnio po siedem, osiem dzienników, a musiałam uzupełnić luki z trzech lat. Przez pierwszy miesiąc uczyłam się pracy tutaj, a potem, po remoncie, zaczęłam porządkować dokumentację z szafy pancерnej. Z chęcią zajęłabym się archiwizacją od razu, gdyby poprzednia sekretarka, za przeproszeniem, posprzątała po sobie. Nie sposób dokonać tego w pół roku, mając na głowie bieżące obowiązki, a pracy, jak wiemy doskonale, jest bardzo dużo.

Naczelnik cierpliwie słuchał mojego wywodu.

– Po drugie, jeśli chodzi o sekretariat, sam pan kiedyś powiedział, że nie interesuje pana to, co trzymam w tym pokoju. Wymagał pan jedynie, aby miejsce urzędzenia wielofunkcyjnego zajęły krzesła dla interesantów. Większość niesnasek z zespołem dotyczy właśnie drukarki. Żeby się do niej dostać, muszą otrzeć się o moje biurka. Wracając do szafki, o której pan wspomniał. Owszem, talerze leżą razem z bindownicą i choinką, ale my praktycznie ich nie używamy. Sekretariat jest mały i nie mam gdzie tego wszystkiego pomieścić. Serwis kawowy, wyjmowany od wielkiego dzwonu, trzymam w osobnej szafce koło biurka. Zamówiłam nowy, aby nie podawać gościom kawy w zdekompletowanych naczyniach. Być może poprzedniej sekretarce było wszystko jedno, ale ja uważam, że cierpiał na tym wizerunek wydziału. Skoro miał pan uwagi co do rzeczy przechowywanych w szafce pod faksem, wystarczyło powiedzieć i znalazłabym dla nich lepsze miejsce.

Naczelnik nie zareagował.

– Po trzecie, kontakty ze współpracownikami. W tej kwestii przyznam panu rację. Nie boję się powiedzieć, z kim konkretnie się nie dogaduję. Przede wszystkim z panią Melą, która od samego początku śledziła mój każdy krok. Kto wie, może ona jest jakimś moim nieformalnym kierownikiem? Wielokrotnie ona i Sonia dawały mi odczuć, że nie jestem tu mile widziana. Sądziłam, że uda mi się z nimi zaprzyjaźnić; chodziłam do ich pokoju, zagadywałam do nich, ale nie wykazywały żadnej inicjatywy, więc z czasem przestało mi zależeć. Kiedy byłam chora, nikt z wydziału nie chciał mnie zastąpić nawet na jeden dzień. A ja starałam się hołubić każdego na wszelkie sposoby. Zamówiłam lodówkę do sekretariatu, mikrofalę dla Baśki, podnóżki dla pani Meli i Soni oraz wiele innych rzeczy, o które prosili pracownicy. Starałam się zrobić wszystko, aby mnie polubili. Nie udało się.

– One twierdzą, że to pani jest nieprzystępna.

– Panie naczelniku, każdy ma swoją prawdę. Ja mówię o swoich odczuciach. Myślę, że to wydział po części doprowadził do mojego zwolnienia. Przykro mi z tego powodu.

– Ja swojej decyzji nie zmienię – powiedział.

Nigdy przedtem nie brzmiał bardziej stanowczo.

– W porządku, rozumiem. Szkoda jedynie, że poprzedniej umowy nie dostałam przynajmniej na rok. Wtedy uzyskałabym prawo do zasiłku dla bezrobotnych, a tak brakuje mi trzech miesięcy. – Pochyliłam głowę, by wzbudzić współczucie w naczelniku.

Na jego twarzy pojawiło się jeszcze większe zmieszanie. Czułam, że chciał jak najszybciej zakończyć tę nieprzyjemną dla siebie rozmowę.

– Pani Karolino, trudno mi cokolwiek obiecać... Ale może jeszcze spróbuję porozmawiać z dyrektorem, żeby pani pomóc.

Ale ja straciłam do niego zaufanie. Nie miałam jednak wyboru, więc przytaknęłam.

– Będę wdzięczna, panie naczelniku. Naprawdę bardzo by mi pan pomógł.

– Zapewniam, że jeszcze nie mamy nikogo na pani miejsce.

– Nie macie? – wypaliłam. – A Marina?

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Naczelnik nie krył zdumienia.

– Nie... Nie myślałam... – Wyglądał na mocno speszonego. – W każdym razie zostaje pani do końca miesiąca. Nie wiem, kiedy powiadomi pani innych o mojej decyzji, dzisiaj czy jutro...

– Jutro jest sobota – zauważyłam.

Obiecałam sobie, że spokojnie wysłucham tego, co naczelnik miał do powiedzenia, i dotrzymałam słowa.

– No dobrze, pani Karolino, to chyba wszystko... – rzekł pan Paweł.

Trzeba mu przyznać, że jako przełożony miał wyjątkowo trudne zadanie. Jeśli o mnie chodzi, najpierw było mi przykro, a potem uświadomiłam sobie, że tak naprawdę wyświadczono mi przysługę. Byłam dumna z siebie i z przebiegu finałowej rozmowy. Tym razem udowodniłam, że potrafię walczyć o swoje. I że mam szansę wygrać. W końcu, jak mówi mądre powiedzenie: co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Podziękowałam naczelnikowi za rozmowę – jak nakazywała dyplomacja – ale nie podałam mu ręki na pożegnanie. Usiadłam za biurkiem i poczułam pustkę. Było już grubo po siedemnastej i wszyscy już poszli do domu. No proszę, zazwyczaj liczyłam minuty do wyjścia z pracy, a tym razem na dobre się zasiedziałam. Pan Paweł został jeszcze w gabinecie i udawał, że opracowuje jakiś ważny raport, ale podejrzewam, że czekał, aż pierwsza opuszcze budynek, żeby uniknąć krępującego spotkania.

Kiedy wyszłam na zewnątrz jak na złość znów padał deszcz, co dodatkowo potęgowało mój przykry nastrój. Skierowałam się jak zwykle do głównej bramy, mijając samochody zaparkowane na terenie placówki. Ponieważ nie miałam parasolki, skuliłam się i machinalnie odwróciłam w stronę czerwonego budynku. Dotarło do mnie, że wkrótce to miejsce będzie już tylko jednym ze wspomnień, i oczy zaszyły mi łzami. Wtedy zobaczyłam idącą w moim kierunku postać ukrytą za parasolem. Z początku pomyślałam, że mój szef zdecydował się wyjść zaraz po mnie, ale okazało się, że to pani Renata, która kiedyś nakrzyczała na pana Pawła przez telefon.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Dzień dobry, a dlaczego ty płaczesz? – spytała.

– Nie przedłużono mi umowy – wyszeptałam.

– Ojej... Bardzo mi przykro... – uzaliła się nade mną.

– Mnie też... No cóż, do widzenia – powiedziałam, po czym skierowałam się do

przystanku auto-busowego.

Uszłam zaledwie kilka kroków, gdy usłyszałam, że ktoś za mną biegnie.

– Już myślałam, że cię nie dogonię! – zawołała Renata lekko zdyszonym głosem.

Stałam zaciekawiona jej zachowaniem.

– Słuchaj, u mnie w wydziale brakuje sekretarki. Sylwia jest teraz na zwolnieniu lekarskim, a potem idzie na macierzyński, więc przez jakiś czas sekretariat będzie pusty. Porozmawiam z dyrektorem, czy zgodzi się zatrudnić cię na zastępstwo, co ty na to?

Naczelnik przed sekundą przekreślił moją szansę na dalszą pracę, a teraz mała moja nadzieja rozkwitła na nowo niczym przywiedła roślina, którą wystarczyło podlać, aby ożyła.

– Dziękuję. – Instynktownie dotknęłam dłonią jej przedramienia. – Jest pani wspaniała.

– No, ale już nie płacz. Miłego weekendu. – Uśmiechnęła się, podnosząc mnie na duchu, i wróciła do samochodu.

Znowu poczułam, że wzlatuję. Wiedziałam jednak, że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. O mały włos, a wróciłabym do domu zalana łzami, a tymczasem wsiadłam do autobusu pokrzepiona i wdzięczna losowi, który potrafił przyjemnie mnie zaskoczyć.

– Bindownica, choinka i talerze zrujnowały mi życie!

Rzadko przeklinałam, ale dziewięć miesięcy pracy w Wydziale Teleinformatycznym dało mi niezłą szkołę.

– Jestem w szoku... – Natalia z trudem przyswajała moją relację. – Przecież mieli świetną sekretarkę, odwaliałaś za nich większość roboty! Ciekawa jestem, jak teraz sobie poradzą bez ciebie.

– To już ich problem. Ja będę piętro niżej w nowym miejscu, o ile pani Renacie uda się załatwić dla mnie to zastępstwo. Swoją drogą, wydawała się taka ostra, a okazało się, że jest przesympatyczną osobą, gotową bezinteresownie pomóc człowiekowi w potrzebie. Jestem jej taka wdzięczna – mówiłam.

– Jeśli się uda, wtedy dopiero pokażesz, na co cię stać. Chciałabym zobaczyć minę twojego byłego szefa!

– Wiesz co, Natka? Ja również.

W niedzielne popołudnie leżałam na kanapie przed telewizorem i oglądałam film o Chince, która poszukiwała jednego ze swoich uczniów. Dotarła pieszo do stacji telewizyjnej, aby nadać komunikat o zaginięciu. Ponieważ nikt nie chciał jej wpuścić do dyrektora, postanowiła koczować pod siedzibą i każdego wychodzącego stamtąd mężczyznę pytała, czy jest szefem stacji. Zauważył ją wreszcie z okna swojego gabinetu, a kiedy dowiedział się o sprawie, postanowił pomóc.

Doszłam do wniosku, że poza wstawiennictwem Renaty sama powinnam opowiedzieć dyrektorowi Malinowskiemu o mojej sytuacji. Może wykazanie się inicjatywą zwiększy moje szanse. Zdecydowałam, że spróbuję umówić się z nim na spotkanie.

– Dziewczyno, zapomnij. Dyrektor jest wiecznie zajęty – powiedziała Kinga, wręczając w pośpiechu pismo jednemu z naczelników, który podobnie jak ja chciał się spotkać z dyrektorem.

– Może rozbiję namiot pod jego gabinetem? Będę tu koczować! – uparłam się niczym rasowy dziennikarz, który postanawia wejść oknem, kiedy wyrzucają go drzwiami.

– O! To jest myśl! – wtrącił naczelnik Kwiatkowski, nieświadomy, że ważą się moje losy.

– Karolina, spokojnie, wróć do siebie, kiedy dyrektor będzie wolny, zadzwonię do ciebie, dobrze?

– Niech będzie... – ustąpiłam.

Po wyjściu od Kingi zapukałam do gabinetu Renaty. Wiedząc, że ma na głowie mnóstwo spraw, postanowiłam delikatnie przypomnieć o sobie.

– Oczywiście, pani Karolino, pamiętam o pani. Dzisiaj o czternastej mam spotkanie z dyrektorem i przy okazji postaram się poruszyć ten temat. Proszę się nie



stresować i spokojnie czekać – powiedziała Renata, która, nie wiedząc czemu, raz zwracała się do mnie po imieniu, a raz oficjalnie.

Czas, kiedy tkwiłam w zawieszaniu pomiędzy decyzją pana Pawła a wstawiennictwem Renaty, był wielkim znakiem zapytania. Dręczyło mnie pytanie, co tak naprawdę zadecydowało o zwolnieniu. Przychodziłam do pracy na czas, nie piłam alkoholu na terenie biura, nie korzystałam z urlopu ani zbyt długich zwolnień lekarskich, sumiennie wywiązywałam się z powierzanych mi zadań. Poza paroma potknięciami, jakie zdarzały się również innym sekretarkom, z którymi wielokrotnie miałam okazję rozmawiać, nie miałam na sumieniu żadnych przewinień. Doszłam do wniosku, że w tych puzzlach, jakie zaserwował mi Paweł, brakowało kilku istotnych elementów. Wyjęłam więc z szuflady regulamin pracy i przeanalizowałam go punkt po punkcie.

Za naruszenie obowiązków pracowniczych uważa się:

- 1) Nieprzestrzeganie przepisów BHP oraz przepisów przeciwpożarowych.
- 2) Opuśczenie pracy bez usprawiedliwienia.
- 3) Zakłócenie porządku i spokoju w miejscu pracy.
- 4) Wykonywanie na terenie biura prac niezwiązanych z zadaniami biura.
- 5) Złe lub niedbałe wykonywanie pracy.
- 6) Wyrządzenie szkody w imieniu pracodawcy.
- 7) Stawianie się pod wpływem alkoholu w pracy.

W rozmowie z dyrekcją postanowiłam wesprzeć się regulaminem. Zwłaszcza że nie znalazłam tam wzmianki o nieprzepisowym przechowywaniu talerzy razem z choinką.

Czekając na wieści od Renaty, musiałam zająć się bieżącymi obowiązkami, czyli odbierać telefony i rozdawać pocztę. Nikomu jeszcze nie zdradziłam, że to moje ostatnie dni w wydziale, ale podejrzewałam, że pani Mela i Sonia już wiedzą. Czułam się upokorzona, że informacja o moim zwolnieniu jest tajemnicą poliszynela, więc zadzwoniłam do Irminy i umówiłam się z nią w palarni, aby spokojnie porozmawiać.

– Od razu zauważyłam, że do nas nie pasujesz – powiedziała, zaciągając się dymem.

– Dlaczego tak uważasz? – spytałam.

– Jesteś zbyt delikatna. Tu potrzeba kogoś z grubą skórą, kto nie będzie się przejmował i co chwila płakał.

– Chcesz powiedzieć, że nie nadaję się na sekretarkę?

Irmina zgasła niedopałek.

– Od początku było widać, że nienawidzisz tej pracy. Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon albo trzeba było coś pilnie zrobić, ty wymownie wzdychałaś albo wpadałaś w panikę.

– Nie sądziłam, że to aż tak widać. Może dlatego naczelnik nie chce pracować z kimś takim jak ja? Ale wiesz co? Gdyby dziewczyny odnosiły się do mnie przyjaźnie, na pewno byłoby inaczej. Satysfakcja z pracy zależy od trzech rzeczy: po pierwsze, robienia czegoś, co jest twoją pasją, po drugie, zarobków, które ewentualnie rekompensują brak tego pierwszego, i po trzecie, udanych relacji z ludźmi. Jeśli te warunki nie są spełnione, twoja samoocena automatycznie spada. Jak w moim przypadku.

– Niestety, trafiłaś na bardzo specyficznych ludzi. Poza tym sekretarka nie powinna przyjaźnić się z pracownikami, lecz zawsze stać po stronie szefa.

– Tak, pod warunkiem, że szef nie jest manipulowany przez pozostałych pracowników...

– No cóż, Paweł i jego wydział to jedno, a sekretarka stanowi odrębny byt. Odeszła Patrycja, a po niej Aneta... Może ten wydział zwyczajnie ma pecha do sekretarek – Uśmiechnęła się pocieszająco.

– Dziękuję ci za tę rozmowę. Trochę mi lżej – powiedziałam i rozeszłyśmy się do swoich zadań.

Niespełna dwie godziny później zadzwonił telefon.

– Karolina, za dziesięć minut masz spotkanie z dyrektorem. Przygotuj się – przekazała mi zwięźle Kinga.

A więc jednak Renacie udało się coś zdziałać! Musiałam ukryć radość, aby nikt z wydziału nie dowiedział się o moich planach.

Kilka chwil później siedziałam pod gabinetem -dyrektora Malinowskiego, czekając na wezwanie. Gdy otworzył drzwi, serce z nerwów podeszło mi do gardła.

– Pani Lubczyk, zapraszam – powiedział uprzejmie, lecz stanowczo.

Nigdy przedtem nie miałam okazji gościć w jego gabinecie. Przestrzeń była trzy razy większa od mojego sekretariatu, a pośrodku stał duży owalny stół otoczony krzesłami wyściełanymi ałtarem w kolorze bordo. Usiedliśmy blisko siebie, zupełnie jakbyśmy byli umówieni na pogawędkę przy kawie.

– Napije się pani kawy? Poproszę Kingę, aby przyniosła – zaproponował.

– Dziękuję, panie dyrektorze, nie ma potrzeby jej fatygować – powiedziałam, skubiąc z nerwów brzegi spódnicy.

– Dowiedziałem się od pani Renaty, że nie przedłużono z panią umowy, zgadza się?

– Tak, panie dyrektorze – potwierdziłam.

– A zatem ustaliliśmy z panią Renatą, że na jakiś czas przejdzie pani do jej wydziału. Renacie przyda się pani pomoc.

– Panie dyrektorze, nie wiem, jak mam dziękować.

Dyrektor uśmiechnął się życzliwie.

– A proszę mi powiedzieć, co takiego się stało, że Paweł Iważur nie przedłużył pani umowy?

Zapragnęłam wylać wszystkie żale i zemścić się na naczelniku, wyśmiewając jego irracjonalne argumenty, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

– Cóż, panie dyrektorze... Sądzę, że powinien pan o to zapytać naczelnika. Zapewniam, że starałam się wykonywać swoje obowiązki jak najlepiej, lecz pracownicy, ku własnej uciechy, niekiedy rzucali mi kłody pod nogi.

– No tak, to rzeczywiście jest specyficzny wydział – przyznał.

Był czwartą osobą, po Józefinie, Mateuszu i Irminie, która to przyznała.

– No dobrze – zmienił temat. – Co do konkretów, z końcem tego miesiąca, po otrzymaniu wypowiedzenia, podpisze pani nową umowę, aby zachować ciągłość. Szczegóły przedstawi pani Perłowska.

- Dziękuję, panie dyrektorze. Jestem bardzo wdzięczna.
  - Nie ma za co dziękować. Trzeba pracować! – Uśmiechnął się od ucha do ucha.
  - Tak jest! – Odwzajemniłam uśmiech i pełna werwy opuściłam jego gabinet.
- Kinga akurat jadła sałatkę z fetą.
- Jak poszło? – zapytała z pełną buzią.
  - Zostaję! – zawołałam uszczęśliwiona.
- Koniec końców, znowu widziałam świat w jasnych barwach.

Ostatni dzień w wydziale teleinformatycznym przebiegał leniwie. Być może sama narzuciłam sobie ślimaczy rytm pracy. Moi współpracownicy, poza Irminą i Mateuszem, zachowywali się, jak gdyby nigdy nic.

- I co, jednak odchodzisz? – spytał Mateusz z niedowierzaniem.
- Nie mam wyboru. Tak zdecydował naczelnik.
- A to świnia!
- Nie przejmuj się, będę w pobliżu. – Wskazałam palcem w dół.
- No, całe szczęście. A on już o tym wie?
- Chyba nie i nic mu nie mów, sama chcę go poinformować.
- Nie powiem – obiecał. – Lecę, bo on właśnie zlecił mi specjalne zadanie.
- Jakie tym razem?
- Niebawem się dowiesz...

– Trzymam cię za słowo – powiedziałam, choć po raz pierwszy od bardzo dawna miałam w nosie sprawy tego wydziału. Niestety, do akcji wkroczyła pani Mela, która wiedziała, że będę musiała wykorzystać zaległy urlop, i przypomniała sobie o kilku drobiazgach.

– Karolinko, stwórz w komputerze nowy dokument tekstowy i zatytułuj go: „Protokół przekazania dzienników korespondencyjnych z lat 2010–2012” – oznajmiła, jakby wydawała polecenie swojej osobistej służącej.

– W jakim celu? – zapytałam niepewnym głosem.

– W celu przekazania Soni dzienników, które znajdowały się na stanie sekretariatu. Musisz się ze wszystkiego rozliczyć, bo tymczasem ona tu usiądzie – wyjaśniła chłodno.

Byłam ciekawa, jakim cudem Aneta uniknęła obowiązku rozliczania się, ale nie miałam ochoty wdawać się w dyskusję. Chciałam mieć ten potworny dzień już za sobą.

Spisanie po kolei wszystkich dzienników z ubieg-łych lat, a także dzienników faktur, dzienników rozkazów personalnych, książek doręczeń przesyłek miejscowych, bloczków z kopiami wypisanych delegacji, książek kontroli i ewidencji wyjść, zajęło mi trzy godziny. Na końcu wstukałam „Zdający” i „Przyjmujący”, zostawiając miejsce na wpisanie nazwisk – mojego i Soni.

– Pani Melu, skończyłam! – zawołałam, gdy wydrukowałam całość.

Odrzuciła do tyłu długie ogniste włosy i analizowała moje wypociny. Jej okulary osadzone były prawie na czubku nosa, gdy przewracała oczami, zagłębiając się w tabelki.

– Prawie dobrze, ale tu brakuje tego, a tam tego i tego – pokreśliła część mojej pracy. – Zrób to porządnie, bo inaczej dziś stąd nie wyjdiesz!

Miałam ochotę uciec natychmiast, ale musiałam doprowadzić sprawę do końca.

– Już poprawiam – oznajmiłam ze stoickim spokojem, co chyba wytrąciło panią Melę z równowagi.

– Soniu, choć tu do nas! – zawołała swoją współpracowniczkę, a następnie obie, łącząc

siły, postanowiły do reszty mnie pogрузić.

Ze zdenerwowania zaczęłam coraz częściej się mylić.

– Czyje nazwisko mam tutaj wpisać? Soni...?

– Oczywiście, że twoje! Ty się rozliczasz czy Sonia? Karolinko, obudź się, bo nigdy tego nie skończymy – powiedziała, a jej koleżanka przytaknęła.

Naniesione poprawki wreszcie usatysfakcjonowały panią Melanię.

– Pokwitowanie sprzętu informatycznego i oprogramowania. Zgodnie z Decyzją Dyrektora nr 622 pracownik ponosi odpowiedzialność materialną za szkody w mieniu powierzonym z obowiązkiem zwrotu lub rozliczenia się – dyktowała mi formułkę. – Sprzęt został przekazany przez Karolinę Lubczyk w dniu dwudziestego kwietnia 2012 roku, a następnie przejęty przez Pawła Iważura do czasu przejęcia go przez wyznaczonego pracownika

– Karolinko, pisz szybciej, bo musimy to jeszcze oddać naczelnikowi do podpisu – ponaglała.

– Szybciej, słyszysz? Nie mamy czasu! Jak zwykle zostawiasz wszystko na ostatnią chwilę! – wtórowała jej Sonia.

Z trudem dobrnęłam do końca tego tekstu, ponieważ obecność pani Melanii i Soni za plecami sprawiała, że palce co chwila łamały mi się na kolejnym zdaniu, a kropelki potu ciekły z dłoni i zostawiały na klawiaturze nieapetyczne ślady.

Tworząc kartę inwentarzową – czyli ewidencję sprzętu kwatermistrzowskiego, do którego zaliczały się: bindownica, biurko, krzesło obrotowe, metalowa apteczka, kasetka z kluczami, niszcarka, urządzenie wielofunkcyjne i faks – byłam już wyczerpana psychicznie.

I nie chodziło o czynność, którą wykonywałam, ale o to, że w trakcie, gdy ja się rozliczałam, Sonia wraz z panią Melą głośno omawiały porządki, jakie zaprowadzą po moim odejściu.

– No, koniecznie musimy pójść do bufetu na kawę, jak tylko skończymy to rozliczanie. Skończyłaś? – zwróciły się do mnie.

– Tak. Mam nadzieję, że to już wszystko – powiedziałam z trudem.

Na szczęście był to rzeczywiście koniec, co potwierdziła pani Mela, wpisując: „Potwierdzam zgodność ze stanem faktycznym”.

Po całej tej farsie z miejsca pobiegłam do Irminy.

– Pamiętaj, że w pracy nie ma przyjaźni – powtarzała jak na kazaniu.

– Chyba że głowy z dupą – dodał pan Stasiek, wychylając się zza sąsiedniego biurka.

– One się nade mną znęcały! – płakałam.

– Nie martw się. W nowym miejscu będzie ci dużo lepiej.

– Pewnie tak... Chyba wszędzie byłoby lepiej niż tu...

Do końca tego przekłętego dnia została już tylko godzina. Zrozumiałam, że Irmina miała rację. W pracy nie ma przyjaźni. Wszyscy wykonują swoje obowiązki, prowadzą na korytarzu banalne pogawędki, a po południu wracają do swoich domów.

Gdy w drzwiach sekretariatu stanął pan Paweł, który wrócił z ważnej narady, uznałam, że to dobry moment, aby poinformować go, że jednak zostaję.

– Panie naczelniku, rozmawiałam z dyrektorem Malinowskim i zgodził się, bym przeszła do wydziału pani Renaty Perłowskiej.

– A tak, słyszałem...! – odparł.

– No tak, plotki wydziałowe rozchodzą się szybciej niż poczta – przypomniałam sobie dawny frazes.

– Gratulacje. Cieszę się, że udało się pani zostać.

Pan Paweł zachował zimną krew, choć czułam, że kipi ze złości na myśl, że ktoś ośmielił się podważyć jego autorytet.

– Proszę zawiadomić wszystkich, że za pięć minut zaczyna się odprawa wydziałowa – oświadczył i zamknął się w swoim gabinecie.

Obdzwoniłam wszystkich i cierpliwie czekałam na ostatni występ naczelnika.

– Moi drodzy! Jak zapewne niektórzy już wiedzą, od następnego miesiąca pani Karolina przechodzi do Wydziału Administracyjnego – zaczął, gdy stawili się wszyscy. – Pragnę podziękować pani za współpracę i życzyć wielu sukcesów na nowej ścieżce zawodowej.

Chwycił ogromny bukiet czerwonych róż z gustownym przybraniem, który do tej pory ścisnął w rękach Mateusz. Nietrudno było zgadnąć, że tajną misją zleconą mu przez szefa była wycieczka do kwaciarni.

– Proszę przyjąć to jako wyraz naszego uznania dla pani osoby – powiedział naczelnik. Wówczas wszystkie oczy skierowane były na mnie, zupełnie jak wtedy, gdy przedstawiał mnie jako nową sekretarkę. Co ciekawe, pożegnanie było równie entuzjastyczne, jak powitanie w gronie pracowników.

Pragnęłam, aby ten cyrk zakończył się jak najszybciej.

– To prawda, że przechodzę niżej. Ale na szczęście mowa tylko o piętrze – oświadczyłam.

Tak naprawdę, to spadłam o szczebel niżej zarówno dosłownie, jak i w przenośni, bo zamiast przybliżyć się do zyskania umowy na czas nieokreślony, dostałam etat na zastępstwo. Ale grunt to przetrwanie.

Niewiele osób miało odwagę się odezwać. W końcu Irmina przerwała grobową ciszę i uściskała mnie, życząc wszystkiego dobrego. To akurat był wyraz szczerości.

Po odprawie włożyłam do wazonu kwiaty, które lada moment miały opuścić to miejsce wraz ze mną. Okno było uchylone, a na dworze zerwał się wiatr i powstał silny przeciąg. Nim się zorientowałam, do sekretariatu wparowała Baśka, za którą drzwi trzasnęły na tyle mocno, że siła przeciągu przewróciła stojący na parapecie wazon. Woda natychmiast zaczęła wsiąkać w wykładzinę, a pączki róż, które jeszcze przed chwilą stały na tle firanki, teraz leżały rozsypane, tworząc przypadkową kompozycję.

– No ładnie! Jeszcze na koniec czeka cię sprzątanie! – zadrwiła Barbara, która wyjęła z drukarki swoje rzeczy, i zwinęła się z powrotem.

Nie należałam do osób przesądnych, ale nabrałam przekonania, że jakaś siła wyższa odkryła przede mną prawdę o intencji, z jaką podarowano mi bukiet.

Pragnęłam jak najszybciej znaleźć się poza murami budżetówki, więc szybko posprzątałam bałagan, schowałam do reklamówki kubek i kilka rzeczy osobistych, po czym na dobre opuściłam sekretariat.

Pożegnałam się tylko z Irminą, Filipem, Markiem, Staśkiem i Mateuszem, świadomie pominąwszy resztę, która i tak nie przejmowała się moim odejściem.

Miałam przed sobą kilka dni urlopu, w czasie którego postanowiłam zapomnieć o pracy.

Nie licząc spotkania z Krystianem, które uparcie tkwiło w mojej pamięci, chwila odpoczynku była tym, o czym od dawna marzyłam.

Kiedy zmieniałam wydział, miałam wrażenie, że z piekła trafiłam do raju, w którym ludzie są pomocni i życzliwi. Praca w wydziale teleinformatycznym dała mi dobry start, więc o wiele szybciej zaaklimatyzowałam się w nowym środowisku i wdrożyłam się w nowe obowiązki, choć miałam ich znacznie więcej. Oprócz ewidencjonowania korespondencji zajmowałam się tworzeniem list obecności, planowaniem urlopów i robieniem podkładek pod pensje, które wraz z końcem każdego miesiąca trafiały do wydziału finansowego. Jednym słowem robiłam dodatkowo to, czym w dawnym wydziale zajmowała się pani Mela.

Wiedziałam, że ona i pan Paweł zapytają Renatę, jak sobie radzę, dlatego starałam się udowodnić, że popełnili błąd, nie przedłużając ze mną umowy, co przy okazji sprawiło, że wyrobiłam sobie w nowym środowisku niezłą opinię.

W wydziale administracyjnym pracowali: pan Włodek – radca prawny (miał przydomek wydziałowego marudy, bo krzywił się na widok każdego nowego pisma), Agata – od spraw finansowych, oraz Anka, która przygotowywała zbiorcze odpowiedzi na pisma nadsyłane z innych wydziałów.

Pierwsze dni w sekretariacie pani Renaty upływały spokojnie. Szefowa była osobą, dla której słowo „problem” stanowiło siłę napędową i która jako jedna z nielicznych osób w budżetówce nie przesiąkła tym całym syfem. Koleżanki zaś od razu poinstruowały mnie, na co zwracać największą uwagę, żeby nie podpaść.

– Musisz przede wszystkim zwracać uwagę na terminowość pism. Te dotyczące prawa i finansów są najważniejsze. Zorientujesz się, nawet jeśli autor nie poda terminu nadesłania odpowiedzi – radziła Anka.

– Będę pamiętać. Dzięki za radę!

Niekiedy zdarzały się trudne momenty, lecz aby nie powielać starych schematów, traktowałam każdą przeszkodę z przymrużeniem oka.

– Nie ma mowy, ja tego nie pokwituję, to pismo jest przeterminowane – oświadczył raz pan Włodek.

Przeterminowane? Miałam ochotę powiedzieć, że chyba jeszcze nie śmierdzi, ale się powstrzymałam.

– Panie Włodeku, szefowa już to pismo widziała. W zasadzie temat jest załatwiony i pan ma to zatrzymać ad acta.

– Do czego to podobne, żeby na mnie zrzucać takie śmieci? Nie biorę tego.

– W porządku, ale w takim razie muszę poinformować panią Renatę, że odmówił pan przyjęcia pisma, bo potem się okaże, że wszystkiemu winna jest jak zwykle sekretarka.

Oburzony pan Włodek odwrócił się na pięcie i wyszedł. Po chwili jednak wrócił.

– Proszę dać mi to pismo, sam ustalę z szefową, co z tym zrobić – powiedział.

– Dobrze, poproszę o podpis.



Podpisał wielce naburmuszony. Tymczasem ja, zamiast się zestresować, tylko się uśmiechnęłam i puściłam ten drobny incydent w niepamięć.

Taki właśnie był pan Włodzimierz, który wyglądem przypominał ponurą wersję Woody'ego Allena, a stylem Jasia Fasolę. Miał siwe, lekko kręcone włosy oraz okrągłe błękitne oczy, w których czaił się permanentny lęk.

Jak na ironię, dziewczyny w wydziale były znacznie miłsze.

– Masz na imię Agata, prawda? – nieśmiało zapytałam jedną z nich, kiedy przyszła do sekretariatu po pismo.

– Jeszcze tak. Ale jeśli postanowię zmienić, uprzedzę cię – wypaliła i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Agata była mniej więcej w moim wieku, miała krótkie włosy w marchewkowym kolorze, przez który przebijał wyrazisty blond w postaci celowo nałożonych pasemek. Ta awangardowa fryzura stanowiła odzwierciedlenie jej spontanicznego charakteru i pogody ducha. Bez względu na specyfikę pracy oraz nerwowe sytuacje, zawsze widziałam uśmiech na jej twarzy.

– Długo tu pracujesz? – zainteresowałam się.

– Oj, czasami wydaje mi się, że zbyt długo... – westchnęła. – A ty, zdaje się, przeszłaś z teleinformatyki?

– Nie przedłużyli ze mną umowy. Na szczęście pani Renata ulitowała się nade mną i przygarnęła na jakiś czas – odpowiedziałam.

– No, to najważniejsze. Tu ci będzie znacznie lepiej. Iważur to okropny cham. Nie lubię go. Zanim awansował na naczelnika, pracował w naszym wydziale jako kierownik i raz chciał wstrzymać wypłatę jednej dziewczynie tylko dlatego, że za długo była na zwolnieniu lekarskim. Oczywiście kadry go zbojkotowały, a finanse obśmiały za ten absurdalny pomysł. Mówię ci, to kompletny oszołom!

– Niewiarygodne! Ale przekonałam się na własnej skórze, jaki jest naprawdę. Jacy oni wszyscy są.

Gdy tak gawędziłam z Agatą, cieszyło mnie, że tutaj nikt nie musi nikogo udawać. Nikt nie cierpiał na kompleks Napoleona, który zmuszałby ludzi do nieustannej walki o władzę. Wreszcie miałam koleżanki, z którymi mogłam porozmawiać.

Niepokój powracał w momencie, gdy przypadkowo spotykałam moich dawnych kolegów. Któregoś dnia, idąc korytarzem, natknęłam się na Filipa.

– Witam, pani Karolino! Więc jednak nadal pani tu pracuje?

Odniosłam wrażenie, że ze mnie kpi.

– Owszem, udało mi się, ku niezadowoleniu niektórych – odpowiedziałam, dumnie unosząc pod-bródek.

Filip, zaskoczony moją odpowiedzią, uśmiechnął się sarkastycznie.

– Z trzeciego piętra spadła pani na drugie? – spytał ironicznie.

– Czasami trzeba upaść, żeby potem móc się podnieść – skwitowałam.

– Ha ha! Dobrze, muszę to zapamiętać!

Wzruszyłam ramionami i obojętnie przeszłam koło niego. Wiedziałam, że czas oddzielić grubą kreską przeszłość od teraźniejszości.

W poprzednim sekretariacie zachowywałam się asertywnie i wypracowałam sobie

reakcję obroną na wypadek ataku na moją osobę. Ale tutaj pragnęłam stworzyć zupełnie inny rodzaj relacji. Owszem, ludzie bywali męczący, ale byli też bardzo uprzejmi i nie wypadało zwracać im uwagi na drobiazgi. Tak bardzo zależało mi na utrzymaniu pozytywnych relacji z otoczeniem, że prawie całkowicie złożyłam broń. Nie potrafiłam nikomu niczego odmówić. Dawniej każdy przychodził do mnie, żeby odebrać pocztę. Tutaj to ja rozdawałam pocztę innym. Robiłam to, choć nie musiałam.

– Obyś nie wpadła z deszczu pod rynnę – martwiła się Natalia.

– Nie ma powodu do obaw. Najważniejsze, że udało mi się zostać.

– To fakt. Gratuluję ci z całego serca – uśmiechnęła się w końcu.

– Dzięki! Teraz wszystko się zmieni. Udowodnię im, że jestem perfekcyjną sekretarką!

Oczami wyobraźni widziałam pana Pawła i panią Melę, którzy plują sobie w brodę, że pozbyli się tak dobrego pracownika. Z tego wszystkiego przeoczyłam fakt, że moja przyjaciółka, choć cieszy się z moich sukcesów, jest dziwnie struta.

– Nat, wydaje mi się, że coś cię gryzie.

W oczach Natalii dostrzegłam mieszaninę smutku i upokorzenia.

– Afrim jest żonaty i ma małe dziecko – wyznała.

– Słucham?

Własnym uszom nie wierzyłam.

– Żona? Dziecko? Ale... jak to odkryłaś? Przyznał się? A może go śledziłaś? – na usta cisnęły mi się dziesiątki pytań.

– Wszystko ci opowiem, tylko najpierw naleję nam po kieliszku wina, bo nie jestem w stanie mówić o tym na sucho.

– Dobra myśl! – przytaknęłam i sięgnęłam po korkociąg.

Natalii z trudem przychodziła ta opowieść, ale kolejne lampki wina pomogły jej zrzucić ciężar z serca.

– Pamiętasz, jak pożyczyłam od niego telefon?

– Jasne. Bo twój był uszkodzony.

– To był początek...

Kiedy Afrim pożyczył Natalii swoją komórkę, nie zadał sobie trudu, żeby porządnie wyczyścić skrzynkę wiadomości. Przychodzące i wychodzące esemesy przerzucił jedynie do kosza. A Natka zajrzała tam, gdzie nie powinna. Odkryła mnóstwo wiadomości od osoby o imieniu Agnieszka, która przypominała Afrimowi o odebraniu Sabriego z przedszkola, zrobieniu zakupów na wspólny obiad, oraz informowała o zarezerwowaniu biletów do kina na sobotni seans. Wiadomości wysłane zawierały odpowiedzi w stylu: „Dobrze, kotku, jak skończę pracę, zabiorę małego, a po drodze wstąpię do sklepu po kurczaka, zrobisz nam pyszny obiad”, „Mam nadzieję, że twoja matka zostanie w sobotę z Sabrim, bo inaczej nici z filmu”. Były też bardziej intymne wiadomości świadczące o wielkim uczuciu Afrima i Agnieszki. Kiedy Natalia poznała prawdę, wpadła w rozpacz, a zaraz potem w gniew. Spotkali się w pubie, gdzie urządziła Afrimowi dziką awanturę, nie przejmując się wymownymi spojrzeniami innej pary siedzącej przy sąsiednim stoliku.

Oczywiście zerwała z Afrimem, a przy okazji cisnęła w niego pożyczonym telefonem.

– Nie znoszę oszustów i krętaczy. Kłamał w żywe oczy, wmawiając mi miłość. A ja niczego nie zauważyłam!

– I co się dalej stało?

– Postanowiłam spotkać się z jego żoną, żeby ją przed nim ostrzec.

– Co? Błagam, powiedz mi, że zrezygnowałaś z tego pomysłu! Przecież gdyby on się o tym dowiedział, wpadłby w szal i jeszcze mógłby ci coś zrobić.

– A jednak spotkałam się z nią...

Natalia umówiła się z żoną Afrima i wyznała jej prawdę, lecz tamta, ku zaskoczeniu mojej przyjaciółki, nie wyglądała na poruszoną.

Studiując bałkanistykę, pisała pracę licencjacką na temat polityki kulturalnej w Serbii i w trakcie badań poznała Afrima. Na wakacje pojechali razem do Belgradu, gdzie Agnieszka mogła zebrać więcej przydatnych materiałów. Dowiedziała się, że Serbowie są ludźmi o dużym temperamencie, że kelner potrafi nakrzyczeć na klienta za zbyt długie zastanawianie się nad wyborem menu, a Polacy wciąż są postrzegani jako biedni ludzie przyjeżdżający do byłej Jugosławii na handel. Odkryła również, że kocha nie tylko ten kraj, ale i mężczyznę, który ją tam zaprosił. Agnieszka i Afrim wzięli ślub cywilny w Polsce, szybko urodziło się im dziecko, a ona porzuciła marzenia o tytule magistra. Afrim zaczął wdawać się w romanse i wcale się z tym nie krył.

Natalia nie musiała otwierać Agnieszce oczu, bo ona doskonale zdawała sobie sprawę z jego zamiłowania do przygód. Poza tym jest w nim zakochana i wszystko mu

wybaczy.

– Trudno mi było przyjąć jej punkt widzenia. On nią manipulował. Wmawiał jej, że nikogo już sobie nie znajdzie, sprawiał, że z dnia na dzień czuła się coraz gorsza, aż w końcu na dobre straciła wiarę w siebie.

– Biedna kobieta. Nie umiem sobie wyobrazić, jak można tolerować takie rzeczy. Jak w ogóle można tak żyć...

– Afrim groził jej, że jeśli ona go zostawi, zabierze jej syna i wyjedzie do Belgradu.

– Co za drań! – oburzyłam się.

– Niestety przekonałam się o tym na własnej skórze. Mnie też groził...

Serce zaczęło mi walić z przerażenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że moja głupota nie zna granic...

Dowiedziałam się, że wcześniej moja przyjaciółka wielokrotnie korzystała z komórki Afrima. Kiedy zainstalowała w niej swoją kartę SIM, w pamięci telefonu utrwaliły się wszystkie dane kontaktowe, które zostały automatycznie przesłane. Co za tym idzie, Afrim miał teraz numery do wszystkich znajomych Natki, w tym do mnie.

– Afrim dowiedział się, że spotkałam się z jego żoną. Nawyzywał mnie od kurew.

– O Boże...

– Powiedział, że namieszałam w głowie jego żonie i za karę on teraz nie da mi spokoju. Na szczęście spotykaliśmy się na mieście i nie zna naszego adresu, tylko nazwę dzielnicy.

– No, tego by brakowało, żeby zaczął nas nachodzić. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?!

– Miałam nadzieję, że sama to załatwię, a poza tym nie wiedziałam, jak zareagujesz.

– No to teraz już wiesz. Jestem przerażona. Przecież on ma dostęp do twojej listy kontaktów!

– Nie panikuj. Wydaje mi się, że Afrim rzuca słowa na wiatr. Tylko gada, a w rzeczywistości nic nam nie zrobi.

– Nie byłabym taka pewna. Obyś miała rację...

Nadeszła północ, a wraz z nią zmęczenie. Ustaliśmy z Natką, że od tej pory będziemy wzajemnie się informować o każdym wzbudzającym podejrzenie ruchu Afrima. Złościłam się trochę na Natalię, że doprowadziła do takiej sytuacji. Z drugiej strony zazdrościłam jej beztróskiego podejścia do tematu i sama uwierzyłam, że czas załagodzi sytuację, a groźby Afrima okażą się jedynie słowami rzucanymi na wiatr.

Zastanawiałam się, jak rozwiązać problem i usunąć Afrima z życia mojej przyjaciółki. Miałam ochotę spotkać się z nim osobiście i przemówić mu do rozumu, ale w głębi duszy trochę się go bałam. Zwłaszcza że za pośrednictwem danych z karty Natki miał też dostęp do mojego numeru telefonu. Wolałam póki co schować głowę w piasek i zachować czujność.

Aby oderwać się od trosk, zajrzałam do skrzynki pocztowej i odnalazłam starego mejla od Krystiana z zaproszeniem na warsztaty dla sekretarek.

Dzień po spotkaniu wysłałam mu esemesa z podziękowaniem za obiad. Krystian odpisał, że jemu również się podobało, zwłaszcza nasze pożegnanie, i ma nadzieję zobaczyć mnie na warsztatach.

Termin zbliżał się wielkimi krokami, a ja kombinowałam, jak powiedzieć Krystianowi, że naczelnik mnie zwolnił. Krystian odzywał się do mnie sporadycznie i miałam wrażenie, że nie ma o tym pojęcia. Najwyraźniej nie załatwiał żadnych interesów z naczelnikiem i nie zauważył mojej nieobecności, bo raczej by zadzwonił. Ale może zbyt wiele sobie obiecywałam? Nasze spotkanie mógł uznać przecież za przelotny flirt. Swoją drogą wyglądał na faceta, który lubi pokazywać się z atrakcyjnymi dziewczynami w miejscach publicznych, więc może byłam jedną z wielu? Postanowiłam wybrać się na warsztaty, ale bez żadnych oczekiwań.

Telepatia chyba istnieje, bo w tym momencie Krystian zadzwonił do mnie.

– Halo?

– No, cześć – przywitał się niepewnie, ale zaraz odzyskał rezon. – Dzwonię, żeby zapytać, czy będziesz jutro na warsztatach.

– Wybieram się – odpowiedziałam zduszonym głosem, jakbym właśnie przebiegła maraton.

Miałam nadzieję, że nie wyczuł mojego zdenerwowania.

– Super. W takim razie zadzwoń, jak dotrzesz na miejsce, to zejdę po ciebie, OK?

– Jasne, zadzwonię.

– A zatem do jutra.

– Do jutra.

– Cześć.

– Cześć.

Zalała mnie fala euforii pomieszanej z odrobiną paniki. Gdy w końcu udało mi się opanować podekscytowanie, otworzyłam szafę na oścież i przesuwałam wieszaki pełne ubrań, by wybrać odpowiedni strój. Żakiet i dżinsy? Zbyt pospolicie. Przepasana sukienka do kolan? Zbyt klasycznie i poważnie. W rezultacie zdecydowałam się na obcisłe rurki i luźną szafirową koszulę z wydłużonym tyłem, który dodatkowo wyszczuplał sylwetkę. Do tego długi, złoty naszyjnik z motywem sowy i złoty zegarek. Całości dopełniły dodatki w postaci rudych botków oraz torebki w tym samym odcieniu. Perfekcyjnie,

stwierdziłam.

Tak ubrana pojechałam na kolejne spotkanie z Krystianem, ukryte pod płaszczkiem warsztatów dla sekretarek.

Po dotarciu na róg Chłodnej i Towarowej stanęłam przed szklanym, strzelistym budynkiem, jednym z tych, które starają się wyprzeć socjalistyczną architekturę i promują obraz stolicy jako nowoczesnego europejskiego miasta. Jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie wnętrze biurowca. Jakże różnił się od naszej budżetówki. Dość szokujący przeskok z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku do ery komputerów.

Gigantyczna przestrzeń jak na lotnisku, wysokie kondygnacje i lśniąca terakota w grafitowym kolorze dawały złudzenie, że człowiek stąpa po szklanym dnie nad przepaścią i ze strachem spogląda w dół.

Zauważyłam mnóstwo sklepików i punktów usługowych, między innymi kiosk z codzienną dostawą chrupiącego pieczywa i magazynów biznesowych, minimarket z gotowym do podgrzania w mikrofalach kremem z brokułów, były też kawiarnia i restauracja sushi, a nawet biuro podróży i apteka. Pracownicy firm wynajmujących tu powierzchnie biurowe mieli wszystko, co potrzeba, na wyciągnięcie ręki.

W holu było dwanaście wind, po sześć w korytarzu, każda inaczej oznaczona, i tak na przykład windą A mogłam dojechać jedynie do pewnego piętra, a jeśli chciałam dostać się wyżej, musiałam przesiąść się do windy B. Nie każda przesiadka gwarantowała jednak dotarcie do celu. Jeśli wsiadło się do niewłaściwej windy, należało wrócić do punktu wyjścia, czyli zjechać na parter. Jak w grze w podchody w zmechanizowanym labiryncie, przyprawiającym o zawrót głowy.

Po krótkim lawirowaniu między piętrami dotarłam wreszcie do firmy Indygo. Nie była aż tak kosmiczna jak w moich wyobrażeniach. Tuż za szklanymi drzwiami natknęłam się na charakterystyczną dla nowoczesnych biur konsolę. Wcisnęłam domofon i natychmiast zostałam wpuszczona do środka.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – odezwała się młoda, gładko uczesana dziewczyna w białej bluzce, która mi otworzyła.

– Dzień dobry, jestem umówiona – uśmiechnęłam się do niej.

– W takim razie proszę usiąść. – Wskazała jedną z kolorowych kanap dla gości.

Sięgnęłam po telefon i wysłałam Krystianowi esemesa. Zjawił się chwilę później ubrany w zwykły czarny T-shirt i przydymione dżinsy, z włosami w lekkim nieładzie i firmową smyczą z iPhonem na szyi.

– Witaj. – Przysunął się, by pocałować mnie na przywitanie.

– Cześć. – Nieśmiało nadstawiłam policzek.

Nasze spojrzenia zetknęły się i miałam wrażenie, że czas na moment się zatrzymał.

– Ależ kolorowo! – powiedziałam, aby przełamać lody.

– Tylko tutaj. W salach jest zwyczajnie. Przypomnij mi, o której masz szkolenie?

Spojrzałam na zegarek.

– Za pięć minut.

– Wiesz, w której sali?

– Tak, wzięłam ze sobą wydruk mejla.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba. Napisz esemesa, kiedy skończycie, to jeszcze

pogadamy.

– Jasne. Dzięki za zaproszenie.

– Trzymaj się!

Odnalazłam numer pokoju, w którym miało się odbyć szkolenie. Przy wejściu do każdej sali na ścianie znajdowały się tablety z wyświetloną na ekranie agendą spotkania, zawierającą imiona i nazwiska prelegentów oraz tematy zagadnień.

Przed kursantami odkrywano nowe możliwości korzystania z nowinek technologicznych. Mieliśmy przed sobą laptopy z oprogramowaniem prezentowanym przez firmę. Delegowanie zadań, zarządzanie czasem, jak również efektywne wykorzystywanie poczty elektronicznej i prowadzenie kalendarza spotkań przełożonego były tym, czego powinna nauczyć się każda sekretarka czy asystentka. Szkoda tylko, że niewiele z tych rzeczy mogłam wykorzystać w pracy, w której notatki w dalszym ciągu zapisywano w tekturowych zeszytach. Niemniej jednak cieszyłam się, że mogę brać udział w tego typu szkoleniu, zwłaszcza że zaproszenie dostałam z samej góry. Starłam się patrzeć w ekran monitora, zamiast rozmyślać o tym, czym w tej chwili zajmuje się Krystian. Chyba ściągnęłam go myślami.

„Jak szkolenie?”, napisał.

„Interesujące. Wszystkim bardzo się podoba”, odpisałam.

„Cieszę się”.

Na koniec kilka osób wdało się w rozmowę z prowadzącym, reszta zaś rzuciła się na ciastka, na które wcześniej tylko patrzyła wygłodniałym wzrokiem. Nie miałam pytań ani ochoty na słodycze, więc opuściłam salę wykładową i schowałam się w aneksie kuchennym, gdzie napisałam esemesa do Krystiana, że – posługując się tutejszym językiem – już jestem „available”.

Umówiliśmy się przy recepcji za pół godziny. Dziewczyna za konsolą, która najwyraźniej zapamiętała moje powitanie z jej szefem, nie patrzyła na mnie już tak przychylnie jak na początku.

W końcu się zjawił i zaprosił mnie do swojego gabinetu. Okazał się nieduży, ale ustawienie mebli optycznie zwiększało jego powierzchnię. Na ścianie wisiał wielki telewizor z płaskim ekranem. W rogu stała skórzana niebieska kanapa, a na biurku z jasnego drewna najnowocześniejszy laptop i czarny tablet, poza tym na blacie panował typowo męski nieład. Kilka luźno rzuconych płyt, marker do ich opisywania, plastikowa teczka z dokumentami, dwie książki o języku SQL (po polsku i po angielsku) oraz miniaturowy model czerwonego porsche. Na ekranie komputera wyświetlał się tytuł prezentacji: „Wpływ postępu technologii na architekturę oprogramowania”.

– Patrz, co ja tu mam! – Nachylił się, by przełączyć obraz z monitora. – Program komputerowy do zarządzania salami. Muszę cię pochwalić, pilna z ciebie uczennica.

– Chcesz powiedzieć, że masz tu oko Wielkiego Brata?

– Właśnie. – Spojrzył na mnie szelmowsko. – W każdej sali jest monitoring.

– Nieźle! Ciekawe, co na to kursanci?

– Wierz mi, że trenerzy bardziej się stresują, bo można oceniać ich kompetencje.

Ale włączamy go tylko podczas egzaminów. Martyna z recepcji sprawdza, czy nikt nie ściąga.

– Rozumiem. No i działa również wtedy, gdy zaproszone przez ciebie dziewczyny przychodzą na warsztaty.

– Wtedy również – zaśmiał się.

– Aha, czyli często zdarza ci się wysyłać takie zaproszenia? – dociekałam.

– Nie, to pierwszy raz – odwrócił wzrok i udał, że szuka czegoś w komputerze.

– Akurat – nie dałam za wygraną.

Przypomniałam sobie, że zamiast udawać przed Krystianem pewną siebie flirtującą, powinnam wyznać mu prawdę, że straciłam posadę sekretarki pana Pawła. Nie miałam pojęcia, jak przejdzie mi to przez gardło, tym bardziej że sekundę temu zgrywałam przed nim twardzielkę.

– Przy okazji, dziękuję za warsztaty. Za jakiś czas mi się przydadzą, kiedy będę szukać nowej pracy... – zaczęłam.

– A po co miałabyś szukać innej? – zdziwił się.

– Zmieniłam wydział.

– Dlaczego? Nie podobało ci się u Pawła?

Zagryzłam wargi i wyznałam mu prawdę.

– Nie przedłużono mi umowy – wyznałam.

Krystian wyglądał na zaskoczonego, a może wręcz zakłopotanego.

– Słuchaj, nie wiem, co powiedzieć. Trudno mi w to uwierzyć. Jak Paweł mógł coś takiego zrobić?

– Widocznie miał swoje powody. Nie zamierzam w to wnikać. W każdym razie cieszę się, że mogłam przy okazji pracy u niego poznać ciebie. Skoro już wiesz, co i jak, to myślę, że powinnam się zbierać.

Czułam się coraz gorzej i chciałam jak najszybciej stamtąd uciec.

– Oj, nie ma tego złego... – powiedział nagle Krystian. – Teraz przynajmniej możemy się normalnie spotykać. Już nie musisz się bać, kiedy przychodzę do Pawła na kawę. Idealnie!

Zbił mnie z tropu. Nie wiedziałam, co tak naprawdę myśli o całej tej sytuacji. Ale przyznał, że nadal chce się ze mną spotykać, i na tym się skupiałam.

– Sądziłam, że to nasze ostatnie spotkanie.

Krystian pogłaskał mnie po ramieniu.

– I po co ta drama? Zobaczymy się jeszcze. Napisz, kiedy będziesz miała ochotę, coś wymyślę.

Nie dałam nic po sobie poznać, ale byłam uszczęśliwiona.

– Skoro nalegasz... – Zrobiłam kocie oczy.

Krystian odprowadził mnie do wyjścia, ale tym razem zamiast pocałunku był tradycyjny uścisk dłoni.

Jakoś przebrnęłam przez labirynt składający się z licznych wind, aż wreszcie dotarłam na dół. Wstąpiłam do kiosku po drożdżówkę. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jaka jestem głodna.

Wsiadłam do tramwaju i, przeżuując miękką bułkę z budyniowym nadzieniem, bujałam w obłokach. A gdy wróciłam do domu, od razu rzuciłam się na łóżko i dałam się ponieść wyobraźni. Snułam sobie wizje, co mogłoby się wydarzyć w trakcie kolejnego



wspólnie spędzonego dnia.

Niedawno widziałam się z Krystianem, a już wyczekiwałam kolejnego spotkania. Wielokrotnie brałam do ręki telefon i zaraz chowałam go w torebce, z trudem powstrzymując się od wysłania esemesa. Po długiej i wyczerpującej walce rozważny umysł wygrał z emocjami. Wzięłam na wstrzymanie. Teraz przede wszystkim musiałam skupić się na nowych obowiązkach.

Renata została oddelegowana na szkolenie, więc przez dwa dni siedziałam w sekretariacie sama.

– Hej, Karolcia, pomóc ci w czymś? – powitała mnie wesoło Agata.

Byłam zaskoczona, że ktoś bezinteresownie oferuje mi pomoc. W wydziale piętro wyżej takie spontaniczne odruchy się nie zdarzały.

– Co słyhać, pani Karolino? Widzę, że nie ma szefostwa – dołączył pan Włodek.

– Tak, dziś w sekretariacie panuje bezkrólewie.

– Zyskała pani większą swobodę.

– Niby mogę robić, co dusza zapagnie, ale to złota klatka, panie Włodku.

– No, sekretarki zawsze mają najgorzej. Z jednej strony są przykute do biurka, a z drugiej co chwila biegają po pocztę – wtrąciła Agata.

Zadzwoił telefon.

– Karolina, przyjdź po pocztę. Mam dla ciebie kolejną perełkę – usłyszałam głos Kingi.

– Czyżby to, o czym myślę? – skrzywiłam się.

– Niestety – przytaknęła.

Stopniowo stawałam się ekspertem od najdziwniejszych spraw, jakimi za pośrednictwem niewinnie wyglądających pism obarczano nasz wydział.

A to trzeba było zaopiniować jakąś ustawę o nowych drogowskazach, a to o szkolnictwie wyższym, a nawet o gospodarce morskiej. Oczywiście wszystko na już. Pisma przychodziły zawsze faksem, a załączniki mejlem.

– No nie, znowu pismo z ministerstwa?

Zerknęła w dziennik podawczy.

– Dziś już piąte.

– Właśnie. Na wszystkie trzeba odpowiedzieć do czternastej. Chyba powariowali! – westchnęłam ciężko. – Szkoda, że ich nie zmieliłaś.

– Niszczarka ma zainstalowaną blokadę na pisma, które jeszcze nie zostały zrealizowane – zażartowała Kinga.

– Szkoda. Ile spraw by to rozwiązało! – zaśmiałam się.

Wróciłam do siebie, żeby je zarejestrować i przekazać je panu Włodzimierzowi. O wilku mowa, zjawił się z własnej woli.

– Pani Karolino, przepraszam, że przeszkadzam w porze posiłku.

Skorzystałam z okazji, że jestem sama, i jadłam zalaną wrzątkiem chińską zupkę.

– Nic nie szkodzi. Podobno dietetycy zalecają jeść mało, a często – uśmiechnęłam się życzliwie.

– A, to dlatego pani taka szczuplutka – rzucił komplement.

– Myślę, że to raczej zasługa nerwów niż diety. Ale, zdaje się, ma pan do mnie jakąś sprawę?

– Ach tak. Dzwonili z Ministerstwa Gospodarki, że przyślą mi do zaopiniowania bardzo ważny projekt. Rano dostałem od pani załącznik, ale bez pisma przewodniego. Gdyby się pojawiło, będę wdzięczny za niezwłoczne dostarczenie.

– Tak się składa, że przed chwilą to pismo trafiło do mnie z sekretariatu dyrektora. Proszę chwilkę poczekać, skończę je rejestrować.

– Oj, fantastycznie!

Projekty w formie załączników przychodziły znacznie wcześniej niż pismo, ponieważ zawierały niekiedy po kilkadziesiąt stron, dlatego pilnowałam, aby żadnego nie przeoczyć i w porę przesłać je osobie, która zajmowała się danym tematem.

Z każdym dniem nabierałam wprawy, ucząc się kultury pracy w nowym wydziale. Jeżeli czegoś nie byłam pewna, notowałam wątpliwości.

„Urlop ojcowski przysługuje w wymiarze dwóch tygodni”, „Rozkazy personalne – dotyczą zmian kadrowych i premii”, „Zwolnienia lekarskie – nie rejestrować, tylko z tyłu postawić pieczęć wydziałową i napisać »Otrzymałam«, podstemplować bieżącą datą i podpisać się”, „Zwracać uwagę na pośrednie dekretacje. Coś może być skierowane bezpośrednio do szefa, a coś innego tylko do jego wiadomości”, „Decyzje dyrektorskie – zanieść do kancelarii w celu zarejestrowania, odebrać kserokopię, zrobić drugą kopię dla właściciela dokumentu i rozesłać do wszystkich wydziałów”.

Z czasem nabrałam wprawy na tyle, że wypełniony różnymi informacjami zeszyt przestał być potrzebny.

Ponieważ w dalszym ciągu musiałam pilnować sekretariatu, zaczepiłam Agatę, która wybierała się na stołówkę, i poprosiłam, aby kupiła mi sałatkę z fetą.

– Będę ci bardzo wdzięczna. Umieram z głodu.

– To może przyniosę ci coś treściwego? Jakies naleśniki albo kopytka z sosem? – zaoferowała.

– Dzięki, sałatka wystarczy. Muszę dbać o linię.

– Ty? Przecież wyglądasz w sam raz! Poza tym te wszystkie diety to ściema. Wypróbowałam każdą: Dukana, Montignaca, kopenhaską, makrobiotyczną i wiesz, do jakiego wniosku doszłam?

– Do jakiego? – spytałam z ciekawioną.

– Że muszę być na kilku dietach, bo jedną się nie najadam!

– Ciekawa koncepcja! Może kiedyś wypróbuję. – Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Polecam! Biegnę na obiad, bo zgłodniałam. Podrzucę ci grecką zielecinę.

Dotrzymała słowa i pół godziny później mogłam się delektować moją ulubioną sałatką. Zdążyłam zjeść kilka kęsów, kiedy Kinga znów zawiadomiła mnie o świeżej porcji pism do odbioru.

– Nie mów, że ministerstwo znowu nie ma co robić...

– Tym razem to tylko jakieś pierdoły.

Rzuciłam okiem i już wiedziałam, że to nic pilnego. Pan Włodek, który zastępował Renatę w czasie jej nieobecności, dekretował pisma.

– To jest pismo do wszystkich wydziałów. W załączeniu zawiera korektę wycinków limitu finansowego. Proszę zrobić ksero pisma przewodniego, a do każdego przypiąć po jednym wycinku i rozdać, dobrze?

– Już się robi, panie Włodku.

Sekretariat wydziału teleinformatycznego zostawiłam sobie na koniec. Chciałam mieć pewność, że najpierw jak należy rozdaję wszystko inne, aby pod wpływem wzburzenia po wizycie w paszczy lwa, przypadkiem nie popełnić głupiego błędu.

Czułam się tam jak intruz, bo nikt z moich dawnych współpracowników nie przypuszczał, że zachowam stanowisko. Powtarzałam sobie w duchu: to tylko zwykły wydział. Niczym nie różni się od pozostałych.

Wzięłam głęboki oddech i trzymając pismo w jednej ręce, drugą szarpnęłam za klamkę.

W sekretariacie siedziała pani Mela, a obok niej stała Baśka, która coś drukowała. Gabinet pana Pawła był otwarty na oścież, a w środku szef jak zwykle głośno dyskutował z Filipem.

Obserwując ich wszystkich z nieznanej mi dotąd perspektywy, zdałam sobie sprawę, że ci ludzie przypominają bohaterów filmów rysunkowych. Byli strasznie nienaturalni, wręcz przerysowani, a ich komiczne zachowanie najzwyczajniej w świecie budziło śmiech. Im większy respekt chcieli wzbudzić, tym bardziej narażali się na blamaż. Nie wiem, jakim cudem, pracując z nimi, tak bardzo się ich bałam.

– Dzień dobry – powiedziałam pewnym siebie głosem, choć nie przyszło mi to łatwo.

– Dzień dobry, Karolinko – odpowiedziała pani Melania głosem pełnym słodyczy. Zaraz zwymiotuję, pomyślałam.

– Przyniosłam wycinek limitu finansowego – oznajmiłam.

Jak zwykle prześwietliła go bardzo dokładnie, jakby miała do czynienia ze sfalszowanym dziełem sztuki.

– Słyszałam, że nas obgadujesz tam na dole? – odezwała się Baśka, która najwyraźniej obrała sobie za cel po raz kolejny mnie sprowokować. – To prawda?

Uśmiechnęłam się ironicznie.

– Wprost przeciwnie – odpowiedziałam. – Uważam, że nie warto tracić czasu na niektóre osoby, lepiej spożytkować energię na coś twórczego.

Sama nie wierzyłam, że to mówię, lecz tylko tak mogłam zamknąć Baśce usta. Baśka jak zwykle głupio się uśmiechnęła, a pani Mela odwróciła kota ogonem.

– Oj, już przestań, Karolinko, bo doprawdy przesadzasz. Mów, gdzie pokwitować.

Taki był ich zamysł. Sprowokować mnie, a potem wmówić mi, że to ja wszczęłam kłótnię. Utarty schemat, w którym próba stoczenia boju przypominała walkę z wiatrakami.

Odpuściłam, wzięłam podpisane pismo i wyszłam z dumnie uniesioną głową.

Dziwiło mnie, że nie znudziło im się dokuczanie mi, szczególnie że same musiały teraz zasuwac w sekretariacie na zmianę, dopóki nie zjawi się nowa dziewczyna. Wielokrotnie zanosila im pisma i zawsze wygladalo to w ten sam sposob. Biegajace miedyz pokojami a sekretariatem osobniki przypominajace Simsow oraz ja, upominajaca

się o podpis w książce doręczeń przesyłek miejscowych.

Za każdym razem, gdy odwiedzałam stare kąty i widziałam zde gustowane miny pani Meli lub Soni, zmuszonych wcielić się w rolę sekretarki, której w dalszym ciągu nie miał pan Paweł, udawałam bohaterkę. W duchu mówiłam: macie, co chcieliście.

Jako sekretarka wydziału administracyjnego rejestrowałam także pisma nadsyłane przez wydział kadrowy, a więc przed przekazaniem ich w stosowne ręce wiedziałam, kto w danym miesiącu zostanie zwolniony lub do kogo uśmiechnie się los i zaoferuje mu cenne stanowisko.

Wszelkie tego rodzaju pisma były szczelnie zakopertowane i opatrzone specjalną sygnaturą. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie ściśle tajnych dokumentów, ale gdy tylko opuszczały sekretariat dyrektora, przechodząc w dalsze ręce, cała ta otoczka, związana z ich poufnością, przestawała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Po odebraniu ich od Kingi siadałam za biurkiem, automatycznie chwyciłam nóż do papieru i zręcznym ruchem rozcinałam kopertę.

Gdy odebrałam pismo w sprawie zatrudnienia kogoś na moje dawne miejsce, mina mi zrzedła. Z jednej strony intrygowało mnie, kim będzie nowa sekretarka pana Pawła, a z drugiej nie miałam wcale ochoty rejestrować pisma w tej sprawie. Wrzuciłam do kuwety zaklejoną kopertę, starając się odsunąć tę chwilę w czasie.

– Masz dla nas jakieś pisemka? – spytała Ania, która przyszła z Agatą.

– Mam, ale jeszcze muszę je dać do dekretacji pani Renacie – powiedziałam.

– A, to nic, przyjdziemy później. A czemu masz taką minę? Coś się stało? – zauważyły moje podenerwowanie.

– Nic, tylko właśnie przyszło pismo w sprawie zatrudnienia nowej sekretarki pana Pawła. Ciekawa jestem, kto zajmie moje miejsce.

– Otwieraj! Zaraz się przekonamy – zachęcały mnie dziewczyny.

Sięgnęłam więc po kopertę, rozcięłam ją i wyjęłam zawartość.

„Dotyczy zawarcia umowy o pracę na czas określony w wymiarze trzech miesięcy pomiędzy Wydziałem Teleinformatycznym a Mariną Nowak zatrudnioną na stanowisku sekretarki”, przeczytałam.

Podskoczyło mi ciśnienie i omal nie eksplodowałam. Nową sekretarką Pawła będzie Marina. Ta sama Marina, która nie tak dawno kończyła u nas staż i ze łzami w oczach żegnała się ze wszystkimi.

– Nie wierzę! A więc to ona mnie wygryzła! A ja jej żałowałam, kiedy odchodziła... – mówiłam oszołomiona.

– Wiesz co? To jest przegięcie. Pozbyli się ciebie, żeby wcisnąć tam swoją protegowaną. Bo inaczej po cholerę mieliby to robić? – uniosła się Agata.

– Karola, nie przejmuj się tym. Nie warto. – poradziła Ania, która w przeciwieństwie do Agaty była cichą i spokojną osobą.

– Wiecie co? Macie rację. Nie zamierzam się tym przejmować.

Położyłam pismo, po czym z impetem postawiłam na nim pieczętkę, nadając nową liczbę dziennika. Kiedy skończyłam, włożyłam je do teczki i wraz z resztą dokumentów zaniósłam pani Renacie na biurko.

Po powrocie do domu nachodziły mnie różne myśli. Krok po kroku odtwarzałam

w pamięci pojawienie się Mariny w wydziale, jej zachowanie wobec otoczenia i nastawienie pracowników do niej. Od początku coś mi w niej nie pasowało.

Byłam niczym bezbronna mysz, nieświadoma krążącego nad nią sokoła, a raczej sokolicy, w którą wcieliła się słodka i uwielbiana przez wszystkich Marina.

Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z naczelnikiem, kiedy to podsunęłam myśl, że nasza stażystka przyjdzie na moje miejsce. Zaskoczony pan Paweł z miną pokerzysty zaprzeczył. Teraz już wiedziałam, że kłamał. Od początku mydlił mi oczy obietnicą przedłużenia umowy. Postanowiłam symbolicznie życzyć Marinie powodzenia i dyskretnie przypatrywać się temu, jak poradzi sobie w nowej roli.

WILK W OWCZEJ SKÓRZE

– Nie zgadniesz, kto przychodzi do sekretariatu na moje miejsce! – zwróciłam się do Natalii, kiedy wróciła z uczelni.

– Z twojej miny wnioskuję, że znasz tę osobę – powiedziała, skubiąc się za podbródek, jakby stosowała metodę dedukcji Sherlocka Holmesa.

– Ciepło. Wręcz powiedziałabym, że gorąco.

– No, mów! Kto? – niecierpliwiła się.

Zalogowałam się na Facebooka i odszukałam czat z Mariną. Kiedy zakończyła staż w wydziale, wysłałam jej zaproszenie do grona znajomych, a ona natychmiast mi odpisała.

Marina Nowak

Hej! Co słyhać? Ja odbywam staż w takiej kancelarii prawniczej. Miałam możliwość podjąć pracę w waszej instytucji, ale nie wiem, czy chcę, bo tutaj jest bardzo fajnie i blisko mojego domu.

Karolina Lubczyk

Hej! U mnie wszystko się zmieniło. Nie pracuję już w teleinformatycznym, tylko w administracyjnym. Nie przedłużyli mi umowy. Cieszę się, że znalazłaś nowy staż. A czy zdradzisz, gdzie proponowali ci pracę?

Marina Nowak

Zgadnij...

Karolina Lubczyk

Będę strzelać: w naszym ukochanym wydziale?

Marina Nowak

Dokładnie tam.

Karolina Lubczyk

Naprawdę? Ciekawe, bo naczelnik twierdził, że nie ma nikogo na moje miejsce.



Marina Nowak

Dziwna sprawa. Ale ja i tak tam nie pójdę, bo to głupia sytuacja, i nie chcę się tak bawić. W tej kancelarii zżyłam się z ludźmi i tam raczej podziękuję. A co im nie pasowało, że cię zwolnili?

Karolina Lubczyk

Że nie robię archiwizacji i nie dogaduję się z ludźmi. Gdyby nie pani Renata, u której teraz jestem, wylądowałabym na bezrobociu.

Marina Nowak

Archiwizacja? Dziwne zadanie dla sekretarki. No, to tamci się zdziwią, że zostajesz. Wiedzą już?

Karolina Lubczyk

Tak, wiedzą.

Marina Nowak

Chciałabym zobaczyć ich miny, gdy się dowiadują, że jednak zostajesz:)

Karolina Lubczyk

A ja chciałabym zobaczyć ich miny, gdy się dowiadują, że jednak tam nie przychodzisz:)

Marina Nowak

Hihi:) Podwójne zaskoczenie:) Co prawda, złożyłam dokumenty, tak jak chcieli, ale nic więcej. To jeden z trudniejszych wydziałów, poza tym ja wolę moją kancelarię i za nic w świecie jej nie zostawię! Łatwiej o zastępstwo.

Karolina Lubczyk

Ale za to w naszym biurze miałabyś etat?

Marina Nowak

Niby tak, ale po stażu mam możliwość stałego zatrudnienia. Strasznie się cieszę. Ten staż jest bardziej powiązany z moimi studiami. OK, kochana, siadam do kolacji.

Trzymaj się, buziaki!

Karolina Lubczyk

Przyznaję, że bardzo mnie zaskoczyłaś tym newsem. Smacznego i buziaki!

Natka skrzyżowała dłonie z tyłu głowy i zagryzła wargi.

– Jak można być tak bezczelnym i obłudnym?! Szkoda, że wcześniej mi tego nie pokazałaś, spróbowałabym ją jakoś podpytać.

– Stwierdziłam, że to bez znaczenia, i nie chciałam zawracać ci głowy. Naprawdę jej uwierzyłam – powiedziałam.

– Dlaczego cię okłamała? Przecież mogła napisać wprost, że zgodziła się przyjąć twoje stanowisko.

– Może wtedy nie była jeszcze do końca przekonana – łudziłam się.

– A ja myślę, że to typowa cwaniara, która czyhała na nie już od dawna i chciała sobie oczyścić konto przed startem. Powiedz, Karola, czy to z nami jest coś nie tak, czy z innymi? U mnie akcja z Afrimem, u ciebie z tą zmiją. Boże, co za świat, w którym nikomu nie można ufać.

– Samo życie... – powiedziałam w zadumie, po czym wylogowałam się z Facebooka, żeby nie patrzeć dłużej na słodką minkę Mariny na jej profilowym zdjęciu.

Nadszedł pierwszy poniedziałek miesiąca, kiedy miała pojawić się Marina. Mogłam natknąć się na nią praktycznie wszędzie, na przykład na korytarzu prowadzącym do sekretariatu Kingi, gdzie każda z nas codziennie odbierała pocztę dla swego wydziału. Zaiste, Marina miała swój własny wydział. Wszystko, co do niedawna było moje, teraz należało do niej. Ciekawa byłam jej reakcji, kiedy przypadkiem staniemy twarzą w twarz.

– Karolino, to jest bardzo ważne pismo, które jak najszybciej musi trafić do wszystkich wydziałów. Trzeba je powielić i roznieść za pokwitowaniem – powiedziała pani Renata po powrocie z odprawy u dyrektora Malinowskiego.

W przeciwieństwie do pana Pawła, który rozkazującym tonem przydzielał mi zadania, pani Renata traktowała mnie z szacunkiem, a jej polecenia zdawały się być raczej uprzejmymi prośbami niż rozkazami. Przy niej czułam się jak ktoś wartościowy i doceniany, co wpływało na mój stosunek do wykonywanych obowiązków. Pomyślałam, że pani Renata nadawałaby się na menedżera w prywatnej korporacji. Dzięki jej podejściu z przyjemnością robiłam to, co do przyjemności raczej nie należało.

– Oczywiście, już się tym zajmuję. – Ochoczo zabrałam się do kserowania.

– Dziękuję – uśmiechnęła się.

Skorzystałam z okazji i dyskretnie poruszyłam temat Mariny.

– Wie pani, że dzisiaj do teleinformatycznego przychodzi nowa sekretarka?

– A tak, wiem. Dziewczyna, która kiedyś odbywała u was staż? – zauważyła Renata, która, jeśli chodziło o kadrowe rozszady, była zawsze na bieżąco.

Zauważyłam, że z przyzwyczajenia ciągle definiowała miejsce, w którym poprzednio pracowałam jako „mój wydział”.

– Tak, Marina. Podejrzewam, że naczelnik od dawna planował jej zatrudnienie – ośmieliłam się wtrącić.

– Nie przejmuj się nią. Pokaż klasę i głowa do góry! – dodała mi otuchy.

Teraz musiałam stawić czoło rzeczywistości i pójść na trzecie piętro do pokoju trzysta czterdzieści jeden. Czułam się dziwnie, choć wiedziałam, że nie mam czego się obawiać. To oni powinni się martwić, jak wytłumaczą obecność Mariny w sekretariacie. Zostawiłam zatem lęk na ostatnim schodku i wkroczyłam na teren wroga, z miejsca napotykając stojące na środku korytarza trio, które plotkowało w najlepsze.

Pan Paweł, Sonia i pani Mela na mój widok udawali, że wszystko jest w porządku. W moim osobistym przekonaniu po prostu udawali idiotów. Od razu nacisnęłam klamkę drzwi do sekretariatu. Na wprost, za biurkiem, siedziała Marina. Zamarła, ale już po chwili kontynuowała wypakowywanie swoich rzeczy.

– Cześć. Mam dla was pocztę – oznajmiłam. Gdyby spojrzenie mogło zamrazać, moja koleżanka błyskawicznie zamieniłaby się w lodową rzeźbę.

– Ach, oczywiście, już kwituję! – zaćwierkała z miną słodkiej idiotki. Energicznie chwyciła długopis i zdecydowanym ruchem postawiła parafkę w książce doręczeń.

Spodziewałam się, że ze zdenerwowania przynajmniej wyślizgnie się jej z ręki długopis, ale nawet jej nie zadrżała.

– Widzę, że zmieniłaś zdanie.

– Tak, jednak się zdecydowałam. Stwierdziłam, że tu będzie mi lepiej, poza tym umowa o pracę to nie staż – powiedziała, patrząc mi w oczy.

– No to życzę powodzenia. Jeśli dogadasz się z Melą i Sonią, nie będziesz mieć poważniejszych zmartwień.

– Dzięki – posłała mi jeden ze swoich dopracowanych uśmiechów, niczym komik wyjmujący królika z kapelusza.

Nie miałam czego tam szukać. Po drodze wstąpiłam do Irminy.

– Dzień dobry! – przywitałam się z nią i Staśkiem.

Na mój widok szczerze się ucieszyła.

– Cześć, Karolciu! Jak ci się pracuje u Renaty?

– Super, choć tęsknię za tobą. Widzę, że macie nową sekretarkę. – Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Daj spokój. To, co zrobił Paweł, przekracza granice przyzwoitości. Oczywiście Mela jest w siódmym niebie i już chodzi wokół niej jak kwoka.

– Domyślałam się, że maczała w tym paluszki. Z kolei Marina zapewnia, że dopiero niedawno zdecydowała się przyjąć tę posadę – badałam teren.

– Co takiego? Bzdura. Zaraz po twoim odejściu przyleciała tu z CV w zębach!

– Doprawdy? Nic mnie już nie zszokuje w tej instytucji.

– Kochana, ja tu pracuję już tyle lat i codziennie coś mnie szokuje!

– Wierzę. Naprawdę w to wierzę.

Po powrocie do domu wrażenia z pracy trawiły się dłużej niż makaron z serem blue, który zjadłam na obiad. Potrzebowałam czasu, aby ochłonąć i pozbierać to wszystko w całość. Stęskniłam się za Krystianem, ale nie potrafiłam się przemóc, żeby samej wyjść z propozycją spotkania. Kilka razy sięgałam po telefon, ale znowu go odkładałam. Kusiło mnie, żeby wysłać esemesa, ale nie zdobyłam się na to. Nagle w pokoju rozbrzmiała turecka melodia z filmu *Życie jest muzyką* Fatiha Akina, co oznaczało, że ktoś do mnie dzwoni. Może ściągnięty myślami Krystian?! Ale ku memu rozczarowaniu na ekranie komórki wyświetlił się nieznany numer. Sądziłam, że to przedstawiciel jakiejś firmy telemarketingowej, więc odebrałam.

– Halo? – spytałam.

Cisza.

– Halo? – powtórzyłam i kiedy nikt się nie odezwał, rozłączyłam się.

Sięgnęłam po książkę Nory Vincent *Mężczyzna od postaw* i niczym szejka w namiocie, otoczony mnóstwem miękkich poduszek, umościłam się na łóżku, aby śledzić dalsze losy dziennikarki, która postanowiła sprawdzić, jak to jest być facetem.

Gdy zdążyłam uporać się z tym, że Marina zajęła moje miejsce, niebawem zaczął się prawdziwy koszmar. Nie spodziewałam się takiego horroru. Afrim, były chłopak Natalii – o ile można go tak nazwać – zaczął nas prześladować. Zaczął od głuchych telefonów – kiedy mówiłam „halo”, po drugiej stronie słuchawki odpowiadała mi cisza. Po chwili telefon dzwonił ponownie, a sytuacja się powtarzała i tak w kółko. Afrim zawsze dzwonił z tego samego numeru, abym wiedziała, że to on. Początkowo wydzwaniał jedynie w ciągu dnia, ale po kilku dniach nękał mnie także w nocy. Przed pójściem spać wyłączałam więc telefon, a rano z niepokojem sprawdzałam liczbę nieodebranych połączeń. Miałam wrażenie, że jestem nieustannie kontrolowana, jakby ktoś ukradkiem obserwował każdy mój ruch. Bałam się wejść do autobusu w obawie, że w środku spotkam Afrima. Bałam się wyrzucić przez okno z obawy, że gdzieś w zaroślach czai się nasz prześladowca. Z każdym dniem było coraz gorzej.

– Trzeba coś z tym zrobić! – Po kilku dniach wybuchnęłam, patrząc ze złością na Natalię.

– Ale co? Wiem, że nie powinnam była pożyczać od niego telefonu, ale stało się.

– Trzeba było nie gadać z jego żoną! Boję się, że ten Afrim robi nam krzywdę...

– On będzie tylko dzwonić – powtarzała Natka jak zdarta płyta

Moja przyjaciółka radziła sobie z tą sytuacją znacznie lepiej ode mnie, chociaż do niej też dzwonił. Urodziła się z bardzo przydatną umiejętnością, dzięki której nie dotykały jej żadne bolączki. A nawet jeśli dotykały, kompletnie się nimi nie przejmowała.

– Ty masz obniżony próg strachu – oznajmiłam.

– To prawda – przyznała.

– Szczęściara. Ale nie wszyscy tak mają. Ja się zwyczajnie boję.

W końcu ruszyło ją sumienie.

– Słuchaj, nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak to przeżywasz.

– A jednak.

W tym momencie zadzwoniła komórka Natki.

– Halo? – spytała.

Zaczęła wrzeszczeć na Afrima, by przestał nękać ją i jej przyjaciół. Okazało się, że dzwonił nie tylko do nas, ale i do znajomych Natki z uczelni, nawet do dwóch uczniów, którym udzielała korepetycji. Chciał obrócić świat przeciwko Natce, która miała w ten sposób dostać nauczkę, żeby nigdy więcej nie wtrącała się w cudze sprawy.

– On jest chory! – stwierdziła wściekła.

– Wreszcie to zauważyłaś. Tym bardziej musimy to jakoś załatwić.

– Ale jak?

– Myślę, że powinniśmy to zgłosić na policję. Ale najpierw rozeznam się, czy nic nam nie grozi.

W akcie desperacji zadzwoniłam do Krystiana, który znał się na teleinformatyce

i komputerach. Zapytałam, czy taki szalenciec może nas namierzyć.

– Nie zna mojego nazwiska i nie wie, jak wyglądam, ale wie sporo o Natalii. Czy jest w stanie dotrzeć do reszty jej znajomych?

– Zacznijmy od najprostszego. Masz profil na Face-booku?

– Oczywiście, a kto nie ma?

– Ja, ale mniejsza z tym – zaśmiał się. – W każdym razie wystarczy, że masz swoją przyjaciółkę wśród znajomych. Koleś ją namierza, sprawdza, ile dziewczyn o imieniu Karolina jest w gronie jej znajomych, i gotowe. Nawet jeśli nie zna jej nazwiska, a ma jakieś jej zdjęcie, spokojnie da radę ją wygooglować.

– O Boże... To co mamy zrobić?

– Wrzuć natręta na czarną listę kontaktów albo idź do operatora twojej sieci komórkowej i zablokuj. A co do Natalii, cóż, na razie powinnaś usunąć ją ze znajomych, przynajmniej do czasu, aż sprawa się uspokoi.

– O ile się uspokoi... Namawiam Natkę, aby zgłosiła tę sprawę na policję.

– Bardzo dobry pomysł. W końcu stalking jest już w Polsce uznany za przestępstwo. Moja znajoma ze Stanów też była kiedyś prześladowana i facet dostał dwa lata plus zakaz zbliżania.

– Serio? W takim razie my też to zgłosimy. Słuchaj, jestem ci wdzięczna za poradę.

– Nie ma sprawy, rachunek wyślę pocztą – zażartował.

– No wiesz? Tak wykorzystywać bezbronną dziewczynę!

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. A zawsze możesz się schronić u mnie...

– Znowu zaczynasz? – udałam oburzenie, choć w duchu piszcziałam z radości.

– Skoro o tym mowa, kiedy wpadniesz do mnie na wino? – spytał podstępnie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wizyta u Krystiana wydawała się szaleństwem, ale co będzie, jeśli odmówię, a on więcej tego nie zaproponuje?

– To jak będzie? – ponowił pytanie.

– Mogę przyjechać, pod warunkiem, że będziesz serwował napoje bezalkoholowe.

– A co, masz słabą głowę?

– Do niektórych rzeczy tak.

Żałowałam, że nie ugryzłam się w język.

– No to daję ci gwarancję nietykalności. Chyba że sama się na mnie rzucisz.

– To mnie uspokaja – powiedziałam. – Kiedy uporam się ze sprawą Natki, napiszę do ciebie i się umówimy, dobrze?

– Super. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

– Jeszcze raz dzięki.

Po rozmowie z Krystianem trochę się uspokoiłam. Powiedziałam Natalii, że powinniśmy złożyć doniesienie na Afrima.

Kilka dni później siedziałyśmy w poczekalni warszawskiej komendy rejonowej. Natalia została poproszona do pokoju, aby przedstawić sprawę funkcjonariuszowi. Pół godziny później wróciła.

– I co? – dopytywałam cała w nerwach.

– Pokazałam im wykaz połączeń i esemesy. Spisali moje zeznania i obiecali, że wyślą mu upomnienie, ale to jeszcze nie oznacza, że Afrim przestanie nas dręczyć.

Sprawa może zostać umorzona ze względu na niską szkodliwość społeczną.

– I to wszystko? – spytałam rozczarowana.

– Na razie musimy czekać.

Postanowiłyśmy zrobić sobie krótki spacer. Po raz pierwszy czułam się niepewnie w towarzystwie Natalii. Szłam obok niej, rozmawiałyśmy, a ja dyskretnie rozglądałam się wokół, widząc Afrima w każdej napotkanej osobie.

Kilka następnych tygodni upłynęło we względnym spokoju. Nie blokowałam Afrima, bo chciałam wiedzieć, czy dzwonił, poza tym w razie założenia blokady, dostawałabym esemesowe powiadomienia, że ta osoba próbowała się ze mną skontaktować, więc efekt byłby ten sam. Najgorsze było dla mnie psychiczne zniewolenie, które nie ustąpiłoby nawet po zastosowaniu technologicznych sztuczek. Kiedy zaczęłam wierzyć, że Afrim odpuścił, bo tak jak każdy człowiek ma swoje własne życie, obowiązki w stosunku do żony i syna, odezwał się ponownie. Poczułam, jak serce podjeżdża mi do gardła. Nie odebrałam, ale on dalej usilnie dzwonił. Przez ułamek sekundy miałam ochotę zmienić tożsamość, wygląd, płęć, wyjechać za miasto, a najlepiej za granicę. Miałam ochotę wynająć płatnego mordercę, aby na dobre usunął Afrima z naszego życia. Wszystko, byleby pozbyć się uczucia niemocy i przerażenia. Wtedy przyszedł esemes.

„Cześć, Królowo, masz ochotę się ze mną spotkać? Chętnie cię poznam:)”.

Uznałam, że mam dość. Pojechałam do Galerii Mokotów, do najbliższego salonu mojej sieci komórkowej.

– Dzień dobry, chciałabym zmienić numer telefonu – powiedziałam.

– Ależ oczywiście, zaraz się tym zajmimy – odpowiedziała miła pani w białej koszuli z przewiazaną na szyi jedwabną apaszką w kolorze pomarańczy.

Po wypełnieniu formalności poczułam ulgę.

– Za godzinę nowy numer zostanie aktywowany, a stary wyłączymy. Dzwoniący usłyszy komunikat „nie ma takiego numeru”. Rachunek za usługę doliczymy do następnej faktury.

– Świetnie, bardzo dziękuję.

Po wyjściu z salonu poczułam się wreszcie wolna. Obciążenie kwotą trzystu złotych za zmianę numeru było niczym w porównaniu z balastem, jaki ciążył na mnie przez ostatni miesiąc. Z początku miałam żal do Natalii, że wpakowała nas obie w tę sytuację, ale teraz było to bez znaczenia. Przekonałam nawet samą siebie, że tak naprawdę nie groziło mi nic poza własną wyobraźnią. Analizując tę sytuację na chłodno, doszłam do wniosku, że gdyby Afrim chciał nas rzeczywiście skrzywdzić, najpierw wyszedłby Natkę na uczelni, potem pojechał za nią domu i zrealizował swoje groźby. Jemu faktycznie chodziło wyłącznie o zastraszanie. Niemniej jednak, przez jakiś czas wolałam zachować ostrożność i na wszelki wypadek wykluczyłam Natkę z grona znajomych. Na szczęście nie miała mi za złe, ponieważ obie doskonale wiedziałyśmy, że chodzi jedynie o wirtualną rozłękę. Taką prawdziwą byłoby nam o wiele trudniej wprowadzić w życie.

Napisałam do Krystiana, żeby poinformować go o zmianie numeru. Chciałam mu także powiedzieć, że sprawa z Afrimem przycichła. Nie miałam odwagi zatelefonować, bo Krystian, nie znał mojego nowego numeru i mógłby nie odebrać.

„Cześć:) To mój nowy numer telefonu. Pozdrawiam! Karolina Lubczyk”.

Uznałam, że na początek wystarczy, lecz po chwili żałowałam, że nie wspomniałam o ewentualnym spotkaniu. Gdy skarciłam w myślach samą siebie za głupotę i pośpiech, dostałam zwrotnego esemesa.

„Cześć:). A dlaczego zmieniłaś numer?”.

„Z powodu tego stalkingu. Ale sytuacja zażegnana, więc tak, jak się umawialiśmy, jestem już do Twojej dyspozycji;)”.

Tym razem chyba przesadziłam. Dyplomacja nie należała do moich najmocniejszych stron, co zwykle skutkowało pakowaniem się w dziwne sytuacje, ale klamka zapadła. Co sobie pomyśli, to pomyśli. A ponieważ to był Krystian, nietrudno się było domyśleć, jak odczyta ten przekaz.

Telefon znów wydał z siebie dwa krótkie piski.

„Mrrauu... A zatem w piątek po pracy u mnie?”.

Aż ciśnienie mi skoczyło. Nie mogłam przecież od razu się zgodzić. Poza tym odniosłam wrażenie, że to Krystian kontroluje tę sytuację. Od niego zawsze wychodziły propozycje co do czasu i miejsca spotkania. Z drugiej strony, bałam się stracić być może jedyną i niepowtarzalną okazję przekonania się na własne oczy, jak mieszka prezes firmy informatycznej, który wiele miesięcy temu, spiesząc się na spotkanie z naszym dyrektorem, potracił mnie i nawet nie przeprosił, a potem wkradł się w moje myśli. Podjęłam więc ryzyko.

„Zgoda. Wyślij mi swój adres”.

Nim się obejrzałam, byłam umówiona na spotkanie vel randkę z mężczyzną, który coraz mocniej mnie intrygował.

– Jaka ty dzisiaj elegancka! – pochwaliła mnie Agata, która niemal na starcie zauważyła moją nową sukienkę w kolorze pistacji.

– A wiesz, postanowiłam ubierać się bardziej elegancko – wybrnęłam, by nie zdradzić, że umówiłam się po pracy z przystojnym mężczyzną.

– No pewnie! Czasem potrzebna jest mała odmiana. Naprawdę, super wyglądasz!

– Dzięki. Mam nadzieję, że nie przesadziłam – zarumieniłam się.

Kiedy jechałam do Bombaj Masala, a następnie na szkolenie w firmie Indygo, nie mogłam doczekać się wyjścia z pracy. Tym razem było inaczej. Im bliżej godziny szesnastej, tym większe nachodziły mnie obawy. Po raz pierwszy w życiu jechałam do domu obcego faceta. Tłumaczyłam sobie, że przecież znamy się już tyle miesięcy i nie mam powodu, by nie ufać Krystianowi, lecz irracjonalny lęk był silniejszy od logicznych argumentów.



Kiedy nadeszła godzina zero, wyszłam z pracy i skierowałam się do autobusu, by za chwilę przesiąść się do metra w kierunku stacji Kabaty.

Ulicę, przy której mieszkał Krystian odnalazłam z pewnym trudem, ale w końcu stanęłam przed domofonem należącym do jednego ze strzeżonych osiedli. Wybrałam numer mieszkania, a po chwili usłyszałam zaprogramowany w automatycznym urządzeniu kobiecy głos, mówiący: „drzwi otwarte”.

Wjechałam windą na drugie piętro i odnalazłam właściwe drzwi. Nie zdążyłam zapukać, bo Krystian z niecierpliwością wyjrzał pierwszy.

– Witaj.

– Cześć – przywitałam się i weszłam do środka.

– Trafiłaś bez problemu? – spytał.

– Prawie – odpowiedziałam odrobinę speszona.

W przedpokoju zdjęłam botki i powiesiłam na wieszaku sweterek, spod którego ukazała się dopasowana, lekko pikowana sukienka.

Krystian miał na sobie przetarte džinsy i wypuszczoną na wierzch oliwkową koszulę w drobną kratkę. Był też gładko ogolony i zapewne świeżo po wizycie u fryzjera, bo jego ciemne włosy przystrzyżone były niezwykle starannie. Spoglądał na mnie z tajemniczym uśmiechem, po czym zaprowadził do dużego pokoju.

Błyszczące panele podłogowe, a także drewniane drzwi nadawały temu kameralnemu wnętrzu wygląd szykowny i elegancki. Zamiast zwykłego żyrandola – białe kwadratowe punkciki wmontowane w sufit, główna ściana wyłożona modnym kamieniem łupkowym, a na niej czarny telewizor z płaskim ekranem, natomiast pod spodem – moduł systemowy, a na nim wazon z gałązkami w kolorze kości słoniowej, mini wieża na USB oraz laptop z podłączeniem do telewizora. Płatanina kabli na podłodze zdradzała, że to mieszkanie należy do faceta. Naprzeciw telewizora stał biały skórzany narożnik, a przy nim szklany stolik z kilkoma egzemplarzami „Komputer Świat” na blacie, a obok dwa telefony komórkowe i pilot. Po lewej stronie na prostym regale zauważyłam pamiątki z podróży. Mój wzrok przykuła alabastrowa kostka do gry z rzeźbionymi czarno-czerwonymi oczkami.

– Bardzo ładna kostka. – Wzięłam do ręki gustowny drobiazg.

– Ach, to? Przywiozłem z Cypru. Ten kieliszek jest z Monako, a tamten gipsowy anioł z Grecji.

– Sporo podróżowałaś. Masz swoje ulubione miejsce?

– Zdecydowanie Cypr, a zwłaszcza Ayia Napa położona nad samym morzem. Jeśli kiedyś będziesz miała okazję się tam wybrać, polecam Limanaki Beach Hotel. Byłem tam trzy razy.

– Dzięki za podpowiedź. Na pewno się tam wybiorę – powiedziałam, odkładając kostkę z powrotem na miejsce.

– Skoro tak ci się spodobała, może kiedyś wspólnie nią zagramy...

W jego brązowych oczach pojawił się dobrze mi znany błysk, sugerujący coś niekoniecznie przyzwoitego, ale na szczęście zdążyłam przywyknąć do żartów Krystiana.

– Przejdźmy na chwilę do kuchni. Odgrzeję jedzenie i wrócimy tutaj.

Spore pomieszczenie w kolorze wenge mieściło srebrną lodówkę z podwójnym

uchwytem, kilka wiszących szafek z przydymionymi drzwiczkami otwieranymi do góry, a także indukcyjną kuchenkę wmontowaną w waniliowy blat. Mieszkanie Krystiana na pewno robiło spore wrażenie na gościach. Nad blatem wisały trzy doniczki z ziołami – mięta, bazylią i oregano. Dziwiło mnie, że taki facet ma czas na uprawę świeżych ziół, chyba że był to jedynie element dekoracyjny zastępowany nowym, gdy zawartość doniczek dokonywała żywota. Intensywny aromat wypełniał kuchnię. Na blacie stała również butelka oliwy z oliwek, z zatopioną wewnątrz gałązką rozmarynu.

Krystian przyznał, że kolację zamówił z restauracji.

– Wybacz, nie miałem czasu gotować. Ja tu praktycznie tylko sypiam, ewentualnie robię sobie home office. Zwykle jadam coś na mieście albo chodzę na obiad do firmowej stołówki – tłumaczył się, wyjmując z lodówki jedzenie do podgrzania.

Zerknęłam ukradkiem i zauważyłam, że była prawie pusta, nie licząc dwóch niedokończonych butelek alkoholu i pędów bambusa w zalewie octowej.

– Nie przejmuj się, rozumiem. Ja też nie mam czasu na gotowanie. W pracy mogę liczyć na świeżą dostawę gorących kubków prosto z naszego kiosku. Zdarza się, że wieczorem pichcimy coś z Natką, kiedy najdzie nas kulinarna wena.

– Dobrze, że macie czas na pichcenie. Ja cały czas poświęcam pracy.

– Musi być ciężko zarządzać dużą firmą.

– Wiesz, od tego mamy ludzi, ale wiadomo, że samemu trzeba wszystkiego pilnować. Spraw informatycznych, prawnych, księgowych. Najtrudniejsze jest ogarnięcie wszystkich tych dziedzin jednocześnie.

– Wyobrażam sobie.

Krystian skończył przygotowywać jedzenie, po czym wyłożył je na talerze.

– Zamówiłem kurczaka tikka masala z Moon Indian Flavours. Smakowało ci w poprzedniej restauracji, więc pomyślałem...

– Trafiłeś w dziesiątkę! Indyjska, włoska, arabska, japońska, chińska – to moje *top five* na liście ulubionych.

– A zatem jesteśmy dopasowani pod względem kulinarnym. Mam nadzieję, że w innych dziedzinach również – uśmiechnął się uwodzicielsko.

Usiedliśmy do stołu, który stał tuż pod oknem. Obiecałam sobie, że nie będę pić alkoholu, ale Krystian nalegał, więc dałam się namówić na czerwone wino do obiadu.

– Opowiadaj, jak tam zmiany w pracy.

– Cieszę się, że zmieniłam wydział. Wcześniej było mi ciężko. Przede wszystkim ze względu na zespół, z jakim miałam do czynienia.

– No cóż, trudno się dziwić. Przyszła młoda, ładna blondi i panie z wydziału zrobiły się zazdrosne.

– No, to jestem ciekawa, co powiedzą na nową brunetkę.

– To jest już jakaś nowa?

– Jeszcze będziesz miał okazję ją poznać. Zresztą, pracowała u nas jako stażystka.

– No, coś ty?! I dostała twoje stanowisko? Pewnie po znajomości.

– Pojęcia nie mam, ale wcale bym się nie dziwiła.

– Szkoda, że to już nie ty będziesz robić mi kawę, kiedy znów tam przyjdę...

Niebawem czeka mnie spotkanie z naczelnikiem i dyrektorem z racji nowego przetargu.

Orientujesz się, jakie firmy poza Indygo stają do konkursu?

– Nie mam już do czynienia ze sprawami wydziału teleinformatycznego. Może zapytasz Marinę.

– Nie ma potrzeby, to nieistotne. A jak długo zostaniesz w nowym wydziale?

– Nie wiem i szczerze mówiąc, jakoś nie mam ochoty rozmawiać o pracy, wybacz.

– Wbiłam wzrok w talerz.

– Jasne, rozumiem. No to wzniesmy toast, że dałaś się namówić na tę wizytę. – Sięgnął po kieliszek.

– Zdrowie gospodarza. – Podniosłam swój.

Stuknąwszy się kieliszkami, upiliśmy łyk wina, krzyżując spojrzenia, po czym przeszliśmy do luźniejszych tematów, takich jak podróże i studia. Modliłam się tylko, aby zbyt szybko nie zaczęło szumieć mi w głowie.

– Słuchaj, a może obejrzymy jakiś film dla relaksu? W sypialni mam jeszcze większy telewizor – zaproponował, gdy skończyliśmy jeść.

– Chętnie bym coś obejrzała, ale ten w salonie wygląda na wystarczająco duży – nie dałam się namówić.

– Jesteś pewna? Na łóżku całkiem przyjemnie się ogląda – zachęcał.

– Jestem. A może powinniśmy obejrzeć każde w swoim mieszkaniu?

– No, skoro tak stawiasz sprawę, usiądźmy jednak na kanapie.

Wzięłam resztę wina i postawiłam butelkę wraz z kieliszkami na mniejszym stoliku, zaś Krystian poszedł do kuchni po chipsy krewetkowe, za którym oboje przepadaliśmy.

– Na co masz ochotę? Komedia, sensacja, fantasy? – spytał, uruchamiając laptopa.

– Może być sensacja.

Zdziwiłam się, że pozwolił mi wybrać gatunek filmu, bo do tej pory czułam się jak turysta uzależniony od pilota wycieczki. Krystian zaproponował, żebyśmy obejrzeli *Mission Impossible – Ghost Protocol* z Tomem Cruise'em.

Usiedliśmy wygodnie na kanapie. W miarę rozwoju akcji zauważyłam, że wcale nie koncentrujemy się na śledzeniu fabuły. Czułam się skrępowana, siedząc tak blisko kogoś, kto działał na mnie jak substancja odurzająca. Krystian najwyraźniej odebrał wysyłane w jego stronę fluidy, gdyż raptownie mnie objął, a następnie zaczął bawić się suwakiem mojej sukienki, jeżdżąc to w górę, to znów w dół. Poczułam się dziwnie, więc delikatnie chwyciłam Krystiana za nadgarstek i ułożyłam jego dłoń z powrotem na moim prawym ramieniu. Film leciał dalej, ale straciłam wątek dobre pół godziny temu.

Po chwili nie wytrzymał i przyciągnął mnie do siebie.

– Chodź tu... – wyszeptał mi do ucha i pocałował w szyję, stopniowo kierując się w stronę dekoltu. Przymknęłam oczy i poczułam, że się rozplwam. Wydało mi się, że znajduję się w stanie nieważkości. Jak przyciągana magnesem odwróciłam się w jego stronę i zaczęliśmy się całować. Czułam nie tylko wilgoć jego języka, ale również świeżość wody kolońskiej, którą pachniała koszula Krystiana, miękka i przyjemna w dotyku.

– Proszę cię, olejmy ten film i chodźmy do sypialni... – wydyszał i spojrzał na mnie maślanym wzrokiem.

– Błagam, przestań, bo nie wytrzymam... – z trudem wydusiłam z siebie.

– Sama widzisz, jak na siebie działamy. Po co się powstrzymywać? – Całował mnie dalej.

Dosłownie ułamek sekundy dzielił mnie od wielkiego szaleństwa, które jednocześnie mogło okazać się przepustką do raju. Poczułam, że płonę, i już myślałam, że ulegnę, lecz dosłownie w ostatniej chwili przyszło otrzeźwienie.

– Nie mogę! – Odepchnęłam go.

Krystian był zszokowany, choć starał się to ukryć.

– Chyba nie dokończymy oglądać filmu. – Tylko to przyszło mi wtedy do głowy.

– Wiesz, że wcale nie chodzi o film – powiedział Krystian.

– Wiem. Dlatego myślę, że powinnam się już zbierać. – Staralam się unikać kontaktu wzrokowego.

Krystian zrozumiał, że to koniec wieczoru. Choć zdawał sobie sprawę z porażki, chciał jednak zachować twarz.

– Zamówić ci taksówkę? – zapytał. – Niestety, nie mogę cię odwieźć, bo oboje piliśmy.

– Dzięki, sama zadzwonię.

Oprzytomniałam i poderwałam się z kanapy. Kiedy podałam telefonistce adres, zapewniła, że za dziesięć minut przy bramie osiedlowej będzie na mnie czekał samochód.

Krystian podrapał się po głowie i zaczął sprzątać naczynia ze stołu. Przez chwilę w pokoju panowała krępująca cisza. Nie wiedziałam, czy jest zły z powodu porażki, czy może przeszedł nad tym do porządku dziennego i jutro już nie będzie pamiętał o zdarzeniu. Zauważyłam natomiast, że mnie ignoruje, wycofałam się więc na korytarz. Włożyłam buty i dyskretnie sprawdziłam godzinę na wyświetlaczu komórki. Krystian zdecydował w końcu mnie pożegnać.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał, błędząc wzrokiem po przedpokoju.

– Zobaczymy – dałam wymijającą odpowiedź.

– Kiedy? – ożywił się.

– Nie wiem, powiedziałam, że zobaczymy – ostudziłam jego entuzjazm.

Znów wyglądał na skołowanego.

– Widzę, że nie lubisz tracić czasu – powiedziałam w końcu.

– Nie lubię – przyznał.

– Czasami niektóre rzeczy są osiągalne dopiero, kiedy staniesz na drabinie.

– Ja zawsze mam wszystko pod ręką. Po co się wysilać? – rzucił bez troski.

– Chociażby po to, by móc docenić wartość tego, co udało się zyskać. Skoro nie pojmujesz, musisz się jeszcze wiele nauczyć – oznajmiłam.

– Może ty mnie tego nauczysz? – Zbliżył się do mnie.

– Może. Do zobaczenia. Na dole czeka moja taksówka.

Staliśmy naprzeciwko siebie, świadomi faktu, że nie da się zatrzymać czasu. W końcu Krystian zdobył się na szczerość.

– Posłuchaj, chciałem się z tobą przespać, bardzo mi się podobasz. Mam przeczucie, że jesteś w tym niezła. Jeśli cię obraziłem, wybaczone. Nie chciałem.

– Ty też mi się podobasz, nie przeczę. Ale ja nie umiem tak po prostu pójść z kimś

do łóżka – wyznałam.

– W takim razie mam pomysł. Skoro tak dobrze wychodzi nam pisanie ze sobą, może zaczniemy od tego?

– Dobry pomysł. – Uśmiechnęłam się.

– Super. – Patrzył mi głęboko w oczy.

– Zatem do zobaczenia za jakiś czas. – Pocałowałam go w policzek.

– Do zobaczenia – powiedział zadowolony z siebie.

Chwilę później siedziałam w taksówce i analizowałam dzisiejszy wieczór. Doszłam do wniosku, że Krystian jest w gruncie rzeczy samotnym mężczyzną, który nie do końca radzi sobie z emocjami. Cieszyłam się, że wyszłam z tej sytuacji zwycięsko. Mimo wszystko postanowiłam wysłać mu esemesa z podziękowaniem za wspólny wieczór. Sięgnęłam po telefon i dostrzegłam na wyświetlaczu kopertę. Nadawcą wiadomości był Krystian.

„Zniewolę cię kiedyś...”.

Zdałam sobie sprawę, że pewnych rzeczy nie da się zmienić od razu. On był niepoprawny do granic możliwości. Lecz może właśnie to sprawiało, że miałam ochotę zawrócić, zerwać mu z pleców koszulę i rzucić się na niego. Z tą kuszącą, acz nierealną wizją wysiadłam z taksówki i wróciłam do mieszkania, w którym czekała na mnie Natalia.

– Nie trać czasu na zdejmowanie butów. Opowiadaj! – zawołała niecierpliwie Natka.

Nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć. Działo się przecież wiele, a zarazem nic się nie wydarzyło. Zwięźle streściłam jej przebieg spotkania.

– Wydaje mi się, że on doskonale wie, co robi. I jest w tym dobry. Cały czas panował nad sytuacją. Od początku dążył do tego, żeby się ze mną przespać.

– Może nie jest jednak taki dobry?

– Nie w tym rzecz. Mało brakowało, a wylądowalibyśmy w łóżku. Ale coś kazało mi się powstrzymać. Po prostu nie mogłam tego zrobić z kimś, kogo ledwie znam.

– No wiesz, ja tam nie widzę żadnego problemu. Może gdybyś się z nim przespała, nie miałabyś teraz takich dylematów, tylko przeszłabyś nad tym do porządku dziennego.

– Widzę, że dla ciebie to nic takiego, ale ja dostrzegam w tym głębszy sens. Pewnie to naiwne, ale chciałabym, by mężczyzna najpierw mnie pokochał, a nie od razu ciągnął do sypialni.

– Czyli Krystian stracił już swoją szansę? – dopytywała.

– Tego bym nie powiedziała. – Uśmiechnęłam się. – Na pewno umówimy się jeszcze. Powiedział, że tym razem będzie grzeczny. Zrozumiał, że jestem wrażliwą osobą, a jego zachowanie było nie w porządku.

– Kurczę, naprawdę cię wzięło! Rzadko dajesz facetom drugą szansę, a tu proszę!

– Boję się tylko, że tym razem nie dam rady się powstrzymać. On za bardzo mi się podoba. W jego objęciach rozpływam się jak lód na słońcu. Jest przystojny, inteligentny i ma w sobie coś takiego, co sprawia, że trudno o nim zapomnieć. To nie jest typ narzucającego się faceta, który stoi pod oknem z bukietem kwiatów i wyśpiewuje serenady. Pod tym względem brak mu romantyzmu, ale to, o dziwo, jego zaleta.

– W jakim sensie?

– Chodzi o to, że emanuje od niego nieodgadnionym chłodem i dystansem. Sprawia wrażenie osoby, która nie musi się starać, aby osiągnąć cel. On po prostu zakłada, że coś dostanie i tak ma być. Kiedy coś idzie nie po jego myśli, udaje, że tak naprawdę wcale mu na tym nie zależało. Mówi tak dlatego, aby druga osoba sama podała mu na tacy to, czego pragnie. Wiesz, co mi powiedział na koniec naszego spotkania?

– Umieram z ciekawości! – Natka aż podskoczyła na kanapie.

– Powiedział, że i tak mnie zniewoli...

– Hmm... To mi pachnie jakąś perwersją...

– A mnie się wydaje, że chodziło mu po prostu o to, że prędzej czy później i tak wylądujemy w łóżku.

– Może to wcale nie jest taki zły pomysł? – Puściła do mnie oko.

– Myślę, że za jednym zamachem mogłabym trafić do piekła i raju – rozmarzyłam się.

Mimo iż upłynęło kilka tygodni, mnie cały czas towarzyszył obraz Krystiana i wspomnienie naszej randki. Teraz już wypadało nazwać tę rzecz po imieniu, zwłaszcza że pisaliśmy do siebie esemesy, których treść z każdym dniem stawała się coraz bardziej śmiała.

W pracy trudno było mi się na czymkolwiek skupić. Zdarzało mi się podstemplować pismo niewłaściwą pieczętką, ale na szczęście ani pani Renata, ani pan Włodek, ani tym bardziej dziewczyny, nie miały o to pretensji. Złapałam się na tym, że zamiast czytać pismo ze zrozumieniem, wodziłam wzrokiem po niezrozumiałych dla mnie literkach, jednocześnie dotykając dłonią szyi, którą całował Krystian. W końcu nabrałam pewności. Zaczęłam się w nim zakochiwać.

Nadeszło kolejne lato. W lipcu nasz korytarz świecił pustkami. Najkrótszy urlop trwał tydzień, najdłuższy zaś – co było marzeniem każdego – trzy tygodnie. Nie nadążałam z kserowaniem druczków urlopowych, a w duchu marzyłam o wakacjach.

– Uważam, że prawdziwy urlop powinien trwać minimum trzy tygodnie. Pierwszy tydzień na przystosowanie, drugi na wypoczynek, a trzeci na regenerację przed powrotem do pracy. – Agata z radością chwyciła długopis, żeby wypełnić swój wniosek urlopowy.

– Masz rację. Ech, zazdroszczę ci. Przy okazji, dokąd się wybierasz?

– Do Egiptu!

– Super! Zazdroszczę podwójnie!

– Tylko na tydzień – poklepała mnie po ramieniu.

– Dzięki, ulżyło mi – zażartowałam.

Agata zostawiła mi wniosek i pomknęła rozkoszować się myślą o urlopie. W końcu każdy dzień przybliżał ją do upragnionego nurkowania w Morzu Czerwonym.

Kilka minut później szefowa poprosiła mnie do swojego gabinetu.

– Karolina, mam dla ciebie zadanie specjalne – zagała.

Zabrzmiało intrygująco.

– Zamieniam się w słuch.

– Józefina wybiera się na urlop i poprosiła, abym znalazła kogoś na zastępstwo.

Pomyślałam o tobie. Zgadzasz się?

Mam zostać sekretarką dyrektora Terenowskiego? Postrachu wszystkich wydziałów? Ale nie mogłam przecież odmówić pani Renacie, która uratowała mnie przez bezrobociem.

– Oczywiście – powiedziałam.

– Świetnie! Zacznesz w przyszłym tygodniu. Józefina wszystko ci wyjaśni, a w razie jakichś problemów zwracaj się do mnie, dobrze?

– Jasne, pani Renato. Dam radę! – Uśmiechnęłam się.

Propozycję potraktowałam jako prawdziwe wyróżnienie. Pan Paweł nie przedłużył mi umowy, a tutaj trafił mi się niemal awans! Życie w budżetówce było coraz bardziej nieprzewidywalne, ale właśnie dzięki temu życie sekretarki nie było monotonne.

Od razu poszłam do Józefiny, aby dowiedzieć się, co mnie czeka przez najbliższe trzy tygodnie.

– W zasadzie nie będziesz miała dużo roboty. Tutaj jest dziennik podawczy, w którym rejestruję pocztę od Kingi, a następnie rozdaję ją sekretarkom poszczególnych wydziałów. Zasada jest taka, że dyrektor Malinowski dekretuje pisma na zastępcę, czyli dyrektora Terenowskiego, a ten rozdziela je dalej na naczelników, w zależności od tego, które pismo czego dotyczy. Tak wygląda obieg dokumentów. Wszystko rozumiesz?

– Chyba wszystko.

Józefina wyczuła mojej zdenerwowanie i starała się mnie pocieszyć.



– Nie martw się! Dyrektor nie jest taki groźny, jak go malują. Poza dokumentami najważniejsze, abyś codziennie rano stawiała mu na biurku filiżankę kawy i świeżą gazetę. Egzemplarz dostaniesz od Kingi. Poza tym dyrektor przynosi sobie do pracy lunch, który trzeba odgrzać w mikrofalach w naszej służbowej kuchni. No i zmywaj szklanki i filiżanki na bieżąco, bo zabraknie ci naczyń. Dyrektor miewa tylu gości, że nie nadążam z porządkami.

– Zapamiętam – powiedziałam trochę niepewnie.

Podeszłyśmy do ekspresu ciśnieniowego stojącego na jednej z szafek. Obok niego leżała taca z serwetkami, a wyżej wisiała szafka z porcelanowym serwisem. Całości dopełniała niewielka lodówka i szafka, gdzie Józefina trzymała cukier, kawę oraz herbatę. Cały ten kącik stanowił centrum dowodzenia sekretariatu.

– Oprócz tego będziesz zamawiała samochód dla dyrektora i łączyła go z naczelnikami. Karolina, nie martw się tak, poradysz sobie! Masz doświadczenie i jesteś bardzo ładna. Dyrektor na pewno cię polubi – dodawała mi animuszu niczym starsza siostra.

– Mam nadzieję, że sobie poradzę i utrzymam twój poziom.

Józefina wyjechała na wakacje do jednego z bałtyckich kurortów, a mnie czekały nowe obowiązki. Dyrektor różnił się od wiecznie zabieganego dyrektora Kingi. Terenowski był dystygowanym mężczyzną, który dbał o swój wizerunek i, jak wspomniała Józefina, każdy dzień zaczynał od przeglądu porannej prasy i filiżanki świeżo zmielonej kawy ze spienionym mlekiem.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziałam, otwierając jedną ręką drzwi od jego gabinetu, a w drugiej trzymając tacę.

– Dzień dobry, pani Karolino – odpowiedział, nie podnosząc się ze skórzanego fotela.

Jego gabinet był mniejszy od gabinetu dyrektora Malinowskiego, ale znacznie przytulniej urządzone. Przypominał raczej domowe zacisze niż miejsce spotkań interesantów. Mahoniowe biurko graniczyło ze stołem, przy którym zastępca dyrektora miał zwyczaj siadać i w towarzystwie gości lub naczelników debatować nad „sprawami wagi państwowej”.

– Proszę bardzo, oto kawa dla pana. – Delikatnie postawiłam spodeczek.

– Och, dziękuję. Wspaniale, pani Karolino, wspaniale – wychwalał mnie pod niebiosa – O! Przy okazji, to trzeba schować do lodówki. Potem poproszę panią o podgrzanie.

Dyrektor codziennie przynosił obiad w pojemniku, który przechowywałam w lodówce, a o godzinie czternastej wkładałam do mikrofal i gorące zanosłam szefowi na biurko.

Przez kilka pierwszych dni sądziłam, że bycie sekretarką zastępcy dyrektora jest czymś nobliwym. Niestety, błogie dni szybko zastąpiło poczucie siedzenia na bombie zegarowej. Dyrektor szybko przyzwyczał się do mnie i odsłonił swoje prawdziwe oblicze.

– Pani Karolino, proszę przekazać pani Renacie, że pół godziny temu miała dostarczyć mi raport. Jest spóźniona i jeżeli natychmiast go nie otrzymam, będzie pisała

kolejny, wyjaśniający, co się dzieje z poprzednim. I proszę dokładnie jej to powtórzyć, jasne? – polecił ostro.

– Oczywiście, panie dyrektorze – przytaknęłam dla świętego spokoju, choć wiedziałam, że nie przekażę tego Renacie, przynajmniej nie tymi słowami.

Doszłam do wniosku, że dyrektorowi Terenowskiemu przydałyby się warsztaty inteligencji emocjonalnej. Czy ja jestem sekretarką, czy jakąś piłeczką pingpongową?

Dziwnie się czułam, przekazując mojej przełożonej polecenie od jej przełożonego. To był dziwny układ. Jak z tymi szczurami w labiryncie, którym przyglądają się szaleni naukowcy.

– Pani Renato, dyrektor prosił o przekazanie, że miała mu pani dostarczyć ważny raport. Podobno jeszcze go nie otrzymał – starałam się wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

Moje słowa podziałały na Renatę jak płachta na byka. Wiedziałam, że nie jestem niczemu winna, niemniej jednak czułam się skonfundowana. Byłam pionkiem, którym ci dwoje posługiwali się po to, by sobie dogryzać.

– Niech on mnie nie denerwuje! Nagle mu się przypomniało! – krzyczała. – Powiedz, że zaraz do niego przyjdę!

Nie wiem, co działo się za zamkniętymi drzwiami, kiedy Renata rozmawiała z dyrektorem, ale po wyjściu nie kryła oburzenia. Nie wypadało mi drażnić szefowej pytaniami, co tak naprawdę się stało. Nie chciałam, aby odczuła, że jej autorytet został podważony przez dyrektora, co najgorsze – w obecności jej własnej sekretarki – więc uznałam temat za zakończony. Musiałam dbać o własne interesy, albowiem przede mną było jeszcze wiele trudnych dni.

Dyrektora Terenowskiego odwiedzał stały gość. Za każdym razem obsypywał mnie komplementami. Pan Iks – przewencyjnie tak go nazwijmy – przychodził zawsze w idealnie skrojonym garniturze i zawsze pod krawatem, w ogóle prezentował się niezwykle ele-gancko.

– Dzień dobry. O, widzę, że tu zaszły zmiany! Czyżby Józefina nagle odmłodziła? – przywitał mnie za pierwszym razem.

– Zastępuję Józefinę – wyjaśniłam krótko.

– Dyrektor mnie oczekuje. Może mnie pani zapowiedzieć?

– Oczywiście, proszę chwileczkę poczekać.

Dyskretnie wetknęłam głowę pomiędzy framugę a drzwi gabinetu dyrektora.

– Panie dyrektorze, przyszedł pan Iks.

– O! Wspaniale, pani Karolino! Niech wejdzie!

Otworzyłam obite skórą drzwi, a dyrektor Terenowski przywitał się z gościem jak ze swoim serdecznym kumplem.

– Pani Karolino, dwie kawki poprosimy. Tylko takie naprawdę dobre!

– Już się robi, panie dyrektorze.

W popłochu przekopałam szafkę w poszukiwaniu dwóch identycznych filiżanek i dopasowanych spodeczków, po czym wyjęłam mleko z lodówki. Zgodnie z instrukcją Józefiny najpierw miałam wlać jedną trzecią mleka, potem je spienić, a na koniec wcisnąć przycisk oznakowany dwoma ziarenkami, aby kawa zaczęła spływać do filiżanek, tworząc coś na kształt latte macchiato. Pech chciał, że spieniacz w ekspresie zamiast

wytworzyć puszystą chmurę mleka spowodował powstanie ogromnej ilości gorącej pary, która o mało mnie nie poparzyła. Spanikowana pobiegłam do Kingi.

– Coś się popsulo! A oni tam czekają na kawę! Błagam, ratuj! – miotałam się, z nerwów obgryzając paznokcie.

– Kurczę, Józefina nie powiedziała ci, że ten spieniacz jest popsuty?

– Nie, może zapomniała z tego wszystkiego?

– Pewnie tak... Nic się nie martw. Zrób kawę tutaj. Mój spieniacz działa bez zarzutu. W tamtym chyba zapchała się rurka. Dziwne, że Józefina do tej pory nie wezwała serwisu.

– Ratujesz mi życie – jęknęłam.

– Możesz zrobić kawę tutaj – zaproponowała.

W ten sposób Kinga uratowała mnie przed kompromitacją, a kawa smakowała obu panom.

Zdażyłam przywyknąć do ciągłych wizyt ulubionego gościa dyrektora Terenowskiego, który notorycznie w trakcie smakowania kawy z najlepszych ziaren pozbywał się gumy do żucia, nonszalancko przyklejając ją do brzegu talerzyka. Po każdej wizycie pan Iks zostawiał na stole filiżankę z zawartością, a na mnie spadał przykry obowiązek wyrzucenia jej do kosza. Ot, mały prezent na pożegnanie.

– Wpadłaś mu w oko. Lubi takie dziewczyny jak ty – trąciła mnie Kinga.

– Nie żartuj sobie – skrzywiłam się.

– Wiesz, że był tu kiedyś dyrektorem? Do czasu, aż wyszło na jaw, że handlował służbowymi nieruchomościami. Musiał ustąpić.

– Nie wierzę! Jakim cudem wciąż tu pracuje? I w dodatku na tak wysokim stanowisku?

– Wiesz, w tej instytucji, jeśli ktoś ma układy, to nawet za ciężkie przewinienie nie wyleci. Stwarza się wówczas sztuczny etat i delikwent siedzi cicho, więc rozgłos w prasie mu nie grozi. A jeszcze dostaje sowite wynagrodzenie!

– To nie do pomyślenia... Jednym słowem, kręć, a może dostaniesz awans...

– A co myślałaś? Zwykle ci, którzy robią przekręty, zostają później doradcami albo asystentami swoich wybawców. Poprzedniego Wielkiego Wodza Budżetówki, choć nie wiem, skąd ten przydomek, skoro był mocno niewyrośnięty, także zdjęli z funkcji za machlojki, a ponieważ nie mieli co z nim zrobić, został mianowany doradcą swojego następcy.

W sekretariacie dyrektora nauczyłam się jeszcze kilku innych ważnych rzeczy.

Dyrektorzy są jak roboty. Jakakolwiek próba nawiązania z nimi kontaktu na płaszczyźnie emocjonalnej przynosi odwrotny skutek. Trzeba z nimi rozmawiać, posługując się skrótowcami, w żadnym razie nie można tłumaczyć przed nimi swoich działań, lecz od razu zaproponować gotowe rozwiązanie problemu. Inaczej mogą wpaść w niekontrolowaną wściekłość.

Sekretarka musi wyprzedzać myśli swojego dyrektora. Wszystko chwytać w lot i o nic nie pytać. Nawet jeśli szef nieprecyzyjnie przekazuje polecenia.

Został jeszcze ponad tydzień do powrotu Józefiny. Czynności, które wykonywałam, czyli kawa – poczta – zmywanie naczyń – kawa – poczta, zataczały krąg w powtarzającym się rytmie dnia. Najtrudniejsze było tłumaczenie naczelnikom, że dyrektor nie może ich przyjąć. Jednym z najbardziej męczących podwładnych mojego tymczasowego szefa był pan Paweł. Nie zdołał ukryć zdumienia, kiedy usłyszał przez telefon mój głos.

– Dzień dobry, sekretariat dyrektora Terenowskiego, Karolina Lubczyk przy telefonie, w czym mogę pomóc? – wyrecytowałam formułkę, gdy zobaczyłam na wyświetlaczu numer mojego dawnego wydziału.

– Yyy, dzień dobry... Czy mogłaby mnie pani połączyć z dyrektorem?

– Chwileczkę.

Pan Paweł słuchał sobie melodyjki umilającej petentom czas oczekiwania, a ja rozmawiałam z dyrektorem.

– Panie dyrektorze, naczelnik Iważur prosi o połączenie. Czy mogę? – spytałam.

– Dobrze, niech pani łączy.

Przekazałam dobrą nowinę, po czym odłożyłam słuchawkę. Pod koniec dnia naczelnik, który był umówiony na spotkanie z dyrektorem, zjawił się w sekretariacie. Widząc mnie za biurkiem Józefiny, uzmysłowił sobie, że to dzieje się naprawdę. Mimo to nie pokusił się o pytanie, co ja tu robię.

– Dzień dobry, dyrektor u siebie? – zapytał lekko zmieszany.

– Tak, zaraz sprawdzę, czy pana przyjmie.

Uzmysłowiłam sobie, że role się odwróciły. Dawniej to pan Paweł wydawał mi rozkazy, jawiąc się jako osoba niezależna i decydująca o wszystkim, a teraz poniekąd to on był uzależniony ode mnie.

– Panie dyrektorze, przyszedł naczelnik Iważur – zakomunikowałam przez uchylone drzwi.

– Spóźnił się dziesięć minut, teraz już nie mam czasu. Proszę mu przekazać, że jutro go przyjmę.

Na szczęście pan Paweł, który sam wszystko słyszał, zwolnił mnie z obowiązku przekazania mu tej wieści.

– Świetnie, teraz będę czekał do następnego dnia. A mam kilka ważnych pism do akceptacji. – Rozłożył ręce.

Czułam, że dla nas obojga jest to niezręczna sytuacja.

– Jutro na pewno dyrektor pana przyjmie. Albo może pan zostawić u mnie te pisma, a ja przekażę je dyrektorowi.

– No, w sumie słusznie. Dziękuję, pani Karolino. – Uśmiechnął się i położył mi na biurku kilka niebieskich teczek.

Wiele podobnych incydentów, rodzących się z dyrektorskich kaprysów, zdarzało

się także z udziałem innych naczelników, ale schemat pozostawał ten sam.

Mimo że pracy merytorycznej było znacznie mniej niż u Renaty, tęskniłam za moim wydziałem, odliczając dni do powrotu Józefiny.

Któregoś dnia odebrałam z wydziału socjalnego bony okolicznościowe dla pracowników, uprawniające do korzystania z siłowni. Było to coś w stylu kart multisport, jakie w ramach nagród motywacyjnych przyznaje się w różnych korporacjach. Z racji tego, że liczba bonów była ograniczona, nie byłam pewna, jak należy je rozdzielić.

– Podpowiedziałybyś mi, co z tym zrobić? – znowu zwróciłam się do Kingi o pomoc.

Moja koleżanka wiedziała, jak trudna bywa praca na stanowisku sekretarki, więc zawsze służyła mi bezinteresowną pomocą.

– Józefina zawsze zostawia dwa bony dla naszych dyrektorów, a resztę zwykle rozdziela się pomiędzy pracowników. Roześlij mejla po wydziałach, że są bony do odebrania. Kto pierwszy się zgłosi, ten dostanie.

– OK, dzięki!

Tak też uczyniłam. Jeden bon dałam Kindze, drugi przechowałam dla dyrektora Terenowskiego, a resztę włożyłam do koperty i zamknęłam w szufladzie, w której przy okazji znalazłam zeszyt z pokwitowaniami odbioru bonów, od lat prowadzony przez Józefinę.

W piątek przed zamknięciem sekretariatu zebrałam swoje rzeczy, aby na powrót przenieść je do Renaty, rzuciłam okiem, czy wszystko jest na właściwym miejscu, i pozmywałam stertę naczyń, jaka została po naradzie. Podlałam też kwiaty w sekretariacie i w gabinecie dyrektora. Porządek był zarówno w papierach, jak i w całym pomieszczeniu. Na wszelki wypadek zostawiłam Józefinie kartkę z informacją, co trzeba załatwić po weekendzie.

W poniedziałek rano byłam już u Renaty, która ucieszyła się, że wróciłam. Po drodze spotkałam Anię, która zajmowała się pocztą podczas mojej nieobecności.

– Jak ci się tam siedziało? – spytała.

– W sumie nie najgorzej.

Weszłyśmy obie do naszego sekretariatu.

– I jak, dałaś radę wytrzymać? – dołączyła się również Renata.

– No pewnie, dyrektor jest specyficzny, ale starałam się nie wchodzić z nim w żadne konflikty.

– No, to najważniejsze. To w razie czego już wiemy, kto będzie zastępował Józefinę w sytuacjach awaryjnych – zażartowała.

– Oj, mimo to mam nadzieję, że nie będzie zbyt wielu sytuacji awaryjnych – roześmiałam się. – Wiecie co, pójdę przywitać się z Józefiną, może będzie coś chciała ode mnie.

Mówiąc to, pomknęłam wzdłuż korytarza do miejsca, w którym spędziłam ostatnie trzy tygodnie.

– Cześć! Co tam? Widzę, że się mocno opaliłaś! – zagadałam beztrósco.

Ku memu zdziwieniu Józefina, zamiast odpowiedzieć uśmiechem, odburknęła jakby wstała rano lewą nogą.

– No, nic dziwnego, w końcu byłam trzy tygodnie nad morzem. Udałam, że nie zwróciło to mojej uwagi.

– Nie da się ukryć. Wszystko jest właściwie na czysto. W razie czego zostawiłam ci kartkę, co i jak.

– Nie, nie mam żadnych pytań. Na razie muszę się tu ogarnąć, tak że zostaw mnie, bo nie mam teraz czasu.

– No dobrze... Jak chcesz – powiedziałam i wróciłam do siebie.

Zachowanie Józefiny nie dawało mi spokoju. Co zrobiłam nie tak? Może dyrektor coś na mnie nagadał? A może źle dbałam o kwiaty?

– Józefina dziś nie w sosie? – zagadnęłam Kingę, gdy odbierałam pocztę.

– Wściekła jak osa! Ale nie przejmuj się, ona tak zawsze po wakacjach.

– Ale dlaczego?

– Jest zła, że znowu musi przyjść do pracy.

– Dziwne, ale przynajmniej wiem, że to nic osobis-tego.

Po powrocie do siebie rejestrowałam pisma, do momentu, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo?

– Karolina, przyjdź do mnie na chwilę – usłyszałam głos Józefiny.

– Jasne, zaraz będę – odpowiedziałam.

Poczułam się niepewnie.

– No, jestem – zameldowałam się u niej.

– Wyjaśnij mi, dlaczego w szufladzie nie ma ani jednego bonu okolicznościowego? Zamurowało mnie.

– Jak to dlaczego? Rozdałam.

– Słucham? Bez konsultacji ze mną?

– Musiałam, bo mijał termin rozliczenia się z nich – broniłam się.

– No tak, ale trzeba było do mnie zadzwonić i zapytać, a nie rozdawać na lewo i prawo! Jestem oburzona!

– Nie mam w zwyczaju zawracać ludziom głowy na wakacjach. A skoro wiedziałaś, że to takie ważne, mogłaś mnie poinstruować przed urlopem. To samo dotyczy uszkodzonego spieniacza w ekspresie.

– Nie odwracaj kota ogonem, rozmawiamy o bonach. Poza tym ekspres działa bez zarzutu.

– Owszem, bo wezwałam serwisanta. Nie mogłam nadużywać uprzejmości Kingi. Właśnie z Kingą ustaliłyśmy, co należy zrobić. Jeden bon dla dyrektora Malinowskiego, drugi dla Terenowskiego, a reszta dla pracowników.

– Dyrektor Terenowski zawsze bierze ode mnie pięć karnetów! A teraz co?

– Dałam mu jeden i się nie skarżył.

– No pewnie, że tobie nic nie powie, bo jeszcze by się rozniosło! – wrzeszczała jak opętana. – Nie wiem, jak to zrobisz, ale musisz odzyskać cztery karnety na siłownię!

Miałam wrażenie, że rozmawiam z zupełnie obcą osobą. Złośliwości pani Meli i Soni wydawały się niczym w porównaniu z atakiem osoby, którą uważałam za swojego sprzymierzeńca.

– Dobrze – przerwałam jej. – Przejdę się po wydziałach i spytam, kto może zwrócić

karnet.

Wtedy spuściła z tonu.

– Wówczas sprawa będzie wyprostowana.

– Rozumiem, że nie masz więcej „ale”.

– Nie.

– To na razie.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam z godnością, ale na korytarzu poczułam napływające do oczu łzy. Przyspieszyłam, żeby jak najprędzej znaleźć się w zaciszu swojego sekretariatu. Usiadłam za biurkiem i rozkleiłam się doszczętnie. Pani Renata zapytała, co się stało, a ja opowiedziałam jej całe zajście. Spodziewałam się, że i ona wytknie mi niekompetencję, ale szefowa stanęła po mojej stronie.

– Zaraz z nią porozmawiam! Co ona sobie wyobraża! Doprowadzać ludzi do płaczu! – uniosła się.

– Nie, pani Renato, proszę to zostawić. Obiecałam Józefinie, że odzyskam brakujące bony. Nie ma sensu drażnić tego tematu.

– Jak uważasz, ale na drugi raz od razu skieruj ją do mnie.

– Dobrze, pani Renato.

Delikatnie osuszyłam oczy chusteczką, żeby nie rozmazać makijażu, i poszłam się rozeznac w sytuacji. Sekretarki poszczególnych wydziałów – z wyjątkiem Mariny, którą wolałam pominąć – okazały się pomocne. Dogadałyśmy się z kilkoma pracownikami, aby zwrócili część bonów i podzielili między sobą resztę tych, które zostały. Wróciłam do Józefiny.

– Proszę, oto cztery bony – powiedziałam oschle, kładąc je na biurku. – Możesz wykreślić z zeszytu podpisy tych, którzy je odebrali – wskazałam na-zwiska.

Józefina chyba nie wierzyła, że mi się uda, ale grała dalej.

– Super, dobrze się spisałaś – uśmiechnęła się, jednocześnie przeliczając odzyskane bony. – Słuchaj, Karolina, przepraszam za mój wybuch.

– Co takiego?

Skrucha Józefiny nie wzruszyła mnie ani trochę.

– No bo wiesz, ja tak czasami mam, że wpadam we wściekłość, ale zaraz mi przechodzi.

– To cię nie usprawiedliwia. Zastępowałam cię trzy tygodnie. Staralam się, zostawiłam po sobie porządek, a ty po powrocie zamiast mi podziękować, urządziłaś dziką awanturę, i to jeszcze z powodu błahostki! – Patrzyłam na nią z wyrzutem.

– Wybacz, spanikowałam. Kiedy wróciłam z urlopu, mimochodem spytałam szefa, jak się sprawowałaś, a on tak cię zachwalał, że poczułam się zagrożona – tłumaczyła się.

A więc tak wyglądał prawdziwy powód urządzenia tej sceny.

– Rozumiem, ale przecież wiadomo, że nie jestem w stanie ukraść ci stołka. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Musisz zrozumieć, że w ten sposób nakręcasz spiralę nienawiści.

– Wiem. Teraz już wiem, że jesteś w porządku. To się już nie powtórzy. Wybaczysz mi?

– Potrzebuję czasu, aby ochłonąć.

Nie mogłam, ot tak, przejść nad czymś takim do porządku dziennego.

– Józefina zachowała się jak sucz – podsumowała Kinga, która dowiedziała się od Renaty o całym zajściu.

– Masz rację. A potem próbowała zbagatelizować sprawę.

– To w jej stylu. Najpierw opieprza, a potem udaje, że nic się nie stało.

– Twierdziła, że zachowała się tak z zazdrości, bo dyrektor mnie polubił.

– No, coś w tym jest. Poczowała zagrożenie i zaatakowała. Wiesz, po tylu latach na jednym stanowisku, człowiekowi zaczyna odbijać szajba – podsumowała Kinga.

– Mam nadzieję, że tobie nigdy nie odbije – uśmiechnęłam się.

– Możesz być spokojna – odwzajemniła uśmiech.

Kolejny dzień w budżetówce dał mi nową lekcję życia. Przekonałam się, że Józefina jest fałszywą koleżanką, a Kinga, która wydawała się skryta i nieco chłodna, okazała się godna zaufania. Pokazała mi, jak działa cały ten system i na każdym kroku przypominała, że bym miała oczy i uszy otwarte. Zastanawiałam się, ile wilków w owczej skórze, pracujących w tej potężnej instytucji, spotkam jeszcze na swojej drodze? Miałam nadzieję, że już ani jednego.

W takich chwilach tęskniłam za Krystianem. Brakowało mi naszych rozmów albo przynajmniej ich namiastki w postaci gorących esemesów, które sobie wysyłał. Ostatnio było ich znacznie mniej, ponieważ Krystian pochłonięty był sprawą przetargu dotyczącego informatyzacji instytucji budżetowych, ja zaś robiłam wszystko, aby wywiązać się z zastępstwa u dyrektora Terenowskiego. Teraz, gdy firma Indygo wygrała przetarg, a ja wróciłam do sekretariatu Renaty, oboje odetchnęliśmy z ulgą. Postanowiłam zrobić pierwszy krok i wysłałam Krystianowi wiadomość.

„Hej:) Co u ciebie słyhać? Chyba najwyższy czas odsapnąć nieco od pracy i wyskoczyć gdzieś. P”.

Tego samego dnia dostałam odpowiedź:

„Zapraszam do siebie:)”.

Znow ta cholerna pewność siebie, pomyślałam. Wiedziałam jednak, że ulegnę jak zawsze.

„Obejrzymy jakiś film?”.

„Zaczniemy, ale nie jestem pewien, czy dotrzymy do końca;)”.

Jego arogancja sprawiała, że podnosił mi się poziom adrenaliny, po czym chciałam jeszcze więcej.

„Dlaczego? Czyżbyś obawiał się, że zaśniesz?”.

„Raczej zamierzałem leżeć na tobie, więc nie sądzę, że bym patrzył wtedy w telewizor”.

„Błagam cię, przestań, bo nie przyjdę”.

„Żartowałem:)”.

„Uff... Wiesz, że jesteś jak narkotyk?;)”.

„Wiem;)”.

W ten sposób umówiliśmy się na spotkanie w następnym tygodniu.



W pracy jak zwykle panował galimatias. Rano spieszyłam się, by zarejestrować w kancelarii pocztę wychodzącą, a pod koniec dnia dostawałam kolejną partię, która trafiała do mnie jak zwykle w ostatniej chwili. Idąc korytarzem, zauważyłam Józefinę stojącą przy ogólnodostępnym ksero. Od czasu incydentu z bonami prawie nie rozmawiałyśmy. Jedyne, co nas obligowało, to wymiana poczty, poza tym żadnych prywatnych pogawędek.

– Cześć – odezwała się pierwsza.

– Cześć – przywitałam się, zwalniając kroku.

– Mam dla ciebie trochę poczty od dyrektora. Wpadnij, to przy okazji poplotkujemy jak za dawnych czasów.

Kiedyś przy okazji odbierania poczty od Józefiny zawsze dowiadywałam się ciekawych rzeczy o naszej instytucji, ale tym razem duma przewyciężyła ciekawość.

– Odbiorę pocztę w drodze powrotnej – powiedziałam z dystansem.

Zgodnie z obietnicą, wracając z kancelarii, wstąpiłam do sekretariatu Józefiny. Siedziała za biurkiem, marszcząc przed podręcznym lusterkiem świeżo pociągnięte błyszczkiem usta. Na otwartym dzienniku podawczym leżało kilka kosmetyków, w tym tusz do rzęs, prasowany puder, czekoladowy cień do powiek oraz perłowy lakier do paznokci. Stałam w progu i czekałam, aż Józefina zwrócona w kierunku okna skończy poprawiać makijaż, lecz ta, gdy tylko dostrzegła moją obecność, obróciła się na fotelu i zaczęła na powrót chować rzeczy do kosmetyczki.

– Och, Karolina, jesteś! – przywitała mnie z przesadnym entuzjazmem. – Od jakiegoś czasu robię podchody w twoją stronę, ale zawsze uciekasz. Nadal gniewasz się o tamto?

Nie wiedziałam, jak to odebrać. Nie byłam typem osoby, która długo chowa urazę, ale gdy ktoś mnie zranił, ciężko mi było ponownie obdarzyć go zaufaniem.

– Gniewać to się mogą na siebie dzieci w przedszkolu, a ja po prostu wolę unikać ludzi, na których się zawiodłam. Inaczej nie potrafię, przykro mi.

– Słuchaj, ja szczerze żałuję tego, jak cię potraktowałam. Myślałam, że w końcu mi wybaczysz.

Patrzyłam na nią i nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Karolina, jeszcze raz cię przepraszam – powtórzyła.

W końcu stwierdziłam, że nie ma sensu dalej tego ciągnąć, poza tym sama też źle się czułam w tej sytuacji.

– Już w porządku. Zapomnijmy o wszystkim – dałam się przekonać.

– Tak się cieszę! – Józefina przytuliła mnie tak, jakby zażegnała waśń z rodzoną córką.

– Masz dla mnie jakieś ploteczki? Nie ukrywam, że dawno nie słyszałam żadnych nowinek. – Szybko zmieniałam temat.

Józefina zerknęła w stronę pokoju przełożonego, a następnie nachyliła się do mnie.

– Całkiem prawdopodobne, że poleci głowa mojego szefa – powiedziała szeptem.

– Terenowskiego? – nieomal krzyknęłam, a Józefina zatkała mi usta na znak, że dyrektor jest u siebie.

– Kinga mówiła, że dyrektor Malinowski odkrył aferę korupcyjną. Co więcej, zamieszany jest w to jeden z naszych wydziałów. Nie zgadniesz, który.

– Mów szybko!

Józefina zrobiła teatralną pauzę.

– Teleinformatyczny, kochana. Twój były naczelnik ma poważne kłopoty.

– Pan Paweł? – zdumiałam się.

– Tak, właśnie on. Ale ty nic nie wiesz, bo mi głowę urwą. Możemy o tym rozmawiać tylko z Kingą.

– Przecież niedługo się rozniesie, jak wszystko w tej instytucji.

– No tak, ale lepiej, żeby osoby postronne nie dowiedziały się od nas. Wiesz, co się mówi na temat sekretarek. Same plotkary.

– No, trudno się dziwić. – Uśmiechnęłam się z przekąsem.

Poszłam do Kingi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Akurat nie ma mojego dyrektora, więc mogę swobodnie rozmawiać, ale jeśli ktoś przyjdzie, kończymy temat, dobrze?

– No jasne, opowiadaj.

– Jakiś czas temu naczelnik twojego dawnego wydziału zorganizował spotkanie przetargowe związane z zakupem nowych komputerów, telefonów, czytników i różnych usług teleinformatycznych, jak choćby nasz cudowny helpdesk. Kilka koncernów stanęło do konkursu, proponując różne ceny, po czym okazało się, że CBA wykryło aferę korupcyjną.

– Poważnie? – spytałam z niedowierzaniem.

– I teraz uważaj. Ponoć właściciel firmy, która wygrała przetarg, wręczył komisji przetargowej łapówkę w zamian za to, żeby to od nich zakupione zostały te wszystkie usługi. W komisji zasiadali naczelnik Iważur i dyrektor Terenowski.

– A co z głównym dyrektorem? Jak to możliwe, że nic o tym nie wiedział?

– Jakby to delikatnie ująć... mój szef jest od zatwierdzania papierków. Nie podpisze niczego, do czego nie ma przyklejonej karteczki. To, że nie zauważył nieprawidłowości, w ogóle mnie nie dziwi. Ale najbardziej dostanie się tej trójce, czyli Pawłowi, szefowi Józefiny i prezesowi firmy. Zaczną się przesłuchania, a może nawet zostaną zatrzymani.

– Zaraz, zaraz! Chodzi o firmę Indygo?

– Dokładnie. Widzę, że byłaś obeznana w sprawach Pawła.

Zrobiło mi się słabo. Krystian Milewski okazał się łapówkarzem zamieszany w aferę korupcyjną i najprawdopodobniej trafi do aresztu!

– Brednie! Na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie...

– Karolina, co ty? Opanuj się! Czym się przejmujesz? Nie pracujesz już dla Pawła.

Kinga myślała, że przejęłam się ze strachu o własną skórę. Dlatego, że byłam sekretarką naczelnika, a plany związane z przetargiem ruszyły jeszcze za mojej kadencji.

Nie chciałam jej wtajemniczać, więc wymówiłam się, że muszę już wracać do Renaty.

– Pamiętaj, to jest wyłącznie do twojej wiadomości. Żebyś się dowartościowała po tym, jak potraktował cię naczelnik. Teraz ma za swoje! – Kinga udała, że uderza pięścią w stół.

– Tak, wiem. Nikomu ani słowa – obiecałam.

Miałam wrażenie, że zaraz rozpadnę się na tysiąc kawałków. Kiedy usiadłam za swoim biurkiem, zeszło ze mnie całe powietrze. Krystian, do którego czułam miętę, okazał się oszustem. Krystianowi, u którego byłam w mieszkaniu, z którym się całowałam i z którym o mały włos nie poszłam do łóżka, postawiono zarzut przestępstwa. Krystian Milewski, prezes firmy Indygo, któremu parzyłam kawę w trakcie biznesowych pertraktacji, wręczał koperty pod stołem. Siedziałam z miną zbitego psa, analizując w kółko to samo.

– Karolina, wszystko w porządku? – spytała pani Renata, która natychmiast zauważyła, że coś mnie dręczy.

– Pani Renato... Czy mogłabym dzisiaj wcześniej wyjść z pracy? Bardzo źle się czuję – poprosiłam.

– Oczywiście, poproś tylko Anię albo Agatę, żeby cię zastąpiły na te ostatnie dwie godziny i leć do domu.

– Dziękuję i przepraszam – powiedziałam i złapałam się za brzuch, choć tak naprawdę bolało mnie zupełnie gdzie indziej.

Zorganizowałam zastępstwo, złapałam torebkę i pobiegłam w stronę wyjścia. Byłam załamana i kompletnie rozbita. Pragnęłam, aby ten dzień wreszcie się skończył.

MIEJSCE, Z KTÓREGO NIE MA UCIECZKI

– Karola, wstawaj, już po szóstej – trącała mnie Natka.

– Nie ma mowy, nigdzie nie idę – wymamrotałam.

– Wiem, że źle się czujesz, ale po co ci nieprzyjemności w pracy z powodu spóźnienia? A ostrzegałam, żebyś nie poprawiała wina wódką.

Dobiegający mnie głos Natalii w zestawieniu z uporczywym bólem głowy brzmiał jak nieprzyjemny jazgot.

– Mam już dosyć tego zakłamanego miejsca. Nie chcę tam iść – szlochałam, chowając głowę w poduszcze.

– Posłuchaj, wiem, że ci ciężko. Sama niedawno przechodziłam podobny kryzys z Afrimem, ale musisz się wziąć w garść. Ten facet nie zasłużył na twoje łzy.

W końcu nakłoniła mnie do wstania z łóżka i pójścia do łazienki.

– Nie potrafię tego zrozumieć – jęczałam.

– Mnie też szczęka opadła. Ciekawe, ile dostanie za ten przekręt.

– Proszę cię, nie strasz mnie. Nie chcę, żeby poszedł do więzienia.

– No jasne, skoro się w nim zakochałaś. Ale spójrz prawdzie w oczy. Jest przestępcą.

– Nie mów tak! Może to się wyjaśni. – Nerwowo obgryzałam paznokcie, łudząc się, że w pracy dowiem czegoś więcej.

W biurze aż huczało od plotek. W rankingu korytarzowych rozmów afery korupcyjna była na pierwszym miejscu. Nie było osoby, która nie wiedziałaaby, o czym mowa. Każdy, począwszy od pań sprzątających, a kończąc na pracownikach wyższego szczebla, żywo interesował się tą sprawą. W murach budżetówki kipiało od emocji – obaw, niepewności, strachu, niezdrowej ekscytacji i zwykłej ciekawości.

– Widzę, że nasza skromna budżetówka pretenduje do miana korporacji. To tam zwykle dochodzi do afer łapówkarskich, a tu proszę! I do nas dotarły! – emocjonowała się pracownica wydziału finansowego.

– No właśnie. Dyrektor chciał się nachapać za nasz budżet, ale w końcu się doigrał i spadł ze stołka! – wtórowała jej koleżanka z biurka obok.

W kancelarii również usłyszałam podobną informację i tym razem włączyłam się do dyskusji.

– Czy to oznacza, że dyrektor Terenowski straci stanowisko? – spytałam.

– Słodziutka, w weekend przyszli po niego do domu! – zawołała kobieta z kancelarii.

Udałam się do Józefiny, z którą nie miałam jeszcze okazji tego dnia rozmawiać.

– Właśnie się dowiedziałam.

– No, spodziewałam się tego, odkąd ta afery wyszła na jaw.

– Dlatego jesteś taka spokojna?

– Przynajmniej nie muszę z samego rana parzyć tej cholernej kawy – powiedziała

z szerokim uśmiechem. – Przez jakiś czas będę tu pracować bez dyrektora, aż w końcu dadzą kogoś na jego miejsce. Oby nie jakiegoś buraka jak ten, który kazał mi gnać z tacą po schodach, bo zażył sobie kawy w pokoju kolegi piętro wyżej.

– Miejmy nadzieję, że trafi się ktoś uczciwy – dodałam, wzdrygając się na wspomnienie Krystiana.

– A wiesz, że naczelnik Iważur również został aresztowany.

– Poważnie?

Zmartwiłam się, gdyż kolejne doniesienia coraz dobitniej świadczyły o tym, że Krystian mógł podzielić los swoich współników.

Wiedziałam, że jedyną osobą z dawnego wydziału, z którą mogłam bezpiecznie o tym rozmawiać, jest Irmina. Bądź co bądź jej także – jako podwładnej pana Pawła zamieszanego w cały ten przekręt – sprawa dotyczyła.

Weszłam na piętro i zza lekko uchylonych drzwi do pokoju Filipa dobiegły do mnie podniesione głosy.

– Jesteśmy w czarnej dupie! Paweł siedzi w areszcie, a wydział ma się rozsypać? Ciekawe, kiedy i kogo Malinowski powoła na nowego naczelnika. W razie czego jestem gotów zastąpić Pawła w każdej chwili – mówił najprawdopodobniej do Barbary lub Marka.

W końcu dotarłam do właściwego pokoju, przywitałam się z Irminą i siedzącym tuż obok panem Staśkiem.

– Pewnie już wiesz? – wypaliła Irmina.

– Tak. – Zagryzłam wargi.

– No jasne, wszyscy w biurze wiedzą – powiedziała ze spuszczonym wzrokiem, jak gdyby wstydziła się za swojego szefa.

– Masz ochotę zapalić?

– Byłam jakieś dziesięć minut temu, ale czuję, że dzisiaj wypalę całą paczkę.

W palarni Irmina opowiedziała mi, na czym polega mechanizm działania afery korupcyjnej.

Dowiedziałam się, że instytucja budżetowa, która planuje zakup sprzętu informatycznego z określonymi parametrami, ogłasza w tym celu przetarg. Do konkursu przystępują różne firmy, z których każda proponuje określoną cenę za jednostkę komputerową. Z założenia wygrywa ta, która zaoferuje najniższą cenę. Jednak firma, która za wszelką cenę chce pozbyć się komputerów, oferuje łapówkę w zamian za wygraną przetargu. Zawiązuje się nieformalna umowa między prezesem firmy a przedstawicielem instytucji budżetowej. W trakcie spotkania przetargowego szef firmy informatycznej przekonuje językiem pieniędzy naczelnika wydziału, aby ten wpłynął na decyzję zastępcy dyrektora w kwestii wyboru firmy, chociaż konkurencja oferuje korzystniejsze ceny. Pozostaje jeszcze uzyskać akceptację dyrektora głównego, który, nieświadomy sytuacji, bezwiednie stawia podpisy na dokumentach. Oficjalnie przetarg wygrywa ta firma, z którą wcześniej dogadał się naczelnik. Wśród pracowników danego wydziału rodzi się podejrzenie, dlaczego naczelnik wybrał firmę oferującą sprzęt po zawyżonych cenach.

– Jakim cudem dyrektor Malinowski nie zauważył nic podejrzanego? – spytałam

Irminę.

– Bo jest wymiśkowany z rozumu – podsumowała moja koleżanka.

– Ach, teraz już wiem, dlaczego Kinga, zaznaczając w dokumentach miejsca, w których ma on postawić parafkę, zawsze mówi, że przykleja karteczki dla idiotów.

Po raz wtóry uświadomiłam sobie, że relacje między szefami budżetówki przypominały rodzinne koligacje sycylijskiej mafii. W każdej mogła znaleźć się czarna owca lub ktoś, kto chciał łatwo i szybko się wzbogacić. Ponieważ rodzina jest najważniejsza, a ręka rękę myje, ci, którzy trzymali się razem, kryli nawzajem swoje machlojki. Jeszcze rok temu, kiedy jechałam po raz pierwszy do pracy, do głowy mi nie przyszło, że otworzy się korupcyjna puszką Pandory.

Po powrocie do sekretariatu zaczęłam szukać informacji o aferze w serwisach internetowych. Zasiadłam do komputera i wpisałam w Google: Afera korupcyjna Indygo. Ku memu rozczarowaniu, nadzieje na niewinność Krystiana okazały się płonne, ponieważ już na pierwszej stronie wyskoczyła spora liczba artykułów, a ich tytuły były wstrząsające. *Kompromitacja w branży IT, Wielka afera korupcyjna w przemyśle informatycznym, Firma Indygo oskarżona o korupcję, Prezes Indygo korumpuje instytucje publiczne, CBA ujawnia łapówki przyjęte przez instytucję publiczną* – wertowałam nagłówki, a następnie kliknęłam w jeden z nich, aby poznać szczegóły:

„Prokuratura Apelacyjna razem z Centralnym Biurem Antykorupcyjnym prowadzi śledztwo dotyczące korupcji przy przetargach oraz prania pieniędzy pochodzących z łapówki. Wspólnie ustalono, że wydział odpowiedzialny za najważniejsze programy e-administracji ustawił przetarg w zamian za łapówkę, której wartość szacowana jest na ponad dwieście tysięcy złotych. Wśród zatrzymanych jest przedstawiciel firmy informatycznej i osoby pełniące funkcje publiczne. Krystian M. – prezes firmy Indygo – został tymczasowo aresztowany i grozi mu do pięciu lat więzienia. W zamian za łapówkę miał dostać kontrakt na współpracę z administracją publiczną przy jej cyfryzacji. Zatrzymano również dwóch urzędników pełniących funkcje publiczne, Pawła I. – naczelnika Wydziału Teleinformatycznego, oraz Tadeusza T. – zastępcę dyrektora Biura Audytu, Planowania i Realizacji Zamówień Publicznych Centralnej Komórki Organizacyjnej. Obaj mężczyźni usłyszeli zarzuty związane ze sprawstwem kierowniczym, które dotyczą przekroczenia uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej i grozi im również do pięciu lat pozbawienia wolności. CBA bada teraz sprawy przetargów z poprzednich lat, aby ustalić, czy podobne procedury miały już wcześniej miejsce. Według CBA nie tylko Indygo korumpowała urzędników. W innych firmach wykryto istniejące specjalne fundusze na łapówki, które tworzone, wystawiając zawyżone faktury, a następnie odbierając z powrotem część pieniędzy”.

Dotarło do mnie, że Krystian naprawdę był winny. I nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

– Co czytasz? – Pani Renata zajrzała mi przez ramię. – Ach, temat dnia!

– Kto by się spodziewał, że w naszej budżetówce wybuchnie taka afera! – wtrąciła Agata, która niemal bez przerwy kręciła się po sekretariacie, szukając jakichś druczków w szafie.

– Oni naprawdę trafią do więzienia? Zostali tymczasowo zatrzymani – szukałam

odpowiedzi, cały czas mając na uwadze Krystiana.

– A któż to wie? Na szczęście nas to bezpośrednio nie dotyczy – skwitowała pani Renata.

– To prawda – przytaknęłam, lecz w duchu myślałam swoje.

Choć Krystian nie zasługiwał na moje współczucie, martwiłam się o niego. Ponura wizja, że siedzi w jakiejś ciemnej celi, zamiast w swoim przytulnym mieszkaniu, coraz bardziej mnie dołowała. Postąpił źle, ale targały mną żal i tęsknota. Choć ryzyko było ogromne, postanowiłam się z nim skontaktować.



Między ósmą a szesnastą snułam się po biurze niczym zjawą w transie, wykonując swoje codzienne obowiązki. W dzień karmiłam się obrazami z przeszłości, które składały się z zaledwie kilku spotkań. Leżąc w łóżku, utrwalłam w pamięci każdy szczegół, jak choćby kolor oczu Krystiana, delikatny zarost pod nosem, nuty zapachowe jego wody kolońskiej czy nawet materiał koszuli, którą miał na sobie ostatniego wieczoru. Niestety, szybko przychodziło otrzeźwienie i przypominałam sobie, że omal nie poszłam do łóżka z oszustem. Błogie wspomnienia odchodziły w cień, jakby ktoś regularnie oblewał mnie zimnym prysznicem, a w ich miejsce pojawiały się łzy bezradności. Wiele nocy przepłakałam, zanim zrozumiałam, kim w rzeczywistości jest Krystian. Pocieszeniem były nasze esemesy utrwalone w pamięci mojego telefonu komórkowego.

„Cześć. Chciałam podziękować za spotkanie, chociaż wiem, że nie przebiegło zgodnie z twoim scenariuszem. Przy okazji, czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego właściwie chciałeś się ze mną przespać?”

„Cześć. Miło, że napisałaś. Faktycznie trochę inaczej je sobie wyobrażałem, ale nie było tak źle:) A chciałem z najprostszego powodu na świecie. Podobasz mi się”

„Dzięki za szczerość. Doceniam to. Nie ukrywam, że ty mnie również...:)”

„Jeśli będziesz mieć chwilę słabości, wiesz, gdzie mieszkam;) A może wpadniesz do mnie na noc...?”

„Wiedzę, że niepotrzebnie się odezwałam”

„Nie panikuj:) Nic ci nie grozi, obejrzymy sobie jakiś film:)”

„Jeśli tak ci zależy, to możemy pójść do pubu, w którym jest telewizor;)”

„Hmm... No dobrze, pomyślimy”

„I taka postawa mi się podoba”

„Widzisz. Potrafię być grzeczny”

„Przyznaję, czasami potrafisz. Idę do łóżka. Tylko bez kolejnych podtekstów”

„A już myślałem, że mnie zapraszasz;) A mogę chociaż liczyć na wirtualnego buziaka?”

„W policzek dostaniesz nawet dwa:)”

„Zamienię je na jeden prawdziwy;)”

„Zgoda:)”

„Serio?”

„No tak, w końcu to tylko na niby. A więc:\*\*\*”

„Pa, zalotnico. Do następnego:\*\*\*”

Później było ich coraz więcej, a z każdym kolejnym nasza więź się umacniała. Teraz czytałam je wciąż od nowa, jakby były mostem łączącym brzeg mojego kawałka przestrzeni z niedostępnym światem Krystiana.

Dni mijały, a ja nadal nie miałam żadnych wieści. W tygodniu starałam się skupić na pracy, a weekendy spędzałam u niczego nieświadomych rodziców albo na zakupach

w centrum handlowym, gdzie kupowałyśmy z Natką zapasy żywności na kolejne dni.

Stałam w korku w drodze do pracy, skazana na słuchanie muzyki w radiu kierowcy i osobliwych dźwięków wydobywających się ze słuchawek długowłosego nastolatka w wojskowej kurtce i glanach, i czułam się jak uwięziona w puszcze sardynka. Nastawiłam więc własną muzykę z telefonu, ale wszystkie kawałki i tak kojarzyły mi się z Krystianem.

Żyłam tylko dla piątkowych wieczorów, kiedy mogłam bezkarnie opróżnić butelkę czerwonego wina i obudzić się następnego ranka, wiedząc, że nikt z wyjątkiem Natalii nie zobaczy mych podkrążonych oczu. Któregoś razu naszło mnie, żeby włączyć *Jagodową miłość*, film Wonga Kar-Waia, prostą historię dziewczyny ze złamanym sercem, z muzyką Nory Jones, piosenkarki jazzowej i zarazem odtwórczyni głównej roli. Oglądając scenę, gdy Jude Law, czyli właściciel kawiarni Klucz, zdejmuje z ust Elizabeth resztkę waniliowych lodów, aby ją pocałować, zapragnęłam znaleźć się na białym skórzanym narożniku Krystiana i przeżyć to samo.

Kilkakrotnie usiłowałam skontaktować się z Krystianem, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. To oczywiście, że w celi nie można korzystać z telefonów komórkowych. Wiele wieczorów spędziłam na rozmyślaniu o tym, kiedy będziemy mogli porozmawiać. W końcu za którymś razem doczekałam się sygnału połączenia. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy czekałam, aż po drugiej stronie słuchawki odezwie się znajomy głos.

– Cześć. To ja, Karolina – przywitałam się drżącym głosem. – Od dawna próbuję się z tobą skontaktować. Znam całą sprawę.

– Nie powinnaś dzwonić – powiedział Krystian. – Jeśli CBA odkryje, że się ze mną kontaktujesz, wezmą cię na świadka.

– Musiałam cię usłyszeć. Wypuścili cię już?

– To chyba oczywiście, skoro ze mną rozmawiasz. Póki co czekam na decyzję sądu.

– Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś? Jak mogłeś porwać się na coś tak ryzykownego i przede wszystkim... niezgodnego z prawem? – zapytałam.

– Daruj sobie te wyrzuty i więcej do mnie nie dzwoń – warknął.

– Jak możesz? Nie wykazujesz ani odrobiny skruchy!

– Daj spokój. Nie chciałaś się ze mną przespać, to nie zawracaj mi teraz głowy. Nie mam czasu na takie rozmowy.

– Bujaj się! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia! – Rozłączyłam się i cisnęłam komórką o tapczan.

Zalałam się łzami. Muszę zapomnieć o Krystianie. Nikt mnie nigdy tak nie upokorzył; zachowanie pana Pawła, pani Melanii i Soni, którzy zgotowali mi „ekstra” pożegnanie, wydawało się przy tym błahostką.

Zdałam sobie sprawę z tego, że lubimy karmić się złudzeniami. A tymczasem ludzie w rzeczywistości są zupełnie inni niż ci sami ludzie z naszych wyobrażeń. Często ci, z którymi usiłujemy się zaprzyjaźnić, nie zasługują na nasze względy. Tworzymy w głowach własny świat z udziałem osób, na których nam zależy. Przypomina to sen, po którym przychodzi brutalne przebudzenie. Wynosimy innych na piedestał, a kiedy pluja nam w twarz, udajemy, że deszcze pada, tak bardzo przywiązaliśmy się do naszych

fantazji. W ich towarzystwie czujemy się kimś naprawdę wyjątkowym, nie chcemy tego stracić. Przy Krystianie czułam się lepsza, bardziej atrakcyjna i interesująca. Okazało się, że żyłam w ułudzie i teraz musiałam się na nowo pozbierać. Nie wiedziałam, ile czasu zajmie mi odwyk, ale jednego byłam pewna: muszę za wszelką cenę wydostać się z pułapki tego irracjonalnego odurzenia.

Otrzeźwienie nastąpiło, gdy dostałam awizo. Nie spodziewałam się żadnej przesyłki, więc poczułam niepokój. Po pracy poszłam na pocztę, aby odebrać list i okazało się, że nadawcą jest Centralne Biuro Antykorupcyjne. Otrzymałam wezwanie do siedziby CBA. Obok sygnatury widniało moje nazwisko oraz termin, w którym miałam się stawić.

„Wzywa się Panią do osobistego stawiennictwa w siedzibie Centralnego Biura Antykorupcyjnego jako świadka w sprawie Ap. V Ds. XX/12 prowadzonej o przestępstwa z art. 229 kk. Wezwana osoba winna posiadać dowód osobisty lub inny aktualny dokument potwierdzający tożsamość. Stawiennictwo jest obowiązkowe. Pouczenie: świadek winien stawić się w miejscu, dniu i godzinie wskazanych w wezwaniu. Na świadka, który bez usprawiedliwienia nie stawi się na wezwanie organu prowadzącego postępowanie albo bez zezwolenia oddali się z miejsca czynności przed jej zakończeniem, może zostać nałożona kara pieniężna. Ponadto można zarządzić przymusowe doprowadzenie świadka”, przeczytałam.

Nogi ugięły się pod mną, aż musiałam uspić strach piwem z osiedlowego sklepiku. Czego ode mnie chcieli? Może stałam się jedną z podejrzanych, bo dowiedzieli się, że kontaktowałam się z Krystianem?

W pracy wstydziłam się przyznać, że jadę na przesłuchanie. Wzięłam urlop na żądanie.

Podróż w Aleje Ujazdowskie, które dotychczas kojarzyły mi się z przyjemnymi spacerami po Agrykoli i Łazienkach Królewskich, zajęła mi niespełna godzinę.

Minęłam bramę wjazdową i budkę strażnika, po czym ruszyłam rozklekotaną kostką chodnikową do wnętrza siedziby CBA. Najpierw poddano mnie procedurom umożliwiającym wejście do budynku. Musiałam przejść przez bramkę do wykrywania metali, zupełnie jak na odprawie lotniskowej, potem włożyć wszystkie rzeczy do specjalnego pojemnika, a na koniec zostawić w recepcji dowód osobisty, do odbioru przy wyjściu. W końcu z duszą na ramieniu weszłam do pomieszczenia, które wyglądało zupełnie inaczej niż w moich wyobrażeniach. Spodziewałam się ciasnego pokoiku z ponurymi ścianami w sinym kolorze, jakie widuje się w skandynawskich serialach kryminalnych, z niewielkim stołem pośrodku, zajmującym centralne miejsce między składanym krzesłem dla świadka a lustrem weneckim, zza którego reszta funkcjonariuszy monitorowałaby przesłuchanie. Do kompletu brakowało tylko zainstalowanej w rogu kamery, plastikowego kubeczka z wodą, na wypadek gdyby podejrzanemu zaschło w gardle z emocji, oraz oślepiającej lampy trzymanej tuż przed twarzą świadka. Tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Trafiłam do zwyczajnego pokoju, w którym zastałam dwóch sympatycznych przedstawicieli prawa, a każdy siedział za swoim biurkiem. Mieli na sobie czarne koszulki i przypominali bardziej bramkarzy z dyskoteki niż urzędników państwowych. Nadgryzione zębem czasu akta piętrzyły się na wysokich regałach. Zostałam posadzona na miękkim krześle i poproszona

o cierpliwość.

Po chwili jeden z funkcjonariuszy zaczął zadawać pytania, a drugi, niczym protokolant na sali sądowej, zapisywał w komputerze przebieg spotkania.

– Pani Karolino – ten od pytań przeszedł do rzeczy. – Jak pani wie, toczy się śledztwo w sprawie afery korupcyjnej między firmą Indygo a firmą, w której jest pani zatrudniona. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

– Oczywiście, słucham – odpowiedziałam, przełykając nerwowo ślinę.

– A zatem, co pani wiadomo na temat interesów prowadzonych przez pani byłego szefa, Pawła Iważura?

– Wiem tylko, że wydział, w którym pracowałam jako sekretarka, zajmuje się wdrażaniem usług teleinformatycznych oraz współpracą z firmami z branży IT. Zamawialiśmy usługi typu Help Desk, a także sprzęty dla poszczególnych jednostek, między innymi komputery, laptopy, telefony komórkowe, czytniki i podpisy elektroniczne. Ja zajmowałam się ewidencją bieżącej korespondencji i nadzorowałam obieg dokumentów – wyjaśniłam.

– A czy miała pani dostęp do załączników dokumentów, które mogły zawierać informacje wskazujące na nielegalność interesów?

– Większość pism przychodziła bez załączników, chociaż pamiętam, że niektóre załączone dokumenty, najprawdopodobniej zawierające szczegółowe informacje na temat wdrażanych projektów, przychodziły do nas w zaklejonych kopertach, których nie otwierałam, a jedynie rejestrowałam.

– Czy zauważyła pani jakieś nieprawidłowości w rejestrowanej dokumentacji? Na przykład w finansach? Czy coś zwróciło pani uwagę?

– Panie inspektorze, byłam tylko sekretarką i, szczerze mówiąc, nie miałam czasu na analizowanie, czy są jakieś błędy w zapisach. Od tego są pracownicy merytoryczni, osoby wystawiające faktury, księgowi, specjaliści od zamówień publicznych. Ja po prostu rejestrowałam pocztę i pilnowałam, aby została dostarczona we właściwe miejsce.

– W porządku. Teraz wymienimy kilka nazwisk, a pani powie, czy któreś z nich brzmi znajomo.

Przy większości kręciłam przecząco głową. Czekałam, kiedy padnie nazwisko Milewski, i stało się.

– Tak, brzmi znajomo.

– Słucham – powiedział policjant.

– To nazwisko prezesa firmy, z którą mój szef robił interesy...

– Jak się nazywa ta firma?

– Chyba... Indygo – udałam, że się zastanawiam.

– Jak często pan Krystian Milewski odwiedzał pana Pawła Iważura?

– Był u niego kilkakrotnie w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy tam pracowałam. Przychodził na kawę, a rozmowy odbywały się zawsze za zamkniętymi drzwiami – powiedziałam, by uprzedzić kolejne pytanie funkcjonariusza.

Na szczęście policjanci nie wiedzieli o moich potajemnych spotkaniach z Krystianem. W przeciwnym razie od razu wyciągnęliby ten wątek.

– Jeszcze jedno pytanie. Przez trzy tygodnie zastępowała pani sekretarkę Tadeusza

Terenowskiego. Zauważyła pani coś podejrzanego?

– Byłam tak pochłonięta nowymi obowiązkami, że jedyne, na co zwracałam wtedy uwagę, to odpowiednia ilość mleka w kawie – zażartowałam.

– No tak, w sumie trudno się dziwić, niewdzięczna praca. Nasza też jest niewdzięczna, ale ktoś musi to robić – uśmiechnął się, aby rozładować napięcie.

Maglowali mnie chyba godzinę. Bałam się tego, że większość pytań będzie dotyczyła Krystiana, ale interesowali się głównie moją pracą w sekretariacie pana Pawła.

– Dziękujemy za pomoc. Prosimy jeszcze o chwilę cierpliwości.

Ten drugi po chwili wręczył mi wydrukowane zeznanie i poprosił, abym uważnie je przeczytała, a następnie podpisała.

Korzystając z okazji, chciałam wy badać, jakiego rodzaju kara może spotkać Krystiana.

– Niestety, nie możemy udzielać żadnych informacji – byli nieugięci.

– Rozumiem, zapytałam z ciekawości. Mogę już iść?

– Tak. Jest pani wolna.

Czułam się, jakby ktoś spuścił ze mnie całe powietrze, w końcu pierwszy raz w życiu byłam przesłuchiwana przez CBA. Całe szczęście, pojechałam tam wyłącznie w charakterze świadka; jak się później okazało, wiele osób z budżetówki dostało podobne wezwania. Teraz marzyłam tylko o tym, aby wrócić do domu.

Którejś nocy przyśniło mi się, że idę ulicą; budynki były mi zupełnie obce, ale okolica wydawała się znajoma. Przeszłam obok straży pożarnej, skręciłam w prawo i nagle jak spod ziemi wyrósł przede mną gmach, w którym pracowałam. Poczułam się nieswojo. Ominęłam go szerokim łukiem i wkroczyłam w wysadzaną drzewami boczną uliczkę. Drzewa z każdym krokiem gęstniały, aż nagle wokół mnie zrobiło się ciemno. Wpadłam w popłoch. Liście osaczały mnie niczym roślinność tropikalnej dżungli. Błądziłam w tej gęstwinie i z każdą chwilą miałam coraz gorszą widoczność. Naraz aleja urwała się i stanęłam na rozdrożu. Półmrok z powrotem przemienił się w jasność. Skręciłam w lewo i znów zobaczyłam ten gmach. Doszłam do wniosku, że obojętne, jaką drogę obiorę, i tak zawsze tutaj wrócę. Obudziłam się zrana potem. Na dworze świeciło.

Ten sen dał mi wiele do myślenia. Czy jestem skazana na bycie sekretarką w budżetówce? Powinnam zatroszczyć się o jakiś etat, skoro praca u pani Renaty była tymczasowa. Odeszłam z wydziału teleinformatycznego, ale daleko nie zaszłam. Zamiast zdobyć świętego Graala, czyli umowę na czas nieokreślony, cudem wynegocjowałam etat na zastępstwo.

Postanowiłam więc dyskretnie rozejrzeć się za jakimś wakatem na stanowisko merytoryczne.

Kingę zastałam w kuchni. Nasze relacje zacieśniły się na tyle, że mogłam zwierzyć jej się z zawodowych trosk.

– Nie jest lekko, prawda? – spytałam.

– Fakt. Z każdym dniem coraz ciężiej – przyznała.

– A zastanawiałaś się kiedyś nad zmianą pracy na ciekawszą?

– Jasne. Ale nie mam na to czasu.

– Warto spróbować. Ja właśnie o tym myślę. Chcę się stąd wyrwać.

Kinga skończyła myć grejpfruty i zabrała się za obieranie.

– Wiesz, powysyłałabym jakieś CV, ale praca u dyrektora jest tak absorbująca, że nie daję rady nawet sprawdzić prywatnej poczty. Proszę innych, żeby przynieśli mi jedzenie z kiosku, a potem nie mam kiedy zjeść, bo trzeba przygotować serwis kawowy na dwanaście osób. Mogłabym rozsyłać życiorysy z domu, ale po powrocie z pracy jestem wykończona. Zajmuję się moim dwuletnim Jasiem, robię mężowi obiad i zasypiam przed telewizorem.

– Rozumiem...

– Raz miałam szansę się stąd wyrwać, ale dyrektor powiedział, że mnie nie puści, bo ani mu się śni przyzwyczajając do nowej sekretarki. Stwierdził, że ja wiem najlepiej, gdzie co jest, znam jego upodobania i nie wyobraża sobie kogoś nowego. Więc odpuściłam.

– Żartujesz!

– Z czasem żałowałam swojej decyzji. Dawno mogłam awansować i popijać kawkę

na ploteczkach z koleżankami. A tak sama muszę obsługiwać innych. Nawet teraz, nie szykuję jedzenia dla siebie, tylko dla dyrektora.

– Nie wygląda to różowo... – przyznałam.

Niespodziewanie zajrzał do kuchni Piotr, kierowca dyrektora głównego. Zwykle przebywał poza biurem, więc nie miałam możliwości lepiej go poznać, ale odkąd trafiłam do pani Renaty, okazji zaczęło przybywać.

– Dziewczyno! Po to skończyłaś studia, żeby obierać dyrektorowi grejpfruty? – zapytał na widok Kingi układającej owoce na talerzyku.

– No cóż, dawniej bycie sekretarką było nobilitujące, dziś wręcz przeciwnie. Przynieś, podaj, pozamiataj. Jak w bajce o Kopciuszku – żaliła się Kinga, wycierając z palców sok grejpfutowy.

– U mnie też nie jest lekko. Jak nie delegacje, to wyczekiwanie przed gabinetem szefa. Ostatnio odwołałem wizytę u lekarza, bo okazało się, że nie mogę wyjść z pracy o czasie, choć dużo wcześniej uprzedzałem, że będę musiał. Co za kurewski kołchoz.

– Widzę, że nie tylko ja mam powody do narzekań – uśmiechnęłam się po nosem.

– Dziewczyno, w porównaniu z nami to ty masz raj – podsumował Piotrek.

– No, powiedzmy, do czasu, dopóki nie wróci poprzednia sekretarka. Potem: *out*.

– Zapomniałem, że jesteś na zastępstwo. A może spróbujesz porozmawiać z szefową o etacie?

– Prawdę mówiąc, wołałabym pracować na stanowisku merytorycznym. Nie wytrzymam już dłużej w sekretariacie.

– W tej pracy trzeba mieć „naspeedowany” umysł i mnóstwo cierpliwości – dopowiedziała Kinga.

– No właśnie. Ja nie jestem cierpliwa – westchnęłam. – Ale spróbuję pogadać z szefową.

Praca w sekretariacie pani Renaty wpływała na mnie coraz bardziej destrukcyjnie. Dosłownie wszystko mnie dobijało. Relacje między szefową a pracownikami uległy pogorszeniu. Być może wynikało to z napięć spowodowanych odwołaniem dyrektora Terenowskiego, który w dużej mierze nadzorował nasz wydział.

Pani Renata dawała upust złości, wyładowując się na swoich pracownikach.

– No, proszę, następna! Przechodzenie na L4 w ciąży zrobiło się modne – skomentowała, stemplując kolejne zwolnienie lekarskie.

Nie wiem, czy zaczęłam bardziej zwracać uwagę na zachowanie moich współpracowników, czy może ich zatargi na tyle rzucały się w oczy, że zapadały mi w pamięć. Wszyscy wzajemnie pluli na siebie jadem, a ja chłonełam emocje z otoczenia.

– Anka to cwaniara. Zaplanowała sobie na urlop najlepsze dni wplecione między długie weekendy. Jeśli nawet będę z nią walczył i pierwszy podsunę szefowej wniosek urlopowy, ona weźmie zwolnienie na dziec-ko. I kto będzie musiał za nią harować? Oczywiście ja! – krzyczał pan Włodek.

– Niech się pan nie unosi, panie Włodek. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – starałam się go pocieszyć.

Odnosiłam wrażenie, że nie docierają do niego żadne logiczne argumenty.

– Nie dostałem raportu doręczenia wiadomości. Niech pani sprawdzi, czy odbiorca



na pewno otrzymał mejla ode mnie, to pilne! – gorączkował się.

– Panie Włodku, ale gdyby ten mejl do nich nie dotarł, miałabym w poczcie automatyczny zwrot. Skoro się to nie pojawiło, to znaczy, że odbiorca dostał wiadomość – tłumaczyłam.

– Zadzwoń pani do nich i upewnij się, że to doszło? – nalegał.

– Nie – powiedziałam spokojnie, ale bałam się, że zaraz eksploduję.

– Jeśli pani tego nie zrobi, poskarżę się pani Renacie – zagroził.

Nie obchodziło go, że w kolejce czekało jeszcze dziesięć podobnych pism do wysłania. Jego sprawa była najpilniejsza i musiałam się nią zająć bezzwłocznie.

Codziennie wysłuchiwałam zrzędzenia i sporów. Miałam tego serdecznie dosyć. Postanowiłam poszukać innej pracy. Po powrocie do domu odkurzyłam moje CV, dopisując aktualne miejsce zatrudnienia. Wieczory spędzałam teraz na portalach internetowych i wertowaniu nowych ofert pracy. Większość skierowana była do handlowców i product managerów, w co miałam okazję kiedyś się już bawić. Dni mijały, a rozsyłanie mejli okazało się bezowocne. Przyłapałam się na tym, że wysyłanie CV stało się moją obsesją.

Następnego dnia w pracy zebrałam się na odwagę, aby porozmawiać z moją szefową. Nie wiedziałam, jak zareaguje na wieść, że szukam nowej pracy, szczególnie że całkiem niedawno sama zaoferowała mi stanowisko. Niemniej jednak dni przeciekały mi przez palce, a ja potrzebowałam etatu na stałe. Obie wiedziałyśmy, jaka jest sytuacja, uznałam, że nie popełnię żadnego faux pas, jeśli zapytam ją, czy w budżetówce są jakieś wakaty.

– Pani Renato, co ze mną będzie, kiedy wróci poprzednia sekretarka?

Zaskoczyłam ją tak bezpośrednim pytaniem. A poza tym oderwałam ją od papierów, nad którymi właśnie siedziała. Trudno było jednak wstrzelić się w dogodny moment na rozmowę, bo rzadko robiła sobie przerwę.

– Wiesz co, myślałam o tym ostatnio – odparła.

Teraz to ja miałam zaskoczoną minę.

– Naprawdę? – spytałam.

– Tak. Dowiedziałam się, że w wydziale do spraw remontów szukają administratora i pomyślałam, że cię to zainteresuje. Miałam ci o tym powiedzieć, ale mnie ubiegłaś.

– Super! Więc jest szansa na to, abym została w biurze. Co więcej, na stanowisku merytorycznym!

Miałam ochotę skakać z radości, ale się powstrzymałam.

Szefowa umówiła mnie na spotkanie z naczelnikiem Perełką, który miał przeprowadzić ze mną nieoficjalną rozmowę kwalifikacyjną. Zasady rekrutacji wewnętrznej w Centralnej Komórcie Organizacyjnej polegały na tym, że stanowiska, o które ubiegali się kandydaci, z reguły były już wcześniej obsadzone. Pracodawcy usprawiedliwiali się tym, że taki rodzaj postępowania wynika z korzyści dla nich samych, gdyż w krótkim czasie pozwala zatrudnić pracownika o odpowiednich kompetencjach, przygotowanego do podjęcia pracy. Ustawiane rozmowy kwalifikacyjne tłumaczyli tym, że dają podwładnym możliwość awansu zarówno pionowego, co daje szansę wspinania

się na wyższe szczeble, jak i poziomego, bo ten z kolei zwiększa realizację nowych zadań. Przenosząc pracowników na wolne stanowiska w obrębie tej samej komórki organizacyjnej, szefowie omijali konieczność przeprowadzania rekrutacji zewnętrznej, która ich zdaniem wiązała się ze stratą czasu i sporymi kosztami.

Dla mnie oznaczało to mniejszy stres i pozbycie się obaw, że szukam pracy w tajemnicy przed szefową. Dzięki temu czułam się zrelaksowana i pewna siebie. Wierzyłam, że wreszcie wyrwę się z więzienia, jakim stał się dla mnie sekretariat.

„Wszystko, byle nie sekretariat. Byle nie sekretariat” – powtarzałam w myślach jak mantrę, idąc na spotkanie z naczelnikiem Perełką.

Przed spotkaniem przejrzałam tryb postępowania rekrutacyjnego i wyczytałam, że kierownik Centralnej Komórki Organizacyjnej powołuje komisję, której zadaniem jest wyłonienie najlepszego kandydata. Komisja powinna składać się z trzech osób – bezpośredniego przełożonego, eksperta w dziedzinie związanej ze stanowiskiem oraz innej wskazanej osoby.

Na szczęście okazało się, że poza naczelnikiem w komisji rekrutacyjnej zasiadał tylko kierownik Nieziołek, będący jednocześnie prawą ręką szefa. Obaj mężczyźni przywitani mnie serdecznym uśmiechem i zaprosili do stołu na rozmowę kwalifikacyjną.

– Proszę nam powiedzieć, jakie ma pani wykształcenie? Może przedtem napije się pani kawy? – spytał naczelnik.

– Dziękuję, panie naczelniku – odmówiłam z uśmiechem, bo wiedziałam, że zapytał tylko z uprzejmości. – Skończyłam kulturoznawstwo.

– No, to widzę, że się pani marnuje w tej pracy! Powinna pani pracować w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego albo przynajmniej w muzeum.

– Niestety, trudno znaleźć pracę, która wiązałaby się z wykształceniem i zainteresowaniami – stwierdziłam.

– Tak to bywa. Ja na przykład skończyłem prawo, a zajmuję się remontami. No, ale przejdźmy do rzeczy, żeby pani dłużej nie stresować. Jak mi wiadomo, za jakiś czas wraca sekretarka pani Renaty.

– To prawda.

– Wobec tego mamy dla pani propozycję.

– Jestem zainteresowana – zapewniłam.

Wtedy naczelnik wyjaśnił, jakie stanowisko tak naprawdę wchodzi w grę.

– Początkowo zamierzaliśmy pani zaproponować wakat administratora, gdzie zajmowałaby się pani koordynacją prac remontowych prowadzonych na terenie naszego biura. Przyjmowałaby pani zgłoszenia, odbierała pisma i odpowiadałaby po konsultacji z odpowiednimi specjalistami. Niedawno jednak dowiedzieliśmy się, że nasza sekretarka przechodzi do innego biura. Dlatego chcemy pani zaproponować pracę w sekretariacie naszego wydziału. Na początek podpiszemy z panią umowę roczną.

Naczelnik Perełko kiwnął głową w stronę kierownika Nieziołka, aby ten podsunął mi do przeczytania wnioski personalny dotyczący przeniesienia pracownika. Była w nim zmiana warunków umowy o pracę za porozumieniem stron, miejsce wykonywania pracy, mnożnik kwoty bazowej, wymiar czasu pracy i symbol stanowiska. W tabeli było miejsce na wpisanie dotychczasowych danych oraz tych proponowanych przez przyszłego pracodawcę.

Czułam się przyparta do muru i totalnie zawiedziona, bo moje nadzieje spaliły na

panewce. Jednego byłam pewna – nie chciałam dłużej być sekretarką.

– Panie naczelniku, szczerze mówiąc, liczyłam na posadę administratora – odparłam.

– No tak, ale Renata tak panią zachwalała jako sekretarkę, więc pomyśleliśmy, że na tym stanowisku lepiej się pani odnajdzie – przyznał.

– Miło mi to słyszeć. Ale ja chciałabym się rozwijać, a sekretariat, niestety, nie daje takiej szansy. Liczyłam na inne stanowisko.

– Czy to oznacza, że odrzuca pani naszą propozycję? – spytał naczelnik Perełko.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Zależy mi na pracy i jestem wdzięczna za propozycję, ale potrzebuję czasu do namysłu.

Kierownik Nieziołek zacisnął zęby, ale bardziej przyjazny naczelnik Perełko wyraził zgodę.

– Jest pani bardzo odważną osobą, pani Karolino. Nie każdy by podjął takie ryzyko – podsumował.

– Dziękuję, panie naczelniku. Choć w moim przypadku to nie odwaga, lecz determinacja. Zbyt wiele przeszłam, odkąd zostałam tu zatrudniona.

– Rozumiem. Życzę powodzenia w podjęciu właściwej decyzji. Proszę poinformować Renatę, a ona mi przekaże.

– Oczywiście. Tak zrobię.

– Dziękujemy za rozmowę.

– Ja również dziękuję.

Wyszłam z gabinetu naczelnika Perełki kompletnie przybita. Nie potrafiłam cieszyć się z propozycji, którą właśnie otrzymałam. Czy mogłabym postąpić wbrew sobie i chwycić pierwszą lepszą ofertę, jaka się pojawiła? Powinnam bardziej się cenić. W końcu praca u pani Renaty nie kończyła się jutro. Miałam więc czas na podjęcie ryzyka i próbę znalezienia lepszego rozwiązania. Liczyłam na to, że coś w końcu znajdzie się dla mnie i tym czymś nie będzie sekretariat.

– I jak poszło? – spytała w domu Natka.

– Zachwyceni moimi dobrymi referencjami zaproponowali mi stanowisko sekretarki.

– Serio? – zdziwiła się. – Niech zgadnę. Odmówiłaś?

– Powiedziałam, że się zastanowię, ale w zasadzie już podjęłam decyzję.

– W końcu to twoje życie. Nie możesz robić czegoś wbrew sobie.

– Ale z drugiej strony, to nie byłby etat na zastępstwo...

Natalia szybko wybiła mi z głowy bezpodstawne poczucie winy.

– Karola, ile już męczysz się w sekretariacie?

– Wystarczająco długo.

– Sama widzisz, że zmiana wydziału niczego nie zmieni. Trafisz z deszczu pod rynnę. Lepiej przeczekać i znaleźć coś, co sprawi, że naprawdę będziesz spełniona zawodowo.

– Masz rację – przyznałam.

Następnego dnia w pracy przekazałam pani Renacie, że rezygnuję z propozycji pracy sekretarki w wydziale do spraw remontów.

– Przykro mi, ale gdyby w grę wchodziło stanowisko administratora, o którym wcześniej była mowa, zgodziłabym się bez wahania. Niestety, sekretariat to nie dla mnie. Jestem ogromnie wdzięczna, że mnie pani zarekomendowała, ale ja w głębi duszy nie odnajduję się w tej roli. Mam nadzieję, że nie jest pani na mnie zła – powiedziałam ze skruchą.

– Nie jestem na ciebie zła. To twój wybór i masz do tego prawo – powiedziała szefowa, a potem zawiadomiła naczelnika Perełkę o mojej odmowie.

Mimo wyrzutów sumienia poczułam ogromną ulgę. Irmina powiedziała mi kiedyś, że najgorszy jest stan zawieszenia, a najważniejsze jest podjęcie jakiegokolwiek działania. Wówczas targające człowiekiem wątpliwości ustępują walce o własne zdanie i poczucie osobistego komfortu.

Dawno temu przez pół dnia pracowałam w *call center*, próbując wciskać rozwścieczonym rozmówcom ubezpieczenie na życie. Szybko doszłam do wniosku, że sprzedaż za moim pośrednictwem nie wzrosłaby nawet wtedy, gdybym zgłębiła wszelkie tajniki NLP. Zastanawiałam się, jak niektórzy wytrzymują w tego typu pracy. Inni pracownicy opowiadali mi, że po pewnym czasie dopada ich znieczulica i leczą z tak zwanej taśmy. Jedna z koleżanek mówiła, że jej pasją jest szydełkowanie i najciekawsze wzory wychodzą jej podczas rozmów z klientami. W mojej obecnej pracy może nie zostałam mistrzynią krawiectwa, ale za to opuścił mnie stres podczas kontaktów z ludźmi. Po prostu zaczęłam funkcjonować według nowego schematu. Polegał on na tym, że zamiast myśleć o sekretariacie jak o miejscu przypominającym pułapkę bez możliwości ucieczki, postanowiłam wziąć sprawy we własne ręce i znaleźć nowe zajęcie.

– Słuchaj, a może powinnam poszukać szczęścia w prywatnym przedsiębiorstwie? Co o tym sądzisz? – zagadnęłam Natalię.

– Dobry pomysł, tylko musiałybyś znać języki. Poza tym wyścig szczurów to raczej słabe rozwiązanie. – Sprowadziła mnie na ziemię.

– Też prawda. Tam może być znacznie gorzej. Cholera, czy w tym kraju nie ma pracy dla ludzi z moim wykształceniem? – zaśmiałam się, rzucając cytat ze *Świata według Kiepskich*, który przypadkiem zapadł mi w pamięć, choć serialu nie oglądałam.

Natalia smażyła w kuchni jajecznicę na śniadanie.

– Praca w korpo ma swoje zalety, głównie pieniądze – ciągnęła. – Moja koleżanka z zaocznych pracuje w dużej firmie technologicznej. Kiedyś chciała się wybrać do dentysty, żeby wyrwać ósemkę. Poprosiła szefową o dzień wolnego, a ta zaczęła ją utwierdzać w przekonaniu, że lepiej nie wyrwać zębów! Powiedziała tak po to, żeby nie dać jej urlopu! To porąbane środowisko. Te wszystkie bale, eventy, podlizywanie się szefostwu, żeby dostać premię, no i przede wszystkim donosicielstwo.

– Akurat te dwa ostatnie występują również w mojej budżetówce. Gdyby zamienić eventy na imieniny naczelników albo dyrekcji, wypisz wymaluj, moja firma. Tylko zarobki są tragiczne.

– Słuchaj, a co z tym twoim Krystianem? Może on ma jakieś kontakty? – spytała Natka.

Na dźwięk jego imienia przeszył mnie dreszcz, jakbym walnęła się w łokieć i uraziła czuły nerw.

– Po pierwsze, nie jest mój, a po drugie, obecnie jego jedynym kontaktem jest prokuratura.

Natalia kroїła szczypiorek, ale zauważyła, że posmutniałam.

– Wybacz, nie pomyślałam. Po prostu z doświadczenia wiem, że warto wykorzystać każdą możliwość. Ale to rzeczywiście bez sensu.

Skorzystałam z okazji, że moja przyjaciółka poruszyła ten temat.

– Kiedy przypominam sobie, jak mnie potraktował, mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Olej drania! – powiedziała Natka, przyozdabiając keczupem kanapki, podczas gdy ja słodziłam kawę.

– Masz rację, on nie zasługuje na moje zainteresowanie – podsumowałam, dzwoniąc łyżeczką.

Zwyciężyła jednak niezdrowa ciekawość. Wygoog-łowałam go w pracy, szukając nowych informacji. Wreszcie natrafiłam na odpowiedni link. „Krystiana M. zwolniono z aresztu, lecz wyrokiem sądu został skazany na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć oraz na karę grzywny w wysokości kwoty ustanowionej przez sąd”.

Kamień spadł mi z serca.

– Jest wolny – szepnęłam do siebie.

Zrobiło mi się przykro, że Krystian ani razu nie odezwał się do mnie. Wcześniej na myśl, że miałyby spędzić kilka lat za kratkami, targał mną smutek. Teraz mogłam wreszcie zamknąć ten krótki rozdział mojego życia. Wciąż tęskniłam, ale wiedziałam, że nie mam już po co się z nim kontaktować.

– Widzę, że jesteś już spokojniejsza – stwierdziła Natalia.

– W końcu sobie odpuściłam. I jest mi z tym dobrze – odpowiedziałam. – Najważniejsze, że wiem, na czym stoję.

– Cieszę się, że doszłaś do takiego wniosku.

– Ja również. I jestem ci wdzięczna za pomoc. Gdyby nie rozmowy z tobą, byłoby ciężko.

– Daj spokój, musimy się wspierać. Koniec z porąbanymi kolesiami! Szykujmy drinki na babski wieczór! – Przytuliła mnie, a potem zaczęła szperać w internecie w poszukiwaniu filmu, który mogłybyśmy wspólnie obejrzeć.

Z każdym kolejnym dniem odzyskiwałam siły. Coraz częściej myślałam o zmianie pracy, a coraz mniej o Krystianie. Zapisalam się na intensywne zajęcia Vacu Activ, dzięki którym modelowałam sylwetkę i wyciszałam umysł. Ćwiczenia polegały na korzystaniu ze specjalnej bieżni z podciśnieniem, po której przez pół godziny intensywnie maszerowałam, żeby spalić tkankę tłuszczową. Za każdym razem po treningu byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły na analizowanie sytuacji z Krystianem. Poza tym ćwiczenia wyzwalaly we mnie sporą dawkę endorfin, przez co czułam radość bez konkretnego powodu.

Natalia dała się namówić kolegom z uczelni na studencki wypad do Krakowa, więc przez kilka dni mieszkałam sama. Odkąd pamiętam, źle znosiłam samotność, a zwłaszcza wieczory, kiedy kompletnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Ratunkiem w takich chwilach była zazwyczaj wizyta w księgarni i zakup nowej książki, a następnie zaopatrzenie się w supermarkecie w ulubione przekąski, do których należały między innymi mix bombajski i chrupki wasabi. Na koniec dorzucałam do koszyka kilku butelek piwa o różnych smakach – imbirowym, cytrynowym, passiflory albo kokosowym. Świadomość pełnego portfela dodawała mi pewności siebie.

Wróciłam do domu obładowana torbami, wśród których znalazło się kilka ciuchów

z sieciówek w Złoty Tarasach, po których co jakiś czas buszowałam, polując na odzieżowe okazje.

Przygotowałam spaghetti bolognese, popijając je schłodzonym piwem, potem wykapałam się i zasiadłam na kanapie w szlafroku z *Godzinami* Michaela Cunninghama – powieścią, którą od dawna planowałam przeczytać.

Trzydzieści dwie strony później przyszedł esemes. Odłożyłam książkę na bok i zajrzałam do telefonu. Serce zabiło mi mocniej, gdy zobaczyłam imię nadawcy wiadomości.

„Wpadniesz do mnie w następny piątek o 18?”, pytał Krystian.

Oniemiałam. Co prawda niekiedy wyobrażałam sobie, że Krystian w końcu odezwie się do mnie i przeprosi za swoje zachowanie, ale upływające dni utwierdzały mnie w przekonaniu, że moje nadzieje są płonne. A teraz ten łajdak postanowił zburzyć mój spokój ducha. Chciałam się przed tym obronić, ale magnetyczna osobowość Krystiana ponownie zawładnęła moim umysłem i głowę zalała mi lawina bezsensownych pytań. Czy ten esemes jest na pewno od niego? A może został do mnie wysłany omyłkowo? Czy powinnam mu odpisać? A może lepiej zignorować tę wiadomość?

Sięgnęłam po telefon i zamiast wysłać odpowiedź, po prostu go wyłączyłam. Nie miałam ochoty przez to przechodzić, a przynajmniej nie tego wieczoru. Żałowałam, że nie ma przy mnie Natki, która w takich chwilach była dla mnie jedynym oparciem. Poszłam do kuchni i wyjęłam z lodówki butelkę czerwonego wina, które zostało nam z poprzedniego weekendu. Przełam zawartość do kieliszka i upiłam łyk. Było zupełnie pozbawione smaku, lecz nie dlatego, że stało za długo w lodówce. Ze smutku straciłam ochotę nawet na alkohol.

Nigdy nie uważałam siebie za masochistkę, ale w tym momencie koniecznie musiałam wysłuchać melodii, która spotęgowałaby moją rozpacz. Padło na *Jar of Hearts* Christiny Perri, nostalgiczne brzmienie doskonale oddające mój nastrój. Wetknęłam słuchawki w uszy, ułożyłam się na kanapie w pozycji embrionalnej i wsłuchałam w smutną piosenkę. *And who do you think you are? Runnin' round leaving scars. Collecting your jar of hearts and tearing love apart. You're gonna catch a cold from the ice inside your soul. So don't come back for me. Who do you think you are?* Słowa refrenu zapiekły mnie jak sól sypana na otwartą ranę i nie byłam już w stanie dłużej powstrzymać łez, kapiących na poduszkę.

Walczyłam ze sobą, ale potrzeba kontaktu z nim była silniejsza. Dzień później zdecydowałam się odpisać, ale najpierw musiałam zbadać teren. Wstukałam w miarę uniwersalną treść.

„Cześć, wczoraj dostałam od ciebie esemesa, ale nie jestem pewna, czy miał trafić do mnie, czy może został wysłany przez pomyłkę. Pozdrawiam, Karolina”.

Minęło zaledwie dziesięć minut, gdy w skrzynce wiadomości odbiorczych zamigłała nowa koperta.

„Do ciebie”.

Co on sobie, do cholery, wyobraża? Był naprawdę bezczelny, jeśli myślał, że po tym wszystkim tak po prostu do niego pojedę. Nie miałam ochoty na zabawę w ciuciubabkę.



„Przykro mi, ale nie dam rady”.

„A kiedy będziesz mogła?”.

Zrozumiałam, że ten dialog do niczego nie prowadzi. Po raz kolejny dałam się złapać w jego sieć. Tymczasem Krystian wysłał kolejnego esemesa.

„Jeśli się boisz, spotkajmy się na mieście. Proszę cię tylko o jedną rozmowę, potem zrobisz, jak zechcesz”.

Doskonale wiedział, co napisać, abym nie była mu w stanie odmówić. W głębi duszy nie pragnęłam niczego innego, jak tylko tego, by znów go zobaczyć. Nawet jeśli miałyby się to dla mnie zakończyć ponownym rozczarowaniem.

„W najbliższy piątek w Powsinie” – wstukałam, jakby moją ręką kierowała jakaś nadprzyrodzona siła.

Po chwili dostałam klasyczną odpowiedź, która doskonale oddawała charakter Krystiana.

„:)))))))))”.

Wygrał po raz kolejny.

DLACZEGO NIE WARTO ŁOWIĆ RYB W FONTANNIE

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Krystian był facetem zagadkowym, a do tego wytrawnym manipulatorem, który znów bez trudu rzucił na mnie urok. Pełna obaw wysiadłam z autobusu kończącego trasę w Powsinie i rozejrzałam się dookoła, lustrując przypadkowe twarze, aż w końcu znalazłam tę właściwą. Krystian stał oparty o poręcz schodów prowadzących do Parku Kultury i nonszalancko bawił się telefonem. Miał na sobie ciemnobezowy T-shirt i jasne spodnie, w których wyglądał jak nastolatek. Obserwowałam go ukradkiem, poczułam przyjemne ciepło rozchodzące się po żołądku. Ruszyłam w jego stronę, a wtedy Krystian podniósł wzrok i obdarował powitalnym uśmiechem.

Stanęliśmy naprzeciw siebie niczym dwoje nieznajomych umówionych na zaaranżowaną randkę. Przypominało to sytuację, w której przez wiele miesięcy kobieta i mężczyzna korespondują ze sobą przez internet, wymieniając poglądy na wszelkie możliwe tematy, od religii po erotykę, w obliczu spotkania na żywo zaś milkną, jak gdyby w ogóle się nie znali.

Gdy spojrzałam na Krystiana, w mgnieniu oka odżyły wspomnienia.

– Hej – odezwał się, zaglądając mi w oczy i nerwowo spuścił głowę, chowając telefon.

– Hej – odpowiedziałam, automatycznie przenosząc wzrok na otaczającą nas gęstwinę drzew.

Na twarzy Krystiana malowało się wyraźne zmieszanie. Wiedziałam, że będzie próbował odzyskać moje zaufanie. Tymczasem ja liczyłam na to, że będę mogła spokojnie z nim porozmawiać i dowiedzieć się, dlaczego postąpił w ten sposób. Starłam się zapamiętać każdy detal jego twarzy, by później móc delektować się wspomnieniami.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparłam.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

– Jasne, czemu nie – odpowiedziałam, udając niewzruszoną, choć w sercu szalała burza.

Drogę na górę pokonaliśmy w milczeniu, niczym dwoje umęczonych wędrowców idących na pielgrzymkę do Santiago de Compostela, lecz gdy tylko znaleźliśmy się wśród zieleni, Krystian zaczął się tłumaczyć.

– Słuchaj, chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem taki zły. To, co się wydarzyło, sprawiło, że stałem się innym człowiekiem.

W pierwszej chwili pomyślałam, że deklamuje wyuczony tekst, który pożyczył z jakiegoś tandetnego reality show.

– Sama nie wiem, co mam o tym sądzić. Odkryłam, jakie masz podejście do kobiet, więc trudno mi uwierzyć, że zmieniłeś się o sto osiemdziesiąt stopni również w kwestiach zawodowych.

– Co do pierwszego, masz rację. Ale w zawodowych się zmieniłem, choć zdaję sobie sprawę, że będzie mi ciężko odzyskać twoje zaufanie.

Trzymał ręce schowane w kieszeniach spodni i kulił się, jak ludzie, którym jest zimno.

– Nie tyle moje, ile twoich klientów. Powiedz mi, dlaczego wdałeś się w to wszystko?

– Powód jest oczywisty. Pieniądze – przyznał otwarcie.

Odkąd go poznałam, zdążyłam zauważyć, że jest dość lakoniczny, a wylewność nie należy do jego mocnych stron. Co więcej, nie przejmował się tym, co inni sądzą na temat jego życiowych wyborów, które w znacznej mierze opierały się na chłodnej kalkulacji.

– No tak, naiwna jestem. Nie sądziłam, że prezes znanej firmy informatycznej, wykształcony i zaradny, okaże się łapówkarzem, który, aby wygrać konkurs, musi szeleścić banknotami pod stołem – wygarnęłam mu w końcu.

– Oj, nie mów w ten sposób – zniecierpliwiał się, jak gdyby nie mógł udźwignąć prawdy.

– Przecież to są fakty! Pamiętam, jak wypytywałeś mnie o plany naczelnika w sprawie przetargu.

Posłałam mu miażdżące spojrzenie.

– Owszem, ale nie chciałem cię wykorzystać. Tylko zapytałem... – Zrobił minę zbitego psa i niby niechcący przejechał palcami po moim nadgarstku.

– Jasne. Tak samo jak nie chciałeś mnie wykorzystać pod innym względem – szybko się odsunęłam, aby pozbyć się gęsiej skórki, która za sprawą dotyku Krystiana automatycznie pokryła moje ramiona.

– Słuchaj, może usiądziemy przy kawie i pogadamy? Wszystko ci opowiem – zaproponował.

Z jednej strony miałam ochotę strzelić focha, ale z drugiej bałam się, że powiem o jedno słowo za dużo i stracę szansę na szczerą rozmowę.

– No dobrze – zgodziłam się.

Wstąpiliśmy do znajdującej się w samym sercu Powsina kawiarni, z daleka przypominającej jeden z górskich domów wczasowych, w których na parterze zazwyczaj mieści się karczma wabiąca turystów zapachem swojskiego jedzenia, górę zaś stanowią pokoje gościnne.

Zdecydowałam się na latte z chudym mlekiem, a Krystian zamówił mocne espresso.

Kiedy młoda kelnerka przy kości i z lekko przetłuszczonymi blond włosami obsłużyła nas, Krystian opowiedział o ustawionym przetargu.

– Poznałem Pawła trzy lata temu, jeszcze zanim został naczelnikiem. Założyłem wtedy firmę i zacząłem współpracę z instytucjami budżetowymi. Był specjalistą w jednym z waszych wydziałów zajmujących się wdrażaniem systemów informatycznych. Omawialiśmy głównie kwestie merytoryczne, ale po swoim awansie powiedział, że istnieje sposób na nawiązanie stałej współpracy. W końcu przekonał Tadeusza, żeby wszedł w ten układ, i tak się zaczęło.

Krystian opowiedział też o tym, jak zaproponował Pawłowi i dyrektorowi

Terenowskiemu łapówkę w zamian za kilkuletni kontrakt z Indygo. Dzięki temu zwróciłaby mu się zawiązką i mógłby dalej rozwijać firmę.

Po wykryciu afery przez jakiś czas przebywał w areszcie, a po otrzymaniu wyroku w zawieszeniu wyszedł na wolność i musiał zapłacić pokaźne odszkodowanie. Ponadto zrzekł się funkcji prezesa Indygo i odszedł do jednej z założonych wcześniej firm-córek, dzięki czemu ponownie wyszedł na prostą. Natomiast dyrektor Terenowski, który rzadko kiedy wykazywał przejawy dobroci dla podwładnych, i tym razem wolał ratować własną skórę. Został świadkiem koronnym w sprawie, dzięki temu cudem wymigał się od odpowiedzialności. A nawet więcej – miał odzyskać swoje poprzednie stanowisko! Pan Paweł, podobnie jak Krystian, dostał dwa lata w zawieszeniu i stracił stanowisko naczelnika wydziału teleinformatycznego. Zdałam sobie sprawę, że pracuję w gównie owiniętym w srebrny papier.

– Nie wierzę. Jak mogłeś tak postąpić? To przestępstwo, bez względu na to, jak bardzo opłacalne.

Ścisnęłam filiżankę tak mocno, że omal jej nie zgmiotłam.

– Czy ja wiem? Zawsze wolałem być po stronie tych, którzy są obsługiwani, niż tych, którzy im gotują – wyznał bez skrępowań. – Ale żałuję, że tak wyszło. Tym razem faktycznie przegiąłem.

– Ja zaś żałuję, że zgodziłam się z tobą spotkać. Jesteś typowym zmanierowanym karierowiczem, który nie liczy się z nikim, a liczyć potrafi jedynie banknoty. Interesują cię tylko elektroniczne gadżety i kasa.

Krystian patrzył na mnie z niedowierzaniem. Sądził, że jednym spojrzeniem uda mu się wszystko naprawić. Doskonale wiedział, że jest zimnym draniem i żył w przekonaniu, że kobiety właśnie to cenią w nim najbardziej. Swoją inteligencję wykorzystywał wyłącznie w zarabianiu coraz większej kasy. Uczucia i emocje nie miały wstępu do jego świata.

– Nie tylko. Ty też mnie interesujesz – wyznał niespodziewanie.

Ścisnęło mnie w gardle. Miałam mętlik w głowie, bo z jednej strony czułam do Krystiana ogromny żal, a z drugiej – nie umiałam wybić go sobie z głowy.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz. Dlaczego mnie olałeś, kiedy do ciebie zadzwoniłam?

Duma nakazała mi zadać to pytanie. Krystian upił łyk kawy.

– A jak ci się wydaje? Dla twojego bezpieczeństwa. Z CBA nie ma żartów. Gdyby powiązali cię ze mną, mogłabyś zostać oskarżona na przykład o przechowywanie brudnych pieniędzy. Pomysłów im nie brakuje. Dlatego czekałem, aż zamkną sprawę i dopiero wtedy do ciebie zadzwoniłem.

– Teraz rozumiem. Faktycznie, niemądrze się zachowałam. Ale chciałam pomóc. Chciałam cię tylko usłyszeć...

Krystian wyczuł, że wciąż mi na nim zależy, i posłał mi zniewalający uśmiech.

– Posłuchaj, do romantyków raczej nie należę, ale przy tobie czuję się inaczej. Nie muszę udawać wyluzowanego pozera, bo wiem, że masz to gdzieś. I właśnie tym mnie urzekłaś – wyznał.

Chyba po raz pierwszy odważył się odsłonić przed kimś kawałek swojej duszy, jakby rozbił młotkiem szybę, która do tej pory szczelnie ją chroniła. Nie miałam pojęcia,

jak zareagować. Pragnęłam tylko wtulić się w jego ramiona.

– A ty mnie ująłeś swoim spojrzeniem i bezczelnością. A kiedy pocałowałeś mnie w samochodzie, poczułam, jak ziemia drży pod moimi stopami.

– Sama widzisz. Nie ma sensu się oszukiwać. Może pojedziemy do mnie? Dopiero poczujesz prawdziwe trzęsienie ziemi...

Omam nie eksplodowałam. Gdy wyobraziłam sobie tę scenę, gwałtownie przyspieszyło mi tętno. Szybko jednak pojęłam, że Krystian po prostu sprytnie dąży do celu.

– Nie możesz mówić mi takich rzeczy – powiedziałam, czując, że moja twarz robi się czerwona.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Bo ja się poznałam na twoich sztuczkach. Jeśli naprawdę się zmieniłeś, będziesz potrzebował czasu, by to udowodnić – odparłam.

– Wiem. I chciałbym zacząć od razu. Naprawdę mi się podobasz. – Musnął dłonią opuszki moich palców.

Krystian analizował wzrokiem każdy milimetr mojej twarzy i dosłownie krok dzielił nas od pocałunku. Podświadomie pragnęłam znaleźć się w jego objęciach, lecz nie mogłam po raz kolejny dać się zmanipulować. Wciąż pamiętałam, że jest przestępcą, w dodatku bardzo ambitnym. Dotarło do mnie, że prawdopodobnie jestem jednym z wielu jego celów. Poczulałam się jak pacjent w szpitalu brutalnie wybudzany za pomocą soli trzeźwiących.

– Niestety, musisz wybrać kogoś innego. Kogoś, kto będzie w stanie zaufać ci bez reszty.

Ku zaskoczeniu Krystiana, niespodziewanie podniosłam się z krzesła i rzuciłam na stół zwiniętą w kłębek serwetkę. Choć moje nogi były ciężkie jak z ołowiu, wycofałam się w stronę drzwi.

Kątem oka dostrzegłam siedzącą przy sąsiednim stoliku parę staruszków, która z zaciekawieniem przypatrywała się scenie jakby rodem z kiepskiego melodramatu. Ruszyłam, nie oglądając się za siebie. Szłam coraz szybciej, z każdą sekundą zwiększając tempo. Krystian został w kawiarni. Nie należał do mężczyzn, którzy rzuciliby się w pościg za uciekającą im sprzed nosa dziewczyną.

Gdy dotarłam na pętlę modliłam się, by autobus jak najszybciej ruszył, zostawiając w tyle krajobraz Powsina i wiążące się z nim wspomnienia. Miałam nawet ochotę ponaglić kierowcę, by włączył silnik, ale ugryzłam się w język. Wziąłby mnie za wariatkę. Podczas gdy pięćdziesięcioletni szofer w obowiązkowej niebieskiej koszuli niespiesznie dopalał papierosa, pragnęłam tylko znaleźć się w domu. W drodze powrotnej przez cały czas wpatrywałam się w szybę, mając na uszach słuchawki i słuchając piosenek, z których każda, czy chciałam tego, czy nie, przypominała mi o Krystianie.

Żałowałam swojej decyzji, jeszcze zanim dotarłam do domu. Wiedziałam, że utraciłam coś wyjątkowego, co mogło mi się już nie przytrafić.

– Karola, co się stało? – spytała przerażona Natka, gdy otworzyła mi drzwi i zobaczyła moją zapłakaną twarz.

– Dłużej tego nie zniosę! – zaszlochałam.

– Boże, ale powiedz mi, co jest grane? – Wpuściła mnie i zamknęła drzwi na zasuwkę.

Przeszliśmy do kuchni.

– Widziałam się z nim.

– Aha... – Na moment zaniemówiła. – I co? Znowu cię skrzywdził?

– Nie, tym razem to ja. Dałam mu do zrozumienia, że nie chcę go więcej widzieć.

– Łkałam tak, że włosy kleiły się do mokrego policzka.

– I jak zareagował? – spytała Natka, odgarniając mi jasne kosmyki za ucho.

– Nie wiem, bo uciekłam, nie oglądając się za siebie.

– Żartujesz?

– Nie. Dałam nogę, żeby nie widzieć jego reakcji.

Natalia zachowała się jak prawdziwa przyjaciółka, bo nalala mi kieliszek wina, a potem przytuliła, zdejmując mi z pleców odrobinę ciężaru, jakim był w tym momencie mój smutek.

– W sumie dobrze zrobiłaś. Należało mu się!

– Na dodatek zostawiłam go tam z niezapłaconym rachunkiem za kawę. Czuję się podle.

– Co ty się przejmujesz rachunkiem. Stać go w końcu! Nie martw się, kochana, nie dziś, nie za miesiąc, ale w końcu ci przejdzie.

– Nie wiem. On ze mną zrobił coś niedobrego. Dlaczego przy nim czuję się jak opętana?

– Zakochałaś się w facecie, który tobą manipuluje. Już ja coś wiem na ten temat.

– Masz rację. Nigdy nie był wobec mnie szczery. O tym, jaki jest naprawdę, przeczytałam w prasie.

– Otóż to. A teraz już nie płacz. Najgorsze już za tobą.

– Dziękuję za wsparcie. I uważam, że powinnaś studiować psychologię społeczną zamiast lingwistyki. – Wydmuchałam nos w chusteczkę.

– Pracy magisterskiej jeszcze nie napisałam, więc wciąż mam szansę zmienić kierunek – zaśmiała się.

Nie wierzyłam, że uda mi się zasnąć tej nocy, ale trzy kieliszki owocowej Sangrii zrobiły swoje. Śniło mi się, że jestem w mieszkaniu Krystiana. Leżeliśmy na łóżku w jego sypialni – której na jawie nie miałam jeszcze okazji zobaczyć – i oglądaliśmy jakiś film. Po przebudzeniu zapragnęłam, by wszystko było jak dawniej. Chciałam powrócić do naszych esemesowych rozmów. Marzyłam o tym, by prowokować Krystiana, pojedynkując się z nim na spojrzenia, a po zaciętej walce ostatecznie wywiesić białą flagę i paść prosto w jego objęcia. Tym razem wiedziałam, że on pierwszy się nie odezwie. W pracy, zamiast koncentrować się na rejestrowaniu poczty, obmyślałam strategię ratowania naszej relacji, którą sama zepsułam. Koniec końców, trzy razy zeskanowałam ten sam dokument, a do dziennika faktur przemyciłam czeski błąd, który powtarzałam kilkanaście stron.

Nieustanne rozmyślanie o tym, jak potoczyło się moje ostatnie spotkanie z Krystianem, przypominało rozdrapywanie gojącej się rany. Tak bardzo pragnęłam mu napisać, że nie obchodzi mnie to, co zrobił, że kocham go bez względu na wszystko. Nie mogłam jednak odsłonić prawdziwych uczuć, gdyż ponownie znalazłabym się na straconej pozycji. Przede wszystkim dlatego, że on nigdy nie przyznał, że coś do mnie czuje. Pomijając kłamstwa związane z finansami, w kwestiach sercowych był ze mną szczery. Podobałam mu się i chciał pójść ze mną do łóżka wyłącznie z tego powodu. Na starcie byłam przekonana, iż jestem świadoma sytuacji, i nie rościłam sobie praw do wydawania osądów. Niestety, wraz z upływem czasu zaczęłam się przywiązywać. Czar prysł w momencie, gdy Krystiana oskarżono o korupcję i trafił do więzienia. Wtedy smutna rzeczywistość brutalnie zerwała mi z oczu różowe okulary i nakazała definitywnie zerwać tę znajomość. Zrobiłam to, lecz dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Najgorzej było w pracy, gdzie musiałam uważać na to, co robię i udawać dobry humor, by inni nie zorientowali się, że coś leży mi na sercu.

– Pobudka! – krzyknęła Agata, uderzając dłonią o blat mojego biurka, a ja podskoczyłam na krześle.

Najwyraźniej dostrzegła, że pokładam się ze zmęczenia, i postanowiła mnie otrzeźwić.

– Ojej, rzeczywiście, omal nie usnęłam. W nocy nie zmrużyłam oka – wymamrotałam.

– Nie śpij, bo telefonu nie usłyszysz. Skoczycy do kiosku i kupić ci kawkę instant?

– Dziękuję, dam sobie radę. – Uśmiechnęłam się, przecierając palcami kąciki oczu.

– Poproszę Józefinę, żeby pozwoliła mi skorzystać z ekspresu. W końcu umiem go obsługiwać.

– No pewnie, skoro pod ręką jest prawdziwa kawa, trzeba korzystać! – zaaprobowała mój pomysł.

Zarejestrowałam ostatnie pismo i udałam się do Józefiny, która od dłuższego czasu rozkoszowała się spokojem dzięki nieobecności dyrektora Terenowskiego. Informację, że zastępca dyrektora wkrótce ponownie rozsiądzie się w swoim gabinecie zachowałam dla siebie, aby nie psuć Józefinie dobrego humoru. Mimo incydentu z bonami okolicznościowymi żał mi było koleżanki, bo nie miała łatwego życia z przełożonym – w końcu miałam okazję doświadczyć, jak ciężka to harówka. Gdy nie zastałam Józefiny, powędrowałam do pokoju Kingi.

Nieliczne chwile wolne, przeważnie pomiędzy odbieraniem a rejestrowaniem poczty, spędzałam z nią i z Piotrkim – kierownicą dyrektora głównego, który pojawiał się w biurze zawsze ze świeżą porcją nowinek.

Ten średniego wzrostu dwudziestopięcioletni blondyn miał notorycznie podkrążone oczy i wyglądał jak dzieciak z ambicjami, starający się nadrobić ubiorem



braki w prezencji. Śnieżnobiała koszula, starannie wyprasowana i zapięta pod szyją, do tego obowiązkowy krawat oraz grafitowy garnitur z kamizelką stanowiły nieodzowny element jego garderoby. Niekiedy odnosiło się wrażenie, że drobna postura ginie pośród licznych warstw materiału, które codziennie wkładał na siebie. Bez względu na to, czy na dworze panował siarczysty mróz, czy też trzeba było zмагаć się z palącym słońcem, Piotrek wyglądał nienagannie.

Większość czasu spędzał w delegacjach, w których uczestniczyli dyrektorzy i naczelnicy poszczególnych wydziałów, a potem zabawiał nas anegdotami. Dzięki temu choć przez moment mogłam odsunąć na bok zmartwienia i przetrwać w budżetowej dżungli.

– Cześć, Piotrek, co słyhać nowego? – zagadałam, gdy weszłam do sekretariatu Kingi, której, podobnie jak Józefiny, nie zastałam przy biurku.

– Siemka. Dzień jak co dzień. Za to przedwczoraj to lepiej nie mówić...

– A co się działo? – spytałam, zapominając, że miałam zamiar napić się kawy.

– Skończyłem pracę o osiemnastej, ale potem okazało się, że mam nadprogramowy wyjazd.

– Nadprogramowy?

– Musiałem porozwozić dyrektorów, którzy byli na libacji, och, przepraszam, konferencji. Jeden z nich zadzwonił do mnie do domu o północy i kazał szybko przyjeżdżać do Hiltona. Ponieważ dwóch dyrektorów mieszka w przeciwległych częściach Warszawy, a trzeci w Siedlcach, do domu wróciłem o piątej rano. – Ziewnął szeroko.

– Współczuję...

– Dzięki. Chwilę się przespałem, a z samego rana zadzwonił dyrektor i kazał mi przyjechać po niego do domu.

– I co zrobiłeś? – ciągnęłam go za język.

– Zadzwoniłem do dyspozytora i grzecznie poprosiłem, aby mnie nie wypuszczał. Zgodnie z przepisami kierowca powinien mieć jedenaście godzin odpoczynku po pracy. Dyrektor się wkurzył i spytał, skąd takie przepisy. Wyjaśniłem, że dyspozytor nie może ryzykować, że zasną za kierownicą i mnie nie wypuści. To jest tak zwany „dupochron”. A dyrowi powiedziałem, że jeśli chce, żebym przyszedł do pracy, muszę mieć jego pisemną zgodę, że bierze za to odpowiedzialność.

– I co?

– Zawahał się, po czym stwierdził, że nie ma zamiaru pisać żadnej zgody, ale w razie czego będzie interweniował. Jeszcze się głupio pytał, ile tych kilometrów zrobiłem, tak jakby podejrzewał, że majstrowałem przy liczniku. Jak chce, to niech sobie zajrzy do mapy i sprawdzi odległość między Warszawą a Siedlcami – mówił zde gustowany.

Do pokoju wróciła Kinga, której Piotrek wcześniej opowiadał to samo.

– Ech, dyrektorzy nie znają przepisów. Nadają się tylko do rozkazywania i stawiania parafek, a i tak nie wiedzą, gdzie się mają podpisać, jeżeli nie przyklei się im karteczki we wskazanym miejscu. Potem chodzi taki nabzdyczony cały dzień, a jak im sekretarka wsypie do herbaty o kilka ziarenek cukru za dużo, to wpadają w szal –

podsumowała.

– Jawny bandytyzm – skomentowałam oburzona.

– Żebyś wiedziała. Kolegom, którzy myślą, że moja praca to bajka, zamykam gęby słowami: kierowca to taki giermek dwudziestego pierwszego wieku – dodał na koniec.

Po tej historii zaczęłam dostrzegać zalety pracy w sekretariacie. Owszem, zdarzały się gorsze chwile, ale szofer dyrektora miał gorzej. W budżetówce panowało przekonanie, że kierowcy i sekretarki wykonują najbardziej niewdzięczną i stresującą pracę, ale stanąwszy z Piotrem na podium, uznałam, że to jemu zdecydowanie należy się złoty medal.

Wraz z początkiem miesiąca zaczęłam widzieć świat w jaśniejszych barwach. W zatechłych murach budżetówki człowiek rzadko miał dobry humor, ale nadsyłany przez wydział finansów pasek płac pozytywnie wpływał na morale pracowników. Siedziałam właśnie za biurkiem i rejestrowałam kolejną stertę papierków, które rano przekazała mi Kinga, gdy usłyszałam dobiegający dzwonek telefonu Renaty. Szefowej nie było w pokoju, więc podbiegłam odebrać szybką linię. Na niebieskim wyświetlaczu pokazał się skrót: z-ca dyr. Chwyciłam słuchawkę, spodziewając się melodyjnego głosu Józefiny, lecz ku memu zdziwieniu usłyszałam męski baryton. Natychmiast go rozpoznałam. To był dyrektor Terenowski.

– Gdzie jest Renata? – spytał. Nawet nie raczył się przedstawić.

– Poszła na spotkanie z naczelnikiem Perełką, mam przekazać, że pan dzwonił? – zapytałam zszokowana.

– To chyba oczywiste! Czekam na szczegółowy raport o zadaniach ustalonych w czasie mojej ostatniej nieobecności. Na już.

– Dobrze, przekażę. Czyli rozumiem, że jest pan dziś w pracy?

– To jasne, jestem! Po co zadaje pani takie idiotyczne pytania?

Oniemiałam z oburzenia, ale nauczona doświadczeniem, nie wdawałam się z nim w dyskusje.

– Przekażę pani Renacie polecenie – zapewniłam uprzejmie.

– Dobrze. Żegnam – powiedział i się rozłączył.

Stałam jak zakłęta przy biurku szefowej, trzymając w ręku słuchawkę, z której wydobywał się sygnał przerwanej rozmowy. Krzyk dyrektora stopniowo milkł w moich uszach. A jeszcze chwilę temu dźwięczał mi w głowie niczym przejeżdżający obok Orient Express.

– Pani Karolino, kiedy mogę odebrać pisma? – Do gabinetu pani Renaty zajrzał pan Włodek.

– Wie pan, że dyrektor Terenowski wrócił do pracy? – spytałam, ignorując jego pytanie.

– Złego licha nie weźmie, a co dopiero policja – pozwolił sobie na ostry komentarz.

– Ale jak to możliwe, że on tak szybko...?

– Jak widać, w starciu z wymiarem sprawiedliwości wygrał dyrektor.

– Ma pan rację. Złamał prawo, ale szybko odzyskał ciepłą posadkę. Powinien chodzić jak pies z podkulonym ogonem, starając się, by nikt go nie zauważył, a tymczasem robi wokół siebie szum większy niż przed aferą. Proszę sobie wyobrazić, że sekundę temu nakrzyczał na mnie przez telefon! – żaliłam się.

– Nie rozumiem ludzi, którzy źle traktują podwładnych – powiedział. – Wszyscy jesteśmy częścią łańcucha pokarmowego, w którym większy zjada mniejszego. Taki już nasz los, przynajmniej w tej instytucji.

– Smutna prawda – przyznałam, a następnie wręczyłam mu pisma, na które czekał. Dyrektor Terenowski wrócił na swoje stanowisko i diametralnie zmienił podejście do pracowników. Dotyczyło to również Józefiny, która jak dotąd była jego ulubioną pracownicą.

Pewnego dnia, gdy siedziałyśmy w sekretariacie z Agatą i Anią, z niecierpliwością odliczając godziny do wyjścia z pracy, wpadła do nas Józefina.

– Cześć, dziewczyny – zagadnęła.

– Cześć – odpowiedziałyśmy chórem.

– Renata jest u siebie? – spytała, widząc zamknięte drzwi do jej gabinetu.

– Tak, wchodź. Coś się stało? Masz rozmazany tusz pod okiem – zauważyła Ania.

– Nie, nic się nie stało – odparła lekko łamiącym się głosem i wybuchnęła płaczem.

– Dyrektor Terenowski poprosił, abym wyprasowała mu koszulę od garnituru, który przechowywał w służbowej szafie. Zdenerwowałam się, bo czekała mnie walka z czasem, ale na szczęście koleżanki z zaopatrzenia szybko podrzuciły mi na górę żelazko. Nie mam deski do prasowania, rozłożyłam więc ubranie na stole konferencyjnym w gabinecie szefa, który był w tym czasie na odprawie u głównego dyrektora. Pech chciał, że wrócił wcześniej i zastał mnie w trakcie prasowania. Pospiesznie wyłączyłam żelazko i modliłam się, aby był zadowolony z efektu. Wygładziłam koszulę i spytałam dyrektora, gdzie ją schować. „Nie wie pani? W dupie!”, wrzasnął, po czym odwrócił się na pięcie i wypadł z gabinetu – wyznała, szlochając.

Wmurowało nas w podłogę. Wiedziałyśmy, że dyrektor nie należy do ludzi, którzy słyną z uprzejmości, ale tym razem naprawdę przesadził.

– Co za prostak! – skwitowała z oburzeniem Agata.

– Nie przejmuj się, wiem, że łatwo mówić, ale niedawno mnie też opieprzył, tyle że przez telefon. Jego krzyk długo dźwięczał mi potem w głowie – streściłam całe zajście.

– Dziwne, że tyle lat z nim wytrzymywałaś – dodała Ania.

Słyszając podniesione głosy, z gabinetu wyłoniła się pani Renata.

– Co to za zbiegowisko, dziewczyny?

– Złot czarownic, chcących rzucić urok na dyrektora Terenowskiego – zażartowała Agata.

– A co tym razem zrobił, poza tym, że cudem uniknął jedzenia cebuli na obiad? – zaciekała się szefowa.

– Zachował się jak cham – wyznała Józefina i opowiedziała całą historię.

– No nie, tego już za wiele, natychmiast idę z tym do dyrektora Malinowskiego. Dawno powinien zrobić z tym porządek! – wściekła się szefowa, która zawsze stawała w obronie poszkodowanych.

Gdyby mogła od nowa wybrać ścieżkę kariery, z pewnością zostałaby rzecznikiem praw kobiet.

– Myślę, że szkoda zachodu. On jest nie do ruszenia – odradziła Józefina, pogodzona ze swoim losem.

– Ale tak nie można traktować pracowników. Nie jesteś jego służącą – upierała się pani Renata.

– Naprawdę, lepiej to zostawić. Potem miałabym tylko kłopoty. A tak się cieszyłam

po tej aferze korupcyjnej, że będę mieć nowego dyrektora...

Przypomniał mi się Krystian i poczułam przyływ adrenaliny. Szybko jednak opanowałam się i zesłam z chmur z powrotem na ziemię.

– Dobrze, ale jeśli to się powtórzy, masz od razu przyjść do mnie, jasne? – zaznaczyła szefowa.

– Oczywiście, dziękuję.

Kiedy zobaczyłam, jak Józefina płacze, po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się jej żal. Zdałam sobie sprawę, że nie miała łatwego życia z dyrektorem Terenowskim. Kiedy ją zastępowałam, czułam się, jakbym siedziała na bombie zegarowej. Musiałam dostosowywać rytm dnia do oczekiwań dyrektora. Tam każdy nawet najmniejszy gest miał horrendalne znaczenie. Jedno słowo za dużo, jedna niepotrzebna uwaga, a dyrektor od razu wpadał w szał. Wszystkie polecenia należało wykonywać z najwyższą starannością i zawsze w terminie.

Dyrektor nadużywał władzy nie tylko w kwestiach merytorycznych. Zamawiał dziennie takie ilości kawy, że limit budżetu na zakupy wyczerpywał się w połowie miesiąca. Józefina musiała dokładać do tego interesu. Nie chciała narażać się dyrektorowi, więc poświęcała swoje pieniądze, a on pełną gębą korzystał z przywilejów, delektując się świeżo paloną kawą i ciasteczkami z delikatesów. Nie interesowało go, które z produktów zostały zakupione z funduszu reprezentacyjnego, a które z prywatnej kieszeni Józefiny.

Pod koniec dnia zajrzałam do Józefiny.

– Przykro mi, że dyrektor źle cię potraktował – powiedziałam szczerze.

– Dzięki za wsparcie. Zrozumiałam, że on się nie zmienia. Kiedyś polecił mi przygotować dla wszystkich pracowników świąteczne kartki z życzeniami od niego. Z reguły nie zwracał sobie głowy takimi drobnostkami, ale kilka tygodni wcześniej obronił pracę habilitacyjną, więc postanowił dopilnować tego, by inni dowiedzieli się o tym fakcie. Kazał mi skopiować z internetu jakiegokolwiek życzenia. Bo najważniejszy był podpis: „życzy dr hab. Tadeusz Terenowski”. Rozumiesz? Doktor habilitowany! – emocjonowała się Józefina.

– Poważnie? Czyli to były pierwsze życzenia, jakie złożył pracownikom? – zapytałam.

– Zgrabnie to ujęłaś. Oczywiście wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi. Pamiętam, że mieli z tego niezły ubaw. Poza mną...

– Dlaczego?

– Żaden z pracowników nie złożył mu gratulacji, więc odegrał się na mnie. „To jest skandal! Zrobiłem habilitację i nikt się tym nawet nie zainteresował!”, wrzeszczał. – Zabawnie naśladowała dyrektorską mimikę swojego szefa.

W tym momencie do pokoju wkroczył dyrektor Terenowski i obrzucił nas groźnym spojrzeniem. Żadna z nas nie odważyła się odezwać. Przypomniałam sobie scenę z *Parku jurajskiego*, w której wszyscy zastygli, by nie sprowokować rozwścieczonego tyranozaura. Miałam nadzieję, że jeśli się nie poruszę, dyrektor mnie nie zauważy.

– Pani Józefino – odezwał się władczo do swojej sekretarki. – Proszę niezwłocznie skserować te dokumenty w trzech egzemplarzach, a następnie pierwszy przesłać do wydziału personalnego.

– A co z dwoma pozostałymi? – dopytała Józefina, przelękając jednocześnie ślinę.

– Proszę je zanieść do mojego gabinetu. Ale przedtem zeskanować i przesłać na moją pocztę. Chcę to mieć również w wersji elektronicznej. Za piętnaście minut.

– Tak jest, panie dyrektorze – odpowiedziała.

Na jej czoło wystąpiły kropelki potu. Wytarła łzę z kącika oka i natychmiast zabrała się do pracy. Aby jej nie przeszkadzać, wymknęłam się po angielsku. Wiedziałam, że w najbliższym czasie nie będzie nam dane zamienić słowa.

Wydział do spraw remontów zatrudnił w końcu nową sekretarkę. Naczelnik Perełko wspominał, że jego poprzednia podwładna zmieniła pracę, ale plotki głosiły, że od dawna chorowała na depresję i nie była już w stanie zajmować się sekretariatem. Oficjalnie odeszła za porozumieniem stron. Kiedy pracownicy wydziału skarżyli się na bałagan w sekretariacie podczas bezkrólewia, naczelnik z kierownikiem Nieziołkiem postanowili zakasać rękawy i znaleźć osobę, która sprawnie upora się z nagromadzonym bałaganem.

– Widziałyście nową dziewczynę od Perełki? Wygląda na nieco dziwną. – Gdy Józefina oparła się o biurko Kinga, suwak jej ołówkowej spódnicy omal nie pękł.

– No, miałam okazję ją poznać, kiedy przyszła dziś po pocztę. Entuzjastycznie nastawiona do pracy, co mnie nie dziwi, bo każdy tak ma na początku. Szybko jej przejdzie – odparła Kinga, której pokój stanowił centrum spotkań sekretarek, umawiających się pod pretekstem odbioru dokumentów, by omawiać najświeższe ploteczki.

– Marina piała z radości od samego początku i wcale jej nie przeszło – wtrąciłam.

– Ona jest osobnym przypadkiem, o czym świadczy choćby fakt, że nie ma jej tutaj z nami – powiedziała Kinga.

– To prawda – przyznałam.

Józefina wciąż była pod wrażeniem nowej sekretarki.

– Zauważyłyście, że ona nosi cienkie białe rękawiczki? Czyżby miała coś nie tak z dłońmi? – zastanawiała się.

– Rzeczywiście – przytaknęła Kinga. – A ty, Karolina, co o niej sądzisz?

– W zasadzie jeszcze jej nie wiedziałam. Ale zaraziłyście mnie swoją dociekliwością. Ciekawe, dlaczego zakrywa dłonie?

– Kto wie, może to jakaś fanka *Perfekcyjnej pani domu* i robi naczelnikowi test białej rękawiczki – zażartowała Józefina.

– Ale z ciebie modelka – zaśmiała się Kinga, patrząc na Józefinę.

Zesłam piętro niżej, aby przywitać się z nową sekretarką. Byłam bardzo ciekawa, jaką jest osobą i co zdecydowało o tym, że naczelnik Perełko wybrał właśnie ją. Zapukałam do drzwi, po czym weszłam do środka.

Klara okazała się średniego wzrostu brunetką i miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Wyglądała dość oryginalnie w długiej rozkloszowanej spódnicy do ziemi oraz czarnej marynarce, spod której wylaniała się pstrokata bluzka z żabotem. Na pierwszy rzut oka jej fryzura przypominała stylizacje Amy Winehouse w połączeniu z uczesaniem Winony Ryder w *Soku z żuka*. Kruczoczarne włosy, w zestawieniu z nietypowym jak na dzisiejsze czasy strojem, byłyby wyzwaniem dla niejednej stylistki z telewizyjnych programów o modzie. Pomijając te wszystkie detale, które wręcz zachęcały do wyrobienia sobie niezbyt przychyłnej opinii na jej temat, Klara sprawiała wrażenie osoby o przyjaznym

usposobieniu.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem.

– Witam – odpowiedziała cicho.

– Jestem Karolina. – Wyciągnęłam do niej rękę.

– Miło mi, Klara. – Odwzajemniła uścisk.

– Już się zaaklimatyzowałaś?

– Próbuję odnaleźć się w tym bałaganie. Czeka mnie sporo pracy, zanim to wszystko poogarniam.

– Na pewno sobie poradzisz. Gdybyś czegoś potrzebowała, znajdziesz mnie piętro wyżej. Zresztą pewnie będziemy się widywały, bo jestem sekretarką w wydziale administracyjnym, który współpracuje ze wszystkimi wydziałami.

– Dziękuję, będę pamiętać.

– Powodzenia i do zobaczenia – powiedziałam.

– Do zobaczenia. Jeszcze raz dzięki – odpowiedziała ze szczerym uśmiechem.

Mimo iż bardzo mnie to intrygowało, nie ośmieliłam się zapytać o rękawiczki. Może miała problemy skórne albo jakieś nieciekawie wyglądające blizny? A może najzwyczajniej w świecie dopełniały jej awangardowego stylu? Postanowiłam przy pierwszej nadarzającej się okazji poruszyć ten temat.

Któregoś dnia pani Renata poprosiła, abym zaniosiła dokumenty do wydziału remontowego.

– Hej, szefowa prosiła, żeby ci to przekazać. – Podałam Klarze materiały dotyczące szkolenia BHP, które miało wkrótce się odbyć.

Na szczęście sama miałam już ten etap za sobą i nie musiałam ponownie znosić towarzystwa pani Meli czy Soni, które niegdyś urządziły mi z tego powodu piekło.

– Dziękuję, od razu zacznę je studiować – zaangażowała się.

– Nie ma potrzeby, rozwiązujemy wszystko wspólnie, a prowadzący dyktuje uczestnikom odpowiedzi – podzieliłam się z nią cenną wiedzę.

Pomijając całą resztę, za tę informację byłam mu bardzo wdzięczna.

– W takim razie tylko je przejrzę, żeby wiedzieć co nieco. Dzięki, że mnie uspokoiłaś, bo już się zaczynałam stresować, że nie zdam – zaśmiała się.

– Nie ma obawy. A tak à propos studiów, na jakiej uczelni studiowałaś? O ile to nie jest niedyskretne pytanie... – Nie zdążyłam ugryźć się w język, bo przecież Klara nie musiała wcale studiować.

– To żadna tajemnica, a wręcz jestem z tego dumna. Ukończyłam Akademię Muzyczną w Katowicach na Wydziale Wokalno-Instrumentalnym.

– Naprawdę? A w czym się specjalizujesz? – zainteresowałam się.

– Gram na harfie – wyjaśniła.

– Serio? – nie kryłam zdumienia.

– W rzeczy samej. Harfistka pracująca z murarzami, kto by pomyślał, co nie?

– Fakt, rzadko spotyka się tu tak interesujące osoby. I dlatego nosisz rękawiczki w pracy? – spytałam prosto z mostu.

– Tak, muszę chronić dłonie, bo w weekendy udzielam lekcji kilku uczniom.

Sprawa z tajemniczymi rękawiczkami w mgnieniu oka została wyjaśniona, co



zaspokoilo nie tylko moją ciekawość, ale również Kingi i Józefiny, którym później przekazałam nowinę.

– Fajne, gratuluję talentu – uśmiechnęłam się życzliwie. – Przypomniała mi się scena z *Nocy w operze*, kiedy Harpo Marx daje popis gry na harfie.

Choć nie miałam nic wspólnego z muzyką poważną, starałam się podtrzymać rozmowę.

– Uwielbiam ten film, pozostałe zresztą też. W ogóle lubię nieme kino. Chaplina, Keatona, Lloyda... – rozgadała się.

– Ja też, ale poza tym gustuję również w surrealizmie. Lynch, Jonze, Buñuel...

– Tak, nie ma jak kino dla myślących. Nie to, co teraz kręcą.

– Widzę, że obie lubimy sztukę. W takim razie powiedz, co robi harfistka na etacie sekretarki?

– Z harfy nie da się żyć, poza tym chciałam spróbować czegoś nowego, no i trafiła się ta praca. Zawsze byłam związana ze światem artystycznym. Koncerty, wyjazdy z orkiestrą, ale teraz chciałabym od tego odpocząć. Potrzebuję stabilizacji.

– Tu ją na pewno znajdziesz. Swoją drogą, przyznam ci się, że miałam być zatrudniona na twoim stanowisku.

– Poważnie?

Odniosłam wrażenie, że Klara się wycofuje.

– Tak, ale zrezygnowałam.

– Dlaczego? – Zrobiła wielkie oczy.

– Źle się czuję w roli sekretarki. Inne dziewczyny potrafią się utożsamić ze swoim stanowiskiem, ale ja nie umiem. Tak więc ty przyszedł na stanowisko sekretarki, a ja bym chciała odejść – zwierzyłam się jej.

Klara wyglądała na zatrwożoną.

– Rozumiem, każdy szuka swojego miejsca na ziemi. Sama jeszcze nie do końca się odnalazłam – wyznała.

– Mam nadzieję, że cię nie zdołowałam. Ale z każdym dniem coraz trudniej jest przyklejać sobie uśmiech na twarz. W każdym razie, póki co, zachowaj to dla siebie. Mam wrażenie, że tobie można ufać.

– Oczywiście, nikt się nie dowie. Naprawdę mało jest dziś szczerych ludzi, ale uchowały się takie niedobitki jak ja – odparła żartem.

– I całe szczęście – uśmiechnęłam się. – Uciekam, bo się zagadałyśmy, a pani Renata pewnie wysłała już za mną oddział pościgowy.

– Leć, leć – puściła mi oko.

Nie chciałam zniechęcać Klary do pracy w naszym biurze. Ciężko mi było jednak utrzymać w tajemnicy fakt, że od dawna rozważam odejście z budżetówki. Praktycznie nikt poza Irminą, Kingą i Agatą nie wiedział, że się tutaj męczę. Stwierdziłam zatem, że mogę wygadać się komuś jeszcze niezrzeszonemu, kto nie ma bladego pojęcia o tym, co się wydarzyło w tym miejscu w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Opuściły mnie wyrzuty sumienia, że odmówiłam naczelnikowi Perełce. Cieszyłam się, że zatrudnili Klarę. W ten sposób kolejna osoba w tym kraju dostała pracę, ja miałam czyste sumienie, a naczelnik zyskał wreszcie nową sekretarkę. I wszyscy byli zadowoleni.

Jak się później okazało, dwie trzecie z naszej trójki.

Wkrótce doszły mnie słuchy, że Klara ma problemy z adaptacją w nowym środowisku.

Przez pierwszy miesiąc nasza koleżanka, jak przystało na świeżo zatrudnioną, postanowiła zrobić dobre wrażenie i przychodziła do biura i wychodziła z niego pół godziny wcześniej. Liczyła, że kierownic-two spojrzy na nią przychylnie i tym chętniej podpisze z nią drugą umowę. Jednak po dwóch miesiącach Klara zmieniła się w kłębek nerwów.

– Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? – zapytałam ją, widząc, jak chaotycznie bierze się za załatwienie kilku spraw naraz.

– Daj spokój, szkoda gadać – rzuciła, wpatrując się w stos papierów porzrzucanych na biurku. – Nie wiem już, za co się złapać.

W dniu, w którym ją poznałam, jej uczesanie było odzwierciedleniem artystycznej natury, ale teraz przypominało bardziej wołanie o pomoc.

– Może się do czegoś przydam? – zaoferowałam się.

– Nie trzeba, kochana, z papierzyskami się uporam, ale nie to jest najgorsze.

– A co?

Przerwała porządkę, by opowiedzieć mi o tym, co od dawna leżało jej na wątrobie.

– Karolina, nie wiem, jak ty tu wytrzymujesz. Normalnie nie da się wytrzymać! Jak na Dworcu Centralnym!

– Nie martw się, u mnie jest podobnie – pocieszyłam ją.

– A czy u ciebie szefowa rzuca co minutę „kurwa mać”?! – krzyknęła zdesperowana.

Okazało się, że każdego ranka do prawego ucha Klary regularnie wpadała wiązanka przekleństw – prosto z gabinetu naczelnika Perełki, zaś do jej lewego ucha – niecenzuralna łacina produkowana przez kierownika Nieziołka wraz z jego nieświeżym oddechem.

– Klaro, praca w tej instytucji wymaga wielu poświęceń. Jednym z nich jest rezygnacja z osobistych przekonań i wartości. Tylko tak można tu wytrzymać i dlatego zamierzam stąd odejść.

– Masz rację. Ja już nie wytrzymuję, a minęły zaledwie trzy miesiące.

– Trzeba coś z tym zrobić. Ja spróbuję rozejrzeć się za przeniesieniem do innego biura – powiedziałam.

– Zwariowałaś? Przecież to podróż donikąd. Trafisz z deszczu pod rynną, na pewno znowu do jakiegoś sekretariatu! – nawijała jak w transie.

– Może przynajmniej do takiego, który obsługuje samych ważnych. Wiesz przecież, że im wyżej, tym łatwiej. Większa kultura...

– Co do kultury nie jestem pewna, ale „ku...” masz jak w banku – skwitowała. – Na marginesie, nie tylko przekleństwa mnie rażą... Wiesz, co ostatnio powiedział do mnie kierownik Nieziołek, gdy uprzedziłam go, że wybieram się do kiosku po jedzenie? „Kochana, przyniosę ci gorącego banana. Powiedz mi tylko, gdzie mam go wsadzić, żeby nie wystygł”.

– Nie do wiary! Co za cham! – oburzyłam się.

– Tak to jest, jak się pracuje z burakami. W dodatku on się nie myje i co dzień muszę oglądać jego zacieki pod pachami! Rzygać mi się chce na jego -widok...

– O rety...

– Nie spodziewałam się takiego chamstwa. Karolina, powiedzmy sobie jasno. Pracujemy w kołchozie. Powinnam była dwa razy zastanowić się, zanim zdecydowałam się na pracę w wydziale remontowym... Wydział remontowy... Zwróciłaś uwagę na jego skrót? WR – to brzmi jak choroba weneryczna! Cały ten wydział jest zakażony! – majaczyła od rzeczy.

– Tak, Klaro, jest zakażony. – Pokiwałam głową, obserwując reakcję Klary.

Ani się obejrzałam, jak upłynęły trzy miesiące okresu próbnego, po którym Klara miała dostać od naczelnika Perełki kolejną umowę. Wiedziona ciekawością i po trosze zaangażowana w wydziałowe problemy koleżanki, zajrzałam do Kingi, aby pociągnąć ją za język w sprawie przedłużenia Klarze umowy. W końcu to do niej wpływały najważniejsze pisma, także z wydziału kadrowego.

– Nic nie wiesz? Klara odeszła z pracy – oznajmiła Kinga, ostrząc ołówki automatyczną temperówką.

– Ale jak to? – zaniemówiłam.

– Podobno źle się tu czuła. Kurczę, Perełko ma pecha do sekretarek – skomentowała, jednocześnie kłując się w palec końcówką ołówka, by sprawdzić jego ostrość.

– Próbowwała przenieść się gdzie indziej?

– Nie. Podobno nie chciała mieć już nic wspólnego z naszą instytucją.

– Kto by pomyślał! Ty czy ja męczymy się tu tyle czasu, a ona postawiła wszystko na jedną kartę, licząc się nawet z utratą płynności finansowej. Musiała być naprawdę zdesperowana...

I tak straciłam kontakt z Klarą. Nie wymieniliśmy się numerami telefonów, a ona nie korzystała z portali społecznościowych. Nurtowało mnie, dlaczego zrezygnowała z pracy. Przez nadmiar obowiązków lub skandaliczne zachowanie przełożonych? A może była zbyt subtelną osobą i po prostu nie pasowała na sekretarkę? Zastanawiałam się, jak wyglądałaby moja sytuacja zawodowa, gdybym jednak posłuchała Renaty i przyjęła ofertę pracy u naczelnika Perełki. Wtedy Klara nigdy by do nas nie trafiła i nie przeszłaby załamania nerwowego. Ale kto wie, czy Perełko z Nieziołkiem nie zgotowaliby mi czegoś znacznie gorszego niż to, co zaserwował mi pan Paweł. Długo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że każdemu z kierowników w budżetówce, który nie odrobił lekcji z zarządzania personelem – a Nieziołek powinien dodatkowo przestudiować podręcznik higieny osobistej – należy zapewnić szkolenie w tym zakresie, a nawet krótki kurs inteligencji emocjonalnej. Być może wtedy nie musieliby tak często ogłaszać nowych naborów na stanowisko sekretarki.

– Kurde, ostatni raz biorę komputer na siebie! Teraz nie mam komu go przekazać i wisi na moim stanie! – krzyknął z rana Piotrek.

– A co ci mówiłem? Takich rzeczy się nie robi. Ile lat pracujesz w tym burdelu? Możesz co najwyżej wziąć komputer i pokwitować, że został wydany, a niech cię ręka boska broni, żeby brać to jako przyjmujący – pouczał go inny kierowca, który przywiózł ważnego gościa na spotkanie z dyrektorem Malinowskim.

Z tego, co zdążyłam zauważyć, nie tylko sekretarki trzymały się w tej instytucji razem, kierowcy również. Wszelkie przymierza zawierane między pracownikami uzależnione były od hierarchii stanowisk, dlatego na przykład panie z kancelarii nie dzieliły się plotkami z działem księgowości, a serwis sprzątający trzymał się z dala od kierownictwa. W budżetówce każdy znał swoje miejsce w szeregu.

– No widzisz, a ja się ulitowałem i teraz mam za swoje.

– Na drugi raz bądź ostrożniejszy. Ciężko się pozbyć takiego balastu.

– Widzę, że koledzy od rana w dobrych humorach? – zagaiłam, gdy pokwitowałam pismo w dzienniku podawczym Kingi.

– Oj, tak, radośni jak skowronki, które uciekły przed dubeltówką – odezwała się Kinga.

Urządzenie wielofunkcyjne przy biurku Kingi zniecka wypłuło faks. Pokażna lista adresatów wyraźnie sugerowała, że został rozesłany po wszystkich wydziałach. List został wysłany przez anonimowego nadawcę, a zamiast klasycznej czcionki widniał na nim odręczny – jak gdyby naprędce pisany – tekst: „Drodzy pracownicy, wyjdźcie przed budynek, a będziecie świadkami skandalu, o jakim wam się nie śniło!”.

Zdążyłyśmy wymienić z Kingą spojrzenia, a do sekretariatu wparowała Józefina, ciągnąc za sobą tabun pozostałych sekretarek.

– Dziewczyny, chodźcie! Chłopaki, wy też! – nawoływała jak na wiecu wyborczym.

– Ale co się stało? O co chodzi? – dopytywała się Kinga.

– Dostałam cynk, że na dworze przed budynkiem jakiś kierownik paraduje nago!

– Że co?! – wydałyśmy z Kingą okrzyk zdziwienia.

– Ktoś go przyuważył i wysłał faks do wszystkich. Lecimy sprawdzić!

Thum gapiów, którego byłam częścią, wybiegł na zewnątrz jak na ćwiczenia przeciwpożarowe. Wszyscy gapili się na mężczyznę przy fontannie. Był to kierownik Marczak z wydziału motoryzacyjnego, z którym jak dotąd miałam niewiele wspólnego. Stał tam nagusieńki, jak go Pan Bóg stworzył, i trzymał w dłoniach wędkę, której haczyk zatopiony był w wodzie.

– Czy on zwariował? Tak się publicznie obnażyć! – gorszyły się panie z kancelarii.

– Biedny pan Marczak... Straszne! Do czego to doszło? – szeptały kadrowe.

– Patrzcie, jakie ma jajka! – krzyknął ochroniarz.

– Trzeba coś z tym zrobić, przecież to zaraz dotrze do dyrekcji – skomentował naczelnik z wydziału kwatermistrzowskiego, którego niegdyś ochrzciłam mianem Świętego Mikołaja od malizny.

Pośród gęstego tłumu wypatrzyłam dobrze mi znane trio w postaci pani Meli, Soni i Mariny. W tych okolicznościach żadna z nas nie miała ochoty na tradycyjny pojedynek. Wokół instytucji zgromadziło się sporo przypadkowych przechodniów, którzy zatrzymywali się z ciekawości przy bramie. Ktoś zadzwonił po pogotowie i niebawem jeden z ratowników medycznych, ubrany w czerwony strój z krzyżykiem na prawym ramieniu, wyprowadził nagiego mężczyznę z wody. Kierownik Marczak opuścił rękę i wędka upadła na trawę.

– Proszę się rozejść! – nakazał sanitariusz, okrywając kierownika kocem.

Po chwili karetka z trudem wycofała się i odjechała na sygnale.

– Dlaczego on łowił ryby w tej fontannie? – zastanawiała się Józefina, zwrócona twarzą do pozostałych sekretarek.

– Trudno powiedzieć. Słabo go znałam. Kiedy przychodził do dyrektora Malinowskiego na odprawę w zastępstwie swego naczelnika, zachowywał się, jakby go wcale nie było. Zawsze w tym samym znoszonym garniturze w szare prążki, nigdy nie chciał żadnej kawy, chyłkiem przemykał korytarzami i chował się w swoim pokoju – powiedziała Kinga.

– Bardzo mu współczuję – dodałam od siebie.

W pracy jeszcze przez jakiś czas huczało od plotek i złośliwych komentarzy. Gdzie nie poszłam, wymieniano między sobą opinie na temat kierownika Marcza.

– Od dawna nie radził sobie z nadmiarem obowiązków. Za dużo brał na siebie. Siadał do pracy punkt ósma i zostawał po godzinach. Nic dziwnego, że w końcu go to przerosło – stwierdziła pani Renata.

– Stał tam rozebrany do rosołu i łowił ryby... Najpewniej dopadł go syndrom wypalenia zawodowego i sfiksował – dodał zaniepokojony pan Włodek.

– Ale jak mogło do tego dojść? – spytałam.

Nikt nie wiedział.

Kilka dni po ostatnich wydarzeniach, gdy siedziałam jak zwykle przy swoim biurku, zadzwonił telefon. Ku swemu zdumieniu w słuchawce usłyszałam głos kierownika Marcza, który dzwonił z recepcji.

– Pani Karolino, w zasadzie rozliczyłem już sprawy związane z obiegiwką, ale zapomniałem zabrać z gabinetu kilku rzeczy.

Ponieważ wydział, w którym pracowałam, był wydziałem administracyjnym, do naszych obowiązków należało między innymi zajmowanie się sprawami zlecanymi przez kadry.

– Aha, rozumiem. Jakich rzeczy?

– Pamiętkowy kubek i stare radio mogę sobie darować, ale została tam moja osobista klawiatura. Bardzo mi na niej zależy, a ponieważ formalnie nie mam już wstępu do biura, byłbym wdzięczny, gdyby zechciała ją pani znieść na dół.

– W porządku, proszę poczekać – zgodziłam się, mimo że w duchu nie byłam do tego przekonana.

Do pokoju weszła roześmiana Agata, podekscytowana upolowanym w drogerii fajnym lakierem do paznokci. Chciała pokazać mi własnoręcznie wykonany mozaikowy wzorek.

– Świetny, prawda? Najpierw nakładasz warstwę kolorową, a po wyschnięciu malujesz czarnym, który po kilku minutach pęka i tworzy fikuśne kształty.

– Rzeczywiście, ładny. Tylko że ja mam teraz poważniejszy kłopot niż freski na tipsach... – które na pewno nie trafią do podręczników historii sztuki, dodałam już w myślach.

– Co się znowu stało? – spytała znudzona Agata, nie spuszczać oczu z paznokci.

– Zadzwonił kierownik Marcza z informacją, że czeka na dole na swoją klawiaturę. Chce, żebym mu ją przyniosła. Ale gabinet jest zamknięty na klucz.

– Żaden problem! W sekretariacie masz kasetkę z kluczami do wszystkich pomieszczeń w wydziale. Wystarczy, że jeden klucz wypożyczymy, otworzymy, wyjmemy i oddamy delikwentowi, co mu potrzeba.

Po namyśle postanowiłyśmy spróbować. Bez trudu weszłyśmy do środka i ku naszemu zdziwieniu okazało się, że poza klawiaturą w pokoju znajdował się również komputer. Co ciekawe, włączony.

– Spójrz, Karolina, zapomniał wyłączyć sprzęt przed odejściem z pracy! – Perlisty uśmiech Agaty i żywa gestykulacja natychmiast wypełniły przestrzeń pustego dotąd pokoju.

– Dziwne – rzuciłam, drapiąc się za uchem.

– Musimy go wyłączyć, nie wiadomo, od ilu dni jest na chodzie! – zaniepokoiła się Agata.

– Dobrze, ty odsuń biurko, a ja wyjmę wtyczkę z kontaktu – przytaknęłam.

Tak też uczyniłyśmy i wyszłyśmy z powrotem na korytarz. Niestety, wpadłyśmy na szefową, która akurat wracała z odprawy.

– Co robiłyście w pokoju kierownika Marcza? – spytała pani Renata.

– Mmm... – bąknęłam, po czym przeprosiłam i wyjaśniłam sytuację.

– Niesłychane! Ja, żeby uzyskać zgodę na wstęp do tego gabinetu, musiałam pisać notatkę do dyrektora. A wy przekreśliłyście kluczyk i tak po prostu sobie weszłyście.

– Jeszcze raz przepraszamy, to się więcej nie powtórzy. Tylko co z klawiaturą?

– Niech kierownik Marczak nie będzie taki sprytny. Jeśli klawiatura faktycznie należy do niego, musi napisać pismo w tej sprawie.

– A lasy giną... – Znów ogarnęła mnie refleksja na temat całej tej bezsensownej papierologii. Poczułam żal na myśl o kilogramach nieustannie produkowanych kartek, które prędzej czy później lądowały w niszczarce.

Ta wielka machina kręcąca się jak wielki kołowrotek z chomikiem w środku dobijała mnie coraz bardziej. Czy nie można było pójść na rękę człowiekowi, który i tak wypadł z gry? Nigdy w życiu.

– Karolino, zabierz klawiaturę do sekretariatu, ja pójdę porozmawiać z panem Marczakiem. A ty, Agata, wracaj do swoich obowiązków.

– Tak jest! – zawołałyśmy zgodnym chórem.

Dziesięć minut później wparowała zdyszana Agata.

– Karolina, wiesz, co zrobiłyśmy? – wybełkotała.

– Popęlniłyśmy przestępstwo – zażartowałam.

– Wyłączyłyśmy cały serwer!

– Słucham? – wyjąkałam.

– Komputer, który odłączyłyśmy z gniazdka, zawierał całą bazę danych.

– Ale jak to? Skąd wiesz?.

– Dowiedziałam się od Kingi.

W tym momencie dziękowałam Bogu, że obdarzył Agatę talentem do błyskawicznego roznoszenia plotek.

– Trzeba przywrócić zasilanie – powiedziałam i w tym momencie zjawiła się pani Renata.

– Musicie odnieść sprzęt do gabinetu Marcza – oznajmiła.

Decyzja szefowej ułatwiła nam wykonanie zadania, które było prawie jak to z filmu *Włoska robota*, choć ja czułam się raczej jak James Steward w finałowej scenie *Zawrotu głowy*. Agata zagadała panią Renatę, a ja legalnie wkroczyłam do pokoju i zrobiłam, co należy. Na szczęście wszystko działało prawidłowo.

Dumna z siebie posłałam Agacie porozumiewawczy uśmiech, lecz mina mi zrzedła, bo zobaczyłam dyrektora Malinowskiego. Z daleka zauważył zamieszanie przy drzwiach byłego pracownika i postanowił sprawdzić, co się dzieje.

Postanowiłam ratować skórę starym, sprawdzonym sposobem.

– Panie dyrektorze, kierownik Marczak zadzwonił z recepcji i poprosił nas, byśmy przyniosły mu klawiaturę, która była częścią jego prywatnego sprzętu komputerowego. Do jego pokoju weszłyśmy za zgodą pani Renaty – blefowałam, szukając aprobaty w oczach szefowej.

– Hola, hola! Za zgodą to raczej wyszłyście! – sprostowała.

Poczułam, jak krew odpływa mi z nóg, a policzki przybierają kolor dojrzałego pomidora.

– Moje drogie panie. Wiele mówi się ostatnio o panu Marczaku. Każdy ma na ten temat własną opinię. Moja jest taka, że pan Marczak nie jest już naszym pracownikiem i nie należy oceniać przyczyn jego odejścia. W sprawie odbioru mienia musi zwrócić się pisemnie z prośbą o zwrot, żebyśmy mieli podkładkę na wypadek ewentualnej kontroli.

Dyrektor Malinowski był bardzo ludzki, a przy tym nawet na chwilę nie zapominał o pełnionej przez siebie funkcji. Ujęło mnie, że podchodził do sprawy w sposób pragmatyczny i nie pozwolił sobie na osobisty komentarz.

Prywatna apokalipsa kierownika Marczaka dała mi wiele do myślenia. Nie chciałam skończyć tak jak on. Również sytuacja Klary otworzyła mi oczy na wiele spraw. Czy ja chcę tak żyć?

– Mam już dosyć. Niedługo wyląduję w Tworkach albo skończę jak Marczak, łowiąc nago rybki w fontannie – szepnęłam do siebie. Wypowiedziałam to zdanie w złą godzinę. Znalazłam na biurku pismo czekające na zarejestrowanie i zaadresowane do mnie. Chwyciłam nożyk do papieru i rozcięłam kopertę.

„Uprzejmie informuję, że w związku z powrotem na stanowisko pracownika, w którego zastępstwie była Pani zatrudniona, z dniem (podano datę) nastąpi rozwiązanie umowy o pracę, zawartej na czas usprawiedliwionej nieobecności zastępowanego pracownika”.

Dotarło do mnie, że moje dni w budżetówce są policzone.

– Cóż, prędzej czy później musiała nadejść ta chwila – powiedziałam do siebie.

Odłożyłam pismo na biurko i przesunęłam wzrokiem po rozmieszczonych w pokoju meblach. Przez moment odniosłam wrażenie, że mam déjà vu. Przeżywałam już coś podobnego, gdy żegnałam się z sekretariatem Pawła, ale tym razem było inaczej. Tym razem wiedziałam, że utracę kontakt z osobami, których będzie mi brakować. Myśl o odejściu z budżetówki mimo wszystko napawała mnie nadzieją, że skończy się stres, w którym żyłam od dawna.

– Muszę jak najszybciej znaleźć nową pracę – postanowiłam.

Od tej pory stało się to moim głównym celem. A właściwie jednym z dwóch, ponieważ drugim było odzyskanie przyjaźni Krystiana. Upłynęło sporo czasu, a ja wciąż żałowałam, że nie dałam mu szansy.



NIEWAŻNE, KTO GRA, WAŻNE, KTO SĘDZIUJE

Wciąż zastanawiałam się, co pomyślał Krystian, kiedy zostawiłam go samego w kawiarni. Minęły ponad trzy miesiące, a ja godzinami wpatrywałam się w telefon z nadzieją, że do mnie napisze.

– Czemu się nie odezwał? – spytałam Natalię, oczekując pokrzepiającej odpowiedzi.

– Pogódź się wreszcie z tym, że to skończone. Przypomnij sobie, jak cię traktował. Poza tym upokorzyłaś go, a po czymś takim już się nie odezwie. – Nat-ka brutalnie zgasła tłącą się we mnie iskrę nadziei.

– Dzięki. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć...

– Na moją szczerłość, zawsze. Lepsza gorzka prawda niż życie w ułudzie.

– Czyli schrzaniłam sprawę? Ale przecież nie mogłam inaczej. Powiedz mi, dlaczego tak postąpiłam? – pytałam niczym pacjentka na kozetce u psychoanalityka.

– Bo lubisz dramatyczne chwile. Lubisz, jak ci serce wali od niepewności albo kiedy przechodzisz w związkach burze tylko po to, żeby wszystko i tak skończyło się happy endem. Ale życie to nie komedia romantyczna.

– Chcesz powiedzieć, że coś ze mną nie tak? Ja tylko nie umiem udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy nie jest. Owszem, Krystian mnie zauroczył. Ale tak naprawdę nie zdążyłam go poznać i nie umiem go rozszyfrować. Kiedy wydaje mi się, że zaczynamy się rozumieć, on wszystko psuje swoją beczelnością. Jakby szedł po linii najmniejszego oporu.

– To znaczy?

– Na przykład mówi, że mu się podobam, ale nie wyraża tego w sposób subtelny przez prawienie mi komplementów, tylko od razu ciągnie do łóżka. Kiedy mnie gdzieś zaprasza, narzuca miejsce i czas. Nigdy nie zapyta, co u mnie słyhać, dlaczego jestem smutna, co mnie cieszy. A kiedy przyznał się do popełnienia przestępstwa, bez skrpułów oznajmił, że chodziło o pieniądze, żałował tego tylko dlatego, że wpadł. Jest pozbawiony emocji i przyznaje to otwarcie.

– Rozumiem. Czyli chciałybyś, żeby był bardziej romantyczny?

Krystian romantyk? Trafny przykład oksymoronu, pomyślałam.

– A jaki jest według ciebie ideał faceta romantycznego? – wzięłam Natalię pod włos.

– Zależy od inicjatywy – odparła. – Kiedyś moja znajoma ze studiów dostała szampana w wiaderku wypełnionym lodem i pączkami róż.

– Jestem pewna, że Krystian nigdy by nie wpadł na podobny pomysł. To przekracza jego możliwości.

– Skoro zależy ci na takich gestach, dlaczego cały czas o nim myślisz? Mnie udało się zapomnieć o świństwach Afrima.

– To nie takie proste. Im bardziej jest niedostępny, tym trudniej mi o nim

zapomnieć. Jest jak zagadka, której nigdy nie zdołam rozwikłać.

Po rozmowie z Natalią dotarło do mnie, że podświadomie szukam sposobności, by skontaktować się z Krystianem. Kilka razy byłam o krok od wysłania mu wiadomości, lecz za każdym razem w ostatniej chwili kasowałam tekst, bo rozsądek szeptał mi do ucha: zrobisz z siebie idiotkę. Oszukiwałam samą siebie, że chcę jedynie przeprosić Krystiana za moje zachowanie. A w gruncie rzeczy pragnęłam znów się do niego zbliżyć. Był jak narkotyk, a ja wciąż byłam na głodzie i potrzebowałam kolejnej dawki. Targały mną sprzeczne uczucia, ale decyzja mogła być tylko jedna. Kilka razy przejechałam bezwiednie kciukiem po funkcji *send* i nim się zorientowałam, esemes został wysłany: „Źle zrobiłam, uciekając z kawiarni. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra”.

Wpadłam w panikę. Gdybym miała ściśle tajny program komputerowy i mogła włamać się do komórki Krystiana, żeby wykasować przychodzącą wiadomość, pomyślałam. Ale to było niemożliwe. Tak bardzo bałam się odpowiedzi, że chwyciłam telefon i wcisnęłam go w róg kanapy, jakby ukrycie go pod grubą warstwą poduszek miało stłumić moje problemy. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, więc zajrzałam do Natki. Siedziała przy komputerze i pisała pracę magisterską, z którą zmagala się od wielu miesięcy.

– Zgadnij, co właśnie zrobiłam... – powiedziałam, przeszkadzając jej w pracy.

– Co? – Odkręciła się na krześle obrotowym w moją stronę.

– Wysłałam do niego wiadomość. Kompletnie się skompromitowałam.

– I po cholere? Co będzie, jeśli odpisze? Chcesz to dalej ciągnąć?

– Sama nie wiem, czego chcę...

– Chcesz się z nim znowu spotkać i znowu się z nim drażnić, a potem tego żałować i tak w kółko.

Natka zawsze trafiała w sedno problemu.

– Naprawdę powinnaś być psychologiem – rzekłam z podziwem dla jej wnikliwości.

– Nie kuś, bo zarzucę pisanie tej cholerniej pracy. Wiesz, jak łatwo mnie rozproszyć

– nabrała werwy. – No i co zrobisz?

– Zależy, co odpowie, o ile w ogóle.

Po tygodniu zdałam sobie sprawę, że esemes od Krystiana nie nadejdzie. Popadałam w coraz większe przygnębienie i ciężko mi było się skoncentrować na pracy. Natalia miała rację. Lubiłam igrać z uczuciami, ale w ostatecznym rozrachunku to ja obrywałam po głowie.

Pewnego dnia w drodze powrotnej z pracy wstąpiłam do marketu. Daleko mi było do Nigelli Lawson czy Jamiego Olivera, ale postanowiłam upichcić kurczaka w karmelu z ryżem jaśminowym i zieloną sałatą. Zadzwoiłam do Natki i zaprosiłam ją na ten wymyślny obiad, ale powiedziała, że porwali ją koledzy z uczelni i zamierza spędzić z nimi w piwiarni kilka godzin. Czekał mnie zatem samotny posiłek.

Ugotowałam ryż i posiekałam sałatę, a następnie pokroiłam filety z kurczaka w kostkę i zabrałam się do przyrządzania karmelu. Połączenie masła z cukrem i sosem sojowym zrodziło na patelni piękny bursztynowy kolor. Kiedy woda z umytych filetów zaczęła powoli wsiąkać w drewnianą deskę, wrzuciłam mięso do woka i podkręciłam gaz.

W trakcie pracy nad kulinarnym objawieniem usłyszałam dźwięk przychodzącego esemesa, lecz byłam na tyle zajęta unikaniem ciosów zadawanych przez strzelające z patelni krople rozgrzanego karmelu, że go zignorowałam.

Gdy przygotowałam obiad, wyłożyłam wszystko na talerz i przeniosłam się z kuchennego aneksu do stolika. Wtedy sięgnęłam po leżący na nim telefon. „Co powiesz na obiad w Marrakesh Cafe?”, na widok esemesa serce zabiło mi mocniej. Żadnego „witaj” czy „pozdrawiam” na koniec. Krystian pomijał szczegóły. A dla mnie najważniejsze było, że się odezwał. Tym razem z góry wiedziałam, co odpisać. Wzięłam telefon i bez zbędnych rozważań wklepałam tekst.

„Jasne, dlaczego nie” – zdawkowa odpowiedź, ale stwierdziłam, że na początek wystarczy.

Po niespełna minucie nadszedł esemes.

„Świetnie, w najbliższy piątek o 18?”.

To dzieje się naprawdę. Niedługo się z nim zobaczę!

„Pasuje. Spotkajmy się przed wejściem do restauracji, OK?”.

„Nice:) Zatem see ya:)”.

Typowa odpowiedź w stylu Krystiana oraz obowiązkowe angielskie wstawki, żeby jeszcze dobitniej podkreślić pewność siebie.

Nie mogłam się doczekać, kiedy o wszystkim opowiem Natalii. Byłam ciekawa jej reakcji, zwłaszcza po tym, jak zabawiła się w psychoanalitka, uświadamiając mi powody mojego postępowania z facetami.

Naprawdę cieszyłam się na spotkanie z Krystianem. Zależało mi na tym, by zakończyło się ono inaczej niż poprzednie. Naładowana świeżą porcją endorfin zapomniałam o leżącym na talerzu jedzeniu, które do tej pory całkowicie wystygło. Nadziałam na widelec kawałek kurczaka pokryty glazurą w kolorze toffi. Nie przeszkadzał mi fakt, że mięso zdążyło zamienić się w gumę, a cukier, będący podstawą sosu, skrzystalizował się i chrupał mi w zębach. Myślałam tylko o Krystianie. Jego szczupłej sylwetce, krótkich ciemnych włosach, brązowych oczach, nonszalanckim uśmiechu i przenikliwym wzroku.

Umówiliśmy się o osiemnastej przy głównym wejściu biurowca Millennium Plaza, wplecionego w gęstą zabudowę placu Zawiszy. Wysokie, obrotowe drzwi prowadziły w głąb przestronnego holu, wewnątrz którego widniał biało-czekoladowy szyld Marrakesh Cafe.

Na spotkanie dotarłam piętnaście minut przed czasem. Byłam tak przejęta, że nie zauważyłam nawet jadącego po chodniku rowerzysty, który rozpędzony minął mnie niczym podmuch wiatru, zaznaczając swoją obecność jedynie krótkim dźwiękiem dzwonka przymocowanego do kierownicy. Rozglądałam się wokół, wypatrując Krystiana. Przemknęło mi przez myśl, że zrobił mi dowcip i wcale nie zamierzał przybyć na spotkanie, lecz szybko uświadomiłam sobie, że takie zachowanie jest kompletnie nie w jego stylu. Wątpliwości rozwiały się w chwili, gdy w tłumie przechodniów dostrzegłam idącego niespiesznym krokiem wysokiego szatyna. Na jego widok wyprostowałam się jak uczeń pozujący do zdjęcia klasowego, aby dodać sobie kilka centymetrów wzrostu.

– Witaj – powiedział, gdy stanął naprzeciwko mnie. Nim zdążyłam się zorientować, poczułam na twarzy ciepło jego skóry wraz z zapachem wody toaletowej, której zwykł używać.

– Hej – odpowiedziałam, odurzona nutą tabaki i różowego pieprzu.

Kiedy zobaczyłam go tak eleganckiego w czarnym garniturze i białej koszuli, przypomniały mi się czasy, gdy byłam sekretarką pana Pawła. Wtedy się poznaliśmy, nie będąc świadomi tego, jak potoczy się nasza znajomość.

– Widzę, że przyjechałaś wcześniej.

– Tak wyszło. Złapałam wcześniejszy autobus.

– Powiedz, miałaś już okazję być w tej restauracji?

– To mój pierwszy raz.

– I see... Ale mówisz tylko o restauracji, mam nadzieję? – rzucił dwuznaczny żart.

– Jeśli chciałbyś wiedzieć, czy jestem dziewicą, wystarczyło zapytać – powiedziałam zuchwale.

– A jesteś? – spytał, nie tracąc werwy.

– Może kiedyś się dowiesz... – odparłam kokieteryjnie. – Chodźmy do środka.

Na pierwszy rzut oka restauracja przypominała małe bistro połączone z miejscem, w którym można dostać kawę na wynos, ale już po chwili miałam wrażenie, że znalazłam się w egzotycznym kraju. Na tle czarnych ścian widniały malowidła przedstawiające symbole islamskie, a dobiegające z głośników hipnotyczne dźwięki muzyki przykuwały uwagę niczym kobry tańczące w rytm fletów arabskich.

Przy jednym ze stolików siedział biznesmen próbujący zachować majestatyczną pozę. Nerwowo przerzucał strony „Gazety Prawnej” i co chwila spoglądał na srebrny zegarek. Pewnie czekał na kogoś ważnego, kto był już mocno spóźniony. Stolik dalej siedziały dwie awangardowo ubrane dziewczyny popijające kolorowe koktajle. Jedna

z nich mogła kiedyś należeć do pokolenia emo; miała krótkie czarne włosy i kolczyk w wardze. Drugiej bliżej było do Boba Marleya, o czym świadczyły dredy i koszulka z listkiem marihuany. W restauracji nie było nikogo więcej. Krystian i ja zajęliśmy stół pod oknem.

Kiedy już usiedliśmy, porzuciłam kokieterijną pozę i zmieniłam się w katarynkę, jakbym usiłowała nadrobić stracony czas.

– Przede wszystkim przepraszam, że cię tak zostawiłam. Miałam mętlik w głowie. Znamy się już od tyłu miesiący, a ja wciąż nic o tobie nie wiem. Z jednej strony mam dostęp do twojego życia; byłam u ciebie w pracy, w mieszkaniu, wiem, czym się interesujesz i z jakiego miasta pochodzisz, ale wciąż nie wiem najważniejszego. Nie wiem, jak zdefiniować naszą relację. Nie wiem, czy chciałbyś, abyśmy się spotykali na poważnie, czy też chodzi ci o jednorazową przygodę. Chciałabym wiedzieć, czy byłeś w jakimś poważnym związku, czy tylko miewałeś łóżkowe epizody. Chciałabym wiedzieć te wszystkie rzeczy...

Krystian cierpliwie słuchał mojego wywodu.

– Chyba się nudzisz, skoro takie pytania chodzą ci po głowie.

Zamurowało mnie.

– Wręcz przeciwnie, mam mnóstwo zajęć. Skoro nie chcesz odpowiedzieć, trudno.

– No dobrze, zacznijmy od tego, co zapewne najbardziej cię interesuje.

Niestety, w tym momencie młoda drobna kelnerka o egzotycznych korzeniach podeszła do nas, żeby przyjąć zamówienie. Miała na sobie czarne spodnie oraz białą koszulkę i tego samego koloru fartuch, dzięki któremu wyglądała jak uczestniczka programu *Hell's Kitchen*.

– Czy są państwo gotowi? – spytała.

– Jak najbardziej. Spróbujesz tego? – Krystian wskazał palcem na pozycję w karcie opisaną jako zestaw marrakesh.

– A co to takiego? – Przysunęłam się.

– Dziesięć różnych past podawanych z pitą. Bardzo smaczne – wtrąciła kelnerka.

– W takim razie poproszę – powiedziałam.

– Dla mnie to samo – dodał Krystian.

– Dwa razy marrakesh. Do picia polecam wino Les Trois Domaines, zwane również winem szarym.

– Spróbujemy? – zwrócił się do mnie Krystian.

– Bardzo chętnie.

– A dla mnie biała cola. Szkoda, że znów jestem kierowcą.

Nim potrawy zagościły na stole, mieliśmy chwilę, aby dokończyć rozmowę.

– A zatem? Co według ciebie najbardziej mnie interesuje?

– Oczywiście to, czy byłem lub jestem w jakimś związku. – Uśmiechnął się kpiąco.

– Otóż to. Opowiadaj, a ja zamieniam się w słuch – nalegałam.

– Ale jesteś ciekawska. Przez kilka lat spotykałem się z Dianą, ale to był głównie seks dla sportu. W końcu stwierdziliśmy, że mamy różne podejście do życia, więc się rozstaliśmy. Z tego, co wiem, mieszka teraz w Irlandii i męczy się z trójką dzieci, które ma z jakimś barmanem.

– A po niej były inne? – ciągnęłam go za język.  
– Jasne, że tak, ale żadna nie rozpałała mnie na tyle, żeby być z nią na dłużej. Poza tym ja lubię swoją wolność.

– Naprawdę? Nigdy nie myślałeś o tym, by się ustatkować i założyć rodzinę?

– A po co?

– Żeby być szczęśliwym.

– Jestem szczęśliwy. Poza tym tak jest o wiele łatwiej.

Byłam zdumiona jego szczerością i szczęśliwa, że w końcu skłoniłam go do zwierzeń.

– Cieszę się, że mi to powiedziałeś. Teraz wiem, czego mogę się po tobie spodziewać.

– I co o mnie sądzisz?

– Zastanawiam się.

Rozmowę znowu przerwała kelnerka. Nalała nam wina o delikatnej łososiowej barwie, przez którą przebijały srebrne refleksy. Potem na stole zagościły dwie drewniane tace, na których stały białe porcelanowe miseczki z paletą smaków, będących wizytówką marokańskiej kuchni, oraz pita podana w wiklinowym koszyku. Miałam do dyspozycji pastę hummus z zielonego groszku, z czerwonej i zielonej soczewicy, oliwek, a także karmelizowaną cebulę, falafel, szawarmę, harissę i ambę.

– Wygląda wspaniale! – oznajmiłam, energicznie urywając kawałek pity.

Krystian uśmiechnął się i też zabrał się do swojego dania.

– Kto by pomyślał, że będę jeść obiad z facetem, którego zwymyślałam w pierwszym dniu mojej pracy.

– Prawda? I mam nadzieję, że na tym się nie skończy – odparł Krystian, bawiąc się moimi włosami.

– Wiem, do czego zmierzasz. I nie wiem, czy długo jeszcze zdołam ci się opierać.

– Mam nadzieję, że w końcu ulegniesz. Nie wiesz, co tracisz.

– Jesteś cholernie pewny siebie, wiesz?

– Wiem. *By the way*, zgadnij, dlaczego wybrałem akurat to miejsce? – Omiótł wzrokiem wnętrze restauracji.

– Nie mam bladego pojęcia – przyznałam.

– Pomyślałem, że miło będzie odwiedzić namiastkę miejsca, w którym niedawno spędziłem dwa tygodnie.

– Poważnie? Byłeś...

– *Exactly*. W Maroku – oznajmił, wodząc palcem po blacie stolika.

Z wrażenia rozszerzyły mi się źrenice. Był w moim wymarzonym miejscu!

– Poważnie? Nawet nie wiesz, jak ci zazdrozczę. Marzę o podróży do Maroka, przede wszystkim do Tangeru. Pisałam pracę licencjacką o Jacku Kerouacu, sporo miejsca poświęciłam jego podróżom w tamte strony – ekscytowałam się.

– Tam jeszcze nie dotarłem. Byłem głównie w Agadirze. Zwiedziłem też Marrakesz. Moim zdaniem, to miasto trzeba zobaczyć.

– Wyjechałeś służbowo czy na wakacje?

– To drugie. Poczekaj...

Wyjął z kieszeni marynarki niewielkie ozdobne pudełko przewiązane sznurkiem.

– To dla ciebie. – Wręczył mi podarunek.

– Dziękuję. – Zaskoczył mnie. – A cóż to takiego?

– Otwórz.

Odwinęłam sznurek, by rozpakować prezent, i otworzyłam wieczko. W środku leżała pozłacana bransoletka wysadzana kamieniami o różnorodnych kształtach i kolorach, wśród których przeważały turkus, czerwień i fuksja. Masywna i delikatna zarazem, a jej wygląd przywodził na myśl kraje Bliskiego Wschodu.

– Piękna – powiedziałam, gładząc krawędzie kamieni osadzonych w złotych obramowaniach.

Krystian ucieszył się, widząc moją reakcję. Zrozumiałam, że musiał myśleć o mnie podczas urlopu, skoro przywiózł mi prezent. Wyobrażałam sobie, jak w upalne przedpołudnie przechadza się wąskimi i zadymionymi ulicami Marrakeszu, krąży po medinie w poszukiwaniu pamiątek, aż nagle zatrzymuje się przy jednym z ulicznych straganów, wskazuje palcem bransoletkę rzuconą pośród innych orientalnych ozdób i pyta sprzedawcę o cenę. Trudno mi było wyobrazić sobie Krystiana w roli samotnego turysty z zawieszonym na szyi aparatem, za pomocą którego utrwał wspomnienia. Myślałam, że może pojechał tam po to, by korzystać z masażu wykonywanych przez dziewczęta o skórze w kolorze sepii. Albo co wieczór ślęczy przed laptopem i nie ma czasu na lokalne rozrywki.

– Cieszę się, że ci się podoba. Nie wiedziałem, co wybrać, tyle tego mieli.

– Dziękuję, że o mnie pamiętałeś. Posłuchaj... zachowałam się naprawdę głupio, uciekając wtedy z restauracji. Skoro mnie tu zaprosiłeś, wnioskuję, że zależy ci na naszej znajomości? – spytałam niepewnie.

– Zaprosiłem cię, bo się odezwałaś.

– Aha, czyli każdego, kto się do ciebie odezwie, zabierasz do restauracji? – spytałam przekornie.

– No, ba – odpowiedział z uśmiechem. – A tak poważnie, wiedziałem, że kiedyś się jeszcze spotkamy, dlatego kupiłem ją dla ciebie. – Spojrzał na bransoletkę.

– Krystian, czego ty właściwie ode mnie chcesz? Z jednej strony cały czas utrzymujesz dystans, a z drugiej potrafisz zaskoczyć mnie romantycznym gestem.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, albo raczej, co chciałabyś usłyszeć. Więc zmienię temat. Co u ciebie? Nadal pracujesz na zastępstwo?

– Już niedługo, bo wraca właściwa sekretarka.

– I co zamierzasz? – spytał z troską.

– Jeszcze nie wiem... – przyznałam, czyszcząc piłą ostatnią miseczkę. – Wysłałam CV, ale bez rezultatu. Może załapię się na staż do jakiejś redakcji albo wrócę do rodziców, a Natalia znajdzie sobie nową współlokatorkę. Chociaż nie wróżę nam aż tak czarnej przyszłości. Bywało już ciężko, ale zawsze sobie radziłyśmy. Dopóki moja ciotka jest za granicą, mamy gdzie mieszkać. W ostateczności dokwaterujemy sobie jeszcze jedną współlokatorkę. Już tak robiłyśmy i było całkiem fajnie.

– Zaradna jesteś. Zaslugujesz na coś więcej niż praca sekretarki i mieszkanie na kupie.



– Niestety, takie są polskie realia. Chociaż skończyłam studia i mam doświadczenie, ciężko się przebić. Nie włączę się do wyścigu szczurów. Nie potrafiłam nawet odnaleźć się w roli sekretarki. Ale dam sobie radę. Zawsze daję – oznajmiłam, dumnie unosząc brodę do góry, choć tak naprawdę wiedziałam, że to blef.

Skończyliśmy jeść. Krystian skinął na kelnerkę, która po chwili położyła na stole ciemnobrązową drewnianą skrzyneczkę z rachunkiem.

– Tym razem podzielmy rachunek na pół – zaproponowałam.

– A ty znowu swoje. Zapomniałaś, że cię zaprosiłem? – powiedział Krystian.

– Zaprosiłeś mnie, bo się odezwałam – przypomniałam.

– Widzę, że uczysz się od mistrza. – Oparł się na krzesło niczym szejek wachlowany przez grono służebnic.

– No, to jak będzie z rachunkiem? – spytałam.

– Pozwól, że ja zapłacę. *Next time* ty mi postawisz, ale wyjątkowo mam na myśli obiad... – Uśmiechnął się, widząc moją konsternację.

– Jesteś niemożliwy. – Zarumieniłam się.

Opuściliśmy restaurację i oboje zachowywaliśmy się jak para zauroczonych sobą licealistów.

– Wracasz na Kabaty? – spytałam, licząc na to, że uda mi się przeciągnąć spotkanie choćby o pół godziny.

– Ja śmigam w stronę alei Krakowskiej. Muszę coś załatwić.

Poczułam, jak uchodzi ze mnie powietrze. Więc nie ma szans na powtórkę pocałunku.

– Jasne, rozumiem. W takim razie do zobaczenia. Jeszcze raz dziękuję za spotkanie i za precudną bransoletkę.

– Posłuchaj, wiem, że kiepsko wypadłem ostatnim razem, nie wspominając już nawet o tamtej aferze. Nie wracajmy do tego. Ale może wpadniesz znowu do mnie? Obiecuję, że jeśli sama się na mnie nie rzucisz, nic z mojej strony ci nie grozi – zapewnił.

Doskonale wiedziałam, że się zgodzę. Nie mogłam już dłużej się okłamywać. Choćby miało się stać coś więcej, postanowiłam zaryzykować.

– W sumie, dlaczego nie? Opowiesz mi o Maroku, to będę bardziej zmotywowana i szybciej namówię Natkę na wyjazd.

– Tiaaa... – Spuścił wzrok.

– Co się stało? – spytałam zmartwiona jego re-akcją.

– Nic, nic. To kiedy do mnie wpadniesz? – spytał.

– Trudno mi w tej chwili sprecyzować – odpowiedziałam wymijająco.

– W takim razie zgadamy się jeszcze co do szczegółów – uciał temat.

– Jasne – przytaknęłam.

– To co, buziak na pożegnanie?

Badając teren, Krystian ostrożnie przysunął się do mnie, lecz ostatecznie wybrał całusa w policzek. Wskutek tego poczułam nagle przyspieszone bicie serca, jakby poczęstowano mnie alkoholową sziszą.

– Do zobaczenia – powiedziałam i rozeszliśmy się w przeciwne strony.

Nie pamiętam, jak dotarłam do domu. Wiedziałam tylko, że poruszałam się

komunikacją miejską, bezmyślnie wpatrując się w zabrudzoną szybę, w której pojawiały się i znikwały świetliste odbicia ulicznych latarni i samochodów.

Kiedy wróciłam do mieszkania, miałam ochotę napisać do Krystiana, lecz zrezygnowałam, gdy przypomniałam sobie, że pojechał w interesach. W nagrodę przed snem zaskoczył mnie miły esemes.

„Następnym razem całus będzie mniej grzeczny”.

On jest naprawdę kochany, pomyślałam i odłożyłam telefon na stolik. Nie odpisałam, żeby pozostawić nieco pola wyobraźni.

Regularnie przeglądałam oferty pracy w Biuletynie Informacji Publicznej, ale bez efektu. Na szczęście perspektywa kolejnego spotkania z Krystianem dawała mi każdego dnia energię, która pozwalała mi znieść trudy pracy w sekretariacie.

Nie wiedziałam, jak potoczy się ta znajomość, ale myśli o Krystianie dodawały mi skrzydeł. Cieszyłam się, że wszystko między nami zostało już wyjaśnione. Czułam się bezpiecznie i przestałam analizować treść każdego esemesa, którego planowałam wysłać. Wiedziałam, że bez względu ma to, co napiszę, dostanę odpowiedź.

– Dzień dobry, pani Karolino, co słyhać na polu bitwy?! – zawołał od progu pan Włodek.

– Dzień jak co dzień, jeszcze nie mam żadnej poczty.

– I tak trzymać, pani Karolino! Żadnych pism, a wszyscy pokochamy tę pracę! – zażartował.

– Gdyby wszystkie dni były takie jak ten!

– I do tego zerwane linie telefoniczne, to już w ogóle pełnia szczęścia.

W tym momencie zadzwoniła Kinga.

– Karolina...

– Niech zgadnę...

– Dokładnie...

– Już idę...

Po półtora roku wspólnej pracy rozumiałyśmy się bez słowa.

– Panie Włodku, niestety, jest poczta.

– Nieee! – zawył niczym wampir zaatakowany przez promienie słoneczne.

– Lecę, dam panu znać, gdyby przyszło coś do pana.

– Mam przecucie, że lada chwila pani zadzwoni...

Odebrałam od Kingi górę pism, a większość z nich faktycznie zaadresowana była do pana Włodzimierza. Wyobraziłam sobie jego minę i się uśmiechnęłam.

Oprócz Kingi w pokoju siedzieli także Józefina i Piotrek, którzy plotkowali w najlepsze. W pewnym momencie Józefina, która była niezwykle wyczulona na punkcie kosmetyków, mody i biżuterii, dostrzegła kolorową błyskotkę mieniącą się na moim nadgarstku.

– Śliczną masz bransoletkę! – zauważyła, jednocześnie chwytając za swój złoty wisiorek, który najwyraźniej pasował do mojej ozdoby.

– A, dzięki. Dostałam w prezencie – odpowiedziałam.

– Oj, zarumieniłaś się. Od chłopaka, mam rację? – przejrzała mnie na wylot.

Przecież nie mogłam powiedzieć, że podarował mi ją Krystian Milewski, wspólnik pana Pawła i dyrektora Terenowskiego, w dodatku oskarżony o korupcję. Wiedziałam, że mogę ufać Kindze, ale praca z Józefiną nauczyła mnie, że pewne sprawy lepiej zachować dla siebie.

– Tak, od chłopaka. Właściwie od kolegi. – Nie potrafiłam skłamać, uznałam więc, że półprawda będzie najlepsza.

– Koledzy nie dają takich wystrzałowych prezentów. W ogóle nie opowiadasz o swoim życiu osobistym. Niech zgadnę. Poznałaś kogoś fajnego? – dopytywała.

– Józefina, przestań ją męczyć. Będzie chciała, to sama opowie – uratowała mnie Kinga.

– Właśnie – mrugnęłam do Józefiny, starając się obrócić sytuację w żart.

– Ech, jakaś ty tajemnicza – zaśmiała się. – Ale bransoletka to naprawdę cudęńko. A gdzie kupił? Może mają podobne?

– Oj, obawiam się, że w Polsce tego nie kupisz.

Zdaje się, że wyszłam nie tylko na tajemniczą, ale i pretensjonalną.

– Serio?

– Kolega przywiózł ją z Maroka.

Dziewczyny otworzyły oczy ze zdziwienia. Nawet Kinga, której, zdawałoby się, nie obchodził specjalnie ten temat.

– To fajnego masz tego „kolegę”. Pozazdrościć – skomentowała Józefina.

– Ej, dziewczuchy, z wami to jak w kurniku! – odezwał się Piotrek, który z rozbawieniem przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Najpierw praca, potem ploteczki. Bo potem przychodzi godzina piętnasta i nagle wszyscy biorą się do roboty.

– No tak, bo wtedy zarzucają cię największą liczbą kopert do rozwiezienia – roześmiała się Kinga.

– A w ogóle, co słychać? – spytałam Piotrka.

– Tradycyjnie sielanka. Zaraz jadę do Obi po żyrandol dla dyrektora, a potem usiądę i będę główkował, jak rozpisac kilometry, aby ukryć, że po powrocie z delegacji w Gdańsku zahaczyliśmy o Poznań.

– Jak to?

– No, wyobraź sobie taką sytuację. Jest delegacja do Gdańska. Wyjeżdżam z bazy i jedziemy prosto na konferencję. Nocleg w hotelu jest oczywiście zapewniony i diety pokrywa wydział finansowy. Nie przewidziano, że dyrek, który ma dom w Poznaniu, postanowi w drodze powrotnej odwiedzić rodzinę. Oczywiście kazał mi napisać, że byliśmy tylko w Gdańsku. Muszę wpisać dodatkowo trzysta kilometrów, gdzieś je upchnąć, dorzucić kilka dodatkowych przejazdów po Warszawie, których w rzeczywistości nie było, żeby ukryć nadprogramową wycieczkę...

– Przyznam, że takie zjawiska już mnie nie dziwią.

Wróciłam do sekretariatu, gdzie czekało mnie zarejestrowanie pism, których większość skierowana była do pana Włodka. Ja tylko musiałam streścić je w dzienniku, a jego czekało jeszcze opracowanie. Ale w sumie ja zarabiałam tysiąc siedemset, a on co najmniej ze dwa razy tyle. Coś za coś, pomyślałam i zadzwoniłam po niego.

– Pani Karolino, zaczynam podejrzewać, że pani mnie nie lubi – marudził.

– Panie Włodku, naprawdę współczuję, że musi pan odpowiadać na te wszystkie pisma. Taką już mam niewdzięczną pracę – powiedziałam i zobaczyłam, jak Włodzimierz-maruda pochłania treść jednego z dokumentów nadesłanych przez biuro prawne.

– Pani Karolino, to jest bardzo ważne pismo, muszę je natychmiast przeanalizować. Wezmę też pozostałe.

Chwycił stos kartek, zwinął je w rulon i włożył sobie pod pachę. Wyglądał, jakby wracał prosto z piekarni z chrupiącymi bagietkami.

– Ale jeszcze pokwitowania – przypomniałam.

– Och, pani Karolino, tylko je zaniósę do pokoju.

– Nie wypuszczę pana. Już nie jestem taka naiwna jak kiedyś.

– Dobrze, to zostawię komórkę pod pani opieką. To znak, że zaraz wrócę.

– Albo pan zapomni telefonu.

– Nie, nie. Naprawdę zaraz przyjdę – prędko wyjął komórkę z kieszeni i rzucił ją na biurko, po czym wyszedł.

Co ja się z nimi mam, pomyślałam. Teraz muszę jeszcze pilnować jego telefonu.

Pięć minut później Agata z Anią wpadły jak burza do sekretariatu.

– Słuchaj, Karolina, mamy dla ciebie dobre wieści! Chodzi o twoją pracę.

– Jak to? Co się stało? – spytałam niczym wytrącona ze snu.

– Wiemy, że niebawem wraca Sylwia. Oczywiście sto razy wołałybyśmy, żebyś ty pracowała dalej w sekretariacie, ale niestety ją chroni prawo pracy. No, więc postanowiłyśmy wspólnie z Anią, że pomożemy ci w znalezieniu nowej pracy – oznajmiła entuzjastycznie Agata.

– Dziewczyny, nie wiem, co powiedzieć, tak się wzruszyłam. Tylko wiecie, że to wcale nie jest proste. Od dawna próbuję zmienić pracę albo załatwić sobie przeniesienie, ale wszystkie oferty, na jakie natrafiałam, dotyczyły tylko sekretariatu. A ja właśnie od tego chciałabym uciec.

– Mamy dla ciebie niespodziankę! Wiesz, że w naszej instytucji jest Biuro Promocji i Kultury? Wydają pismo dotyczące profilaktyki i bezpieczeństwa publicznego. Ostatnio nawet idą w stronę edukacji i kultury. Organizują jakieś przedsięwzięcia edukacyjne dla młodzieży dotyczące bezpieczeństwa w sieci i na drodze. Redaktorem naczelnym i organizatorem jest pan Artur Modliński – kontynuowała.

– Myślicie, że mogłabym się do niego zgłosić?

– Przecież skończyłaś kulturoznawstwo i pracowałaś w mediach. Na pewno jest szansa. Warto spróbować – przekonywała Ania.

– No jasne, koniecznie wyślij mu swoją cefalkę! – dodała Agata.

– Kurczę, macie rację, że też wcześniej o tym nie pomyślałam! – ekscytowałam się.

– Albo najlepiej zanieś mu życiorys osobiście albo umów się na spotkanie. Zwiększysz swoje szanse. Wszyscy w tej instytucji tak załatwiają sobie pracę.

– No to biorę się do dzieła! – zdecydowałam.

Poszukiwania rozpoczęłam, gdy dowiedziałam się, że moje dni w sekretariacie pani Renaty są policzone. Tymczasem okazało się, że praca leży dosłownie pod moim nosem. Postanowiłam umówić się na spotkanie z Arturem Modlińskim.

Po południu wydrukowałam CV na służbowej drukarce, a następnie poprosiłam panią Renatę o pół godziny przerwy i wyskoczyłam do Biura Promocji i Kultury. Szłam długim korytarzem, a za towarzystwo miałam jedynie skrzypiące klepki podłogowe. Minęłam stołówkę, skąd trafiłam do łącznika, w którym stało pianino oraz niewielka scena teatralna. Zapewne w tym miejscu zbierała się grupa pana Artura organizująca dydaktyczne przedstawienia. Oczami wyobraźni widziałam siebie, jak organizuję spektakl, trzymając w jednej ręce kopię scenariusza, a drugą ustawiam aktorów podczas prób. Pomyślałam wtedy, że mogłabym zajmować się tego typu pracą, a nawet uczestniczyć jako animatorka w wydarzeniach kulturalnych. Po raz pierwszy poczułam sens pracy w bud-żetówce.

Dotarłam do biura, w którym pracował pan Artur Modliński; na pierwszy rzut oka nie wyglądało zwyczajnie. Biurko sekretarki stało przy korytarzowej ścianie, zza której wylądowało się wejście do gabinetu pana Modlińskiego. Zupełnie jak awaryjne łóżka rozstawione na środku szpitalnego korytarza, przemknęło mi przez myśl.

– Dzień dobry, nazywam się Karolina Lubczyk i jestem sekretarką Renaty Kujawskiej z wydziału administracyjnego. Chciałabym prosić o spotkanie z panem Modlińskim. Mógłby mnie przyjąć? Zajmę mu dosłownie kilka minut – wyrecytowałam z uśmiechem.

Siedząca za biurkiem kobieta, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, w bordowym żakiecie i ogromnych okularach ledwie trzymających się na czubku nosa, nie zwróciła na mnie uwagi. Przekładała papiery z miejsca na miejsce. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest bardzo zajęta, ale po kilku minutach bezskutecznego dopraszania się choćby o cię uwagę, dotarło do mnie, że celowo mnie ignoruje. W końcu podniosła wzrok.

– Pan Artur jest w tej chwili zajęty i dziś nie przyjmuje interesantów – poinformowała.

– Aha, rozumiem. No, trudno, a czy w takim razie będę mogła spotkać się z nim jutro? Bardzo mi na tym zależy – nie dawałam za wygraną.

– A o co chodzi? – spytała podejrzliwie.

Zawahałam się, czy powinnam wyjawic powód mojej wizyty i uznałam, że żadne mataczenie nie wchodzi w grę.

– Jestem zatrudniona na zastępstwo i lada chwila kończy mi się umowa. Dowiedziałam się, że państwa wydział zajmuje się tematyką związaną z kulturą, a ponieważ tak się składa, że ukończyłam kulturoznawstwo, bardzo chciałabym współpracować z panem Modlińskim – wyjaśniłam, nie tracąc nadziei na pozytywny finał rozmowy.

Kobieta wysłuchiwała mnie cierpliwie.

– Rozumiem – powiedziała. – Niestety, jutro cały dzień spędzi na mieście. Generalnie do końca miesiąca ma już wypełniony kalendarz spotkań. Może pani

spróbować w przyszłym miesiącu albo po prostu zostawić swoje CV. Jeśli pan Artur będzie zainteresowany, na pewno odezwie się do pani.

Byłam zawiedziona. Od początku rozmowa nie zmierzała w dobrym kierunku.

– Zostawię swoje CV oraz list motywacyjny – wyjęłam z teczki błyszczącą koszulkę, do której włożyłam potrzebne papiery, a następnie podałam ją sekretarce. – Będę wdzięczna za przekazanie panu Arturowi.

– Oczywiście, przekażę – odparła kobieta.

– W takim razie dziękuję. Do widzenia – pożegnałam się.

– Do widzenia – odpowiedziała, po czym wróciła do przekładania papierów.

Następnego dnia rano nie mogłam usiedzieć na miejscu. Wciąż spoglądałam na swój telefon w nadziei, że ujrzę numer sekretariatu Biura Promocji. Niestety, nie zadzwonił. Przez kolejne dwa dni umierałam z niecierpliwości. Sekretarka, która wspomniała, że pan Modliński odezwie się tylko w przypadku, gdy będzie zainteresowany moją aplikacją i jej podejrzanym zachowaniem nie dawało mi spokoju. Postanowiłam sprawdzić, czy rzeczywiście przekazała szefowi mój życiorys. Wybrałam numer.

– Maryla Wójcik, sekretariat Biura Promocji i Kultury, słucham – usłyszałam.

– Dzień dobry, z tej strony Karolina Lubczyk. Czy mogłaby mnie pani połączyć z panem Modlińskim? – spytałam, na wszelki wypadek modulując swój głos tak, aby nie został rozpoznany.

– Oczywiście, a w jakiej sprawie? – Na szczęście nie skojarzyła mojego nazwiska.

– Chciałabym porozmawiać na temat ewentualnej współpracy z państwa wydziałem – udzieliłam wymijającej odpowiedzi.

Niestety, w tym momencie pani Maryla odzyskała pamięć.

– Ach, teraz poznaję. To pani zostawiała swoje CV? Przykro mi, ale pan Artur nie jest zainteresowany żadną współpracą.

– Ale może jednak zgodziłby się poświęcić mi dosłownie pięć minut? Chciałabym to usłyszeć od niego – zaryzykowałam.

Wtedy kobieta straciła cierpliwość.

– Ile razy mam pani tłumaczyć to samo? Proszę więcej nie dzwonić i nie zawracać mi głowy! Do widzenia! – krzyknęła i się rozłączyła.

Oniemiałam. Przecież ona była sekretarką tak samo jak ja. Zdawałoby się, że gramy w tej samej drużynie, a jednak nie. Dlaczego zachowała się w taki sposób?

Wtedy przypomniało mi się, jak kiedyś pracowałam na stanowisku product managera i sprzedawałam powierzchni reklamowe. Codziennie wysyłałam setki ofert mejlingowych do firm z nadzieją, że któraś z nich zechce wyłożyć pieniądze na autopromocję na łamach magazynu, który wydawał nasz szef. Niestety, po bezskutecznym rozsyłaniu listów elektronicznych zawierających nieodkurzaną od lat formułkę z zapytaniem ofertowym, musiałam dodatkowo robić „obdzwonkę” po potencjalnych klientach. Wykonując dwudziesty w danym dniu telefon, utwierdziłam się w przekonaniu, że po raz kolejny nie utarguję choćby jednego deala, ponieważ za każdym razem trafiałam na mur w postaci sekretarki, strzegącej dostępu do szefa. Wielokrotnie podczas pracy u pana Pawła sama musiałam ustawiać godziny przyjęć interesantów, ale

w trakcie pracy w tamtym wydawnictwie przekonałam się, że istnieje specyficzny rodzaj sekretarki zwanej zderzakiem, mającej pełnić funkcję wyłącznie zbywania i ignorowania osób dzwoniących lub koczujących przed gabinetem jej szefa.

Zaskoczenie zaczęło przeistaczać się w złość, więc zadzwoniłam do Agaty.

– Jak poszło? Umówiłaś się na spotkanie z Modlińskim? – zapytała, gdy tylko zjawiła się w sekretariacie.

– Niestety, nic nie wskórałam. Najpierw chciałam zajrzeć do niego do gabinetu, ale sekretarka nie chciała mnie wpuścić, bo nie byłam umówiona. W sumie ją rozumiem, bo sama na jej miejscu postąpiłabym podobnie. Grzecznie spytałam, kiedy pan Modliński będzie dysponował wolnym terminem, ale od razu mnie zbyła, mówiąc, że do końca miesiąca ma wypełniony kalendarz. A ja nie mam tyle czasu. Zostałam jej swoje CV, ale mu go nie dała, bo właśnie w chamski sposób pozbyła się mnie telefonicznie – wyjaśniłam drżącym głosem.

– Wredny babsztyl! Takie raszple myślą, że jak przychodzi młoda i ładna, to od razu chce ukraść im posadę.

– Ale ja nie chcę jej posady! Zrobię wszystko, by uwolnić się z sekretariatu.

– Trzeba ją obejść.

– Musiałabym chyba polować na niego na kory-tarzu.

– Albo... wyślesz mu CV za pośrednictwem pisma, ale najpierw poproś panią Renatę o pomoc. Żeby przekazać pismo oficjalną drogą, szefowa musi je podpisać, a następnie oddać do naszej kancelarii, a wtedy dostanie je Modliński.

– Serio? Myślisz, że pani Renata się zgodzi?

– Warto spróbować.

– W sumie racja. Zaraz ją spytam.

– Chodźmy razem.

Agata, która uwielbiała być w centrum wydarzeń, zajrzała do gabinetu pani Renaty.

– Renatko, mamy z Karoliną sprawę do ciebie – mówiąc to, poprawiła żakiet i wygładziła swoje rude włosy w przeświadczeniu, że schludny wygląd to połowa sukcesu.

– Co tam znowu kombinujecie, dziewczyny? – spytała z uśmiechem szefowa, wiedząc, że obydwie z Agatą nigdy się nie nudzimy.

– Pani Renato, chodzi o to, że niedługo muszę opuścić sekretariat, a nie udało mi się jeszcze znaleźć innej pracy – zaczęłam, po czym wyłuszczyłam mój plan związany z panem Modlińskim.

Miałam nadzieję, że zgodzi się mi pomóc, choć raz ją zawiodłam, kiedy umówiła mnie na rozmowę u naczelnika Perełki. Było mi wstyd, że pomimo tamtej sytuacji znowu ośmielałam się prosić ją o pomoc, ale nie miałam wyjścia. Tak bardzo pragnęłam pracować na stanowisku merytorycznym.

Na szczęście szefowa była niezwykle empatyczną osobą. Zawsze mogła na mnie liczyć i wielokrotnie dawała do zrozumienia, że rozbraja ją moja dziecięca szczerłość.

– Naprawdę tak bardzo zależy ci na współpracy z panem Modlińskim? – spytała.

– Bardzo. Muszę się jakoś do niego dostać, ale sekretarka nie chce mnie do niego dopuścić.



– Ludzie już tacy są. Zresztą, podobnie było u Pawła, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Z tym że on zarzucił mi niekompetencję, choć starałam się, jak mogłam. Mam nadzieję, że chociaż pani nie zawiodłam.

– Ależ skąd, inaczej bym ci nie pomagała. Jesteś bardzo dobrą sekretarką, kompetentną i zaangażowaną. Wiem, że nie czujesz się dobrze na tym stanowisku, ale przynajmniej wykonujesz pracę jak należy. Gdybym mogła cię zatrzymać, zrobiłabym to, ale wiesz, że Sylwia pracuje tu od lat.

– Absolutnie nie chcę odbierać jej stanowiska. Po prostu cały czas staram się odnaleźć swoje miejsce, ale najwyraźniej los mi nie sprzyja. Odkąd pamiętam, zawsze miałam pod górkę. Wszędzie, gdziekolwiek trafiałam, albo likwidowano stanowisko, albo była to umowa o dzieło lub na zastępstwo. Chciałabym, podobnie jak pani, mieć samodzielne stanowisko, lata doświadczenia i pracę, do której podchodziłabym z pasją – naszała mnie refleksja.

– Karolina, jesteś jeszcze młoda i na pewno odnajdziesz swoją drogę. Ja pracowałam na swoją pozycję wiele lat, po drodze zaliczyłam różne szkolenia i studia podyplomowe, ale fakt, ścieżka kariery zawsze była jednolita. Myślę, że ty w głębi duszy lubisz zmieniać pracę. Taki już twój urok. – Uśmiechnęła się.

– Być może ma pani rację. Życie jest za krótkie, żeby przez cały czas robić to samo – podsumowałam.

– No to może czas, abyś spróbowała u Artura. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zarekomenduję cię, ale jedynie jako dobrą sekretarkę, bo tylko to u mnie robiłaś. Artur jest bardzo wymagającym, acz sympatycznym człowiekiem i jeśli uda ci się zaczepić u niego, czeka cię ciekawa praca.

– Oczywiście, pani Renato. Będę wdzięczna za każdą pomoc.

– Póki co drukuj życiorys i pisz podanie. Jak skończysz, to je podpiszę.

Zgodziła się też, aby pismo zostało dostarczone do BPiK drogą oficjalną.

– Jest pani wspaniała. Nie wiem, jak zdołam się pani odwdziaczyć. – Niemal podskoczyłam z radości.

– Super! Do dzieła, nie ma czasu do stracenia! – wtrąciła Agata.

Tego samego dnia wydrukowałam kolejne CV na służbowej drukarce. Tak jak poprzednio, do życiorysu dołączyłam krótki list motywacyjny oraz odręcznie napisane pismo wyjaśniające powody, dla których kontaktuję się z panem Modlińskim.

– A jeśli ta raszpla przechwyci mój list? – spytałam Agatę, zaklejając kopertę.

– Racja. W końcu jest sekretarką i musi go zarejestrować jako pismo wpływające.

– No to pozamiatane. Nawet jeśli wpisze to do dziennika, pewnie wykombinuje coś, żeby nie dostarczyć mojego życiorysu, a pan Artur nie będzie bawił się w dochodzenie. Chyba że...

– Chyba że co? – spytała Agata, bawiąc się swoim koralowym naszyjnikiem.

– Użyję naszej magicznej pieczętki.

– Której? – spytała.

– „Do rąk własnych, w sekretariacie nie otwierać”.

Sięgnęłam do szuflady i wyłowiłam czerwoną pieczętkę, której jeszcze nigdy nie użyłam. Kiedy na nią spojrzałam, po raz pierwszy dostrzegłam jakąś logikę w tym

bezsensownym sformułowaniu.

– Genialne! Puścimy to przez naszą kancelarię, damy pieczętkę wydziałową i ostemplujemy kopertę tak, by sprawiała wrażenie, że zawiera tajne dokumenty! W końcu jesteśmy wydziałem administracyjnym. – Agata najwyraźniej poczuła klimat filmów o Bondzie, choć w mojej od dawna przesiąkniętej pesymizmem głowie tkwili raczej bohaterowie *Gangu Olsena*.

Nie wierzyłam w powodzenie tej misji, ale w duchu miałam nadzieję na jakiś cud w postaci telefonu od pana Modlińskiego. Pod koniec dnia na wyświetlaczu służbowego aparatu pojawił się numer, na który od dawna czekałam.

– Dzień dobry, z tej strony Maryla Wójcik.

O nie, to znowu ona, pomyślałam. Musiałam jednak kontynuować rozmowę.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– Sprytnie pani postąpiła, tyle że mam zgodę od pana Artura na bezwzględne otwieranie wszystkich listów. Proszę nie przysyłać żadnych pism. On nie jest zainteresowany pani aplikacją.

Walka z systemem okazała się trudniejsza, niż sądziłam. Byłam zdumiona radykalną postawą pani Maryli. Jakby uwzięła się na mnie. Wręcz podejrzewałam, że może jest przyjaciółką kogoś z mojego dawnego wydziału, na przykład pani Melanii. W końcu łączył je wiek i niechęć do mojej osoby. Szybko jednak porzuciłam tę myśl i uznałam, że czas doprowadzić walkę do końca. Poprosiłam Renatę o dzień wolnego po to, aby następnego dnia zjawić się w pracy i ruszyć w pościg za panem Modlińskim. Wprawdzie mogłam co najwyżej czaić się na korytarzu niczym tajniak w kapeluszu chowający się za gazetą z wyciętymi otworami na oczy, ale i tak było warto. Choćby po to, by udowodnić pani Maryli, że potrafię dopiąć swego.

Czekałam ponad dwie godziny, układając w głowie plan rozmowy. Stojąc przed wyzwaniem, jakim była próba umówienia się z panem Modlińskim, i co chwila rozbijając się jak o rafę o siedzącą za biurkiem panią Marylę, która była jego wierną sekretarką, coraz bardziej wątpiłam w swoją zdolność perswazji.

Wreszcie mój zmęczony wzrok zarejestrował idącego korytarzem mężczyznę. Był łysawy, chudy i niski, jednak te pozornie nieciekawe cechy ginęły w starciu z niezwykle życzliwym spojrzeniem, które sprawiało, że wydawał się zgoła przystojny.

Prawie zagroziłam mu drogę.

– Przepraszam, czy mam przyjemność z panem Arturem Modlińskim? – zaczęłam.

– We własnej osobie, a w czym mogę pani pomóc? – zapytał lekko zdziwiony, ale z promiennym uśmiechem.

– Bardzo się cieszę, że udało mi się pana spotkać. Nazywam się Karolina Lubczyk i jestem sekretarką Renaty Kujawskiej – powiedziałam i wyjaśniłam, co mnie do niego sprowadza.

Przedstawiając mu swoją historię, kierowałam się dyplomacją oraz intuicją, która kazała mi pominąć wątek związany z panią Marylą.

– Jestem zaangażowana w pracę, mam głowę pełną pomysłów i sądzę, że mogłabym wspomóc pański zespół. Reasumując, byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan spojrzeć na moje CV – prosiłam, patrząc na niego błagalnym wzrokiem.

– Och, pani Karolino, tak się pani zaprezentowała, że nie sposób odmówić – mówił, pocierając palcami o podbródek. – Rzeczywiście, wygląda na to, że jest pani cierpliwą i przebojową osobą, skoro udało się pani mnie złapać. Nie każdy ma tyle szczęścia. Powiem tak. Trafiła pani w dziesiątkę, bo niedługo zwalnia się etat. Miałbym dla pani stanowisko i sądzę, że świetnie by się pani na nim odnalazła.

– Tak? Jakie? – spytałam podekscytowana.

– Moja sekretarka wkrótce odchodzi na emeryturę i będę potrzebował kogoś, kto ją zastąpi. To nic wielkiego, wystarczy zarządzać moim kalendarzem spotkań i od czasu do czasu zaparzyć kawę – powiedział.

„To nie dzieje się naprawdę”, pomyślałam.

– Może jednak znalazłoby się coś bardziej kreatywnego? – zapytałam słabym głosem. – Chciałabym się rozwijać.

– Niestety, jeśli chodzi o zespół redakcyjny i przedsięwzięcia, które organizujemy, nie szykują się żadne zmiany. Chyba że ktoś sam zrezygnuje, ale na to bym nie liczył. Gdyby jednak była pani zainteresowana moją ofertą, proszę dać znać.

– Rozumiem, szkoda. Pan był moją ostatnią nadzieją – odparłam.

– Przykro mi, że nie mogę pani pomóc w taki sposób, w jaki pani by chciała – powiedział ze szczerym współczuciem.

– Będę dalej szukała pracy odpowiadającej moim preferencjom. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

– Nie ma za co. Życzę powodzenia w znalezieniu takiej pracy, jaka będzie panią satysfakcjonować. Wygląda na to, że jeśli nikogo nie znajdę, pani Maryla pobędzie u mnie jeszcze przez jakiś czas, chociaż przydałby jej się odpoczynek.

Coś mi się zdaje, że pani Maryli wcale nie marzy się zsyłka na emeryturę. Zrozumiałam, dlaczego była wobec mnie tak agresywna.

– Do widzenia, panie Arturze – powiedziałam i skierowałam się do biura, w którym jeszcze przez chwilę miałam pracę.

W domu od razu sięgnęłam po telefon i wybrałam numer rodziców, ale popełniłam błąd. Nie sądziłam, że zamiast słów aprobaty usłyszę gorzkie napomnienia o tym, jak ciężko bywa w życiu i że należy szanować każdą, choćby najnudniejszą pracę. Doszłam do wniosku, że powinnam urodzić się znacznie wcześniej, skoro nie potrafię odnaleźć się ani wśród bezwzględnych karierowiczów tworzących prezentacje na zebrania zarządu i kopiujących pod sobą dołki, ani wśród szaraczków żyjących w monotonii dnia codziennego i wykonujących trywialne zadania.

Czułam się jak pionek warcabów, który przypadkowo znalazł się na wielkiej szachownicy. Nie chciałam utknąć w kolejnym sekretariacie, bo prędzej czy później pan Modliński i tak zorientowałby się, że się męczę. Oczywiście mogłam wziąć na przeczekanie, a potem, gdy tylko trafiłaby się lepsza posada, podziękować mu za współpracę, ale wydawało mi się to nieuczciwe. Uznałam, że jedynym wyjściem będzie odcięcie się od instytucji, która wpływa na mnie tak destrukcyjnie. Czasem potrzebna jest diametralna zmiana, choć na pozór wydaje się kompletnym szaleństwem, ale niekiedy bywa też oczyszczeniem prowadzącym ku odnalezieniu właściwej drogi życiowej.

Nie chciałam na razie myśleć o pracy. Wolałam rozważać coś znacznie bardziej przyjemnego: wizytę u Krystiana. Im dłuższa rozłąka, tym dotkliwiej znosiłam ostatnie tygodnie w pracy. Nie chciałam się narzucać, szczególnie że poprzednio to ja byłam inicjatorką spotkania.

– Dziecinada – powiedziałam do siebie i zdjęłam telefon z nocnej szafki.

Natalia walczyła pod drugą ścianą z błędami gramatycznymi w co drugim wypracowaniu, które musiała sprawdzić na jutro. Od niedawna, poza udzielaniem prywatnych korepetycji, wzięła jedną trzecią etatu w szkole językowej i jako nauczycielka podnosiła kwalifikacje osób bezrobotnych. Praca nauczycielki oraz korepetytorki nie przynosiła jej dużych pieniędzy, ale dawała satysfakcję, co moim zdaniem było w tym wszystkim najistotniejsze. Usłyszała moje oświadczenie i podniosła na mnie wzrok.

– Zamierzasz pierwsza się do niego odezwać? – zapytała.

– Dlaczego nie? Przecież nie zawsze on musi pisać pierwszy.

Poczułam się jak szukająca aprobaty nastolatka na forum internetowym.

– No tak, ale ostatnio to ty zaproponowałaś spotkanie w restauracji. Powinnaś go przetrzymać.

Odkąd Natka dojrzała do decyzji o wykasowaniu esemesów od Afrima – których treść od dawna była przeterminowana, lecz które do tej pory podnosiły jej kobiece poczucie wartości – zachowywała się, jakby miała alergię na płęć przeciwną.

– Teoretycznie masz rację, ale ja nie zamierzam się napraszać. Spytałm jedynie, co u niego słyhać – znalazłam usprawiedliwienie i wysłałam wiadomość.

Po kilku minutach Krystian przysłał mi link do strony internetowej z informacją na temat konferencji poświęconej wpływowi nowych technologii na e-commerce, w której miał wziąć udział jako jeden z prelegentów. Przy krótkim biogramie widniało jego niewielkich rozmiarów zdjęcie, na którym miał na sobie błękitną koszulę i emanował niezwykłą pewnością siebie. Uzmysłowiłam sobie, że nie mam żadnego jego zdjęcia. Skopiowałam więc fotografię ze strony internetowej i przrzuciłam do pamięci telefonu komórkowego. Teraz przynajmniej mogłam pokazać Natalii mężczyznę, o którym zmuszona była tyle słyhać.

– Przystojny, ale niekoniecznie w moim typie – powiedziała, gdy pokazałam jej fotografię.

– No co ty... – Wpatrywałam się w zdjęcie rozanielonym wzrokiem.

– Może gdyby nie miał tak krótkich włosów i nie był taki schludny, wpadłby mi w oko. Przynajmniej mną nie musisz się martwić. – Puściła do mnie oko.

Natalia gustowała w hipsterach i cudzoziemcach, dzięki czemu ryzyko konkurencji było znikome.

– Super, że mamy odmienne gusta, jeśli chodzi o mężczyzn – stwierdziłam, po

czym nasunęłam kołdrę na głowę i zniknęłam jej z oczu.

Następnego dnia zaskoczył mnie esemes od Krystiana.

„Piątek, osiemnasta?”

Odkąd poczuł się pewnie w naszej relacji, jego wiadomości stały się krótkie i rzeczowe. Nigdy nie był wylewny, ale czasem chyba przesadzał ze swoją zwięzłością.

Aby niczego zbytnio nie komplikować, postanowiłam dopasować się do jego stylu.

„Pasuje. A gdzie?”

„U mnie”

„Czy mam przynieść jakieś przekąski lub coś do picia?”

„Nic nie przynoś. Jedzenie zamówimy, a do picia mam wino, piwo, rum i likier:)”

Cały Krystian. Żądza pieniądza, seks dla sportu, zamiłowanie do trunków. Czy powinnam jeszcze coś wiedzieć o tym hedoniście?

„Rozumiem, że zamierzasz mnie upić?;)”

„Co takiego? Nie wiem, skąd takie podejrzenie;)”

„Uff... Zatem nie mam się czego obawiać:P. By the way, fajnie wyszedłeś na zdjęciu...”

„To miłe, dzięki. Na stronie www jest tylko górna część, ale Tobie mogę pokazać swoją dolną połowę;)”

Sposób, w jaki Krystian prowadził ze mną dialog, sprawiał, że stopniowo wyzbywałam się nieśmiałości.

„Uważaj, bo lubię zaglądać w różne skrytki;)”

Esemesowe droczenie się z nim sprawiało mi przyjemność, ale zupełnie czymś innym był flirt na żywo z mężczyzną, który fascynował mnie jak mało kto. Wtedy traciłam pewność siebie. Domyślałam się, jaki był cel tego zaproszenia, ale ciekawość po raz kolejny wzięła górę nad strachem. Dawno nie byłam u Krystiana i na myśl o piątkowym spotkaniu serce biło mi dwa razy szybciej.

W piątek wzięłam wolne. Szykując się na spotkanie z Krystianem uznałam, że powinnam coś ze sobą zabrać. Chciałam go zaskoczyć, więc odpaliłam internet w poszukiwaniu prostego przepisu na tiramisu. Od dawna marzyło mi się, by zrobić jakieś ciasto, ale w dniu, w którym wyjęłam z piekarnika zwęglony piernik kętrzyński, który miał trafić na stół wigilijny rodziców, ostatecznie porzuciłam myśl o karierze cukiernika. Uznałam jednak, że tiramisu nie dam rady zepsuć. A najważniejsze, że do jego przyrządzenia potrzeba jedynie sprawnej lodówki. Pobiełam do supermarketu i kupiłam brakujące składniki, w tym biszkopty do namoczenia w kawie oraz likier amaretto i serek mascarpone.

Spędziwszy długie godziny przed lustrem, będącym jedynym obiektywnym doradcą w kwestii doboru stroju, zdecydowałam się na prostą sukienkę do kolan. Była w kolorze brudnego różu i wspaniale komponowała się z orientalną bransoletką, którą dostałam w prezencie od Krystiana.

W metrze wałkowałam w głowie scenariusze naszego spotkania.

– Stacja Kabaty. Prosimy o opuszczenie pociągu. – Komunikat lektora przerwał moje rozmyślenia i gwałtownie poderwałam się z miejsca.

Odnalezienie właściwego bloku nie przysporzyło mi już problemów. Dotarłam do bramy osiedlowej i wcisnęłam w domofonie przycisk z numerem mieszkania. Chwilę później usłyszałam dźwięk odblokowanego wejścia oraz towarzyszący mu mechaniczny głos informujący, że drzwi stoją otworem.

Gdy weszłam na górę, zastałam lekko uchylone drzwi do mieszkania, pozostawione po to, abym bez wahania weszła do środka.

– Cześć – powiedziałam, automatycznie poprawiając fryzurę i wygładzając sukienkę.

– Witaj – przywitał mnie Krystian i wziął ode mnie płaszcz.

Ubrany był w kremowe spodnie, T-shirt w burym kolorze i miał lekko nieprzytomny wyraz twarzy, jak gdyby dopiero co wstał z łóżka. Jego włosy, choć starannie przystrzyżone, zawsze sprawiały wrażenie lekko niesfornych.

Tym razem nie przywitał mnie pocałunkiem, jakby stresował się bardziej niż ja.

– Siądź sobie w dużym pokoju, zaraz przyjdę.

– To dla ciebie. W zasadzie dla nas, na deser. – Podałam mu ciasto.

– Ojej, dziękuję... – Wydawał się zakłopotany.

– Módl się lepiej, żeby nie trzeba było wzywać pogotowia, bo pierwszy raz robiłam tiramisu.

– W razie czego na lodówce są numery alarmowe – testował moje poczucie humoru.

Gdy rozgościłam się w salonie, Krystian przyniósł sztucce i poprosił, abym rozłożyła je na bambusowej macie, a sam wrócił do kuchni. Tym razem mieliśmy zjeść

przy mniejszym stoliku, a w trakcie jedzenia oglądać film.

– Na szczęście na Kabatach jest dużo knajpek. – Podał świeże cannelloni z mięsem mielonym i pomidorowym sosem.

– Wygląda smakowicie. – Oblizalam się na sam widok.

– Pamiętam, że włoskie jedzenie jest na twojej kulinarnej topiście.

– To prawda. A mój deser idealnie wkomponował się w motyw przewodni kolacji.

– Faktycznie. Czego się napijesz?

– Herbaty. – Nie miałam śmiałości poprosić o alkohol.

Na szczęście Krystian czytał ze mnie jak z otwartej księgi.

– Proponuję coś lepszego.

Przyniósł z kuchni czerwone wino, które kupił w Agadirze.

– Ty wiesz, co lubię. – Spojrzałam na zagraniczną etykietę.

– Sama widzisz. Mam nadzieję, że jest warte swojej ceny. – Sięgnął po korkociąg i sprawnie otworzył butelkę.

Nalał wina do kieliszków i zaczął majstrować przy kinie domowym.

– Możemy obejrzeć jakiś horror albo sci-fi – zaproponował.

– Może być horror, tylko żadnych teksańskich masakr. Wolę raczej coś w stylu *Inni* lub *Dark water* – wymieniłam.

– No, to może jakiś azjatycki – zaczął przeglądać listę w laptopie. – Mam *Shutter Widmo*. Bardzo dobry.

– A może jednak sci-fi? – zmieniałam zdanie.

– Boisz się? – Mrugnął do mnie.

– Raczej czuję się nieswojo i potem co chwila oglądam się za siebie – wybroniłam się.

– No dobra. A widziałaś *Zapowiedź*?

– Z Nicolasem Cage'em? Nie miałam okazji.

– Oglądamy?

– Jestem za.

Oglądaliśmy film, jedliśmy kolację i rozmawialiśmy.

– A co z twoją pracą? – zainteresował się.

– Pracuję do końca tego miesiąca, bo potem wraca Sylwia. Będę musiała odejść – odparłam, nadziejąc na widelec rurkę wypełnioną mięsem.

– I nic ci tam nie załatwią? Żadnego przeniesienia?

– W zasadzie to chcieli... Ale ja już dłużej nie zniosę tego miejsca – wyznałam mu i opowiedziałam o ostatnich wydarzeniach, między innymi o porażce z Biurem Promocji i Kultury.

– Szkoda, że nie mogę ci pomóc. Gdybyś dobrze znała angielski...

Poczułam się jak totalny nieudacznik. Ale pocieszyłam się, że moja najlepsza przyjaciółka była lingwistką, a tak samo jak ja borykała się z brakiem pracy.

– Proszę cię, nie rozmawiajmy o tym. To miał być miły wieczór. – Posmutniałam.

Krystian szybko zmienił temat.

– Widzę, że ją założyłaś. – Dotknął mojego nadgarstka.

– Noszę ją prawie codziennie. Pasuje niemal do każdego stroju. – Posłałam mu

ciepły uśmiech.

– Cieszę się, że trafiłem w twój gust. Ale przywiozłem jeszcze coś. – Wstał i podszedł do regału z pamiątkami i sięgnął po fragment alabastru w stanie surowym. – Kiedy szukałem pamiątki dla ciebie, podszedł do mnie kupiec z sąsiedniego straganu i próbował wcisnąć mi ten kamień. *There is present for you*, zachęcał. Skoro tak, to spoko. Wziąłem alabaster, podziękowałem, ale on wystartował do mnie z tekstem: *And where is present for me?* Nie pozostało mi nic innego, jak sięgnąć do kieszeni po ostatnie dirhamy i dać mu „prezent”. No i mam alabaster.

– Alabaster oraz ciekawą anegdotkę do opowiadania na imprezach – dodałam.

– Fakt. Sprzedaje się jak świeże bułeczki. A ty chyba też kiedyś byłaś w krajach arabskich?

– Tak, poleciałyśmy z Natalią do Tunezji. To był szalony wypad. Moi rodzice omal nie dostali zawału, kiedy im powiedziałam, że kupiłyśmy bilety.

– A w której miejscowości miałyście hotel?

– W Hammamecie.

– Nieźle. I co tam robiłyście? Piłyście i balowa-łyście?

– To w nocy – mrugnęłam kokieteryjnie. – W dzień zwiedzałyśmy i delektowałyśmy się lokalnymi pysznościami. Polecam spaghetti z małżami oraz wschód słońca nad słonym jeziorem.

– Niezły zestaw. Dawno tam byłyście?

– Oj, trzy lata temu, kiedy studiowałyśmy. Natka jeszcze nie skończyła, bo zawałiła sporo przedmiotów.

– A co u niej? Nadal macie problemy z tamtym świrem?

– Na szczęście zniknął. Strasznie się bałam.

– Gdybyś mieszkała z facetem, a nie z koleżanką, byłoby różniej.

– Coś ty, wtedy jeszcze dodatkowo martwiłabym się o niego!

Nagle Krystian musnął mnie po udzie, ale w dalszym ciągu panował nad sobą, by nie wydać się zbyt natarczywym.

– Jesteś taka ładna, a te twoje długie blond włosy... Nie rozumiem, dlaczego nie masz chłopaka.

Poczułam, jak robi mi się gorąco w środku.

– Film się skończył. – Wskazałam ekran.

Tym razem udało nam się dotrzeć do napisów końcowych. Krystian musiał wyciągnąć wnioski z poprzedniego spotkania, skoro nie próbował zaczepiać mnie w trakcie projekcji.

– I jak? – spytał, wyłączając pilotem telewizor.

– Ciekawy. Cage dobrze zagrał, chociaż wolę go w rolach komediowych.

– Jakie filmy lubisz?

– Kochany, moim faworytem jest David Lynch i jego *Twin Peaks. Ogniu, kroc za mną*. Widziałam chyba ze sto razy. Wiesz, że niedaleko Seattle w USA leży Snoqualmie Falls, gdzie kręcono ten serial? – ekscytowałam się.

– Szkoda, że nie wiedziałem. Zrobiłbym sobie wycieczkę, kiedy byłem na szkoleniu w Stanach – zażartował.



– Nie wnerwiał mnie, ty burżujski globtroterze!

– Oglądamy coś jeszcze?

Spojrzałam na wyświetlacz telefonu, aby sprawdzić, która jest godzina.

– Jest już późno. Trochę mam stracha po tym filmie. – Odstawiłam pusty kieliszek po winie.

– Możesz zostać u mnie. – Przeciągnął się na kanapie, udając, że nie ma absolutnie nic złego na myśli.

– Aha, czyli rozumiem, że udostępnisz mi pokój gościnny?

Wyjąwszy fakt, że byłam gorąco zachęcana do zwiedzenia sypialni, dotychczas miałam okazję gościć wyłącznie w salonie. Nie wiedziałam, co kryje ostatni z trzech pokoi, który teraz też był zamknięty.

– Chodzi ci o ten trzeci pokój? Tam jest moja graciarnia.

– Serio? Pokażesz mi ją? – Poderwałam się z narożnika.

– Ależ jesteś ciekawska. – Leniwie ruszył się z miejsca.

– Mówiłam, że lubię zaglądać w różne skrytki. – Spojrzałam na niego zalotnie.

– A ja myślałem, że masz co innego na myśli. – Zrobił rozczarowaną minę.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Klasyczna graciarnia. Oprócz sosnowej bielizniarki wypełnionej kilkoma hantlami w pokoju znajdowała się niewielka bieżnia, zwinięta w rolkę mata do ćwiczeń, a także suszarka do ubrań i sprzęt narciarski.

– Sama widzisz. Tu nie mogłabyś nocować – zauważył.

– No, to zostaje jeszcze salon – uśmiechnęłam się.

– Odpada. Narożnik jest wściekle niewygodny. Zdecydowanie wygodniejsze jest moje łóżko w sypialni.

– Jesteś tak przebiegły, czy tak zdeterminowany? – spytałam wprost.

– Jestem taki jak zwykle. – Wzruszył ramionami.

Mimo że byłam spięta, czułam, jak łącząca nas chemia przeistacza się w prawdziwe, niczym nieskrępowane pożądanie.

– No, chodź, pokażę ci chociaż ten telewizor 3D. – Zachowywał się jak uczeń podrywający koleżankę z klasy.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Zapewne naprzeciw niego stoi twoje superwygodne łóżko – odparłam zadziornie.

– To oczywiste. Inaczej nie mógłbym oglądać filmów, zwłaszcza tych, które puszczają w nocy. Moglibyśmy coś sobie włączyć. – Przysunął się do mnie.

– Wiem, do czego zmierzasz. Nawet się z tym nie kryjesz.

– A po co miałbym bawić się w bezsensowne podchody? No, chodź, przecież nic ci nie zrobię – uśmiechnął się.

– No dobrze – westchnęłam. – Chyba minąłeś się z powołaniem. Powinieneś prowadzić kursy NLP.

Weszliśmy do sypialni. W wieczornym świetle wydawała się niezwykle przytulna. Nad łóżkiem znajdowały się wmontowane w ścianę podświetlane półki, na których stało kilka egzotycznych bibelotów, między innymi mosiężny słoń i bambusowy talerzyk. Całość sprawiała wrażenie wyposażenia studia, w którym Tony Halik mógłby opowiadać o swoich podróżach.

Krystian zmierzył mnie wzrokiem.

– Widzę, że nadal jesteś spięta.

– Ależ skąd. Fajny telewizor. Już go zobaczyłam. To co, wracamy do tamtego pokoju? – droczyłam się.

Wtedy Krystian zagroził mi drogę, objął mnie w tali i przysunął do siebie. Znow poczułam jego bliskość, ale tym razem było to coś nie do opisanego. Nie rzucił się na mnie z impetem, tylko spoglądał mi w twarz, jakby utrwał w pamięci każdy jej detal.

– Mówiłem, że cię zniewolę – wyszeptał i pocałował mnie dokładnie tak, jak lubiłam.

– Proszę cię, nie rób tak. – Poczulałam gwałtowne ciepło rozchodzące się po żołądku.

Krystian skrzyżował ręce i sprawnym ruchem ściągnął swój T-shirt przez głowę. Kiedy zobaczyłam jego lekko owłosiony, wyrzeźbiony tors, nie mogłam oderwać wzroku.

– Twoja kolej – powiedział.

Targały mną sprzeczne uczucia, bo z jednej strony pragnęłam spędzić tę noc u Krystiana, a z drugiej obawiałam się, że zostanę przez niego wykorzystana, a do tego wpadłam w panikę, że mu się nie spodoba.

– Wygrałeś... Chciałabym jednak, żebyś przyciemnił światło.

Niestety, moja prośba została odrzucona.

– Oj tam, oj tam – uśmiechnął się i zaczął mnie całować, jednocześnie rozsuwając z tyłu moją sukienkę.

Kiedy opadła na ziemię, wiedziałam już, co się wydarzy. Krystian wziął mnie w ramiona i położył na brzegu łóżka, a następnie ukląkł przede mną, pozbawiając resztek garderoby. Obsypywał moją szyję pocałunkami i stopniowo schodził coraz niżej, aż ostatecznie wyruszył w podróż do mego wnętrza. Za pomocą języka, który był jak wirnik startującego śmigłowca, dotarł do najbardziej ukrytych zakamarków, aż w końcu zaprowadził mnie na sam szczyt. Nigdy nie przeżyłam tak silnego orgazmu. Krystian sprawił, że miotałam się na wszystkie strony jak ryba złowiona w sieć. Prosiłam, żeby już przestał, ale nie posłuchał. Odniosłam wrażenie, że sprawia mu przyjemność moje błaganie o litość. Przypominał badacza zjawisk kosmicznych, cieszącego się na widok nowo odkrytej asteroidy.

Kiedy opadłam z sił, Krystian pochylił się i mnie pocałował. Sądziłam, że daje mi odetchnąć, lecz on bez uprzedzenia skierował dłoń w dół i musnął mnie tak, że podskoczyłam niczym rażona prądem.

– Proszę cię, już wystarczy... – jęknęłam.

– Obiecuję, że nie będę się znęcał. Ale lubię patrzeć na twoje reakcje – uśmiechnął się zadowolony.

– Byłeś niesamowity – wymamrotałam, patrząc na niego.

– Niesamowity to dopiero będę – szepnął mi do ucha i znow zaczął mnie całować.

Znow spojrzał mi w twarz, a wtedy jego męskość wniknęła we mnie, dając początek nowej ekstazie. Początkowo był bardzo delikatny, lecz w miarę rozwoju sytuacji przestał kontrolować swoje odruchy, bez reszty zatracił się w chwili upojenia. Kiedy zrozumiałam, że na dobre jesteśmy zespoleni, przycisnęłam go najmocniej, jak potrafiłam, czekając na wielki finał. Potem oboje opadliśmy z sił, próbując zatrzymać

w czasie upływającą chwilę rozkoszy, a następnie przytuleni do siebie zapadliśmy w głęboki sen.

Rano obudziły mnie pierwsze promienie słońca przebijające się przez bambusowe żaluzje. Przetarłam ręką oczy, po czym przeniosłam wzrok na pustą poduszkę obok mnie. Krystiana nie było. Przez dłuższą chwilę leżałam otulona czarną bawełnianą kołdrą, którą zdobiła subtelna biała kratka. Zrozumiałam, że pod warstwą zmiętej pościeli jestem kompletnie naga i to, co wydarzyło się ubiegłej nocy, nie było snem.

Ponieważ nie wypadało wylegiwać się w cudzym łóżku, odsunęłam pościel i postawiłam stopy na miękkim dywaniku. Kilka kroków dalej poczułam przenikliwy chłód paneli podłogowych i gwałtownie się wzdrygnęłam. Było zbyt wcześnie na wkładanie wieczorowej sukienki, w dodatku tej, którą miałam na sobie poprzedniego dnia. Miałam nadzieję, że Krystian nie będzie miał nic przeciwko, jeśli pożyczę coś z jego garderoby. Wypełniająca niewielką wnękę laminowana szafa z przesuwanymi drzwiami i lustrem pośrodku odsłoniła przede mną rzędy koszul, obok których wisiało kilka marynarek, spodni i skórzanych pasków. W osobnych przegródkach zauważyłam kilka pozwijanych w kłębek krawatów. Nie znalazłam w szafie nic, co mogłabym pożyczyć, wysunęłam więc jedną z szuflad komody i upolowałam jasnoszary T-shirt z napisem „sports”. Sięgał mi prawie do kolan, ale napawałam się tą chwilą, że mam na sobie koszulkę faceta, z którym spędziłam noc.

No pięknie, już pożyczam sobie jego ubrania. Pewnie jutro przestraszy się, że zażadam własnego klucza. O ile w jego przeświadczeniu istnieje jeszcze jakieś wspólne „jutro”.

Zebrałam się w sobie i wyszłam do przedpokoju, w którym unosił się intensywny aromat świeżo parzonej kawy. Krystian, bosy i nagi od pasa w górę, w kuchni szykował nam śniadanie.

– Dzień dobry – uśmiechnął się, mieszając jajecznicę drewnianą łopatką.

– Dzień dobry – powiedziałam, wstydliwie przenosząc wzrok z jego klatki piersiowej na kuchenną terakotę.

– Do twarzy ci w moim T-shircie – skomentował.

– Chyba się nie gniewasz, że go pożyczyłam – odparłam, naciągając go mocniej na kolana, jakbym usiłowała zakryć w ten sposób poczucie wstydu.

– A dlaczego miałbym się gniewać? – zdziwił się. – Chcesz kawy?

– Poproszę – odpowiedziałam.

– Jaką pijesz?

– Z odrobiną mleka i dwiema łyżeczkami cukru.

– Już nalewam. – Sięgnął po dzbanek od ekspresu.

Kiedy wszystko było gotowe, usiedliśmy do stołu.

– Z gotowaniem idzie mi średnio, ale w przyrządzaniu śniadań jestem mistrzem – zapewnił z uśmiechem.

– Właśnie widzę – powiedziałam, biorąc ciepły tost do ręki.

- Tutaj masz pomidory i szczypiorek, a tam żurawinę, jeśli wolisz na słodko.
- Chętnie wszystkiego spróbuję. Jestem głodna jak wilk.

Wyglądaliśmy jak typowa para prowadząca zwyczajną poranną pogawędkę. Nagle poczułam, że muszę nawiązać do wczorajszego wieczoru.

– Słuchaj, Krystian... Rozumiem, że dopiąłeś swego, ale musisz wiedzieć, że ja zwykle się tak nie zachowuję. Lepiej puśćmy to wydarzenie w niepamięć.

Krystian wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, o co mi chodzi.

– Bredzisz... – Upił łyk kawy. – Wczoraj było świetnie i planuję to powtórzyć, chyba że ty jesteś niezadowolona.

– Nie żartuj, w życiu czegoś takiego nie przeżyłam. – Zacerwieniłam się. – Czyli chcesz powiedzieć, że to nie była jednorazowa przygoda z twojej strony?

– Chcę powiedzieć, że po śniadaniu liczę na wspólną kąpiel – uśmiechnął się.

Zaproponowałam, że pozmywam, a Krystian nie wyraził sprzeciwu. Koniec końców wyznaczyliśmy podział ról polegający na tym, że ja szorowałam gąbką naczynia, a on wycierał je do sucha.

– Jaki masz plan w związku z pracą? – spytał, przejmując ode mnie umyty talerz.

– Na razie mój jedyny plan polega na odebraniu świadectwa pracy, prawdopodobnej rejestracji w urzędzie pracy i na rozsyłaniu CV – odparłam, wylewając odrobinę płynu na gąbkę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie przyjęłaś posady sekretarki u tego Artura czy jak mu tam.

– Domyślam się, że nie rozumiesz. Ale ja nie wytrzymam dłużej w tej instytucji. Ona niszczy mnie od środka. Każdego ranka przeżywam koszmar na myśl, że znów muszę usiąść za tym cholernym biurkiem. Jeśli masz mnie za osobę niespełna rozumu, nic na to nie poradzę. Nienawidzę tego, że taka jestem, ale nie potrafię tego w sobie zmienić. – Moje oczy zaszklily się od łez.

– Tylko mi tu nie płacz. – Krystian podjął nieudolną próbę przytulenia mnie, jakby pierwszy raz w życiu miał do czynienia z emocjami.

– Czasami mam wrażenie, że coś jest ze mną nie tak. Normalni ludzie budzą się rano, wstają i po prostu idą do pracy, a ja wciąż nie mogę znaleźć dla siebie miejsca.

– Po prostu jeszcze nie wiesz, co chcesz robić w życiu. Wtedy na korytarzu pomyślałem sobie: Cholera, fajna laska, szkoda tylko, że sekutnica. Ale potem, gdy poznałem cię lepiej, odkryłem, że jesteś strasznie nieśmiała i zestresowana, jakbyś wszystkiego się bała.

– Aha, nie miałam pojęcia, że jestem tak odbierana. Nie byłam taka, dopóki nie zaczęłam pracować w wydziale pana Pawła. Teraz mogę mu za to podziękować.

– Ale ty chyba od początku nie lubiłaś tej pracy.

– Z początku nawet mi się podobała. Szybko jednak doszłam do wniosku, że nie mam żadnych praw. Praca sekretarki jest wyjątkowo niewdzięczna. Z jednej strony trzeba być usłużnym, a z drugiej należy pilnować, by nie dać sobie wejść na głowę. Ja nie potrafiłam tego wyważyć i dlatego polegałam.

– Cóż, według mnie to kwestia wyboru. Musisz zdecydować, czy chcesz być miłą, żeby cię lubili, czy asertywną, żeby cię szanowali. Jeśli będziesz starała się być miła i tak

ktoś może cię nie polubić, a wtedy na szacunek będzie już za późno, ponieważ nie da się odbudować wizerunku. A jeśli będziesz umiała się postawić, zyskasz ogólny szacunek, a ci, którzy będą chcieli cię polubić, i tak to zrobią. Tak to działa – tłumaczył Krystian.

– Wszystko, co mówisz, ma sens, ale to tylko jedna strona medalu. Nie da się budować swojej pozycji, kiedy na każdym kroku cię okłamują. Przestałam tam komukolwiek ufać. Najpierw cieszyłam się, że dostałam pracę, potem zwolniono mnie, mimo że do ostatniej chwili wmawiano mi, że na pewno zostanę. Potem okazało się, że dziewczynie, która była stażystką w naszym wydziale, obiecano moją posadę na długo przed tym, jak rozpoczęła swój staż. Uczyłam ją pracy w sekretariacie, nieświadomie szykując jej grunt pod nogami i jednocześnie strzelając gola do własnej bramki. Potem moja obecna szefowa, która tymczasowo zatrudniła mnie w swoim sekretariacie, próbowała zorganizować mi przeniesienie na stanowisko merytoryczne do innego wydziału, lecz podczas rozmowy kwalifikacyjnej okazało się, że znów chodzi o ten nieszczęsny sekretariat. W końcu zaczęłam poszukiwania na własną rękę i przy pomocy koleżanek dowiedziałam się o Biurze Promocji i Kultury. Niestety, szef tego biura nie potrzebował absolwentki kulturoznawstwa, tylko kogoś, kto umie zaparzyć kawę. Rozumiesz moją frustrację?

– No, zdaje się, że zaczynam.

– Dlaczego w tym kraju tak trudno o posadę dla ludzi z wykształceniem humanistycznym? Wszędzie szukają tylko fachowców albo informatyków.

– Takie są polskie realia. Nawet osobom z moim wykształceniem ciężko się teraz przebić. Swoją drogą, ja zaczynałem w jednej z najbardziej prestiżowych firm informatycznych. Jeśli komuś udało się pomyślnie przejść wstępną rekrutację, to potem czekała go rozmowa kwalifikacyjna składająca się z kilku etapów. Uwaga: pierwszy był przez telefon.

– Serio? I jak sobie poradziłeś?

– Po piętnastu minutach rozmowy z rekruterem znudzony powiedziałem, że telefon nie służy do takich rzeczy, poza tym zaraz mi się rozładuje. No i po dwóch kolejnych interview, które odbyły się już w siedzibie firmy, w końcu mnie zatrudnili.

– Wariat – zaśmiałam się.

– Może i wariat, ale za to z niezłą kasą na koncie – podkreślił.

Gdy skończyliśmy zmywać naczynia, rozmowa przeniosła się do dużego pokoju.

– Długo tam pracowałeś? – spytałam, siadając po turecku na kanapie.

Krystian stał przez chwilę nade mną, aż zdecydował się usiąść.

– Osiem lat, a gdy w końcu się znudziłem, postanowiłem założyć swoją firmę.

– Farciarz z ciebie. Ryzyko się opłaciło.

– Lubię ryzyko.

– Czasem kończy się na sali sądowej.

Krystian wydał się lekko zakłopotany, gdy o tym wspomniałam.

– Skończyłem z tym.

– Wiem. Przepraszam.

– Wybaczam – rozchmurzył się.

– Jak ty to robisz, że niczym się nie przejmujesz? – Od dawna miałam chęć go o to

zapytać.

– Po prostu olewam wszystko, co nie dotyczy mnie bezpośrednio – stwierdził beztrąsko.

– Ale tak się nie da. Przecież trzeba współpracować z innymi, chociażby właśnie w pracy!

– Miejsce pracy to pole gry. Graczy jest wielu, a ty jesteś jednym z nich. Aby odnieść zwycięstwo, musisz nauczyć się z góry narzuconych zasad i współpracować z drużyną, korzystając z nich. Ale kto ostatecznie decyduje o wygranej?

– Kto?

– Sędzia.

– Czyli ze wszystkich osób to on jest w gruncie rzeczy najważniejszy?

– No, raczej. I teraz przełóż to na miejsce, w którym pracujesz. Jako sekretarka musisz stosować się do zasad, które ktoś wcześniej wymyślił, ale jako szef sama mogłabyś je ustalać. Wniosek? Najlepiej pracuje się na własny rachunek.

– Nikt wcześniej nie przedstawił mi tego tak obrazowo. Jesteś nieprzeciętną osobą.

W podziękę za komplement Krystian nonszalanc-ko opuścił głowę i uśmiechnął się z dumą. Uwielbiał, gdy łechtałam jego ego miłymi słowami.

– A ty mogłabyś wiele osiągnąć, tylko musisz uwierzyć w siebie. W wolnej chwili podeślij mi na mejla swoje CV. Jestem ciekaw, co tam napisałaś – zaproponował.

– Z przyjemnością, może mi coś doradzisz. Wiesz co, koniec końców cieszy mnie fakt, że zdecydowałam się opuścić to bagno. Nawet kosztem utraty świętego Graala.

– Czego? – Szeroko otworzył oczy.

– Tak nazywam umowę na czas nieokreślony, bo w dzisiejszych czasach to rzecz prawie nieosiągalna. Szczególnie w Polsce.

– Ciekawe porównanie – roześmiał się. – Wychodzi na to, że niepotrzebnie traciłaś czas na sekretariat.

– Pod względem kariery zawodowej to stracone półtora roku.

– Żałujesz, że poszłaś do tej pracy?

– Tak.

– Z drugiej strony... gdybyś tam nie trafiła, nigdy byśmy się nie poznali – podkreślił.

– Rzeczywiście... To chyba jedyny plus tej całej historii. – Spojrzałam na niego wymownie.

– No, nareszcie widzę jakiś uśmiech. Już myślałam, że do końca dnia będziesz chodziła zdołowana, a nie powinno tak być, w dodatku po takiej nocy. – Musnęła ręką po moim udzie. – Chodź, pójdziemy razem pod prysznic...

– Proszę cię... – Gwałtownie się odsunęłam, choć w głębi duszy podobało mi się to, co zrobił.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Krystian ziewnął tak donośnie, jakby nie spał od kilku dni.

– No, dochodzi jedenasta. – Zerknął na telefon. – To co, zamówić ci taksówkę czy wracasz metrem?

Poczułam się dziwnie, jakby wszystko, co do tej pory mówił, było nieprawdą.

- Szkoda mi kasy na taksówkę. Wrócę tak, jak przyjechałam – wydusiłam z siebie.
- Jak chcesz – rzekł obojętnie i zaczął bawić się telefonem.
- Pójdę się ubrać – dodałam.

Kiedy wróciłam, zastałam go w tej samej pozycji.

- Będę się zbierać – odparłam.
- Odprowadzić cię do drzwi?
- Tak nakazują dobre obyczaje. – Teraz to już lekko się wkurzyłam.

Krystian wyjął z szafy mój płaszcz i podał mi go.

- Fajnie było się zobaczyć. – Zlustrował mnie od góry do dołu.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Odprowadzisz mnie do metra? – spytałam.
- Nie marudź. – Pocałował mnie na pożegnanie.
- To na razie. – Odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Opuściłam osiedle i skierowałam się w stronę metra. Ledwo trzymałam się na nogach. Musiałam chyba przypominać jedną z imprezowiczek wracających do domu nad ranem, w pokruszonym makijażu.

Po dotarciu do mieszkania odruchowo zerknęłam, która godzina. Dopiero wtedy zorientowałam się, że mam rozładowaną komórkę. Gdy uruchomiłam podpięty pod ładowarkę telefon, spostrzegłam, że mam jedenaście nieodebranych połączeń i wszystkie pochodzą od mojej współlokatorki. Uświadomiłam sobie, że nie uprzedziłam jej, że zostaję na noc u Krystiana. Bo niby w którym momencie? Wtedy, gdy mnie pieścił? Ruszyłam głową i natychmiast wysłałam Natce esemesa z informacją, że wciąż żyję.

Biorąc pod lupę wydarzenia minionego tygodnia, zdałam sobie sprawę, że moralnie upadłam na samo dno. Nie dość, że świadomie podjęłam decyzję o rezygnacji z pracy w instytucji, która mogła zapewnić mi utrzymanie, to jeszcze na dokładkę przespałam się z facetem, który nie wiązał ze mną żadnej przyszłości. Pomyślałam, że gorzej mogłoby być tylko wtedy, gdyby po kilku miesiącach Afrim odnalazł mój nowy numer i ponownie wcielił się w rolę stalkera. Na szczęście on jeden oszczędził mi kłopotów.

Postanowiłam na resztę weekendu zaszyć się w domu i poczekać do poniedziałku. Jeszcze tylko tydzień i zacznę wszystko od nowa. Kolejny raz.



NOWE ŻYCIE

Natalia była wściekła, ale zrozumiałam, że jej wzburzenie podyktowane było troską o mnie.

– Oszalałaś? Nie spałam całą noc ze strachu, że coś ci się stało! – krzyczała.

Z pokorą wysłuchałam jej karczemnych wrzasków.

– Wybacz mi, straciłam poczucie czasu. Tobie też wiele razy się zdarzyło nie wrócić do domu na noc, bo zostawałaś u przypadkowych facetów. Pamiętam, jak dzwoniłaś do mnie pijana z mieszkania jakiegoś kolesia z Helsinek, którego poznałaś na koncercie Villego Valo. Myślisz, że się nie denerwowałam? – przypomniałam jej.

– No tak, ale ja to ja. Tobie nigdy nie zdarzały się podobne wypadki. Przez kilka lat byłaś z jednym chłopakiem, a teraz nagle zauroczyłaś się kolesiem poznanym w pracy. A jeśli chciał cię tylko przelecieć?

Na dźwięk tych słów łzy pojawiły się w moich w oczach.

– Proszę cię, przestań! – Wybuchłam płaczem.

Natalia wyglądała na zaskoczoną. Przytuliła mnie mocno.

– Przepraszam, Karola. Po prostu czasem nie umiem się pohamować i gadam głupoty.

– To nie są głupoty. Masz rację. Jemu chodziło wyłącznie o jedno.

Natka zaparzyła nam obu melisę. Gdy ziołowy napar był już gotowy, usiadłyśmy na kanapie, po czym opowiedziałam jej, co się wydarzyło. Wspomniałam również o tym, w jaki sposób Krystian się mnie pozbył.

– Co za gnojek – podsumowała Natka.

– Ale zwycięski gnojek. W końcu dopiął swego i dałam się zaciągnąć do łóżka. – Spuściłam wzrok.

– Przecież wiadomo było, że ci się podoba. Poza tym zrobiłaś to z własnej woli, więc nie musisz niczego sobie wyrzucać.

– Tak, ale mam wrażenie, że zbyt łatwo mu poszło. Teraz będzie miał o mnie jak najgorsze zdanie.

– Nie zadręczaj się. A dobry był chociaż?

– Myślałam, że umrę z rozkoszy...

– Poważnie? No, przynajmniej ty też na tym skorzystałaś. Nie należy rozpatrywać tego w kategoriach strat, lecz zysków. A że ten facet jest emocjonalnym androidem, to już inna sprawa.

– To typowy narcyz, jest skupiony na swoich potrzebach i kompletnie ignoruje uczucia innych. Ale podejrzewam, że kiedy po raz kolejny poczuje ciśnienie w spodniach, to znowu się odezwie – odparłam rozgoryczona.

– A może przestraszył się zaangażowania? W końcu nie trafił na byle kogo.

– Chciałabym w to wierzyć, ale to nie ten typ. Nie sądzę, bym była aż tak wyjątkowa, by w ogóle rozważał jakikolwiek związek. Tacy faceci się nie zmieniają.

– I co zamierzasz teraz zrobić? – spytała Natka.

– Nic. Wejdę w fazę zapomnienia. Znasz ten schemat. Przestanę słuchać ulubionej muzyki, wykasuję jego numer telefonu z pamięci, pójdę do fryzjera i może zapiszę się na jakieś zajęcia, na przykład taniec brzucha. Dobrze się składa, bo za tydzień kończę pracę w tej koszarnej instytucji. Mam trochę oszczędności i może dostanę zasiłek. Jeśli znajdę nową pracę, to otrzymam jeszcze dodatek aktywizacyjny, co będzie oznaczało dodatkową gotówkę.

– Czyli widzę, że jest nieźle. Bałam się, że gorzej to wszystko zniesiesz.

– Wiesz, że lubię zmiany. Napędzają do działania. Spróbuję zrobić coś ze swoim życiem. A ostatnie dwa lata potraktuję jako kolejny stopień do samorealizacji. Wiesz, tak naprawdę wiele się nauczyłam w budżetówce. Na przykład poznałam się na ludziach.

Nagle moja przyjaciółka spochmurniała.

– Skoro mowa o zmianach, muszę ci coś wyznać. Czekałam na dogodny moment, ale wydaje mi się, że dogodniejszego nie będzie.

– Co się stało? – spytałam zaniepokojona.

Natka zrobiła pauzę i wzięła głęboki oddech.

– Możliwe, że niebawem wyjadę do Holandii.

– Co proszę? Jak to wyjedziesz? – Czułam, jak gardło mi się zaciska.

– Złożyłam aplikację na stanowisko recepcjonistki w jednym z hoteli w Amsterdamie. Z moją znajomością angielskiego i niemieckiego na pewno sobie poradzę.

Własnym uszom nie wierzyłam. Najpierw praca, która wkrótce miała się zakończyć, potem Krystian, a teraz moja najlepsza przyjaciółka oznajmiła, że się wyprowadza.

– A co z pracą magisterską? Piszesz ją tyle czasu. Mówiłaś, że chcesz być nauczycielką angielskiego, ale do tego potrzeba dyplomu.

– Chrzanię to. Minie mnóstwo czasu, zanim skończę, a nie wiadomo, kiedy znajdę coś na stałe. Poza tym, ile bym wyciągnęła na rękę? A za granicą zarobię trzy razy tyle.

– Obsługując gości hotelowych przez całą dobę? Jak długo planujesz tam zostać?

– Na razie kontrakt na trzy miesiące, a potem zobaczymy.

Poczułam, że tracę grunt pod nogami.

– Nie możesz mnie teraz zostawić. Odeszłam z pracy. Jeśli wyjedziesz, cały czynsz zostanie na mojej głowie. Albo będę musiała wrócić do rodziców i wynająć całe mieszkanie, bo sama go nie utrzymam.

– Spokojnie, jeśli wyjadę, to dopiero za miesiąc. Zdamy znaleźć kogoś odpowiedniego na moje miejsce. – Objęła mnie. – Karola, przepraszam, że tak to wyszło, ale duszę się już w tym kraju. Poczuję się lepiej, jak zacznę zarabiać prawdziwe pieniądze.

– W porządku, rozumiem – powiedziałam w końcu. – Ale będzie mi ciebie brakowało.

– Mnie ciebie też. Zobacysz, niedługo wrócę. Jak się odkuję. Ty na pewno wkrótce znajdziesz jakąś zajebistą pracę i wreszcie pojedziemy sobie do Tangeru!

– Maroko... – Przed oczami miałam teraz twarz Krystiana.

– Wybacz, wysnęło mi się. W każdym razie chcę, żebyś wiedziała, że zajmę się

szukaniem nowej współlokatorki. Popytam na uczelni i dam ogłoszenie w internecie. Kiedy będziesz gotowa, poumawiamy chętnych.

– W porządku. Na razie nie jestem w stanie o tym myśleć. Za dużo się dzieje, a i tak jestem znieczulona na wszystko, co nie jest związane z nim. Bez urazy, ale nawet sprawa twojego ewentualnego wyjazdu wydaje mi się kroplą w morzu problemów.

– No, to mi ulżyło. Ale mimo wszystko ci współczuję. Sama wiele razy przechodziłam przez coś takiego, zresztą wiesz. Tym bardziej mi głupio, że nie będę mogła cię wesprzeć.

– Nie przejmuj się – powiedziałam przygaszonym głosem.

Po rozmowie z Natalią poszłam do łazienki i przez godzinę moczyłam się w wannie wypełnionej pianą pachnącą daktylami. Spłukując szampon z włosów i jednocześnie próbując zmyć z siebie upokorzenie, wmawiałam sobie, że nic się nie stało. Krystian spełnił jedno ze swoich pragnień, a mnie zostały piękne wspomnienia. „Już nigdy nie przeżyję czegoś podobnego”, pomyślałam i się rozpłakałam.

Od upragnionego dnia, który miał stać się końcem mojej dwuletniej udręki i zarazem początkiem nowego życia, dzielił mnie zaledwie tydzień. Kadry przysłały mi obiegówkę do rozliczenia. Wyraziły też zgodę na wypłacenie ekwiwalentu za niewykorzystane dni urlopu. Przez ten czas trochę się ich nagromadziło, pracowałam bowiem bez ustanku, wolałam mieć wszystko pod kontrolą i nie chciałam dopuścić do rozwoju bałaganu. Teraz, kiedy wiedziałam, że zostanę bez pracy, jak na ironię dopadł mnie konflikt Antygony.

Żyłam w przekonaniu, że jakkolwiek podejmę decyzję – czy o odejściu, czy pozostaniu w budżetówce – tak czy inaczej poniosę straty.

Poniedziałki rozpoczynały się zwykle leniwie, ale nie tym razem. Miałam pięć dni na zamknięcie spraw, uporządkowanie dokumentów w sekretariacie i, co najważniejsze, pożegnanie się z tymi, z którymi na co dzień pracowałam.

Zaczęłam od uzupełnienia liczb w prowadzonych przeze mnie dziennikach, po czym udałam się do działu zaopatrzenia i wzięłam kilka czystych arkuszy dla Sylwii, która miała wrócić na swoje stanowisko. Pomyślałam, że skoro dłuższy czas przebywała na urlopie macierzyńskim, trudno jej będzie odnaleźć się w tym biurokratycznym chaosie.

Ku mojej radości ominęły mnie procedury związane z przekazywaniem sprzętu komputerowego oraz urządzeń biurowych, ponieważ wyposażenie sekretariatu od początku było na stanie Sylwii, a mnie zostało jedynie użyczone na czas jej nieobecności. Nie musiałam również spisywać żadnych protokołów ani robić ewidencji dzienników, które prowadziłam w zastępstwie za koleżankę.

Mimo to musiałam domknąć mnóstwo spraw, ponieważ w wydziale administracyjnym robiłam znacznie więcej rzeczy niż w teleinformatycznym. Do moich obowiązków dodatkowo należało sporządzanie list obecności na każdy miesiąc, przygotowywanie podkładek pod pensję, planowanie urlopów, a także rejestr zwolnień lekarskich i tym podobnych dokumentów. Pomimo nawału pracy szło mi zdecydowanie sprawniej, niż kiedy miałam na karku panią Melę i Sonię. Przy nich nawet najprostsze czynności wydawały się schodami nie do pokonania, tymczasem tutaj radziłam sobie bez najmniejszego trudu.

Ostatniego dnia w pracy wszystko wydawało się inne. Każdy, z kim do tej pory miałam do czynienia, nagle wydawał się miłszy, ciekawszy, bardziej przyjazny. Zżyłam się z osobami z mojego wydziału, w szczególności z tryskającą optymizmem Agatą, nawet wiecznie narzekający pan Włodek zyskiwał przy bliższym poznaniu. Poczulałam przyływ tęsknoty za miejscem, które do tej pory było synonimem koszmaru.

– Cześć, co tam masz dla mnie? – Agata przysłała do sekretariatu po pocztę.

– Korektę limitu finansowego i kilka wniosków z wydziałów. Przekaż też Ani, że mam dla niej dwa pisma – powiedziałam, wydając papiery.

– Jasne, nie ma problemu. Kurczę, ciężko uwierzyć, że w poniedziałek już cię tutaj

nie będzie.

– No, powiem ci, że to dziwne uczucie. Będzie mi was brakowało, ale wiem, że dokonałam słusznego wyboru.

– Smutno będzie bez ciebie. Sylwia jest spoko, ale to takie lelum polelum, a z tobą zawsze były jakieś śmieszne akcje. Nigdy nie zapomnę „kradzieży” klawiatury Marczaka! Roześmiałam się na samo wspomnienie.

– Wiesz, w sumie to nigdy nie rozmawialiśmy o rzeczach niezwiązanych z pracą. Możemy dalej utrzymywać kontakt.

– No jasne, a jesteś na Facebooku?

– Pewnie, że tak – odparłam.

– Świetnie! Dzisiaj wyślę ci zaproszenie. Jeśli przypadkiem dowiem się o jakieś ciekawej ofercie pracy, podeślę ci info.

– Super! Postawię ci kawę – ucieszyłam się.

– Wolę piwo! – Mrugnęła do mnie.

Agata przed wyjściem zajrzała do Renaty, aby skonsultować z nią zmiany naniesione przez dział finansowy. A mnie nagle olśniło, że od dawna nie rozmawiałam z Irminą. Wiele jej zawdzięczałam i musiałam przecież się z nią pożegnać. Uznałam, że nadszedł idealny moment. Za pozwoleniem Renaty opuściłam sekretariat i ruszyłam na górę z miną skazańca idącego na szafot, modląc się w duchu, by nie spotkać żadnego z dawnych prześladowców.

– Dzień dobry! – przywitałam się, gdy weszłam do właściwego pokoju.

– O! Cześć! – Siedząca przy wejściu Irmina rozpromieniła się na mój widok.

Wokół jej oczu dostrzegłam kilka mimicznych zmarszczek świadczących o tym, że często się śmiała.

– Witam, pani Karolino. Dawno pani nas nie odwiedzała – rzekł pan Stasiek, który ledwie podniósł głowę znad monitora.

– Wpadłam tylko na chwilę – oznajmiłam.

– Co u ciebie słychać? – spytała Irmina, która ze szczerego serca interesowała się sprawami innych.

– W zasadzie przyszedłam się z wami pożegnać. Dziś jest mój ostatni dzień pracy.

Na tę wieść pan Stasiek rozdziawił usta, a w błękitnych oczach Irminy odmalowała się mieszanina zaskoczenia i żalu.

– Poważnie? Odchodzisz? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak, to moja własna, przemyślana decyzja – odpowiedziałam.

Gdy to usłyszała, jej zdziwienie wydało się uzasadnione.

– Ale dlaczego? Przecież praca w budżetówce to najpewniejszy chleb. Nigdzie indziej nie będziesz miała szans na stałą pracę, wierz mi – przekonywała, lecz ja byłam nieugięta.

– Domyślałam się, że większość osób może być zszokowana moją decyzją, ale od dawna kiełkowałam we mnie potrzeba zmian. Początkowo nie potrafiłam tego zdefiniować, ale teraz już wiem. Zmiana jednego sekretariatu na drugi nie sprawi, że nagle pokocham swoją pracę. Ja muszę zmienić rodzaj stanowiska. A ponieważ w tej instytucji szczęście mi nie dopisało, muszę poszukać czegoś gdzie indziej.

– Zawsze uważałam, że nie pasujesz do tego miejsca. Tu trzeba mieć twardą dupę – przyznała.

Nigdy nie słyszałam, żeby Irmina wyrażała swoje opinie w tak dosadny sposób, ale musiałam przyznać jej rację.

– Niestety, taka jest prawda. Nie pasuję tu. To samo powtarzał mi Mateusz. Przy okazji, z nim też chcę się pożegnać.

– Mateusza nie ma. Jest na zwolnieniu lekarskim. Uchodził za dziwaka, ale teraz okazało się, że do tego jest cwany – powiedziała.

– Jak to cwany? Czyli nie jest chory? – zdziwiłam się.

– Nie, kochanieńka, Filip i Mela od dawna szukali na niego haka i chcieli go wylać, ale nie zdążyli, bo Mateusz błyskawicznie załatwił sobie żółte papiery. Mówię ci, szkoda, że nie widziałas wyrazu ich twarzy, gdy otworzyli kopertę ze zwolnieniem!

– Po tym, co tu przeszłam, nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć – odparłam obojętnie.

– Ale przyznasz, że wiele się nauczyłaś. To miejsce jest jak poligon wojskowy. Trzeba uważać, gdzie się chodzi, bo wszędzie mogą być miny!

– Lepiej bym tego nie ujęła. Chociaż dla mnie to miejsce zawsze jawiło się jako miasteczko Twin Peaks, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje.

– Może być i tak. Powiedz mi, co zamierzasz? Jakie masz plany?

– Póki co, zrobię sobie krótką przerwę. Muszę odpocząć. Ostatnio jestem w kiepskiej formie.

– Czyli nie masz żadnej pracy na oku? – domyśliła się.

– Chwilowo nie, ale wiem, że szybko coś znajdę. Zawsze miałam do tego szczęście. Trudniej z ich utrzymaniem. Poza tym kto wie, co jeszcze wymyślę? Może napiszę książkę? – zażartowałam.

– Napisz! Bestseller o budżetówce! – podchwyciła Irmina.

– Kuszące. W końcu zaczynam przecież nowe życie – zaśmiałam się.

– Trzymaj się, kochana, i powodzenia. – Ucałowała mnie na pożegnanie.

– Dziękuję za to, że mnie wspierałaś. Jesteś jedyną kobietą w tym wydziale, która mnie polubiła.

– Bo jesteś dobrą i wrażliwą dziewczyną, która zwyczajnie trafiła w niewłaściwe miejsce. Ale zapamiętaj słowa starej wariatki, która zapewne będzie tu pracować do emerytury – chwyciła mnie za rękę. – Koniec to zawsze początek czegoś nowego.

– Zapamiętam.

– Ja też się dołączę. Życzę pani ciekawszej pracy – rzekł pan Stasiak, który wyszedł zza biurka, aby uścisnąć mi dłoń.

– Oby się spełniło. Ja również życzę panu wszystkiego dobrego – odparłam.

Zamykając drzwi od ich pokoju, poczułam, że zamykam za sobą pewien fragment przeszłości.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy pożegnać się również z Filipem, który za sprawą roszady stanowisk został nowym naczelnikiem. Uznałam jednak, że już raz się żegnaliśmy, gdy odchodziłam z wydziału, a co za dużo, to niezdrowo.

Z Mariną także nie zamieniłam słowa. Gdy przechodziłam obok otwartego

sekretariatu mignęły mi grube oprawki jej okularów oraz czarny warkocz zarzucony na ramię. Zobaczyłam ją dumnie siedzącą za biurkiem i marszczącą usta w dzióbek. Wyglądała jak celebrytka, która wdzięczy się do swoich fanów.

Poczułam ulgę, że opuszczam to miejsce, i już miałam zejść po schodach, gdy przede mną wyrosła pani Melania. Choć nie łączyły nas już żadne służbowe relacje, w dalszym ciągu bałam się tego, że dostanę reprimendę za bezprawne opuszczenie sekretariatu bądź za niedostarczenie korespondencji na czas.

Gdy tylko mnie zobaczyła, z miejsca przeobraziła się w serdeczną ciotkę.

– Dzień dobry, Karolinko, co słyhać? To prawda, że odchodzisz? – zapytała głosem pełnym fałszywej dobroci.

Przypomniało mi się, że plotki w budżetówce rozchodzą się szybciej niż poczta.

– Tak, pani Melu, dzisiaj jestem ostatni dzień.

Wygięła usta w podkowę, lecz ja wiedziałam, że w głębi serca cieszy ją moja przegrana.

– Wielka szkoda. Będzie mi ciebie brakować – wydeklamowała, jakby brała udział w przesłuchaniu do kiepskiej sztuki.

Gdy to usłyszałam, nie wiedziałam, czy umrę ze śmiechu, czy ze zdziwienia. Chciałam wygarnąć jej to, co od dawna leżało mi na wątrobie, tak samo jak wtedy panu Pawłowi, gdy nie przedłużył mi umowy. Dotychczas autorytet pani Melanii – w dużej mierze zbudowany na fundamentach lodowatego spojrzenia oraz solidnej postury – sprawiał, że nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, gardło ścisnęło mi się w supeł. Nagle jednak oświeciło mnie, że nigdy więcej nie spotkam tej kobiety na korytarzu. Raz kozie śmierć, pomyślałam.

– Doprawdy? Minęła się pani z powołaniem, Akademia Teatralna jest na Miodowej.

Panią Melę najwyraźniej zamurowało, co dało mi przyzwolenie na dalszą wypowiedź.

– Od początku mnie pani nie lubiła. Traktowałyście mnie z Sonią jak popychadło, chociaż starałam się podołać obowiązkom. Szukałyście sposobności, by wytknąć mi każdy, nawet najdrobniejszy błąd, i dlaczego? Dlatego, że skończyłam studia? – wygarnęłam jej.

– Oj, Karolinko, myślałam że chociaż na koniec zachowasz klasę – cmoknęła, kiwając głową na boki.

– W kontaktach z panią trudno o dobre maniery, bo na każdym kroku przyprawia pani ludzi o rozstrój żołądka. Zachowała się pani podle, uprzykrzając mi życie, że nie wspomnę już o pożegnaniu, jakie zaserwowałyście mi z Sonią. Mogłam wykorzystać urlop i zostawić wszystko na waszej głowie, ale pracowałam do ostatniego dnia, żeby wszystko uporządkować. Teraz wiem, że nie było warto. Wiem też, że pan Paweł zwolnił mnie, bo szykował Marinie miejsce w sekretariacie. Ale zdążyłam przywyknąć do tego, że w tej pracy tak właśnie załatwia się sprawy. Między innymi dlatego odchodzę. Nie chcę mieć do czynienia z takimi ludźmi.

– Karolinko, Karolinko, ile ty się musisz jeszcze nauczyć o życiu. – Pokiwała głową.



– Proszę nie nazywać mnie Karoliną. Zgadzałam się na to, bo jest pani ode mnie starsza. Ale nie łączą nas już służbowe relacje i nie jestem pani w żadnym stopniu podległa, więc informuję, że nie jesteście na ty.

– Bezczelna gówniara! Cieszę się, że Paweł nie przedłużył ci umowy! – Jej także puściły w końcu nerwy.

– Doskonale pani wie, dlaczego. I proszę pozdrowić protegowaną, która grzeje mój dawny stołek. A teraz pani wybaczy, muszę wracać do pani Renaty.

Wyminęłam ją i zbiegłam na dół, nie oglądając się za siebie.

Choć serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, dotarło do mnie, że przed sekundą pokonałam strach przed panią Melanią. Ostatecznie położyłam kres wszelkim upokorzeniom.

Jeszcze tylko kilka godzin za biurkiem i koniec, powtarzałam w duchu. Zadzwonił telefon na moim biurku.

– Karolina, poczta do odbioru – poinformowała mnie Kinga.

– Już idę – odłożyłam słuchawkę.

Jeszcze nie tak dawno stanęłam po raz pierwszy w tym korytarzu i z niepewną miną szukałam drzwi do jej sekretariatu. Teraz szłam tam nie tylko po pocztę, ale również po to, by się pożegnać. Zastałam Kingę w ferworze dyskusji z informatykiem. Rozmawiali o dyrektorze, który pod nieobecność Kingi wpisał swój profil użytkownika i hasło do jej komputera.

– Przez niego nie mogę się dostać do swoich plików – wściekała się Kinga.

– Nie mam pojęcia, dlaczego on jest zalogowany na dwóch komputerach – denerwował się informatyk.

– Bo najwidoczniej ma dar bilokacji – zażartowałam.

– Chyba że tak. – Uśmiechnął się, grzebiąc w systemie.

– Dobra, rób swoje, a ja wydam koleżance pocztę. – Wskazała na mnie.

– Nie ma sprawy. – Machnęłam ręką. – Czy mi się zdaje, czy nie jesteś w humorze? To przez ten komputer?

– Komputer to jedno, ale przede wszystkim smutno mi, że odchodzisz – wyznała, wskazując w dzienniku podawczym miejsce, w którym miałam pokwitować odbiór korespondencji.

– Mnie też jest przykro, ale tak wyszło.

– Trochę głupio zrobiłaś, że nie przyjechałaś posady u Modlińskiego. Trzeba było tam przeczekać, może potem coś by się trafiło – powiedziała Kinga.

– No właśnie: może. Albo znowu bym się męczyła, robiąc coś wbrew sobie. Sama kiedyś chciałaś się stąd wyrwać, pamiętasz?

– Owszem, ale nie wyszło. Może ty będziesz miała więcej szczęścia. Nie każdemu wystarczyłoby odwagi, żeby zrezygnować z pracy. Naprawdę masz dużo samozaparcia.

– Jestem po prostu zmęczona tym miejscem. Miałam o nim zupełnie inne wyobrażenie, ale zbyt wiele się wydarzyło. Dłużej tu nie wytrzymam, dlatego odchodzę – nużyło mnie powtarzanie ludziom w kółko tego samego.

– Cóż, to twoje życie. Mam nadzieję, że znajdziesz pracę, w której się odnajdziesz.

– Dzięki, też mam taką nadzieję. – Uśmiechnęłam się i pokwitowałam jedno

z ostatnich pism w karierze sekretarki.

Gdy wyszłam od Kingi, wstąpiłam do Józefiny.

– Pewnie już wiesz, że odchodzę? – Zastukałam w otwarte drzwi, by zaznaczyć swoją obecność.

– No, jestem w szoku! – Odłożyła kosmetyczkę i poderwała się z krzesła. – Kurczę, będę strasznie tęsknić! Przyzwyczaiałam się do ciebie.

Słuchałam z niedowierzaniem, bo po historii z bonami kilka miesięcy temu i po dzisiejszym starciu z panią Melanią nie ufałam już ludziom.

– Karolina, zastanów się jeszcze, czy podjęłaś słuszną decyzję. Bardzo ciężko dziś o pracę, a tutaj miałabyś stabilizację. Na pewno za jakiś czas dostałabyś umowę na czas nieokreślony, bo jesteś niezamężna. Potem szybciotko ślub, ciąża i jedziesz na macierzyńskim jak my wszystkie tu! A teraz czeka cię na nowo szukanie pracy.

– Wiem, co robię, i nie zmienię decyzji. Nie toleruję zakłamania, które w tej instytucji jest na porządku dziennym. W moim odczuciu praca opiera się nie tylko na wykonywaniu obowiązków, ale i na budowaniu szczerych relacji z ludźmi. Niestety, budżetówką rządzą układy i układziki, a to nie mieści się w moim systemie wartości – starałam się zarazić ją moim idealizmem.

– Jasne, to twoje życie i twoje poglądy. Słuchaj, mam do ciebie ogromną prośbę...

– Tak?

– Kiedy znajdziesz pracę w jakimś ciekawym miejscu, daj cynk. Też chętnie się stąd wyrwę – szepnęła, zerkając podejrzliwie w stronę gabinetu dyrektora Terenowskiego.

– Jasne, będę pamiętać – odparłam spokojnie.

– Dzięki. Bycie sekretarką to ciężka i niewdzięczna praca – powiedziała i przytuliła mnie jak matka córkę.

Pożegnałyśmy się i wróciłam do siebie. Pozamykałam wszelkie sprawy związane z prowadzeniem sekretariatu i poszłam zamienić kilka słów z szefową.

– Pani Renato, przygotowałam wszystko na powrót Sylwii. Nie ma żadnych zaległości. Pisma są już rozdane, a na biurku położyłam listę spraw do załatwienia po weekendzie. W razie czego zostawiam numer telefonu do siebie na wypadek, gdyby były jakieś problemy, chociaż nie sędzę. I dziękuję. Nigdy nie zapomnę tego, co pani dla mnie zrobiła.

Siedząca za biurkiem pani Renata, rzadko kiedy pozwalała sobie na brak profesjonalizmu zarówno w stosunku do swoich petentów, jak i pracowników. Teraz jednak przełamała dystans i podeszła do mnie.

– Mnie też dobrze się z tobą pracowało. Jesteś naprawdę świetną sekretarką, choć pewnie trudno ci w to uwierzyć. – Położyła mi ręce na ramionach.

– Dziękuję, że pani we mnie wierzy – wzruszyłam się.

Patrzyłam na nią i wyobrażałam sobie, że w wieku czterdziestu dwóch lat mogłabym być właśnie taka. Z ustabilizowaną sytuacją zawodową i wyrobioną pozycją społeczną. Ale zbyt dobrze znałam siebie, by wiedzieć, że nie mam na to szans.

– Nie martw się, trafisz w końcu na swoją działkę. Widzę, że potrafisz mierzyć siły na zamiary. Poza tym jesteś wykształcona, kulturalna, obyta, umiesz się pięknie

wysławiać. Nic dziwnego, że Paweł się ciebie obawiał – dodała.

– Co ma pani na myśli?

– Zażartował kiedyś, że z tak bogatym CV pewnie zechcesz kiedyś sama zostać naczelnikiem – wyznała.

– Może w kolejnym życiu, pani Renato, ale dziękuję za poprawienie mi humoru w tym ostatnim dniu – uśmiechnęłam się do niej. – Jeszcze raz dziękuję, że dała mi pani szansę w swoim wydziale.

Godzinę przed końcem pracy pani Renata zwołała do sekretariatu cały zespół. Agata, Ania oraz pan Włodzimierz wspólnie z szefową wymyślili, że urzędzą mi małe pożegnanie. Obyło się jednak bez patetycznych przemówień i kwiatów, które, nie daj Boże, straciłby podmuch wiatru. Zamiast tego dziewczyny ciepło mnie uściskały, a pan Włodek pozazdrościł faktu, że nie będę musiała wstawać o świcie. Szefowa zaś wręczyła mi na pamiątkę zestaw świeczek o różnym zapachu.

– Odwiedź nas kiedyś – dodała na koniec Agata.

– Macie to jak w banku. – Puściłam do niej oko, po czym zwróciłam się do szefowej: – Pani Renato, czy mogę wyjść jakieś piętnaście minut przed końcem pracy?

– Jasne. Nawet gdybyś wyszła bez pozwolenia, cóż mogłabym ci zrobić? Zwolnić cię? – zaśmiała się.

– Racja. W takim razie będę się zbierać. Jeszcze raz dziękuję za prezent i ogólnie za wszystko – powiedziałam.

Wiedziałam, że po raz drugi żegnaj się z posadą sekretarki, ale tym razem na zawsze.

Zatrzymałam się przy biurze przepustek, by po raz ostatni zdać kasetkę z kluczami, którą co rano pobierałam. Zamiast znajomego ochroniarza podobnego do Burta Reynoldsa na miejscu siedział skromny chłopaczek, który nie znał jeszcze wszystkich pracowników.

– Proszę, oto kasetka – podałam mu ją.

– Momencik. – Otworzył dziennik rejestru i wskazał mi miejsce, w którym miałam złożyć swój ostatni podpis.

– Do widzenia – pożegnałam się.

– Do widzenia – odpowiedział obojętnie.

Gdy wyszłam na zewnątrz, dotarło do mnie, że to naprawdę koniec.

W połowie drogi do przystanku zaczęłam rozmyślać, ileż to razy szłam tą ścieżką w stronę czerwonego budynku, modląc się, by przeżyć kolejne osiem godzin.

Wiedziałam, że już nigdy nie usiądę za biurkiem w sekretariacie ani nie przewrócę strony w dzienniku korespondencyjnym. Nie odbiorę już poczty od Kingi ani nie połączę Renaty z dyrektorem. Z nikim się też nie pokłócę ani nie wejdę na trzecie piętro pełna strachu, że spotkam na korytarzu panią Melanię.

Od dnia mojego przybycia w budżetówce zaszło wiele zmian. Wiele osób odeszło, a na ich miejsce przyszły kolejne, taka już była wewnętrzna polityka tego miejsca. Niektórzy wylecieli z hukiem, inni po cichu załatwili sobie przepustkę na mniej problematyczne stanowisko. Jedni awansowali dzięki pochlebstwom, a drudzy pracowali jak mrówki, odliczając dni do emerytury.

Świat budżetówki od samego początku stanowił dla mnie zagadkę. Teraz, kiedy

znałam to miejsce od podszewki, wiedziałam, że za żadne skarby nie chcę być jego częścią.

Podjęcie decyzji o odejściu nie było łatwe. Szczególnie, że w budżetówce pracowałam najdłużej. W każdej chwili mógł pojawić się cień szansy na stałą umowę. Poza tym odejście z pracy na własne życzenie mogło wydać się innym ludziom (zwłaszcza tym w gorszej sytuacji niż moja) zachcianką lub kaprysem. Wiedziałam, że tego nie zrozumieją i uznają moją decyzję za nieprzemyślaną, tak więc próby przekonania ich do mojego punktu widzenia wydawały się bezcelowe. Ja po prostu wiedziałam, co muszę zrobić. Czasem trzeba postawić wszystko na jedną kartę, nawet kosztem niepewnej przyszłości.

Praca w instytucji publicznej od początku nie była szczytem moich marzeń, ale z czegoś trzeba żyć. Marzeniami o pracy dziennikarza nie opłacę comiesięcznych rachunków, a podjęcie kolejnych studiów nie wypełni lodówki jedzeniem. Ale tutaj też nie mogłam już dłużej zostać. Zbyt długo dusiłam się w gęstej atmosferze intryg i fałszu.

– Pomyślałam, że przyda się dziś wieczorem – rzekła Natalia, która otworzyła mi drzwi, z butelką cabernet sauvignon w ręku.

– Mołdawsko-francuskie? – Zerknęłam na etykietę, zdejmując kurtkę. – W końcu dostaniemy raka trzustki od alkoholu.

– Nie wierzę, że jesteś w stanie oprzeć się tej butelce – wodziła mnie na pokuszenie.

– No dobrze, przyniosę kieliszki. Mam trzy powody do picia. Utrata pracy, faceta i przyjaciółki.

– Oj, przestań. Pracy nie straciłaś, tylko odeszłaś z własnej woli. Faceta nie straciłaś, bo tak naprawdę nigdy go nie miałaś. A przyjaciółkę będziesz mieć, nawet jeśli wyjedzie za granicę. Słuchaj, a może wybierzesz się ze mną jutro na japoński? Od jakiegoś czasu znowu tam chodzę. Co prawda uczy już kto inny, ale mogę cię jakoś przemycić. – Wyjęła opasłą czerwoną księgę zatytułowaną *Gramatyka japońska*, a następnie schowała ją do plecaka.

Pomimo starań Natalii, która za wszelką cenę chciała poprawić mi nastrój, myślałam tylko o Krystianie. Brakowało mi jego bliskości, a ponieważ nie odezwał się od naszego ostatniego spotkania, czułam się podwójnie rozbita. Nie chciałam jednak popadać w jeszcze większą melancholię, więc postanowiłam się ruszyć.

– Czemu nie? Dawno tam nie byłam, a chętnie przypomnę sobie co nieco.

Przypomniało mi się, jak chodziłyśmy razem na zajęcia z japońskiego, organizowane w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, gdzie studiowała moja przyjaciółka. Kiedyś kupiłyśmy w sklepie dwa jabłkowe redsdy, które wypiliśmy za filarem BUW-u. Gdy dotarłyśmy na zajęcia, w sali było już kilkoro studentów, między innymi dziewczyna w szarej bluzie, która trzymała zeszyt na kolanach, rysując w nim postacie z mangi. Byłyśmy lekko podchmielone, czego na szczęście nikt nie zauważył. Dopiero w trakcie powtarzania hiragany, kiedy wykładowca narysował na tablicy symbol przypominający kobiece piersi, nasz przesadnie dobry nastrój ujawnił się. „Przecież on rysuje cycki”,

szepnęła Natalia, po czym obie parsknęłyśmy na całą salę.

– Weź swoje stare notatki i coś do pisania. Szykuje się dobra zabawa!

– Mam nadzieję, że będę w stanie skoncentrować się na nauce. Ostatnio jestem w kiepskiej formie. Ale uwielbiam klimat uczelni. Niedawno zastanawiałam się nawet nad jakąś podyplomówką.

– A zatem w twoim życiu może być już tylko lepiej. Toast za nowy początek! – Natka uniosła kieliszek z winem.

– Zdrowie tej, która rzuciła pracę w sekretariacie dla studiów, oraz tej, która zamierza rzucić studia dla pracy w recepcji! – Uniosłam swój.

Przypomniało mi się, że miałam zadzwonić do rodziców, aby opowiedzieć im o ostatnim dniu w pracy, ale byłam zbyt zmęczona.

– Wyślę mamie esemesa. Nie mam siły na długą rozmowę. – Sięgnęłam po telefon.

Jak tylko go odblokowałam, dostrzegłam kopertę z wiadomością. „Jak tam?“, przeczytałam i zastygłam. Krystian zawsze odzywał się wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałam.

– Napisał do mnie... – szepnęłam ze zdumieniem.

– Naprawdę? – Była nie mniej zaskoczona. – Czytaj!

– Sama zobacz – pokazałam jej ekran. – Nie rozumiem go. Odzywa się po tygodniu jak gdyby nigdy nic i pyta „Jak tam?“. I co ja mam mu odpisać? Może: „Świetnie, właśnie odeszłam z pracy, a co u ciebie? Jak twoja firma? Kiedy znowu lecisz do Stanów na szkolenie?“. Chyba go pogięło! – wściekłam się.

– Masz rację. Olej to.

– Sugerujesz, że mam nic nie odpisywać? Wiesz, że nie wytrzymam.

– Skoro chcesz mu coś napisać, najpierw wyślij to mnie. Spojrzysz na treść chłodnym okiem i ocenisz, czy nadal chcesz mu to wysłać.

– Nie dam rady. W mojej głowie już pojawił się wachlarz odpowiedzi. Poza tym jestem dorosła i nie zamierzam chować głowy w piasek.

– Dobrze, ale przynajmniej poczekaj. Niech sobie nie wyobraża, że jesteś na każde jego skinienie. Przysłał to dwie godziny temu, niech poczeka jeszcze trzy.

Wytrzymałam do wieczora.

– Odpiszę mu – powiedziałam, gdy skończyłyśmy oglądać telewizję.

– Jak chcesz, ja idę spać. Jakbyś potrzebowała rady, szarp mocno za kołdrę. –

Poderwała się z kanapy.

Natychmiast sięgnęłam po komórkę i wstukałam esemesa.

„W porządku. A u ciebie?“

Odpowiedź nadeszła po minucie, jak gdyby Krystian tak samo jak ja koczował przy telefonie. A może przypadkiem miał go przy sobie? Tym razem postanowiłam myśleć trzeźwo i nie przypisywać tego typu drobiazgom wielkiego znaczenia.

„Znakomicie:) Może przyjedziesz dziś do mnie na noc?“

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Żadnego odniesienia do moich uczuć. Nie wiedziałam, co myśleć. Przyszło mi do głowy, że Krystian cierpi na narcystyczne zaburzenie osobowości, a ja podtrzymuję tę toksyczną relację. Uświadomiłam sobie, że ten człowiek ma mi do zaoferowania wyłącznie emocjonalny rollercoaster i ciągłą

niepewność co do jego uczuć.

„Udało ci się osiągnąć cel, ale na tym koniec. Nie będę do ciebie przyjeżdżać, żebyś mógł mnie pieprzyć, kiedy najdzie cię ochota. Popełniłam błąd, ale jestem warta więcej, niż myślisz. Trzymaj się”, odpisałam.

Naciskając „wyślij”, miałam łzy w oczach, bo w głębi duszy wiedziałam, że postępuję wbrew sobie. Pragnęłam go bardziej, niż mógł sobie wyobrazić, ale w zamian nie mogłam nic od niego otrzymać.

„Jak chcesz. Bye”, napisał.

W ogóle się nie przejął. Żył wedle zasady: „nie potrzebuję nikogo”, a ta ostatnia wypowiedź wyraźnie pokazała, że byłam mu obojętna.

Myślałam, że oszaleję z rozpaczy. Chciałam wszystko odwołać, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, stracę resztki godności. Często miałam wrażenie, że swoim postępowaniem Krystian uruchamia we mnie włącznik autodestrukcji. Był toksyczny, podobnie jak moja praca, więc powinnam uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Dwadzieścia minut później przyszedł esemes, który wbił mnie w ziemię.

„Proszę, nie bądź taka. Bez przerwy o tobie myślę. Miałem zamiar napisać, ale to był twój ostatni tydzień w pracy. Chcę się z tobą umawiać nie tylko w tym celu, ale skoro uważasz inaczej, nic na to nie poradzę. Twój wybór”.

Instykt mi podpowiadał, żeby nic z tym nie robić. A jeśli to kolejna z jego sztuczek? Jak mam mu ufać, skoro tyle razy mnie już zranił? Ale w końcu od-pisałam:

„Chciałabym kontynuować naszą znajomość, ale nie wiem, na czym stoję. Mam w głowie milion pytań. Spotkamy się i porozmawiamy?”.

„OK. Jutro o 14 u mnie?”.

„Zgoda. Ale tym razem u mnie”.

Po raz pierwszy w relacji z Krystianem odważyłam się wytyczyć granice. Wcześniej nie umiałam się na to zdobyć w obawie, że stracę możliwość utrzymywania z nim kontaktów, ale teraz nie miałam nic do stracenia.

„A co z twoją współlokatorką?”.

„Jedzie na zajęcia”.

„OK. Jutro o 14 u ciebie. Wyślij mi swój adres”.

Choć sytuacja była nieco napięta, czułam, że znów odzyskuję chęć do życia.

Paroma kliknięciami przywróciłam wszystko do poprzedniego stanu rzeczy. Czy właściwego, to się dopiero miało okazać.

– Od rana sprzątasz jak szalona. Mamy inspekcję z sanepidu?

Natalia siedziała na kanapie i jadła tosty z dżemem, podczas gdy ja biegałam po domu, usuwając wszelki kurz, jaki napotkałam.

– Kiedy już spałaś, doszliśmy z Krystianem do porozumienia i w rezultacie zaprosiłam go tu dzisiaj.

– Nie żartuj! Dopiero teraz mi mówisz?

Natka udała, że ze zdumienia krztusi się tostem.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, zapraszając go do nas, ale stwierdziłam, że jeśli odmówi, to zawiedzie na całej linii.

– Czyli rozumiem, że nie idziesz ze mną na japoński?

– Wybacz, w tej sytuacji nie.

– Spoko. A o której on ma tu być? – spytała.

– O drugiej – powiedziałam, wyjmując odkurzacz, aż nagle zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. – Jezu, lodówka jest prawie pusta!

– Faktycznie, ostatnio mamy w niej głównie echo i słoik z musztardą.

– Błagam cię, Nat, skocz do sklepu i kup coś – zaczęłam tworzyć w głowie listę zakupów. – Makaron świderki, bazylia, suszone zioła prowansalskie i puszka pomidorów krojonych. Oliwę i czosnek mamy na szczęście.

– Ale ja dopiero jem śniadanie – Natka zsunęła się z kanapy w teatralny sposób, niemal lądując na podłodze.

– Błagam, wiesz, że zrobiłabym dla ciebie to samo – usiłowałam ją udobruchać.

– W porządku, po tej akcji z Holandią jestem ci to winna.

– No widzisz – uśmiechnęłam się. – Gdzie ja znajdę drugą taką współlokatorkę? Osoba, która wprowadzi się na twoje miejsce, będzie musiała być podobna do ciebie.

– Obawiam się, że drugiej takiej nie znajdziesz. O ile w ogóle ktoś z tobą zamieszka, bo jesteś tak samo szurnięta jak ja! – odparła, sznurując glany.

– Dzięki za komplement. A teraz śmigaj do sklepu! – Włączyłam odkurzacz.

Kiedy wszystko już było gotowe, zabrałam się do wykładania produktów, które przyniosła Natalia.

– Mam niecałą godzinę na zrobienie obiadu, zdążę – odetchnęłam z ulgą.

– A ja muszę jeszcze przed zajęciami skoczyć do ksero. Będę się zbierać.

– Nie chcesz poznać Krystiana?

– W sumie fajnie by było, ale myślałam, że chcecie zostać sami.

– No to chociaż przywitaj się, a potem wyjdiesz.

– Dobra. Nie chciałabym dodatkowo zagęszczać atmosfery.

Kwadrans przed drugą usłyszałam dźwięk esemesa i momentalnie podbiegłam do stolika, na którym leżał telefon.

„Parkuję:)”.



Odczytałam wiadomość i rozpromieniłam się.

– Zaraz tu będzie! – energicznie machałam łypatką, mieszając makaron z resztą składników.

– Spokojnie, bo się spocisz. Mam otworzyć drzwi? Będzie lekko zdziwiony – zaśmiała się.

– W żadnym razie. Idź do małego pokoju i udawaj, że coś robisz. Ja mu otworzę.

Po kilku minutach nerwowego nadstawiania uszu i czekania na dzwonek do drzwi, w końcu się doczekałam.

– Cześć – przywitał się, stając ze mną twarzą w twarz.

– Witaj, zapraszam. Trafiłeś bez problemu? – spytałam, biorąc od niego płaszcz.

– Z moim GPS? Oczywiście – odparł, lustrując wnętrze.

Mimo że tydzień temu spaliśmy ze sobą, zachowywaliśmy się tak, jakby nic się nie stało. Aby rozładować napięcie, chwyciłam Krystiana za rękę i pociągnęłam za sobą.

– Chodź, poznasz moją przyjaciółkę!

Nie dało się ukryć, że Natalia i Krystian różnili się między sobą usposobieniem oraz stylem bycia. Ona miała kasztanowe włosy, które sama sobie obcinała i które przeważnie pachniały papierosami, a ubrana była w koszulkę z Jimem Morrisonem. On wyglądał, jakby dopiero wyszedł z salonu fryzjerskiego, i miał na sobie szary tweedowy sweter, spod którego wylaniał się kraciasty kołnierzyk. Z socjologicznego punktu widzenia byłam bardzo ciekawa, jak na siebie zareagują.

– Cześć, jestem Natalia! – Moja przyjaciółka śmiało wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Miło mi, Krystian. – Odwzajemnił uścisk, choć wydawało się, że z lekkim przymusem.

– Fajnie, że w końcu się poznaliście. Mieszkam z Natką od pięciu lat, a to jest nasze królestwo.

Pokazałam mu pokój z naszymi łóżkami, biurkiem komputerowym, szafą z przesuwными drzwiami z Ikei oraz starym, niepasującym do niej regalikiem, którego górną część wypełniały moje stare podręczniki ze studiów, a dolną bieżące segregatory Natalii.

Krystian zachowywał się tak, jakby czekał na moment, kiedy wreszcie zostaniemy sami, a Natka zadbała o to, by tak się stało.

– Muszę lecieć. Za półtorej godziny zaczynam zajęcia, a mam jeszcze do załatwienia kilka spraw. – Chwyciła wojskowy plecak po brzezi wypełniony materiałami naukowymi i znikła nam z oczu.

Zostaliśmy z Krystianem sami. Mimo że nie miałam pojęcia, jak przebiegnie nasza rozmowa, musiałam ją jakoś zainicjować.

– Chodźmy do dużego pokoju. Podgrzeję makaron. Napijesz się herbaty?

Kiwnął głową na tak.

Zalałam torebki wrzątkiem, a następnie zapaliłam gaz pod patelnią, aby podgrzać obiad.

– Dlaczego nie odezwałeś się do mnie przez cały tydzień? – spytałam, mieszając makaron.

Krystian, wiedząc, że jest na moim podwórku, postanowił odwołać się zarówno do faktów, jak i uczuć.

– To nie tak. Po pierwsze, stwierdziłem, że skoro pracujesz w wydziale ostatni tydzień, pewnie będziesz zajęta załatwianiem spraw przed odejściem. Po drugie, ty też mogłaś się odezwać. Skoro tego nie zrobiłaś, uznałem, że wcale nie było ci ze mną tak fajnie, jak mówiłaś – bronił swego.

– Słucham? Przecież mnie wyprosiłeś! – wypomniałam mu.

– Robisz wiele hałasu o nic. Miałem nadzieję, że zostaniesz, ale ciebie do wszystkiego trzeba długo namawiać. Chyba sama nie wiesz, czego chcesz.

Słowa Krystiana dały mi do myślenia. Co gorsza, było w nich sporo racji.

– Nie wiem. Nigdy nie potrafiłam się zdecydować ani na konkretną pracę, ani tym bardziej na konkretnego faceta. – Oparłam dłonie o blat kuchenny. – Wszyscy, z którymi się spotykałam, po pewnym czasie okazywali się infantylni i bezpłciowi. Nudzili mnie i gdy mijał etap motyli w brzuchu, zrywałam znajomość. Miałam tylko jednego chłopaka. Michała poznałam na studiach. Po pięciu latach doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie, ani pod względem charakteru, ani w łóżku. Zarzucał mi, że nie potrafię go rozpałcić. Ranił mnie słowami na tyle często, że chyba prościej byłoby, gdyby mnie pobił. Po siniakach przynajmniej nie zostałby żaden ślad, a tak, wciąż tkwi we mnie ta przeklęta rana. Od tamtej pory boję się, że każdy facet, którego spotykam, będzie podobny do Michała.

Krystian słuchał uważnie.

– Ja na pewno taki nie jestem – zapewnił.

– Zauważyłam. Wydajesz się inny niż wszyscy, których dotąd znałam. Ale mnie to przeraża, bo nie wiem, jak z tobą postępować.

– I o to chodzi. Przeciętni niczego nie osiągają. Ja nawet nie muszę udawać. Po prostu jestem idealny – uśmiechnął się szelmowsko.

– Jesteś narcyzem. Tacy faceci nigdy nie przestają polować na kolejne zdobycze. Dlatego nie chcę się do ciebie przywiązać, boję się potem usłyszeć, że z twojej strony to była zabawa, a mnie zostanie na pamiątkę tylko ta bransoletka.

Krystian zauważył, że często ją noszę.

– Kupiłem ją, bo myślałem wtedy o tobie. Każdej nocy w hotelu zastanawiałem się, czy jeszcze się spotkamy.

Przejechał dłonią po moim policzku, a ja poczułam, że tracę możliwość trzeźwej oceny sytuacji.

– Doskonale wiem, że było ci ze mną dobrze – oznajmił.

Przełamałam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

– W życiu nie było mi lepiej – wyznałam.

– Zatem wszystko gra. Chciałbym, żebyśmy się spotykali regularnie.

– Ale jako para, czy jako przyjaciele, którzy uprawiają ze sobą seks?

– A widzisz różnicę? – zapytał.

– No, raczej. – Poczulałam się, jakby wylano na mnie kubek zimnej wody, więc szybko zmieniłam temat. – Usiądźmy już, bo jedzenie stygnie.

Krystian był ode mnie bardziej wyluzowany. Jadł z apetytem, podczas gdy ja,

przejęta jego opinią, usiłowałam nadzieć na widelec kilka świderków.

– Smakuje ci? – odważyłam się w końcu zapytać.

– Bardzo – odpowiedział, nie przerywając jedzenia.

– Cieszę się. Wcześniej rzadko gotowałam, ale niedawno odkryłam, że to świetne lekarstwo na stres.

– Widzę, że sporo też czytasz. – Spojrzał na regał zastawiony moimi ulubionymi książkami.

– A tak, lubię pisarzy amerykańskich, najbardziej Michaela Cunninghama, Jacka Kerouaca i Virginie Woolf.

– Nie znam – przyznał lekko.

– No tak, ty czytasz tylko książki o HTML i SQL – zadrwiłam w odwecie.

– W większości. Najdłuższa z nich miała około tysiąca stron – uśmiechnął się.

– I pewnie dużo obrazków – dodałam żartobliwie.

– Dobra, dobra, ty lepiej powiedz, co zamierzasz teraz zrobić, bo właśnie zostałam na lodzie – sprowadził mnie z powrotem do parteru.

– Czekam na papiery, które mają przysłać mi pocztą, a wtedy pojedę do urzędu pracy. Od miesiący wysyłam setki CV i nic, więc może tam pomogą mi coś znaleźć. Nie mam lepszego pomysłu, ale nie zamierzam się poddać. Będzie dobrze, jak zawsze. Mam dwadzieścia siedem lat, a przerobiłam już bodaj z szesnaście prac.

– Naprawdę? – zamurowało go. – Gdzie ty pracowałaś?

Akurat skończyłam jeść, mogłam więc swobodnie opowiedzieć o swojej zawirowanej ścieżce kariery. Na studiach pisałam różne artykuły na zamówienie. Nie było to jednak szlifowanie talentu literackiego, lecz komercyjna pisanina. Skala tematyczna była naprawdę szeroka, od psychologii zwierząt domowych poprzez aromaterapię po ruch drogowy w Kairze. Pracując jako media worker dla jednego z brukowców, jeździłam z ekipą po mieście, a potem opisywałam sensacje dnia, ale moment krytyczny nastąpił, gdy po wizycie w mieszkaniu, które okazało się domem publicznym, zostaliśmy poinformowani, że jakiś mężczyzna skoczył z dachu wieżowca. Dla naczelnej zawsze najważniejszy był temat oraz atrakcyjne zdjęcie. Kiedy odrzuciła mój artykuł dotyczący Dnia Zadusznego, ponieważ „Bóg zesłał jej wspaniały materiał o kolizji samochodowej”, już wiedziałam, że nie zagrzeję miejsca w tej redakcji. Ponieważ tonący brzytwy się chwyta, podejmowałam również bezpłatne staże, w tym jeden w magazynie mody, gdzie praca polegała na odwiedzaniu galerii handlowych i wypożyczaniu ciuchów do zdjęć. Potem kilka miesięcy spędziłam w wydawnictwie, przez które przewinęło się chyba więcej stażystów niż podróźnych na lotnisku. Prezes spółki, który uważał się za kreatywnego wizjonera, zaprzestał wydawania czasopism w wersji papierowej na rzecz tańszych odpowiedników w postaci e-magazynów. Koniec końców, zgubiła go chciwość i żądza zdobycia profitów jak najmniejszym kosztem. Pracujący dla niego stażyści się zbuntowali, partnerzy handlowi zrezygnowali z kupowania powierzchni reklamowych, a czytelnicy narzekali na wprowadzone zmiany. Odeszłam stamtąd i oto tak dobrnęliśmy do najdłuższego okresu w mojej karierze, czyli pracy w budżetówce.

– Widzę, że miałaś ciekawe życie zawodowe. Nic dziwnego, że praca w sekretariacie cię nudziła.

– Nie zawsze. Bywały sytuacje mrozące krew w żyłach, jak na przykład zakleszczenie w bindownicy ważnych dokumentów dla dyrektora albo bieganie po korytarzu w poszukiwaniu pana Pawła, który dawno miał się stawić na odprawę naczelników. Były też miłe momenty. Szczególnie wtedy, kiedy przychodziłeś na kawę...

– Puściłam do niego oko.

– Pamiętam, jak cię stresowałam – zaśmiał się pod nosem.

– Pamiętam, jak mnie zdzieliłeś, kiedy biegłeś do dyrektora!

– Oj tam, oj tam, przez dwa lata z pewnością zdążyło się zagoić. Gdzie cię właściwie uderzyłem?

– Trąciłeś mnie, a ja uderzyłam się w ramię i w skroń.

– Uuhu... To zrobimy tak, dam ci buziaka i zapominamy o sprawie, zgoda? – Nachylił się nade mną.

– Niech ci będzie.

Krystian pocałował mnie w czoło.

– Dlaczego nie w usta? – spytałam rozczarowana.

– Cierpliwości, najpierw czoło, potem usta, szyja, dekolt, aż dojdziemy do najważniejszego.

– Kto dojdzie, ten dojdzie. – Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Mogę ci zagwarantować, że dojdziemy oboje... – Pocałował mnie namiętnie.

– Krystian, co z nami będzie? Bo nadal nic nie wiem. – Oparłam dłonie o jego sweter.

– Ja też nie wiem – stwierdził beztrąsko.

– Proszę cię, mów jasno. Nie lubię, kiedy taki jesteś.

– A ja myślałem, że właśnie to lubisz we mnie najbardziej. – Odgarnął moje włosy do tyłu. – Bez ciśnienia, zobaczymy.

– W porządku, zobaczymy. – Wysunęłam rękę. – Zatem, póki co, jesteśmy kumplami i możemy robić, co chcemy i z kim chcemy.

– Że co? – zaniemówił. – Żadne takie, jesteś moja i koniec.

– A więc jednak! Przyznaj wreszcie, że się zaangażowałeś – nie dawałam za wygraną.

– Powiedzmy, że od dawna nie myślę o innych dziewczynach, pasuje? – Spojrzał na mnie.

– Dobry początek – uśmiechnęłam się.

– Więc zanocujesz u mnie w następną sobotę? – próbował przyspieszyć tempo.

– Zastanowię się – ostudziłam jego zapał.

Krystian pogłaskał mnie po włosach. Zaczęliśmy się całować. Chociaż udało mi się zachować silną wolę i nic więcej się nie wydarzyło, instynktownie pragnęłam, by zerwał ze mnie ubranie i zafundował powtórkę tego, co tydzień temu miało miejsce u niego w sypialni.

Minął prawie miesiąc, odkąd zdecydowałam się odejść z budżetówki.

Po dokonaniu bilansu zysków i strat uznałam, że mój papierowy życiorys został wzbogacony o dodatkowe dwa lata pracy, natomiast jeśli chodzi o kolejny stopień do samorealizacji – można powiedzieć, że cofnęłam się o krok. Moim marzeniem od zawsze było robienie czegoś, co wiązałoby się z pisaniem.

Nie przypuszczałam, że będzie tak trudno; co więcej, poza problemami zawodowymi miałam na głowie jeszcze rozstanie z najlepszą przyjaciółką.

– Wstawaj, Nat, dochodzi szósta – powiedziałam, gdy sama ledwie zdążyłam otworzyć oczy. – Spóźnisz się na samolot.

Gdy Natka dostrzegła, że za oknem jest jeszcze ciemno, prychnęła niczym najeżony kot.

– Nie cierpię wstawać tak wcześnie – dobiegł spod kołdry jej głos.

– Niestety, jako recepcjonistka będziesz musiała do tego przywyknąć, czeka cię praca w systemie tryzmianowym – odparłam, usiłując znaleźć w szufladzie skarpetkę do pary.

– Nie przypominaj mi. – Niechętnie zwlokła się z łóżka. – Mam nadzieję, że dostanę same nocne zmiany.

– Jak można pracować na noc? – zastanawiałam się. – Gdy następnego dnia rano nie możesz ruszyć się z łóżka, a twoje śniadanie składa się z kawy i aspiryny. Ale ty jesteś typem sowy, a twoja nowa pensja będzie rekompensatą za wory pod oczami!

– Dzięki za słowa otuchy. Z tym optymistycznym nastawieniem zmierzam do łazienki.

Kiedy byliśmy gotowe do wyjścia, zamówiłam taksówkę.

– Na pewno wszystko spakowałaś? – spytałam, rozglądając się po pokoju, który teraz wydawał się pusty.

– Chyba tak. Jeśli czegoś nie wzięłam, kupię na miejscu. – Natka taszczyła walizkę do przedpokoju.

– Nie do wiary, że wyjeżdżasz. A ledwie wczoraj zamieszkałyśmy razem... – wpadłam w melancholijny nastrój.

– Będzie mi brakowało naszych wspólnych wieczorów. I imprez z ludźmi z uczelni. To były czasy...

– Pamiętam, jak urządziłyśmy imprezę w stylu lat sześćdziesiątych. Wszyscy przebrani w stroje hipisowskie, w kieliszkach wino i absynt, na podłodze pełno orientalnych poduszek, na których siedzieliśmy, słuchając Doorsów i indyjskiej ragi.

– Jedna z najfajniejszych imprez w moim życiu. Najśmieszniej było wtedy, kiedy ludzie po zjedzeniu koreczków odkładali wykałaczki na talerz, na którym leżały świece zapachowe. I zrobiło się ognisko – zaśmiała się Natka.

– Pamiętam! A zaraz potem ty, ledwo przytomna, podniosłaś talerz z podłogi,

wyniosłaś go do zlewu i odkręciłaś kran.

– Do dziś nie zapomnę płomienia, który buchnął na sufit.

– Całe szczęście, że cię wtedy nie popatrzyło.

– Przynajmniej nie było nudno. Tak samo jak wtedy, gdy pojechałyśmy na wietnamskiego sylwestra.

– Nie przypominaj mi. Najpierw odkryłam, co to są kacze embriony, a potem po wyjściu z klubu zaatakował nas wariat z suszarką do włosów, który uważał, że trzyma w ręku pistolet. Do dziś przechodzą mnie ciarki, gdy przypominam sobie jego słowa: „Nie wiem, czy panie zdają sobie z tego sprawę, ale to jest napad”. Gdybyś go nie zagadała i nie wyciągnęła od niego fajki, nie wiem, jak by się to skończyło.

– Facet był pijany, więc uznałam, że najlepiej odwrócić jego uwagę. Poza tym nie miał z nami szans. Przecież mierzył do nas z suszarki!

– Mimo to najadłam się strachu. Modliłam się, by nie zaczął sprawdzać, czy pod moimi rękawiczkami kryją się jakieś pierścionki. Od tamtej pory nie nosiłam biżuterii, gdy szykował się nocny wypad na Pragę – powiedziałam.

– Na szczęście to już tylko zabawna anegdota z przeszłości – podsumowała Natka.

– Niedługo przyjedzie taksówka. Idziemy na dół. – Chwyciła rączkę od walizki.

– Racja, lepiej się nie spóźnić. – Przytrzymałam drzwi od mieszkania.

W drodze na lotnisko milczałyśmy. Nie chciałam, aby Natalia wyjeżdżała, ale z drugiej strony nie miałam na to żadnego wpływu. Cieszyłam się, że zdobędzie nowe doświadczenie w pracy za granicą, chociaż podejrzewałam, że nie tego oczekiwała od życia. Odkąd poszła na studia lingwistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, jej marzeniem było założenie własnej szkoły językowej. Zawsze uważała, że sukces jest wynikiem końcowym tego, co buduje się przez lata. Wystarczy mieć jasno określony cel i dążyć do niego małymi krokami. Niestety, w międzyczasie moja przyjaciółka stopniowo zdejmowała nogę z gazu i zamiast zbliżać się do celu, coraz bardziej się od niego oddalała. Zamiast zdobyć dyplom i zakończyć pewien etap swojego życia, wciąż zmagiła się z pracą magisterską, tkwiąc na uczelni, jakby wciągnęły ją ruchome piaski.

Teraz, kiedy miała rozpocząć pracę w hotelu, wiedziałam, że na pewno nie zrealizuje tych planów. A może już nigdy nie wróci do Polski?

– Jesteśmy na miejscu – poinformował nas taksówkarz. Zatrzymaliśmy się na postoju nieopodal głównego wejścia. Kierowca wskazał kwotę do zapłaty i gdy tylko postawił bagaż na chodniku, odjechał, a ja i Natka zostałyśmy w tłumie podróżnych. Na myśl o tym, że rozdzieli nas tysiące kilometrów i czeka nas rozłąka, zrobiło mi się smutno. Na szczęście lotniskowy chaos, w który wpadłyśmy, sprawił, że zabrakło czasu na sentymenty. Miałam wrażenie, że zamiast ludzi widzę rzędy pędzących walizek na kółkach, które wymijały się, ciągnięte po szarej posadzce. Sprawdziłyśmy na tablicy połączenie Natalii, a następnie stanęłyśmy w kolejce, by nadać bagaż.

Wiedziałam, że Natka nie musi się martwić o ewentualną dopłatę za dodatkowe kilogramy. Jej walizkę wypełniały tylko niezbędne rzeczy, między innymi trzy ulubione powieści Terry’ego Pratchetta z serii „Świat Dysku”, przewodnik po Amsterdamie wraz z mapą, słownik angielsko–niemiecki oraz dwie pary dżinsów, kilka sztuk swetrów w identycznym kolorze i T-shirtów z wizerunkami nieżyjących artystów, które wkładała

głównie wtedy, gdy szła na koncert jakiegoś zespołu rockowego.

– Nie wierzę, że dostałam tę pracę. W ogóle nie wierzę, że za kilka godzin będę w Amsterdamie. Mam nadzieję, że warunki, ustalone przez tę agencję pracy, się nie zmieniają – odparła Natka, kiedy zmierzałyśmy do punktu odprawy paszportowej.

– Różnie bywa. Mój tata podczas pobytu w Wielkiej Brytanii pracował w Drivingu i mówił, że zaczęli go przetrzucać z miasta do miasta i dawali coraz gorsze zlecenia. Ale ty znasz biegle angielski, więc na pewno obejdiesz się bez pośredników – powiedziałam.

– Mam nadzieję. Nie wiem, co mnie czeka, ale na szczęście nie praca w jakimś hipermarkecie ani na polu truskawkowym. Skoro trafiła się szansa, muszę z niej skorzystać – podsumowała.

– Napisz jak najszybciej.

– Na pewno. Karolina, dziękuję ci za wsparcie i przede wszystkim za wyrozumiałość. Bałam się, że obrazisz się na mnie za moją decyzję.

– Nat, to jest twoje życie i twoje wybory. Będzie mi ciebie brakowało, ale przecież nie wyprowadzasz się na inną planetę. Niedługo znajdę pracę i w któryś weekend cię odwiedzę. Ale raczej nie będzie mnie stać na nocleg w twoim hotelu – próbowałam rozładować napięcie.

– Coś wymyślimy! – Puściła do mnie oko. – Jeszcze raz dziękuję, że mnie odprowadziłaś. Karola. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, wiesz o tym?

– No ja myślę! Spróbuj zaprzyjaźnić się tam z inną, łeb ci ukreć! Chyba że z przedstawicielem płci męskiej, wtedy może wybaczę – zażartowałam.

– Dzięki. – Starła się uśmiechnąć.

– Pa, kochana, trzymaj się i powodzenia. – Uścisnęłam ją.

– Papatki. – Odwzajemniła uścisk, zarzuciła na ramię wojskowy plecak i ruszyła w stronę punktu odpraw.

Kiedy straciłam ją z oczu, uznałam, że czas opuścić terminal. W drodze do autobusu zadzwoniłam do Krystiana, który akurat był w pracy.

– Halo? – odezwał się roztargnionym głosem.

– Cześć – przywitałam się. – Wybacz, że przeszkadzam, ale musiałam do ciebie zadzwonić. Właśnie wracam z lotniska.

– Spoko, na razie tylko udaję, że pracuję – ożywił się. – Natalia już w samolocie?

– Jeszcze nie. Pewnie w tej chwili kupuje kieszonkową wiśniówkę w strefie wolnocłowej – odparłam z humorem, ukrywając mój prawdziwy nastrój.

Krystian parsknął śmiechem.

– Lepiej od razu kupić dobrą whisky. Tam przynajmniej opłaca się to cenowo. A co u ciebie? Może wyskoczmy na obiad? Kończę o piętnastej.

– Z chęcią bym się dzisiaj spotkała, ale muszę jeszcze ogarnąć mieszkanie. Od jutra wprowadza się nowy współlokator.

– Mężczyzna...?

Wychwyciłam niepokój w głosie Krystiana.

– Nie bój się, źle to ujęłam. Oczywiście, współlokatorka – wyprowadziłam go z błędu.

– *What a relief...* – odetchnął z ulgą.

– Czyżbyś był zazdrosny? – Zdecydowanie poprawił mi humor.

– No, raczej bym wolał, żebyś nie paradowała w piżamie przy jakimś obcym koleśku.

– O to akurat nie musisz się martwić. Nie noszę piżamy.

– Hmm... Chciałbym cię znów zobaczyć w negliżu...

– Skup się, bo jeszcze zawalisz projekt, nad którym tyle pracowałeś – sprowadziłam go z powrotem na ziemię. – Przy okazji, jak idzie?

– Za godzinę podpisujemy z ministerstwem umowę użyczenia sprzętu komputerowego ośrodkom pomocy społecznej. Będziemy też organizować szkolenia informatyczne dla pracowników socjalnych, którzy pracują na określonych programach. Mam nadzieję, że projekt okaże się intratny.

– Uważam, że to świetny pomysł. Dzięki temu odbudujesz wizerunek Indygo, a przede wszystkim zrobisz wiele dobrego dla ludzi.

– Tja... Filantrop ze mnie – odparł z ironią.

– Raczej sybaryta – sprostowałam.

– Dobrze, że nie mizogin, prawda? *By the way*, jak wrócisz do domu, zajrzyj do poczty, coś ci wysłałem.

– I tak miałam zamiar to zrobić, bo codziennie sprawdzam mejle, czy przyszła odpowiedź na moje CV. A co mi wysłałeś?

– Zobaczysz – rzekł tajemniczo.

– Brzmi intrygująco... Czyżby kolejne zaproszenie na warsztaty?

– Zobaczysz – powtórzył.

– Już nie musisz uciekać się do takich sztuczek, żeby się ze mną spotkać. – Uśmiechnęłam się do słuchawki.

– Cierpliwości. Po prostu sprawdź pocztę.

– No dobrze, wytrzymam – ustąpiłam. – Właśnie dotarłam na pętlę, będę kończyć.

– Do zobaczenia.

– Jeszcze raz powodzenia, trzymam kciuki za umowę. Buziaki.

– To już na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewne, ale dzięki. Całus i *see ya*.

Wsiadłam do wypełnionego ludźmi i bagażami autobusu, i dosłownie cudem upolowałam ostatnie miejsc. Kilkanaście przystanków dalej złapałam przesiadkę i skierowałam się na Służew. Po powrocie do domu natychmiast uruchomiłam komputer.

Kilka razy dziennie sprawdzałam pocztę elektroniczną z nadzieją, że w końcu wyłowię choć jedną odpowiedź na moje CV. W tytule żadnej z wiadomości, niestety, nie widniało: „Re: curriculum vitae”. Moją uwagę zwrócił natomiast mejl: „Oferta pracy” od nieznanego nadawcy. Miałam wrażenie, że albo śnię, albo wygrałam gwiazdkę z nieba.

„Witam, Pani Karolino,

Jestem kierownikiem Centrum Szkoleniowego Edu-Support, które zajmuje się organizacją profesjonalnych szkoleń z zakresu IT. Nasza firma poszukuje pracownika na stanowisko asystenta do spraw szkoleń. Otrzymałem Pani CV i chciałbym zaprosić Panią na rozmowę kwalifikacyjną. Proszę o kontakt telefoniczny (podany w vCard). Pozdrawiam serdecznie, Aleksy Machnowicz”.

To nie mógł być przypadek! Krystian miał spotkanie w sprawie podpisywania



umowy z Ministerstwem Pracy i Polityki Społecznej, ograniczyłam się więc do esemesa.

„Czy rozmowa kwalifikacyjna w Edu-Support to twoja sprawka?”

„Maybe;)”

Tym razem przeszedł samego siebie.

„Przecież ja nie znam biegle angielskiego. Mówiłeś, że w tej branży to konieczność”

„Eee tam. Nauczysz się:)”

On jest niemożliwy! Uświadomiłam sobie, że naprawdę mu na mnie zależało. W tej sytuacji nie mogłam zawieść ani jego, ani tym bardziej siebie.

Weszłam na stronę firmy, aby zebrać o niej jak najwięcej informacji. Postanowiłam też podszkolić angielski. Nie raz plułam sobie w brodę, że brakuje mi specjalistycznego słownictwa, tymczasem czekał mnie ekspresowy kurs. Poczułam, że ogarnia mnie panika, lecz kilka głębokich wdechów przywróciło mi wewnętrzną równowagę. Dam sobie radę! Chwyciłam telefon i napisałam do Krystiana:

„Dzwonię do pana Aleksego. Wish me luck:)”

Dobiegająca z telefonu komórkowego dynamiczna melodia *Everyway that I can* Sertab Erener poderwała mnie z łóżka. Spojrzałam na kalendarz: sobota. Dotarło do mnie, że wieczorem zapomniałam wyłączyć budzika.

Odkąd trzy miesiące temu Aleksy Machnowicz zatrudnił mnie jako asystentkę do spraw szkoleń, w moim życiu znów zaświeciło słońce. I choć trafiłam tam dzięki protekcji – tak, z pokorą przyznaję, że Krystian załatwił mi pracę – z nowymi obowiązkami radziłam sobie na tyle dobrze, że po upływie okresu próbnego mój kontrakt został przedłużony na dwa lata.

Z początku myślałam, że nie podołam nowym zadaniom, bo firma prowadziła interesy głównie z klientami zagranicznymi. Moja determinacja sprawiła jednak, że z tygodnia na tydzień coraz lepiej władałam angielskim. Praca, którą wykonywałam, polegała na podtrzymywaniu relacji z kluczowymi klientami, kontaktach z drukarnią przygotowującą materiały na zajęcia oraz sporządzaniu raportów poszkoleniowych i ankiet. I choć nie marzyłam, żeby robić to przez resztę życia, na teraz dawało poczucie niezależności i pozwalało ze spokojem patrzeć w przyszłość.

Najważniejsze, że po raz pierwszy od dawna czułam, że nie jestem niczyją służącą i wreszcie zajmuję się czymś na miarę swoich umiejętności. W porównaniu z budżetówką praca w Edu-Support wydawała się wygraną w lotto.

Miałam przed sobą dwa dni wolnego i dwa powody do świętowania. Pierwszy z nich dotyczył oczywiście przedłużenia przez Aleksego Machnowicza mojej umowy. Drugi wiązał się ze złożeniem papierów na studia podyplomowe z polityki wydawniczej i księgarstwa. Od dawna o tym marzyłam. Tyle zmian, odkąd odeszłam z budżetówki! Nowa praca, nowe studia, nowa współlokatorka...

Po wyjeździe Natalii zamieszkała ze mną Ewelina, kontrowersyjna pankówa, która przypominała wokalistów zespołu Tokio Hotel; studiowała zaocznie lingwistykę, więc rzadko miałyśmy okazję wspólnie spędzać weekendy.

Przeciągnęłam się beztrósco i pozwoliłam sobie spędzić w łóżku jeszcze kilku minut. Potem zasiadłam do komputera, aby sprawdzić wieści z Facebooka, a przy okazji przejrzeć pocztę. Ucieszyłam się na widok mejla od Natki.

„Hej, Karola! Miałam napisać wcześniej, ale mam tyle obowiązków, że naprawdę ciężko się z czymkolwiek wyrobić. Wkrótce przenoszę się do Hagi, będę pracować na słuchawce w firmie Alcatel. Z dwojga złego wolę wysłuchiwać roszczeń klientów przez telefon niż na żywo;) A teraz najlepsze. Poznałam fajnego faceta, ma na imię Jonas, pochodzi z Niemiec i wybieramy się razem na Wacken Open Air. Mam wrażenie, że coś z tego będzie;) A co u ciebie? Nadal spotykasz się z Krystianem? Przedłużyli ci umowę w firmie? Wkrótce wpadnę do Polski chociaż na tydzień, wtedy się zobaczymy i tak zabalujemy, że dopadnie nas najgorszy kac pod słońcem :D To by było na tyle. Jak mawia kumpela, z którą dzielę pokój: ściskam schabki i czekam na wieści z kraju! Natalia”.

Ucieszyłam się, że przyjaciółce dopisuje humor. Nie tracąc czasu, zabrałam się do odpisywania, lecz po kilku zdaniach stukot w klawisze przerwał mi dzwonek telefonu.

– Cześć, córciu, jak nastrój? – spytała mama.

– Hej, doskonały – odpowiedziałam wesoło.

– Bardzo mnie to cieszy. Nie poznaję własnej córki. Dobrze, że zmieniłaś pracę. Wpadnij dziś do nas na obiad. Chyba miesiąc już u nas nie byłaś.

Rzeczywiście, ostatnimi czasy mój kontakt z rodzicami ograniczał się do rozmów telefonicznych, ale nad tym zamierzałam popracować. Nie było sensu dłużej ukrywać pewnych spraw. Szczególnie tych, które dotyczyły Krystiana. Zebrałam się więc na odwagę.

– Słuchaj, mamó, najwyższy czas, żebym zdradziła wam kulisy objęcia nowej posady.

Po drugiej stronie słuchawki wyczułam lekkie zawahanie.

– Co masz na myśli? Szykują się jakieś kłopoty?

– Nic z tych rzeczy, po prostu o czymś nie wiesz.

– O czym? – zaniepokoiła się.

Wzięłam głęboki oddech.

– Powiedziałałam wam, że pracę załatwił mi kolega z budżetówki. W pewnym sensie to prawda, tyle że połowiczna. Nie uściśliłam, że kolega jest właścicielem firmy, która prowadzi interesy z administracją publiczną ani że od kilku miesięcy się z nim spo-tykam...

Na razie postanowiłam nie wspominać o lewym przetargu i wyroku w zawieszeniu. Moi rodzice należeli do osób, którym należało dawkować tego rodzaju informacje.

– Co takiego?

Mama nie mogła wyjść z szoku, że tyle czasu ukrywałam przed nią ten fakt.

– Wybacz, nie byłam pewna, jak to się potoczy – tłumaczyłam. – Nie chciałam zapeszać. A teraz jestem już pewna uczuć Krystiana.

– Krystiana? – Odniosłam wrażenie, że zaczyna godzić się z faktami.

– Tak ma na imię. I co o tym wszystkim sądzisz? – Potrzebowałam jej aprobaty.

– Trochę mi przykro, że nic mi nie powiedziałaś, ale z drugiej strony jesteś dorosła i sama najlepiej wiesz, co dla ciebie dobre. Ale nie mogę się doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz. Czuję, że kryje się za tym ciekawa historia – odpowiedziała.

– Opowiem, obiecuję. Dziękuję, że rozumiesz.

– Więc wpadniesz dziś?

– Umówiłam się z Krystianem... Może jutro?

– Może być jutro. Tylko pamiętaj, będą schabowe, ziemniaki i mizeria, żadne tam wynalazki, którymi się żywisz – zastrzegła się.

– Wiem, wiem i choć nie przepadam za tradycyjną polską kuchnią, twoje obiady zawsze mi smakują – próbowałam wkupić się w jej łaski.

– Przyjdiesz sama czy z chłopakiem? – spytała.

Dziwnie to zabrzmiało w jej ustach. Nie potrafiłam wyobrazić sobie Krystiana siedzącego z moimi rodzicami przy stole, nadziewającego na widelec kawałek kotleta usmażonego przez mamę i rozmawiającego z moim tatą o olimpiadach sportowych.

– Raczej sama. Nie sądzę, żeby udało mi się go namówić. – Nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć.

– A dlaczego?

– Cóż, on jest... Może czuć się nieswojo.

– Mhm... W każdym razie jedzenia wystarczy, więc daj znać, jeśli coś się zmieni.

– Dobrze, mammo.

– No, to na razie, nie przeszkadzam ci już. Nie mogę się doczekać!

– Do jutra, pozdrów tatę.

Zrobiłam sobie kawę i kanapki z serem, a po śniadaniu usiadłam do angielskiego. Miałam jeszcze trochę czasu do spotkania z Krystianem, więc wyjęłam z szuflady biurka oprawiony w mahoniową skórę kalendarz, który po odejściu z budżetówki stanowił dla mnie narzędzie autoterapii. Notowałam w nim różne rzeczy, głównie po to, aby w przyszłości wyciągnąć wnioski z niektórych wydarzeń, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich dwóch lat. Przeglądając zapiski nie mogłam uwierzyć, ile zmian nastąpiło w moim życiu, odkąd trafiłam do budżetówki.

„Praca w administracji publicznej nauczyła mnie, że w biurze nie ma przyjaźni, potencjalny przyjaciel zaś to tylko kolejny wróg, którego intencje jeszcze nie zostały ujawnione. Miałam okazję przebywać w świecie rządzonej przez szereg osobliwych reguł, a także współpracować z ludźmi, którzy z premedytacją potrafili skomplikować nawet najprostsze czynności. Na podstawie tej mozaiki zdarzeń wnioskuję, że sami musimy zdecydować o własnym losie i czasem warto postawić wszystko na jedną kartę, choćby kosztem osądu ze strony otoczenia”, przeczytałam ostatni fragment, po czym zamknęłam notatnik i schowałam go do torebki.

Kiedy dotarłam na Kabaty, powiadomiłam Krystiana, że zmierzam prosto do niego. Choć bywałam tam regularnie od kilku miesięcy, gdy przekraczałam próg jego mieszkania, wciąż czułam się tak, jakbym robiła to po raz pierwszy.

– Cześć. – Pocałował mnie na przywitanie.

Poszłam do łazienki umyć ręce. Patrząc w lustro zawieszona nad umywalką, stwierdziłam, że wreszcie podobam się sobie. Wychodząc, ukradkiem spojrzałam na wodę toaletową, która stała na palce. Zegna Forte. A więc tym pachnie, pomyślałam z czułością.

Wróciłam do pokoju i zastałam Krystiana z butelką szampana.

– Świętujemy przedłużenie twojego kontraktu?

– Na to wygląda. Ale nie musiałeś z tego powodu kupować aż szampana, w końcu nie zdobyłam Nobla – uśmiechnęłam się. – Swoją drogą, to dzięki tobie jest co świętować. Nadal nie mogę uwierzyć, że załatwiłeś mi pracę.

– Ja tylko umożliwiłem ci dostęp. Reszta to twoja działka. Gdybyś się nie sprawdziła, Aleksy na pewno by cię nie zatrzymał, znam go. Byłem pewien, że sobie poradzisz.

– No pewnie, w końcu jestem doskonała! – Zadarłam dumnie brodę.

– Widzisz, jak szybko się uczysz? Grunt to pewność siebie.

Krystian stuknął swoim kieliszkiem o mój i wznies-liśmy toast.

– Jak przekonałeś Aleksę, żeby mnie zatrudnił? Przecież moje CV to istny

miszmasz – spytałam, gdy usiedliśmy na kanapie.

– Po pierwsze, powiedziałem, że twoim atutem jest portfel kompetencji, a nie konkretny zawód, a po drugie, wzbudzasz powszechną sympatię i jesteś reprezentacyjna. Kurczę, niemal żałuję, że nie pracujemy razem – westchnął.

– Wiesz, kiedyś usłyszałam, że większość par ma szansę przetrwać tylko wtedy, gdy nie pracuje razem – stwierdziłam.

– Faktycznie, jak nie widzimy się za często, to potem mam na ciebie większą ochotę. – Przyniósł się i dał mi buziaka.

– Przy okazji, powiedziałam mamie o tobie – wyznałam.

– OK – nie przejął się.

– To nie koniec. Jutro jadę na obiad do rodziców i mama zaprasza również ciebie... Na twarzy Krystiana odmalowało się zdziwienie.

– Mam jechać aż na Żerań? – próbował się wykręcić.

– Nie będę nalegać – chciałam jak najszybciej uciąć temat.

Po chwili milczenia Krystian opuścił głowę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może wpadnę – powiedział niespodziewanie.

Ciężko było mi ukryć radość, ale wiedziałam, że z Krystianem należy postępować delikatnie.

– Będzie nam bardzo miło.

– Luzik. To co, zjemy coś? W piekarniku mam wielką pizzę.

– Mmm... Na samą myśl cieknie mi ślinka. – Oblizłam się.

– W takim razie lecę do kuchni, a ty poszukaj jakiegoś filmu. Laptop jest włączony.

Wyjęłam z torebki skórzany kalendarz i na moment wyruszyłam w literacką podróż w przeszłość. Przeglądając wspomnienia z okresu, kiedy byłam sekretarką, poczułam przypływ twórczej energii. Zamiast szukać filmu, sięgnęłam po długopis, przewróciłam kilka kartek i otworzyłam na czystej stronie.

Wiedziałam, że praca w administracji publicznej nie należy do zbyt pasjonujących tematów, niełatwo więc będzie to wszystko przelać na papier. Ale może warto spróbować? Zastanawiałam się, od czego zacząć. Może od tego, jak poznałam Krystiana? Nie, to nie będzie dobry początek, uznałam i skreśliłam ostatecznie zdanie.

O wilku umowa, Krystian zjawił się z widelcami w dłoni, aby nakryć do stołu.

– Zaraz będzie pizza. Wybrałaś film? – spytał.

– Momencik. – Ledwie uniosłam głowę znad kalendarza.

– Co piszesz? – zainteresował się.

– Jeszcze nie wiem, pewnie nic takiego – odparłam z uśmiechem.

Krystian wzruszył ramionami i wrócił do kuchni, a ja wiedziałam już, że zacznę od dnia, w którym rozpoczęłam pracę w budżetówce. Nachyliłam się nad notesem. „Wstawaj, Karolina, chyba nie chcesz się spóźnić do pracy? – Z łazienki dobiegł mnie zaspany głos Natki”, napisałam.

„Tak, to będzie początek”, pomyślałam, a w głowie, jak na zawołanie, zaczęły pojawiać się kolejne zdania.